

TAMI HOAG

**Za dawne winy**

Przełożyła Maria Miecielica  
Tytuł oryginału Prior Bad Acta



*Mary Read*

*Z podziękowaniem dla Lynn,  
która – mimo zaprzeczeń – jest równie zakręcona jak ja.*

# Prolog

Tego dnia wiedział, że wydarzy się coś bardzo złego, zanim jeszcze wszedł do środka. Mroczne, ciężkie od chmur niebo złowieszczo wisiało nad ziemią. Minęło już popołudnie, wieczór jeszcze się nie zaczął, czas jakby się zatrzymał. Powietrze stało nieruchomo, wydawało się, że dzień wstrzymał oddech w oczekiwaniu. Panowała śmiertelna cisza. Niebo na zachodzie przecięła błyskawica. Z oddali odpowiedziało jej stłumione dudnienie grzmotu.

W jego wspomnieniach ten czworokątny, kryty drewnem budynek zawsze stał samotnie. Zielona, obłożona z farby weranda zapadła się pośrodku i dom krzywił się do niego w niewyraźnym uśmiechu. Wszystko inne odsunęło się w tył, kryło między drzewami, ginęło za horyzontem. Widział jedynie ten dom z podwórkiem porośniętym wyschniętymi chwastami, drzewa rosnące za nim wzdłuż trakcji kolejowej i ich liście więdnące w upale.

W pobliżu nie było żywej duszy. Po znajdującej się za jego plecami ulicy nie jechały samochody, dzieciaki nie goniły się na rowerach. Nie było psów, ptaków, wiewiórek ani królików. Żadnego dźwięku prócz coraz głośniejszych grzmotów.

We wspomnieniach to nie on szedł w stronę domu, lecz dom przysuwał się do niego.

Nagły trask pioruna zaskoczył go swą bliskością.

Serce mu zamarło. Raptownie obrócił się w lewo.

– Niech pan się lepiej schowa w piwnicy! Idzie tornado!

Sąsiad, którego nędzna, imitująca farmerski styl chata wcisnęła się z powrotem w jego pole widzenia, stał na tylnej werandzie. Facet miał baki jak Elvis i wielki brzuch piwosza. W jednej ręce trzymał kamerę, drugą wskazywał na zachód.

Zbliżała się potężna burza.

W naelektryzowanym powietrzu kolory były ostrzejsze i czystsze niż zazwyczaj. Świat rysował się z taką wyrazistością, że aż oczy bolały od patrzenia.

Dom najechał na niego gwałtownie. Potknął się na schodach i niezgrabnie wdrapał na werandę. Siatkowe drzwi zaskrzypiały przeciągle, gdy uchylił je, by wejść do środka.

Rozległo się kolejne uderzenie pioruna. Oślepiający blask na chwilę całkowicie wypełnił pokój. Zakrzyknął, ale nikt mu nie odpowiedział.

Zapamiętał, że nie wykonał ani kroku. Nagle znalazł się w jadalni, potem w kuchni, a

na koniec w pokoju telewizyjnym na tyłach domu. Pokój był mały i ciemny, jego ściany pokrywała tania boazeria. Ciężkie zasłony były stare i nic pasowały do okien. Zapewne zostały uszyte z myślą o innym domu, skąd ktoś się ich pozbył, gdy zmieniła się moda. Przez szpary wzdłuż krawędzi zasłon i pośrodku, gdzie poły materii nie nachodziły na siebie, sączyło się światło.

Telewizor był włączony. Właśnie nadawano komunikat ostrzegający przed tornadem. Na zewnątrz wiatr zerwał się nagłym porywem. Błysnęło.

Wtedy zobaczył pierwsze ciało.

Siedziała na kanapie, wsparta o poduszki niczym gigantyczna lalka. Miała otwarte oczy, jakby wciąż oglądała telewizję. Szeroki pasek taśmy izolacyjnej zaklejał jej usta i ciągnął się dookoła głowy. Ktoś ostrym narzędziem wyciął jej z głowy kępki włosów. W ranach na czaszce zgromadziła się zaschnięta krew. Jej ubranie było rozcięte z góry na dół i rozsunięte na boki, ukazując nagie ciało, od gardła aż po krocze.

Trzask. Kolejny piorun rozświetlił wnętrze pokoju.

Ją samą ktoś również rozciął w ten sam sposób. Nóż przeciął skórę, mięśnie i kości wzdłuż całego tułowia, jak patroszonej rybie. W rozplątanej klatce piersiowej leżały zwiędłe stokrotki.

Zebrało mu się na wymioty i ścisnęło go w przetyku. Przerazenie chwyciło go za szyję dwoma kościstymi dłońmi i mocno trzymało. Zatoczył się do tyłu, odwrócił i wpadł na stojącą tam lampę, zrobił unik w bok i potknął się o podnózek. Upadł, uderzając głową o kant stolika.

Powietrze wypełniła seria trzasków i grzmotów.

Słaby i przerażony, ledwie zdołał podnieść się na miękkich nogach i ruszyć w kierunku wyjścia. Z jego ust wyrwał się dziwny, żałosny dźwięk, jak skamlenie zbitego psa.

Pobiegł do kuchni i wypadł z domu tylnymi drzwiami. Nie mógł tam zostać ani chwili dłużej. Świat na zewnątrz nabrał upiornej, zielonkawej barwy. Słychać było narastające dudnienie, przypominające huk zbliżającego się pociągu. Tory były jednak puste, a nawet jeśli jechał po nich pociąg, pochłonał go w całości czarny, gęsty wir, który pędził po ziemi, pożerając wszystko na swojej drodze.

To musiał być koszmar. Nie mogło przecież dziać się tak naprawdę. Na skórze czuł jednak uderzenia niesionych wiatrem kamyków, sypały się na niego drzazgi i odłamki szkła. Zakrył ramionami głowę, próbując chronić twarz. Ryk wypełniający powietrze był ogłuszający.

Drzwi do starego schronu przeciwhuraganowego były otwarte i ramy z trudem

trzymały się na ostatnim zawiasie, gdy szalejący wiatr próbował całkowicie je oderwać. Bez namysłu rzucił się w dół po betonowych schodach. Gdy był już na dole, zaczął kopniakami wyważać drzwi prowadzące do piwnicy. Były stare i spróchniałe, więc udało mu się wyważyć je już przy trzeciej próbie.

W piwnicy panowała wilgoć, było zimno jak w jaskini i unosił się smród stęchlizny. Nie mógł znaleźć kontaktu, żeby zapalić światło.

Stary dom nad jego głową zaczął trząść się w posadach. Miał wrażenie, jakby tornado ciągnęło cały budynek w górę, próbując wyrwać go z ziemi.

Zaczął padać ulewny deszcz. Trzask pioruna, jak strzał z bata. Dudnienie grzmotu. Piwnicę raz po raz rozświetlały eksplozje jaskrawego, białego światła. Między nimi zapadała absolutna ciemność.

Usiadł na podłodze i zwinął się w kłębek. Był zmarznięty, przemoczony i robiło mu niedobrze na myśl o tym, co widział na górze, oraz od panującego w piwnicy zapachu.

Nie wiedział, jak długo tam przebywał. Równie dobrze mogło to być pięć minut, jak i pięć godzin. Stracił poczucie czasu. Później pamiętał tylko, że do jego świadomości powoli dotarło wrażenie ciszy, która znów nad wszystkim zapanowała. Było tak cicho, że pomyślał, iż ogłuchł.

Sporadyczne błyskawice wciąż rozświetlały nocne niebo, widoczne przez umieszczone pod sufitem okna piwnicy, jednak nie słyszał już grzmotów.

Powoli wstał z zimnej i mokrej podłogi. Nagle poczuł na szyi jakby dotknięcie ręki. Pot pokrywający jego ciało zamienił się w lód. Coś potrafiło go jeszcze raz, jak gdyby ponaglając, by się odwrócił i zobaczył czekającą na niego niespodziankę.

Kolejny błysk rozjaśnił wnętrze piwnicy niczym światło fotograficznej lampy. Obraz, który wtedy zobaczył, wyrył się w jego pamięci na zawsze. Ten obraz miał nigdy nie zblednąć, nigdy nie stracić siły wyrazu ani upiornej wyrazistości – ciała dwójki dzieci wiszące pod sufitem i ich martwe oczy patrzące niewidzącym wzrokiem prosto na niego.

# I

– Zabił matkę i dwójkę dzieci.

Oskarżyciel okręgu Hennepin, Chris Logan, był człowiekiem o zdecydowanych poglądach, a do spraw zawodowych podchodził na ogół bardzo emocjonalnie. Te cechy z powodzeniem wykorzystywał na sali sądowej, stając oko w oko z ławą przysięgłych, nie zawsze jednak sprawdzały się one w gabinecie sędziego. Logan był wysoki, barczysty i świetnie zbudowany. Jego głowę pokrywała gęsta szczecina włosów, niegdyś czarnych, teraz przyprószonych siwizną. Miał czterdzieści pięć lat, z czego dwadzieścia przepracował w systemie sądownictwa karnego. Aż dziw, że całkiem nie osiwiął.

– Przepraszam bardzo – odparł obrońca z wyraźnym sarkazmem, zadającym kłam wyrazowi niedowierzania, który starał się przyjąć. – Czyżby coś mnie ominęło? Kiedy to nagle przenieśliśmy się do średniowiecza? Czy oskarżeni w tym państwie nie są uznawani za niewinnych do czasu, gdy udowodni się ich winę?

Logan zrobił zdziwioną minę.

– Na miłość boską, Scott, nie mógłbyś darować sobie tych występów? Wszyscy jesteśmy dorośli. Znamy się nie od dziś. Wiemy, że jesteś dupkiem. Nie musisz nam tego udowadniać.

– Panie Logan...

Sędzina Carey Moore spojrzała na niego stanowczo. Znali się z Loganem od czasów, gdy razem stawiali pierwsze kroki w zawodzie obrońcy z urzędu, do którego ani ona, ani on nie mieli predyspozycji. Oboje przenieśli się do biura prokuratora tak szybko, jak tylko się dało, i obojgu udało się zabłysnąć w sądzie, gdzie starali się wsadzić za kratki zbrodniarzy przeróżnej maści – od drobnych złodziejasków po gwałcicieli i morderców.

W drugim fotelu naprzeciw jej biurka siedział jeden z tych nieistotnych trybików w wielkiej maszynie obrony publicznej. Kenny Scott wybrał drogę kariery wiele lat temu i wytrwale pozostawał na niej do dziś, co czyniło zeń albo świętego, walczącego o sprawiedliwość dla tych, którym gorzej się powiodło, albo żalospną karykaturę prawnika, niezdolnego wydrzeć się z anonimowości urzędu i założyć własnej kancelarii. Widząc go nieraz na sali sądowej, Carey sądziła, że prawdziwe jest raczej to drugie wytłumaczenie.

Spojrzał teraz na Carey oczami przerażonej myszy, osaczonej przez gromadę kotów. Pocił się, wyglądał na zdenerwowanego i gotowego w każdej chwili zerwać się i rzucić do ucieczki. Był niskim mężczyzną, na którym garnitury zawsze źle się układały – za szerokie w ramionach i za długie w rękawach, co poniekąd wzmagało wrażenie, że Scott był przytłoczony swą pracą, jeśli nie życiem w ogóle.

Zrządzeniem losu Scott został zmuszony bronić najbardziej znienawidzonego człowieka w Minneapolis, a może i w całym stanie: włóczęgę o nazwisku Karl Dahl, oskarżonego o dokonanie najokrutniejszych morderstw, z jakimi Carey kiedykolwiek miała do czynienia.

Miejsce zbrodni było tak makabryczne, że jeden z funkcjonariuszy, którzy jako pierwsi zgłosili się na wezwanie, dostał zawału serca i musiał zrezygnować ze służby. Szef grupy dochodzeniowej był tak poruszony sprawą, że ostatecznie przeniesiono go do pracy biurowej ze wskazaniem, że powinien poddać się leczeniu psychiatrycznemu.

– Wysoki sędzie, nie może pani pozwolić, by pan Logan mijał się z przepisami prawa – powiedział Scott. – Dawne wykroczenia nie są brane pod uwagę...

– O ile nie konstytuują wzorca postępowania – głośno przerwał mu Logan. Obrzucił Scotta przeszywającym spojrzeniem drapieżnego ptaka.

Kenny Scott wyglądał tak, jakby chciał natychmiast rzucić się do ucieczki i ratować życie. Na jego korzyść przemawiało to, że pozostał na miejscu.

– Wcześniejsze wykroczenia pana Dahla nie mają żadnego związku z tą sprawą – powiedział. – Wejście na cudzy teren? To nie czyni z niego jeszcze brutalnego przestępcy.

Logan wpatrywał się w niego intensywnie.

– A co z posiadaniem dziecięcej pornografii? Co z włamaniem, podglądaniem przez okno i obnażeniem?

– Nikogo swoim penisem nie zabił – odparł Scott.

– W jego postępowaniu widać stopniową eskalację – upierał się Logan. – To typowe dla wszystkich zboczeńców. Zaczynają od małych rzeczy, a potem robią coraz gorsze. Najpierw znajdują uciechę w masturbacji do zdjęć dzieci z katalogów odzieżowych. Kiedy to ich już nie zadowala, zaczynają zaglądać ludziom przez okna, a potem publicznie ściągać spodnie. W końcu zaś potrzebują kontaktu fizycznego...

– I ze świecenia golizną nagle przerzucają się na wypruwanie ludziom flaków? – przerwał mu Scott. – Toż to nonsens!

Zwrócił się z powrotem do Carey.

– Wysoki sędzie, Karl Dahl nie popełnił w przeszłości żadnego brutalnego

przestępstwa. Informacja na temat wcześniejszych wyroków wpłynęłaby negatywnie na nastawienie ławy oskarżonych i wzbudzałaby niepotrzebne emocje. Ława gotowa byłaby wydać wyrok skazujący jedynie na podstawie teorii, jaką przedstawił nam pan Logan, nie wzięwszy pod uwagę faktów i dowodów.

Logan zaczął wyliczać na palcach.

– Mamy jego odciski palców na miejscu zbrodni. Mamy skargę wniesioną przez sąsiadkę, którą podglądał przez okno. Wiemy, że znał ofiary, że kręcił się po okolicy. W czasie aresztowania miał przy sobie łańcuszek ofiary.

– Brał się za różne roboty – odpowiedział Scott. – Przyznaje, że był w domu Haasów w dniu morderstwa. Pani Haas zapłaciła mu trzydzieści dolarów za założenie karnisza. Przy okazji ukradł tani łańcuszek. Nic wielkiego. Poza jedną sąsiadką nikt w okolicy się na niego nie skarżył.

Logan dramatycznie przewrócił oczami.

– Wszyscy zgodnie twierdzą, że facet jest jakiś dziwny i przyprawia ich o gęsią skórkę...!

– To nie jest niezgodne z prawem.

– I ma pan szczęście – wymamrotał Logan.

– Panie Logan! – znów upomniała go Carey.

Logan spojrział na nią porozumiewawczo spod grubych, ciemnych brwi.

– Świadek widział go na miejscu zbrodni...

– Przynajmniej pięć godzin po dokonaniu morderstwa – zwrócił uwagę Scott.

– Wrócił ocenić swoją robotę – powiedział Logan.

– To nie ma najmniejszego sensu, zjawiać się o tak późnej porze, gdy większość ludzi wraca z pracy...

– No więc wrócił, by zabić ojca i najstarsze dziecko...

– Powiedz, gdzie dostałeś swoją szklaną kulę, Logan? – zapytał Scott. – Chyba wszyscy powinniśmy sobie taką kupić. Może władze stanowe przydzielą po jednej każdej agencji ochrony porządku publicznego...

Carey z dezaprobatą uniosła brwi.

– Panie Scott, proszę darować sobie ten sarkazm.

– Ta sytuacja jest wyjątkowa i dlatego możemy odbiec od reguły, wysoki sędzie – znów wtrącił się Logan. – Ten człowiek jest seryjnym zabójcą u progu kariery. Jeśli teraz go nie wsadzimy...

Carey podniosła rękę, by powstrzymać dalsze argumenty. Głowa bolała ją tak, jakby



przygniótł ją młyński kamień. Przez wszystkie lata szkoły prawniczej i wspinania się po szczeblach kariery przyświecał jej jeden cel: założyć togę i usiąść w takim właśnie gabinecie. Być sędzią. W tym momencie żałowała jednak, że nie posłuchała babki i nie zajęła się doskonaleniem umiejętności sekretarskich, które miały być dla niej zabezpieczeniem na wypadek, gdyby nie znalazła właściwego męża.

Postępowanie w sprawie ciężkich przestępstw było odpowiedzialnością, do której podchodziła z pełną powagą. Z powodu jej wcześniejszych osiągnięć w roli oskarżyciela większość ludzi spodziewała się, że również jako sędzia będzie sprzyjać tej stronie. Ona zaś robiła wszystko, by rozwiązać te oczekiwania. Jako oskarżyciel miała obowiązek z uporem domagać się skazania pozwanego. Jako sędzia musiała bezstronnie nadzorować przebieg procesu, trzymać szale sprawiedliwości w równowadze, tak by wyrok zapadał jedynie na podstawie istotnych dla sprawy faktów i przedstawionych dowodów. Nie mogła zająć określonego stanowiska, bez względu na to, jakie były jej osobiste odczucia – a w tej sprawie były one oczywiste. Dwoje dzieci poddano torturom, zamordowano w brutalny sposób, a ich ciała powieszono w brudnej piwnicy.

Carey sama była matką. Myśl o tym, że ktoś mógłby skrzywdzić jej córkę, wywoływała w niej uczucia tak silne, że brakowało słów, którymi można by je oddać. Widziała zdjęcia z miejsca zbrodni. Widziała nagranie. Zapamiętane obrazy wciąż ją prześladowały.

Przyrodnia matka dzieci została zgwałcona, poddana torturom, a na koniec rozcięta od gardła do krocza. Koroner stwierdził, że kobieta zmarła wcześniej, zanim rozpołowiono jej ciało, ale nie sposób było ustalić, co zdarzyło się na jej oczach, zanim nadeszła śmierć. Może zmuszono ją do patrzenia, jak jej dzieciom dzieje się niewyobrażalna krzywda? A może to dzieci musiały patrzeć na niewysłowione cierpienie matki? Jakkolwiek to wyglądało, rozegrał się tam koszmar wydobyty na światło dzienne z najbardziej prymitywnego i ciemnego zakamarka ludzkiego umysłu.

Lecz jako sędzia Carey nie mogła przypisać tych zbrodni oskarżonemu, którego proces toczył się pod jej przewodnictwem. Na decyzję, jaką musiała teraz podjąć, nie mogły wpłynąć jej przerażenie lub odraza. Nie powinna też zastanawiać się nad tym, jak tę decyzję odbiorą inni. Proces sądowy to nie konkurs popularności.

Tak przynajmniej powinno być w teorii.

Nabrała powietrza i westchnęła, czując, że waga sprawy ją przygniata. Obaj prawnicy patrzyli na nią z widocznym na ich twarzach napięciem. Kenny Scott wyglądał tak, jak gdyby czekał na własny wyrok. Logan był wyraźnie zniecierpliwiony. Spojrzał na nią w taki sposób,

jakby wierzył, że siłą swojej woli może wpłynąć na jej decyzję.

Carey stłumiła nieprzyjemne uczucie narastające w żołądku. „No dalej. Miej to już za sobą”.

– Przeczytałam wasze raporty, panowie – zaczęła – i doskonale zdaję sobie sprawę z wpływu, jaki moja decyzja będzie miała na dalszy przebieg procesu. Zapewniam panów, że żaden z was nie chciałby teraz znaleźć się na moim miejscu.

Wiedziała, że Logan by się z nią nie zgodził. Stronniczość była jego sposobem na życie. Jego motto brzmiało „w prawie siła” i jeśli w coś wierzył, to tak musiało być, bez dyskusji. Ale teraz ugryzł się w język, wstrzymał oddech i siedział jak na szpilkach, gotowy w każdej chwili zerwać się z fotela. Carey spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie widzę powodu, by w tym wypadku odstąpić od reguły – powiedziała.

Logan otworzył usta, by zgłosić sprzeciw.

– Pozwoli pan, że dokończę, panie Logan.

Twarz poczerwieniała mu ze złości. Wlepił wzrok w ścianę.

– Poprzednie wykroczenia pana Dahla mogą wskazywać na pewien kierunek, drogę rozwoju przyszłych zachowań przestępczych – powiedziała. – Jednakże w przeszłości nie popełnił żadnego brutalnego przestępstwa, a sąd nie może przewidzieć, jakich czynów dopuści się pan Dahl w ciągu nadchodzących miesięcy lub lat. W każdym razie nie wolno nam osądzać ludzi za przestępstwa, które dopiero mogą popełnić.

– Wysoki sądzie – zaczął Logan głosem napiętym od hamowanej furii. – Brutalni przestępcy nie rodzą się z dnia na dzień. Kryminalna przeszłość pana Dahla...

– Pozostaje bez związku ze sprawą – ucięła Carey.

Gdyby ludzi można było zamykać za przestępstwa, które dopiero mieli popełnić, Chris Logan powinien zostać natychmiast zakuty w kajdanki – wściekłość na jego twarzy nie wróżyła nic dobrego.

Kenny Scott z trudem powstrzymywał się od skakania z radości. Carey spojrzała na niego takim wzrokiem, że od razu spotulniał i powstrzymał demonstracyjną radość. „Przestanie się cieszyć, gdy informacja dotrze do prasy” – pomyślała Carey.

Ludzie na ogół nie darzyli obrońców z urzędu taką niechęcią, jak znanych adwokatów z nagłówków gazet. Służyli oni w końcu w szeregach administracji państwowej – harowali ciężko za marne pieniądze, stając w obronie najuboższych. Lecz gdy decyzja, którą właśnie podjęła, zostanie nagłośniona, Kenny Scott nagle stanie się wrogiem publicznym numer jeden. Bronić biednych to jedna rzecz, ale pomóc oskarżonemu o morderstwo wywinąć się z rąk sprawiedliwości to całkiem inna sprawa.

– Wysoki sędzię – powiedział Scott, gotowy kuć żelazo póki gorące. – W świetle pani decyzji uważam, że oskarżenie nie dysponuje wystarczającą liczbą dowodów, by wnieść sprawę...

Logan podniósł się z fotela.

Scott spojrział na górującego nad nim mężczyznę wytrzeszczonymi ze strachu oczami.

– Wnioskuje o całkowite uchylenie oskarżenia – wyrzucił z siebie z prędkością karabinu, chcąc skończyć zdanie, zanim Logan będzie mógł złapać go za gardło i zmiażdżyć krtań.

– Wniosek oddalony – powiedziała Carey spokojnym głosem, w którym wyraźnie słychać było napięcie. – Proszę usiąść, panie Logan, albo będę zmuszona pana wyprosić.

Logan spojrział na nią wyzywająco. Nie usiadł, ale odsunął się od Scotta. Stał pod ścianą z rękami wspartymi na bokach i drgającymi mięśniami twarzy. Próbował się uspokoić.

– Ale wysoki sędzię – spierał się Scott – nie ma żadnych bezpośrednich dowodów wiążących mojego klienta z tym przestępstwem. Nie ma odcisków palców na narzędziach zbrodni...

– Bo wytarł je do czysta – warknął Logan.

– Brak śladów krwi na jego ubraniu...

– Musiał je zmienić.

– Brak śladów DNA...

– Pewnie użył prezerwatywy...

– Nie zostawił po sobie nawet włoska...

– Gość nie ma ani włoska! – wrzasnął Logan. – Cały się goli po, to żeby ich po sobie nie zostawiać! Nic ci to o nim nie mówi?

– Robi to ze względów higienicznych. To bezdomny, nie chce mieć wszy.

Logan warknął niemile i przewrócił oczami.

Carey zwróciła się do niego.

– No, panie Logan? Co tak naprawdę macie na Karla Dalha?

– Oczekuje pani, że przedstawię całą linię oskarżenia na jego oczach?! – zapytał z niedowierzaniem, wskazując głową na Scotta.

– Ma pan na czym oprzeć oskarżenie, czy nie?

– Nie ma nic poza kilkoma domysłami i zbiegiem okoliczności – odezwał się Scott.

– Mam akt oskarżenia wielkiej ławy przysięgłych – odparł Logan.

– Razem z kolorowym papierkiem, w który był zapakowany?

– Dobrze wiedzieć, jak szanuje pan nasz system sądowniczy, panie Scott –

powiedziała Carey, której nie spodobał się ten typ humoru.

Scott zaczął coś jąkać, próbując zatuszować popełniony błąd. Carey uniosła dłoń, powstrzymując go od dalszych nieporadnych prób wyjaśnienia własnej niezręczności. Pragnęła z całych sił, by ziemia rozstała się i pochłonęła Kenny'ego Scotta, Chrisa Logana i całą tę koszmarną sprawę.

– Nie wycofam aktu oskarżenia – powiedziała. – Ława sama zdecyduje, czy stan ma wystarczające argumenty, by skarżyć pana klienta, panie Scott.

Rzuciła Loganowi spojrzenie, które tak dobrze zapamiętał z lat wspólnie spędzonych po tej samej stronie sali sądowej.

– A jeśli okaże się, że nie... Niech Bóg ma pana w swej opiece, panie Logan.

Wstała zza biurka i skinęła głową w kierunku drzwi.

– Panowie...

Kenny Scott wyskoczył z fotela.

– Ale wysoki sędzie, czy nie powinniśmy ponownie rozważyć wyjścia za kaucją?

– Nie.

– Ale mój klient...

– Pański klient powinien się cieszyć, że pomiędzy nim a rozwścieczonym tłumem stoi ściana pilnie chronionego budynku – ucięła. – Wziąwszy pod uwagę atmosferę panującą na ulicach, opuszczenie aresztu nie leży w interesie pańskiego klienta. Proszę zaniechać dalszych roszczeń. Jest pan i tak na wyjątkowo dobrej pozycji, panie Scott.

Scott schylił głowę i przytaknął.

– Tak jest, proszę pani.

– I niech się pan do mnie nie zwraca w ten sposób.

– Oczywiście. Przepraszam, wysoki sędzie. Nie chciałem pani urazić.

– Proszę, niech pan już idzie.

– Tak jest proszę... To jest... Oczywiście.

Unióś obie ręce, chcąc zaznaczyć, że przyznaje się do własnej głupoty, niezdarnie schylił się, by podnieść teczkę, i prawie się przewrócił w drodze do drzwi.

Logan został chwilę dłużej, ale nie powiedział ani słowa. Nie musiał. Carey doskonale wiedziała, jakie myśli przechodzą mu przez głowę. Potem westchnął i wyszedł stanowczym krokiem człowieka, który wie, co ma teraz zrobić.

W prawej, dolnej szufladzie biurka czekała na niego butelka szkockiej.

– Wypij za mnie jednego – cicho rzuciła za nim Carey.

## II

Najlepszą porą, by przekazać opinii publicznej złą wiadomość, jest piątkowy wieczór. Podatki idą w górę, gospodarka przeżywa kryzys, a do odległego kraju trzeciego świata trzeba postać kolejne oddziały – te informacje zawsze trafiają do mediów właśnie wtedy. Ludzie kończą tydzień pracy, szykują się na dwa dni wolności i starają jak najszybciej opuścić miasto, by spędzić weekend nad jeziorem. Istnieje duża szansa, że wieczornemu wydaniu wiadomości nie poświęcą wielkiej uwagi.

Detektyw Stan Dempsey wiedział, jak działa świat polityki. Przyglądał mu się z daleka przez większość życia, najpierw w armii, potem w policji. Ludzi sprawujących władzę darzył szczerą nienawiścią. Potrafili jednym skinieniem dłoni, wzruszeniem ramion bądź uniesieniem brwi bez głębszego zastanowienia zmienić życie wielu osób. Takim człowiekiem była sędzina Carey Moore.

Miał kłopot z uznaniem jej autorytetu. Nie umiał zaakceptować tego, że ostatecznie to od niej zależy przebieg procesów sądowych, które on przygotowuje z takim mozołem. Wydawała się na to za młoda. I za ładna. Był przy niej weteranem. Nosił mundur, kiedy ona była jeszcze dzieckiem.

Miał do czynienia z Carey Moore jeszcze w czasach, gdy zdobywała szlify w biurze prokuratora okręgowego. Była dobrym oskarżycielem, twardym i wymagającym. Pomimo tych wielkich niebieskich oczu i zadartego noska nigdy nie stała się niczyją maskotką ani chłopcem na posyłki.

Dempsey nie mógł zrozumieć, co się z nią stało, od kiedy została sędzią. Policjanci mieli nadzieję, że w końcu za stołem sędziowskim usiądzie ktoś im przychylny, kto nie da się wodzić za nos adwokatom i nie będzie się cackać z kanałiami doprowadzonymi przez nich przed sąd. Oczekiwali wręcz, że procesy będą przebiegać automatycznie: nie zdałeś sprawdzianu – idziesz do więzienia.

Zdarzyło się jednak coś całkiem innego. W sądzie Carey stała się inną osobą. Dopuszczała absurdalne wnioski obrony i pozwalała, by praca policji – na której kiedyś tak bardzo polegała – była kwestionowana i ośmieszana. A jeśli chodzi o wyroki, to nawet jeśli Carey była osobą stanowczą, z pewnością nie okazywała tego oskarżonym.

Stan Dempsey nie powinien się więc zdziwić, gdy w piątkowy wieczór usłyszał wiadomości. Sąd nawet się nie zebrał. Decyzja zapadła w gabinecie Carey Moore.

Jako że nie miał nic lepszego do roboty, wstał od biurka, przy którym tkwił przez wszystkie te miesiące, i udał się na drugą stronę ulicy, do siedziby Rady Okręgu Hennepin.

Szefowie departamentu obawiali się, że Dempsey po dochodzeniu w sprawie morderstwa Haasów nie będzie zdolny do pracy. Bali się, że pewnego dnia niespodziewanie wybuchnie, nie wiadomo dlaczego, rzuci się na kogoś, tak jak wtedy na Karla Dahla w sali przesłuchań tuż po jego aresztowaniu.

W głębi serca Dempsey wiedział, że mogą mieć rację. Ta sprawa go odmieniła. W ciągu dwudziestu ośmiu lat służby był wzorowym policjantem, zarówno wtedy, gdy nosił mundur, jak i w cywilu. Nie było na niego żadnych skarg. Morderstwo Haasów sprawiło, że stał się inną osobą. Wszedł do tamtego domu, w dziwną ciszę dzielącą jedną burzę od drugiej, a kilka godzin później opuścił go jako inny człowiek.

Wydział posłał go do psychologa, ale poza oficjalnym raportem i zeznaniami, jakie złożył Loganowi w biurze prokuratora, ani razu nie wspomniał o tym, co widział. Nigdy nikomu nie powiedział, co wtedy czuł. Dwa razy w tygodniu odwiedzał swoją panią psycholog, kładł się na leżance i przez czterdzieści pięć minut wpatrywał się w ścianę, nie mówiąc ani słowa.

Prawda była taka, że za bardzo się bał, by cokolwiek powiedzieć. Gdyby ktokolwiek poznał myśli, jakie kłębiły się w jego głowie, zostałyby natychmiast przewieziony do zakładu psychiatrycznego pod specjalnym nadzorem. Obrazy z miejsca zbrodni tkwiły w jego mózgu jak kawałki rozbitego szkła. W każdej chwili oślepiające światło mogło paść na jeden z nich i odesłać go z powrotem do tamtej chwili. Wciąż czuł stęchły, piwniczny zapach i niedający się z niczym pomylić odór gwałtownej śmierci. Kwaśną, gryzącą woń ludzkiego strachu.

Śmierć tej kobiety i jej dzieci była potworna. Męka, jakiej doznali – niewyobrażalna. Po raz pierwszy w swojej karierze Stan Dempsey popełnił niewybaczalny błąd i emocjonalnie zaangażował się w śledztwo. Pozwolił, by jego wyobraźnia odtworzyła te kilka ostatnich godzin absolutnego przerażenia, jakie przeżyć musiały ofiary, poczuć ich strach i bezsilność.

Te odczucia wgrzyły się w sam środek jego głowy, niczym jadowity robak. Był jakby zatruty. Miał problemy ze snem, głównie dlatego, że bał się prześladujących go brutalnych snów o zemście. Stały się one szczególnie wyraziste ostatnio, gdy zbliżał się dzień rozpoczęcia procesu.

Jego przełożona wydawała się bardziej zaniepokojona niż zdenerwowana tygodniowymi raportami od psychologa, w których wciąż powtarzała się informacja o braku

współpracy ze strony pacjenta. A to dlatego, że kobiety zawsze pragną otworzyć męskie głowy, wyciągnąć z nich kłęb splątanych myśli i pozwijać w schludne motki.

Sama próbowała nakłonić go do rozmowy. Dawała wyraz trosce o jego zdrowie. Dążąc do przełamania jego milczenia, starała się dowiedzieć, czy ma żonę lub kogoś bliskiego, z kim mogłaby pomówić. Ale Stan nikogo już nie miał. Żona go opuściła, ponieważ był zamknięty w sobie, a ona potrzebowała kogoś, kto by się nią interesował i dbał o jej potrzeby.

Córka mieszkała w Portland w stanie Oregon ze swoim „partnerem życiowym”. Dzwoniła na święta i na dzień ojca. Nie wiedział, jak się do niej zbliżyć. „Brakowało mu odpowiednich narzędzi” – jak stwierdziła pani psycholog. Nie był komunikatywny ani wylewny w uczuciach, z trudem nawiązywał kontakty z ludźmi. Miał tylko pracę. A teraz nawet i jej nie miał tak naprawdę.

Szefowie namawiali go, by zgodził się odejść na wcześniejszą emeryturę. Wszyscy zdawali się wątpić, by te walory, które jeszcze zachował, były warte ryzyka, jakie stanowiła jego obecność w pracy. Jeśli pewnego dnia coś mu odbije i zatłucze jakiegoś męta albo wystrzeli w tłum, to będą musieli wydać miliony na pokrycie kosztów sądowych.

Bydlaki. Był tak blisko przepracowania trzydziestu lat i odejścia na zasłużoną emeryturę ze wszelkimi przywilejami. Służył swojemu wydziałowi dobrze i wiernie. A teraz chcieli go okantować z emerytury, bo nagle stał się dla nich niewygodny.

Nie. Będzie siedział przy tym pieprzonym biurku, chodził do ich psychologa i patrzył w ścianę, czas będzie płynął, a on zakończy karierę terminowo i będzie odbierał pełną emeryturę i... I tyle.

Tym, co dodawało mu energii przez ostatnie kilka tygodni, było śledztwo w sprawie morderstwa Haasów i zbliżający się proces Karla Dahla. Dlatego wstał od biurka, udał się na drugą stronę ulicy i wszedł do budynku wejściem prowadzącym do sądu karnego. Usadowił się tak, by widzieć, jak prawnicy będą opuszczać gabinet Carey Moore.

Rozeszła się plotka, że sędzina dziś zadecyduje o tym, czy dawne wykroczenia Karla Dahla będą brane pod uwagę jako dowód w procesie. Logan z pewnością będzie o to walczyć z całych sił. Nie mieli przecież wielu dowodów rzeczowych. Linia oskarżenia opierała się głównie na poszlakach – wiadomo było, że Dahl był w domu Haasów pamiętnego dnia, że naoczny świadek widział, jak wchodzi do domu, że zostawił odcisk palca na słuchawce telefonu i że sąsiadka złożyła skargę na Dahla zaledwie kilka dni przed morderstwami.

„Ale to był ten facet” – Stan nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Do popełnienia morderstwa dążył pewnie od dawna. Prawdopodobnie latami żył tą fantazją, wyobrażał sobie

przebieg wydarzeń, planował, jak się zachowa, uodparniał na silne emocje, by w trakcie dokonywania zbrodni nie popełnić błędu. Stan Dempsey wierzył w to bezgranicznie.

Usiadł na ławce, założył nogę na nogę i żałował, że nie może zapalić. Człowiekowi w dzisiejszych czasach nie wolno było palić prawie nigdzie. Był nawet projekt, by zakazać palenia w miejscach publicznych na wolnym powietrzu. Kolejny krok w stronę ograniczenia ludzkiej wolności.

Ludzie chodzili w tę i z powrotem po korytarzu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Był niezauważalny w swej pospolitości – szczupły, siwiejący mężczyzna w za dużym brązowym garniturze, o smutnych oczach wpatrzonych w pustkę.

Kenny Scott, obrońca z urzędu reprezentujący Karla Dahla, wypadł na korytarz, sprawiając wrażenie człowieka, który właśnie się dowiedział, że odroczone jego egzekucję.

Chwilę później pojawił się za nim Logan. Był jak siła natury – potężny, władczy i miotany furją. Miał ściągnięte brwi, usta ponuro zaciśnięte. Pochylał się do przodu, jakby szedł pod wiatr.

Dempsey wstał.

– Panie Logan?

Przez chwilę Logan patrzył na niego wściekle, ale w końcu zwolnił i podszedł w jego kierunku.

– Dzień dobry, detektywie.

– Słyszałem, że w sprawie Karla Dahla może dziś zapaść decyzja?

Logan odwrócił wzrok i zmarszczył brwi. Miał poluzowany krawat i rozpięty kołnierzyk koszuli. Rozsunął poły marynarki i oparł ręce na biodrach.

– Nie umorzyła sprawy – powiedział.

– A była na to szansa?

– Słuchaj, Stan, obaj dobrze wiemy, że Dahl zarzął tę rodzinę, ale nie mamy dowodów. Jego adwokat musiał wnioskować o umorzenie – to jego obowiązek.

– A co z kryminalną przeszłością Dahla?

Logan pokręcił głową. Był wyraźnie wkurzony.

– Sędzina Moore uważa, że jej ujawnienie byłoby obciążające dla Dahla i źle nastawiłoby ławę.

– A to, że Dahl stoi przed sądem oskarżony o potrójne morderstwo, go nie obciąża? – zapytał Stan. – Wielu ludzi pomyśli sobie, że skoro znalazł się na ławie oskarżonych, to musiał zrobić coś złego.

– To jest gra, Stan – powiedział Logan. – Tu nie chodzi o to, co jest słuszne, a co nie.



Chodzi o pewne zasady, o to, by nikt nie formułował opinii, opierając się jedynie na zdrowym rozsądku.

– Może się pan odwołać od tej decyzji? Zniecierpliwiony Logan wzruszył ramionami.

– Zobaczymy. Słuchaj, Stan. Wybacz, ale muszę lecieć – powiedział i wyciągnął rękę, by swą dużą dłoń poklepać Dempseya po ramieniu. – Trzymaj się. Dostaniemy tego sukinsyna.

Dempsey patrzył w ślad za nim i czuł się pokonany. Obejrzał się za siebie, w kierunku gabinetu Carey Moore. Chciał do niej pójść i porozmawiać. Mógłby z pełną dokładnością opowiedzieć jej o tym, co widział, i o potwornych uczuciach, jakie targały nim od tego czasu każdego dnia i nocy. Wyobraził ją sobie siedzącą za biurkiem, spokojną i opanowaną. Biurko oddzielałoby ich od siebie niczym zaporą. Przedstawiłby się grzecznie – nie spodziewał się, że ktoś będzie go pamiętać. Powiedziałałby, jak bardzo zawiodło go jej postanowienie.

Lecz później ujrzał siebie, jak wybucha, wpada w szal, rzuca się na biurko. Z przerażeniem w oczach ona zrywa się z fotela i potyka, próbując przed nim uciec. Zapędza ją do rogu, przygniata do szafy i krzyczy jej prosto w twarz. Chce, by poczuła przerażenie, jakiego musiała doznać Marlene Haas tego dnia, gdy Karl Dahl wtargnął do jej domu i przez kilka godzin torturował ją i jej dzieci, zanim wszystkich zamordował.

Wściekłość narastała w nim jak pożar, zajmowała kolejne fragmenty jego ciała, topiła mózg. Czuł, jak w środku przeobraża się w agresywną bestię. Ujrzał siebie, zaciskającego rękę na jej ślicznej, białej szyi, widział Moore, jak się dusi, a on potrząsa jej ciałem.

Ale przechodzący obok Stana Dempseya ludzie widzieli tylko szczupłego mężczyznę z pooraną bruzdami, pozbawioną wyrazu twarzą, stojącego beczynn timer na końcu korytarza.

Otrząsnął się z majaków i wyszedł z budynku, by zapalić papierosa.

### III

18:27

„Jestem tchórzem” – myślała Carey Moore, patrząc na zegar stojący na biurku. Nie z powodu decyzji, jaką podjęła, ale dlatego, że ucieka przed konsekwencjami.

Po tym, jak Logan i Scott opuścili jej biuro, powiedziała swemu sekretarzowi, by wszystkim interesantom mówił, że na dziś skończyła pracę. Nie miała ochoty rozmawiać z reporterami, a choć był piątkowy wieczór, wiedziała, że będą na nią polować. Sprawa „Stany Zjednoczone przeciwko Karlowi Dahlowi” była zbyt głośna, by mogli tak to zostawić i wyjechać na weekend.

Chciała zamknąć oczy i – gdy ponownie je otworzy – w magiczny sposób znaleźć się w domu, obok córki. Ugotowałyby razem obiad, urządziły sobie „babski wieczór” z malowaniem paznokci i czytaniem bajek.

David zostawił wiadomość, że dziś je kolację z potencjalnym sponsorem filmu dokumentalnego, który planował nakręcić. Film miał porównać grupy gangsterskie działające na terenie Twin Cities<sup>1</sup> w latach trzydziestych i mafię rządzącą ulicami w nowym tysiącleciu. Kiedyś Carey czułaby się zawiedziona, że nie spotka męża przy kolacji. Dziś jego nieobecność przyjmowała z ulgą.

Przez cały dzień nosiła na barkach ciężar pracy, a sprawa Dahla była najtrudniejszym wyzwaniem, z jakim kiedykolwiek musiała się uporać. Gdy zaś wieczorami spotykała się w domu z Davidem, napięcie między nimi sprawiało, że czuła się, jak gdyby ktoś zamknął ją w komorze ciśnieniowej i zaraz miała rozpaść się na kawałki. Nie miała ani chwili odpoczynku, ani odrobiny wytchnienia.

Przez dziesięć lat małżeństwa ich zdolność komunikowania się ze sobą – niegdyś świetna – gdzieś się zatraciła. Żadne z nich nie było teraz szczęśliwe, ale żadne też nie chciało o tym rozmawiać. Oboje chowali się za swoją pracą i tak naprawdę spotykali jedynie wtedy,

---

<sup>1</sup> Twin Cities – dosłownie „Bliźniacze miasta”; piętnasta co do wielkości aglomeracja w Stanach Zjednoczonych, na którą składają się miasta Minneapolis, Saint Paul i Bloomington.

gdy chodziło o ich córkę, pięcioletnią Lucy, która nie zdawała sobie sprawy z napiętych stosunków między rodzicami.

Carey chodziła po gabinecie z założonymi rękoma i raz po raz wyglądała przez okno na rozciągające się poniżej miasto. Tłum samochodów wciąż szczelnie wypełniał ulice centrum Minneapolis. Migotały żółte i czerwone światła, raz po raz rozlegał się dźwięk klaksonu.

Gdyby to był Nowy Jork, klaksony tworzyłyby prawdziwą orkiestrę, ale tu, pomimo ciągłego rozrostu miasta i napływu ludności z innych stron kraju i świata, zachowały się dobre zwyczaje środkowego wschodu, a uprzejmość wciąż obowiązywała. Tu rzeczy miały swój porządek. Stabilność nadawała życiu sens. Tym trudniej było pogodzić się z tragedią, jaką stało się morderstwo Haasów. Nikt nie potrafił zrozumieć takiej brutalności. Niewytłumaczalne akty agresji zdawały się podważać wartości, które mieszkańcy Minnesoty uważali za fundament swojej społeczności.

Nagle drzwi gabinetu uchyliły się i stanął w nich Chris Logan. Wyglądał niczym anioł zemsty.

Carey spojrzała na niego z udawanym spokojem, kiepsko kryjącym wrażenie niemiłego zaskoczenia.

– Właśnie położyłeś kres mojej teorii, że mieszkańcy Minnesoty wciąż są uprzejmi i dobrze wychowani.

– Nikogo tu nie ma – wyjaśnił Logan, tak jakby nieobecność jej sekretarza miała tłumaczyć jego wejście bez pukania.

– Właśnie wychodzę – powiedziała Carey, otwierając drzwi szafy, w której wisiał jej płaszcz.

– Nie mogę uwierzyć w to, co zrobiłaś, Carey.

– Nie powinno cię tu być, Chris – powiedziała stanowczo. – Nie będę prowadzić z tobą rozmów na temat sprawy pod nieobecność jednej ze stron. Jeśli wyjdiesz natychmiast, to nie podam cię do komisji dyscyplinarnej.

– Nie staraj się udowodniać mi, kto tu rządzi – warknął Logan. – Strasznie mnie to wkurza i dobrze o tym wiesz.

– Nie muszę się starać – odparła. – Jestem sędzią w sprawie, w której występujesz w roli oskarżyciela. Nie jest właściwe, byś przychodził i krytykował moje decyzje.

– Skrytykowałem je już dość porządnie na schodach przed budynkiem.

– Jestem o tym przekonana. Włożyłeś swój lepszy garnitur. Zmierzwione włosy i przekrzywiony krawat wprowadziły interesujący akcent. Nie zdziwię się, jeśli dostaniesz

kilka propozycji matrymonialnych po tym, jak stacje puszcza ten materiał w wieczornych wiadomościach.

– Nie graj ze mną twardo, Carey – ostrzegł. – Tu nie chodzi o politykę. Chodzi o to, co jest słuszne.

– Uczciwy proces jest słuszny.

– Słuszne jest wsadzić tego skurwiela za kratki.

– Tak – odpowiedziała Carrey. – Ale to już twoja robota. Postaraj się tak skonstruować linię oskarżenia, by trzymała się kupy. Jeśli naprawdę uważasz, że wynik całego procesu zależy od tej jednej decyzji, to jestem gotowa zgodzić się z Kennym Scottem – masz na Dahla ledwie tyle, by utrzymać w mocy akt oskarżenia.

– Chcesz, bym uzasadnił jego winę tu i teraz? – zapytał wyzywająco Logan. Złość pokryła czerwieńią jego policzki. Zawsze łatwo było po nim poznać, kiedy był wściekły – jeśli błyski w oczach nie były wystarczająco wyraźne, zawsze zdradzała go jasna, podatna na rumieńce skóra Irlandczyka.

– Nie – odrzekła Carey. – Tylko cię ostrzegam, Chris. Jeśli będziesz się starał w pośpiechu przekonać ławę przysięgłych, żeby zaspokoić oczekiwania opinii publicznej, a potem przegrasz...

– Mam dość, by go skazać.

– Co więc tutaj robisz? – zaatakowała. – Wtargnąłbyś w ten sposób do gabinetu sędziego Olsona? Albo do sędziego Denholma? Nie. Jesteś tutaj, bo uważasz, że należą ci się specjalne przywileje, że powinnam ci ustąpić i poddać się twojej woli, ponieważ kiedyś byliśmy kolegami, i ponieważ jestem kobietą. Gdybym była mężczyzną...

– ...nigdy bym się z tobą nie przespał – dokończył zdanie Logan.

Carey zrobiła krok w tył, jakby Logan uderzył ją w policzek. Równie dobrze mógł to zrobić.

Przez lata wspólnej pracy zawsze coś między nimi iskrzyło. Czuli do siebie wzajemny pociąg, ale nigdy mu nie ulegali. Nigdy – prócz jednego razu. Pracowali wtedy razem do późna, przygotowując się do kolejnej rozprawy sądowej. Jak się później okazało, był to jej ostatni proces przed objęciem funkcji sędziego. Carey była wyczerpana z energii z powodu ciągłych kłótni z Davidem o to, że za dużo pracuje i nie wspiera jego kariery.

David potrafił tak przekreślić jakikolwiek problem, że w końcu dotyczył jego. Jej kariera sprawiała, że on przestawał być w centrum uwagi. Nieważne, że wtedy, gdy on realizował jakiś projekt, Carey nie widywała go czasem całymi tygodniami, rzadko też wtajemniczał ją w szczegóły swojej pracy. Gdy zaś ona potrzebowała jego wsparcia – tak jak

przy tej ostatniej sprawie – nigdy nie miał dla niej czasu.

A Chris Logan był tuż obok niej, rozumiał jej troski, dzielił trudy pracy, i był taki silny i namiętny...

– Masz natychmiast opuścić mój gabinet – powiedziała głosem twardym i napiętym. – Albo wezwę zastępcę prokuratora i będziesz musiał liczyć się z konsekwencjami.

Podeszła do drzwi i otworzyła je z szarpnięciem, patrząc na Logana wzrokiem równie przeszywającym, jak on na nią.

Spuścił oczy, uciekając przed jej spojrzeniem.

– Wybacz, Carey. Nie powinienem był tego mówić.

– Nie powinieneś. I już nigdy więcej tego nie powiesz.

– Oczywiście. Przepraszam – zmienił ton. – To ta sprawa. Nie daje mi spokoju – powiedział, potrząsając głową, i przeczesał ręką gęste włosy.

– Nie próbuj szukać wymówek – warknęła Carey. – Nie masz żadnego wytłumaczenia. Jesteś wkurzony i starasz się podważyć mój autorytet, ale ja się na to nie zgodzę. Jeśli jeszcze raz podejdziesz choćby na krok do tych drzwi, odsunę cię od sprawy. Pomyśl, jak wpłynęłoby to na twój publiczny wizerunek. A teraz się wynoś.

Nie podniósł na nią wzroku. Chciała myśleć, że był zawstydzony swoim zachowaniem, ale sama w to nie wierzyła. Przegrupowywał siły, szukał mądrzejszego planu działania. Pasja, jaką Logan przejawiał w sądzie, była czymś, na co patrzyło się z przyjemnością i podziwem. Regularnie niszczył swymi argumentami najlepszych obrońców. Ale nigdy nie nauczył się panować nad emocjami, tak więc jego największy atut był jednocześnie jego piętą achillesową.

– Widziałaś zdjęcia z miejsca zbrodni – powiedział cicho. – Wiesz, co stało się tej kobiecie i jej dwóm małym adoptowanym dzieciom. One tak naprawdę nawet nie powinny tam być. Znalazły się w tym domu przez przypadek. Patrę na te zdjęcia każdego dnia. Nie umiem o nich zapomnieć. Śnią mi się co noc. Nigdy jeszcze żadna sprawa tak mnie nie pochłonęła.

– Powinieneś więc przestać patrzeć na te zdjęcia – powiedziała Carey, choć sama była nimi równie poruszona. – To nie ma sensu. Nie możesz pozwolić, by proces stał się twoją obsesją, Chris. Stracisz dystans, będziesz popełniał błędy. Tak jak teraz. Idź już.

Westchnął i kiwnął głową, a potem spojrzął jej w oczy ze szczerą skruchą.

– Przepraszam.

Carey nic nie odpowiedziała. Odwrócił się i wyszedł, wpychając ręce w kieszenie spodni i garbiąc szerokie ramiona. Gdyby to był film, wybiegłaby za nim, wybaczyła mu i

padliby sobie w ramiona. Ale to nie był film, tylko rzeczywistość. Miała pracę, męża, dziecko. Nie mogła mieć Chrisa Logana i była na tyle mądra, by tego nie chcieć.

Chciała jednak mieć koło siebie kogoś silnego, kto by ją przytulił, wsparł, ochronił. Ale nie miała. Już dawno nauczyła się toczyć swe bitwy bez niczyjej pomocy i radzić sobie z poczuciem zagubienia, choć ciągle czuła się samotna.

Carey włożyła płaszcz, zarzuciła torebkę na ramię i podniosła dużą, starą, skórzaną aktówkę, którą jej ojciec przynosił do tego samego budynku, kiedy pracował jako sędzia. Żałowała, że nie może teraz pójść do niego po radę, jak robiła od dziecka. Przez ostatnie lata alzheimer powoli zabierał jej ojca. Teraz nawet jej nie poznawał. Miała po nim te kilka rzeczy – jego młotek sędziowski, aktówkę, zdjęcia – i wspomnienia.

Wyszła z biura, czując się pokonana i pusta w środku. Prasa z pewnością wciąż czekała na zewnątrz, żywiąc próżną nadzieję, że Carey Moore wyjdzie główną bramą.

Zamiast tego Carey przeszła na drugą stronę ulicy nadziemnym korytarzem, który zaprowadził ją do piętrowego garażu. Przygotowywała się na spotkanie z dziennikarzami, ale korytarz okazał się pusty. Najwyraźniej żaden reporter nie szukał jej nigdzie indziej, nie chcąc zapewne utracić ujęcia z imponującą fasadą siedziby Rady Okręgu Hennepin w tle. Z poziomu, na którym zostawiła samochód, zniknęła już większość innych wozów.

Gdy informacja o jej decyzji dotrze do prasy, będzie się musiała zgodzić na eskortę policyjną. Myśląc o tym, poczuła się jeszcze większym tchórzem, chowającym się za plecami ochrony, by uniknąć konsekwencji własnej decyzji.

Zagubiona w myślach grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy, gdy nagłe jej palmtop i szminka wypadły na ziemię. Westchnęła ciężko, postawiła walizkę i niezdarnie schyliła się, by je znaleźć.

Kiedy zaczęła się podnosić, coś mocno uderzyło ją w plecy, ogłuszając ją i pozbawiając tchu. Drugie uderzenie sprawiło, że poleciała do przodu.

Szorstki beton wrył się w jej dłonie. Kolana uderzyły o twardą powierzchnię niczym dwa młoty. Starła się nabrać powietrza, by krzyknąć, ale nie dała rady. Upuściła torebkę, jej zawartość rozsypała się po ziemi.

Oprawca znów się zamachnął i nieomal trafił ją w głowę – chybił tylko dlatego, że Carey zrobiła unik w prawo, wyciągając rękę po kluczyki. To był jakiś pręt. Nie widziała go dobrze, uchwyciła jedynie dźwięk, jaki wydał, uderzając o beton. Napastnik zaklął.

– Ty pieprzona cipo. Ty dziwko. – Nie krzyczał, ale mówił twardym, szorstkim, chrypiącym głosem pełnym jadu.

Upadł na nią i zaczął rytmicznie bić jej głową o beton. Czy miał zamiar ją zabić?

Zgwałcić?

Carey zamachnęła się, żeby złapać kluczyki, przez chwilę orała palcami beton, łamiąc paznokcie, lecz w końcu udało jej się zacisnąć na nich dłoń.

Napastnik chwycił ją za włosy i odgiął jej głowę do tyłu.

Czy miał nóż? Czy teraz poderżnie jej gardło?

Szamotała się z kluczykami, rozpaczliwie naciskając guziki pilota. Nagle alarm zawył i jej bmw zaczęło migać światłami.

Głos nad jej głową znów zaklął. Mężczyzna cisnął jej głowę o beton. Resztki powietrza, które udało jej się wciągnąć do płuc, uleciały z niej, gdy z całej siły kopnął ją w bok.

A potem ogarnęła ją przeraźliwa, bezdenna ciemność.

## IV

Sam Kovac stał przed lustrem w męskiej toalecie, znajdującej się tuż obok biur wydziału śledczego. Miał zdjętą do połowy koszulę. Patrząc na swoje odbicie, dochodził do wniosku, że powinien chyba wybrać się na siłownię, ale ostatni raz był tam, gdy jeszcze nosił mundur. Wieki temu. Teraz, gdy dobiegał pięćdziesiątki, zaczynał się zastanawiać, czy nie powinien czegoś ze sobą zrobić. Ale myślał, że miałby pocić się i robić z siebie głupca przed młodymi gogusiami o idealnych ciałach, którzy zaludniali kluby fitness, uczynić z siebie żywą i żalną ilustrację kryzysu wieku średniego, sprawiała, że ochraniacz na genitalia zostawiał w szafie. Nie ciągnęło go również do sali z ciężarami i towarzystwa mięśniaków z policji Minneapolis, którzy zionęli testosteronem i nie mogli dostać koszuli w swoim rozmiarze w normalnym sklepie. Banda świrów. Pewnie większość z nich kompensowała w ten sposób małe fiuty albo skłonności homoseksualne, bądź fakt, że w dzieciństwie starsi koledzy spuszczały im lanie i zabierali pieniądze przeznaczone na lunch.

Kovac spojrział na siebie krytycznym wzrokiem. Wyglądał jak stary kocur, który nieraz oberwał w ciemnej uliczce i sam często pokazywał pazury. Blizna tu, blizna tam, ponura mina, dwa razy złamany nos. Jego włosy były w połowie brązowe, w połowie siwe i miały tendencję do stawania na sztorc. Za jego fryzurę częściowo odpowiadały słowiańskie geny oraz to, że nigdy nie wydawał na fryzjera więcej niż dziesięć dolców.

Ale w sumie nie było aż tak źle. Nie miał tłustego brzuszyska, z uszu nie wyrastały mu włosy. Kobiety nie uciekały z krzykiem na jego widok. No, może za wyjątkiem tych, które starał się aresztować.

Podczas ostatnich obowiązkowych badań okresowych lekarz próbował go przekonać, że jeszcze nie jest za późno, by zawrócić z drogi zatracenia i naprawił szkody, jakie jego ciału wyrządziły lata palenia, picia i diety opartej na soli, tłuszczu i stresie. Kovac odparł mu, że gdyby miał zrezygnować z tego wszystkiego, to równie dobrze mógłby od razu strzelić sobie w łeb, bo nie miałby już po co żyć.

Drzwi męskiej toalety otworzyły się i do środka weszła Nikki Liska.

– Chryste. Mógłbyś przynajmniej robić to w kabinie – powiedziała.

Kovac spojrział na nią gniewnie.



- Bardzo śmieszne. Co tu do cholery robisz? To jest męska toaleta, na litość boską!
- Gdzie więc są wszyscy faceci? – zapytała Liska zadziornie, krzyżując ręce na piersi.
- Chętnie załapałabym się na kawałek pulsującej męskości.

Kovac poczuł, że się rumieni. Liska była jego partnerem przez tyle lat, że powinien dawno się oswoić z jej niewyparzonym językiem, ale zawsze udawało jej się przejść samą siebie. Bezpośredniość była najbardziej widoczną i spektakularną cechą jej osobowości. Resztę stanowiło metr sześćdziesiąt siedem drobnego ciała, wielkie niebieskie oczy i krótkie, nastroszone blond włosy. Dla niewtajemniczonych była uosobieniem kobiecej słodyczy, ale ostatni facet, który nazwał ją słodką, wyszedł z imprezy, kulejąc.

Zmrużyła oczy i przyjrzała mu się uważnie.

- Nie mogę uwierzyć!
- Nie rób z tego wielkiej sprawy.
- Samie Kovac, jesteś optymistą.
- Nieprawda.
- Prawda.
- Jestem pragmatystą.
- Jesteś zasranym oszustem – stwierdziła, podchodząc do niego i mocno klepiąc w ramię. – Nosisz plaster!
- Auu!
- Nie bądź baba.

Z podziwem patrzyła na świeży plaster nikotynowy na jego ramieniu. Kovac ubrał koszulę i zapinał guziki, burcząc coś pod nosem. Liska oparła się o blat.

- Podobno kazałeś lekarzowi spadać?
- Powiedziałem mu, że moje buty mają więcej lat niż on – mrukliwym tonem powiedział Kovac. – Ale on nie ma z tym związku. Wiesz, że lubię rzucać palenie raz do roku. To doroczny rytuał. Jak święta.

Próbował zrobić to więcej razy, niż pamiętał. Nigdy nie udało mu się wytrwać dłużej niż kilka tygodni, najwyżej miesiąc, a potem zawsze decydował, że jednak woli cieszyć się życiem, bo w każdej chwili może je stracić. Był specem od zabójstw, a ta praca nie sprzyja pogodnemu usposobieniu.

- A zawał Tima Metzgera w zeszłym tygodniu też nie ma z tym związku? – zapytała Liska.

Kovac nie odpowiedział. Skupił się na wiązaniu krawata. Trudno mu było poruszać temat własnej śmiertelności nawet w myślach, a co dopiero dzielić się przemyśleniami z

Liską. Prędzej rzuciłby się pod autobus.

Liska wodziła po nim wzrokiem z góry na dół.

– A może ty się z kimś spotykasz i trzymasz to przede mną w tajemnicy?

Wkurzony Kovac wyprostował węzeł krawata i podciągnął go pod szyję.

– Czy sprowadza cię tu jakiś inny powód, poza chęcią zobaczenia gołego fiuta?

– Mamy wezwanie – odparła.

– Oto nagroda za zostanie po godzinach, by zrobić porządek w papierach. Co się stało?

– Napaść – odpowiedziała. – Na parkingu Rady Okręgu. Posłuchaj – ofiarą jest nikt inny, tylko szanowna pani sędzia Moore.

– Moore? – zapytał Kovac z obrzydzeniem. – Nie możemy od razu uznać jej za martwą?

## V

Na pogotowiu w Centrum Medycznym Okręgu Hennepin atmosfera na ogół przypominała punkrockowy koncert w halloweenową noc, ale był dopiero wczesny wieczór. Przeróżne męty i bandziory siedziały jeszcze w domach, zakładając arsenał kolczyków i polerując tatuaże.

– Samie Kovac! Pieprzę ten wasz cyrk! – zbliżyła się do nich wściekła Kathleen Casey, pielęgniarka z oddziału chirurgii urazowej, a zarazem cerber pogotowia ratunkowego.  
– Wolę już zostać twoją dziewczyną, niż użerać się z tymi ludźmi.

Potoczyła oczami w kierunku poczekalni, gdzie reporterzy i kamerzyści obsiedli wszystkie meble jak stado sępów.

– Boże, zbaw nas od mediów. Są gorsze niż ci chuligani, których zwozicie nam tu co noc.

Jak na sygnał kilku dziennikarzy zerwało się i ruszyło w kierunku Kovaca.

– Panie Kovac!

– Detektywie!

– Czy wpadł pan już na jakiś trop?

– Czy policja wie, jaka była przyczyna ataku?

– Czy miało to coś wspólnego z decyzją w sprawie Dahla?

Typowa kakofonia pytań, rzucanych z prędkością karabinu maszynowego, na które dobrze wiedzieli, że nie odpowie. Kovac podniósł rękę, by powstrzymać dalsze natarcie.

– Bez komentarza.

Casey zrobiła agresywny krok w kierunku dziennikarzy i zaczęła odpychać ich rękami.

– Wracać mi zaraz do poczekalni albo wyciągnę mój elektryczny paralizator.

Casey stoczyła niejedną bitwę. Kovac nazywał ją Żelaznym Krasnałem. Była malutką kobietą z grzywą rudych włosów i matczyną twarzą o irlandzkich rysach, która sprawiała, że ludzie ufali jej i pragnęli się do niej zbliżyć, nie wiedząc, że ryzykują zniknięcie z powierzchni ziemi w spektakularnym wybuchu.

Kovac znał ją od zawsze. Była weteranem Centrum Medycznego, pracowała tu od lat – z krótką przerwą, gdy przeniosła się do małomiasteczkowego pogotowia gdzieś w głębi

Minnesoty, znajdującego się na ziemiach znanych Kovacowi również pod nazwą „eksterytorialnej Mongolii”. On sam starał się nigdy nie zapuszczać na południe od lotniska, na wschód od rzeki, na zachód od drogi numer 494 i na północ od centrum miasta.

– No więc co przytrafiło się ofierze? – zapytał, gdy idąc szybkim krokiem, skręcili w boczny korytarz.

– Dyżurna lekarka, wrzód na dupie, zanudzi cię tą historią na śmierć. Ujmując sprawę krótko i brutalnie: ktoś spuścił jej niezły wpierdol.

– Napaść na tle seksualnym?

– Nie.

– Jest przytomna?

– Tak, ale nie ma wiele do powiedzenia.

– Szkoda, że wcześniej nie zachowywała się podobnie – wymamrotał Kovac pod nosem.

Wszyscy słyszeli już o decyzji sędziny Moore o wykluczeniu akt Dahla z materiału dowodowego. Carey Moore była twardym oskarżycielem, ale gdy zasiadła za stołem sędziowskim, za jej plecami zaczęto powtarzać slogan: „Moore znaczy mniej<sup>2</sup>”, bowiem obdarzała oskarżonych przywilejem wątpliwości tak szczerze, że policjanci czuli się przez nią oszukani.

Lekarka dyżurna notująca coś na karcie Carey Moore wyglądała tak, jakby jeszcze w zeszłym roku była szefową studenckiego koła naukowego. Tonęła w za dużym laboratoryjnym fartuchu, miała tłuste włosy upięte w niestaranny koński ogon i okulary w grubych, czarnych oprawkach.

Liska przysunęła jej odznakę do samej twarzy i zrobiła się agresywna.

– No i co się dzieje? Nawijaj, malutka. Chcę dojechać do domu przed menopauzą.

Ustawianie młodych lekarzy na bacność, zanim zdążą przypomnieć sobie o własnym ego, zawsze stanowiło dla niej dobrą zabawę.

Pani doktor użyła wielu mądrych słów, by powiedzieć im, że ofiara ma lekki wstrząs mózgu, kilka pękniętych żeber oraz wiele przykrych ran i otarć.

Policjant, który pierwszy przybył na wezwanie, wprowadził Kovaca i Liskę w szczegóły napadu, gdy obchodzili miejsce zbrodni. Moore zmierzała do samochodu, który pozostawiła na piętrowym parkingu, przylegającym do budynku Rady Okręgu Hennepin.

---

<sup>2</sup> *Moore is less* – gra słów zasadzająca się na podobieństwie nazwiska bohaterki i słowa *more*, znaczącego więcej.

Napastnik zaszedł ją od tyłu, przewrócił i wymierzył serię ciosów. Jak się wydaje, napad miał cel rabunkowy. Jeśli przestępca szykował jakiś inny plan, to na jego realizację nie starczyło czasu: w samochodzie Moore włączył się alarm i napastnik rzucił się do ucieczki, zabrawszy jej portfel.

Kovac zajrzał do gabinetu ponad głową lekarki. Carey Moore siedziała w szpitalnym łóżku wsparta na poduszkach i wyglądała, jakby właśnie zeszła z ringu po pięciu rundach walki z wielkim, wkurzonym kolesiem. Siniaki nie zrobiły się jeszcze fioletowe, ale Kovac widział w życiu na tyle dużo ofiar pobicia, że wiedział, jaki obraz jutrzejszego ranka ujrzy w lustrze sędzina. Na jej czole widać było stłuczenie, pod którym wyrastał guz wielkości piłki golfowej. Jedno oko, już mocno spuchnięte, jutro zniknie w fałdach czarnej skóry. Krótka linia szwów przecinała dolną wargę, co wyglądało, jakby na ustach Moore usiadł jakiś czarny owad.

Do ucha przyciskała telefon komórkowy. Pewnie zdawała relację z wypadków padlinożercom siedzącym w poczekalni albo skarżyła się burmistrzowi na to, jak niebezpieczne dla porządnych obywateli są ulice miasta, za co pewnie nie poczuwała się do winy.

Kovac przeszedł obok lekarki, nie pytając o zgodę, zbliżył się do Carey Moore, wyjął telefon z jej dłoni i rozłączył rozmowę.

– Co pan wyprawia? – zapytała gniewnie Moore.

– Muszę panią prosić o całkowitą uwagę, pani sędzino. Oczywiście jeśli chce pani, byśmy złapali pani oprawcę i doprowadzili go przed oblicze prawa. Może teraz będzie pani na tym zależeć bardziej niż kilka godzin temu.

Wyrwała mu telefon i ponownie wybrała numer, nie spuszczając z niego wściekłego wzroku.

– Rozmawiałam przez telefon z opiekunką córki. Mówiłam jej właśnie, że będę w domu później, i prosiłam, by nie pozwoliła mojemu dziecku oglądać wieczornych wiadomości. Nie chcę, by z obcych ust dowiedziała się, że jej mama została napadnięta. Pana potrzeby nie są dla mnie istotne, detektywie Kovac. A już na pewno nie tak, jak moja córka.

Kovac uniósł brew i zrobił krok w tył. Tyle, jeśli chodzi o jej osłabioną kondycję psychiczną. Wyglądała jak tygrysica, gotowa rzucić mu się do gardła.

– Mój błąd.

– Właśnie.

Spuściła wzrok, dotknęła dłonią czoła i syknęła z bólu, trafiając na czerwony ślad po stłuczeniu.

– Przepraszam, Anka. Coś nas rozłączyło. Ubierz Lucy w piżamę i włącz jej jakiś film.  
– Przez chwilę milczała, słuchając opiekunki. – Dobrze, daj ją do telefonu... Cześć, kruszynko! – powiedziała miękko. W jej oczach pojawiły się łzy.

Kovac odwrócił się nieznacznie, nie chcąc, by wyglądało na to, że podsłuchuje, choć oczywiście nie mógł się od tego powstrzymać.

– Nie, słoneczko, nie wrócę do domu przed twoim zaśnięciem. Przepraszam... Wiem, że obiecałam, ale miałam wypadek, upadłam i teraz jestem u pani doktor...

Zamknęła oczy i spod jej powiek pociekły łzy.

– Nie, kochanie, nie wiem, kiedy tatuś będzie w domu... Może zabawicie się w coś z Anką?

Przejechała dłonią pod puchnącym okiem, dyskretnie ocierając łzy.

Kovac odwrócił się z grymasem niezadowolenia. Nie chciał, by zrobiło mu się żal Carey Moore. Nie miał żadnego powodu, by ją lubić, a już z pewnością nie była przyjacielem Stana Dempseya, który po sprawie Haasów nigdy nie wróci do siebie. Kovac nie umiał sobie nawet wyobrazić, jak musieli się czuć Wayne Haas i jego syn, gdy dotarła do nich wieść o decyzji sędziny, która osłabiła pozycję oskarżenia. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął teraz Kovac, to współczuć Carey Moore.

– Zobaczymy się rano, kochanie... Ja ciebie też...

Jej głos odzyskał twardość, pożegnała się z opiekunką i zakończyła rozmowę.

Kovac czekał. Przyłączyła się do niego Liska.

– To przez ciebie płacze?

– Ja nic nie zrobiłem!

– I ty się zastanawiasz, dlaczego jesteś sam.

– Ja wiem, czemu jestem sam – mruknął. – I dobrze wiem, dlaczego chcę, żeby tak zostało.

– Miejmy to już za sobą – Carey Moore odzyskała panowanie nad sobą.

Kovac wzruszył ramionami. Liska posiadała mu spojrzenie pełne kobiecego oburzenia i przeszła obok niego.

– Pani sędzino, detektyw Liska...

– Wiem, kim pani jest – przerwała jej Moore. – Czy możemy przejść do sedna? Chcę jak najszybciej pójść do domu.

Wtrąciła się lekarka.

– Przykro mi, pani sędzino, ale nie możemy pani puścić. Doznała pani wstrząsu mózgu, musimy zatrzymać panią na obserwację.

Carey Moore uniosła podbródek i rzuciła młodej lekarce spojrzenie, którym paraliżowała niejednego trudnego świadka w czasie lat pracy jako oskarżyciel.

– Jadę do domu, do swojej córki. Podpiszę konieczne dokumenty, więc może zacznie je pani już przygotowywać.

Była przewodnicząca kółka naukowego wyglądała tak, jakby nie była pewna, czy ma się poczuć obrażona, czy zacząć się bać. Znikła w korytarzu.

– Może powinna to pani jednak przemyśleć – odezwała się Liska. – Ktoś panią napadł.

– Zostałam obrabowana i tyle. Już po wszystkim.

– Nie może pani być tego taka pewna.

Kovac przyglądał się, jak Moore zacięła usta na tyle, na ile pozwalały jej szwy. Chciała wierzyć w to, co było dla niej wygodne.

– Udało się dziś pani wkurzyć wielu ludzi, pani Moore – powiedział. – Może któryś z nich poczuł potrzebę, by wyrazić to osobiście.

– On porwał moją torebkę.

– Dodatkowa nagroda.

– On? – zapytała Liska. – Widziała go pani?

– Nie. Był za mną. Ale słyszałam jego głos.

– Był stary, młody? Czarny? Biały?

– Zły. To pamiętam. Pełen gniewu.

– Co mówił?

– „Ty pieprzona cipo. Ty dziwko” – powiedziała Moore bez emocji.

– Czy użył pani imienia? – zapytał Kovac.

– Nie.

– Nie rozpoznała pani jego głosu.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Więc powalił panią na ziemię i zabrał torebkę. To wszystko? – zapytał Kovac, wiedząc, że wcale tak nie było.

Na chwilę przymknęła oczy, zaczęła wzdychać, skrzywiła się z bólu i natychmiast starała się to zatuszować. „Twarda sztuka” – pomyślał Kovac. Zbir porządnie się na niej wyżył. Musiała mocno cierpieć, a wiedział z własnego doświadczenia, że lekarze nie dawali porządnych leków przeciwbólowych pacjentom ze wstrząsem mózgu. Dali jej pewnie tylenol. To tak, jakby zakleić plastrem ranę po ugryzieniu rekina. Musiała ją piekielnie boleć głowa.

– Szłam do samochodu...

– Czy widziała pani kogokolwiek na parkingu? – zapytał Kovac.

– Nie.

– W przejściu nad ulicą?

– Nie. Chciałam wyciągnąć kluczyki z torebki...

– Powinna je pani była przygotować przed wyjściem z budynku.

Posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Upuściłam palmtop, schyliłam się, by go podnieść, a wtedy on zaatakował mnie od tyłu. Z całej siły uderzył mnie w plecy jakimś prętem. Nie przestawał bić i przeklinać. Starłam się sięgnąć po kluczyki.

– Gdzie był pani portfel?

– Kiedy mnie przewrócił, upuściłam torebkę. Wszystko się z niej wysypało.

Kovac i Liska wymienili spojrzenia.

– I bijąc panią, obraźliwie się do pani zwracał? – zapytała Liska.

– Tak.

– „Ty pieprzona cipo. Ty dziwko” – powtórzył Kovac.

– Tak.

– A kiedy zabrał pani portfel?

– Nie wiem. Nacisnęłam guzik włączający alarm. On walnął moją głową o beton. Straciłam przytomność.

– Więc zabrał pani portfel, odchodząc – powiedział Kovac.

– Tak sędzę.

Portfel nie był zatem jego głównym celem. Złodzieje torebek zabierali torebki. Uliczni rabusie uderzali i uciekali. Ten facet skupił się na ofierze, spersonalizował atak, rzucając pod jej kątem wyzwiska, przedłużał jej cierpienie. Po namyśle, uciekając, zabrał portfel.

– Zaatakował od tyłu i uderzał panią bez przerwy – powiedziała Liska. – Gdzie był? Stał nad panią?

– Nie. Był bliżej. Pamiętam, że chwycił mnie za włosy i odciągnął moją głowę do tyłu. Czułam na sobie jego ciężar.

– Zatem klęczał? A może siedział na pani okrakiem?

Wiedziała, do czego zmierzał, ale nie chciała o tym mówić. Carey Moore miała w życiu do czynienia ze zbyt wieloma przestępcami – złodziejami, gwałcicielami, mordercami. Nie chciała przyznać się do tego, że sama stała się ofiarą jednego z nich, że to ją ktoś chciał zgwałcić, a może i zabić.

– Czy miała pani w portfelu prawo jazdy? – zapytała Liska.

– Tak.



– Czy adres, który jest na nim zapisany, to pani adres domowy?

– Nie, pani detektyw. Nie jestem taka głupia.

– Czy w pani torebce było cokolwiek, na czym mógł się znajdować ten adres?

Przez chwilę nie odpowiadała, wpatrywała się w swoje ręce, mocno poharatane. Kilka paznokci miała złamanych.

– Nie, nie sędzę – powiedziała w końcu, ale w jej głosie nie było już słyhać wcześniejszej siły. – Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym pojechać do domu. Nie widziałam człowieka, który mnie zaatakował. Nie mam do powiedzenia nic, co by się wam przydało. Możemy już skończyć?

– Czy miała pani przy sobie coś jeszcze prócz torebki? – zapytała Liska.

– Aktówkę. Czy ktoś ją zabrał? Mam parę rzeczy do zrobienia przez weekend.

– Nikt na miejscu nie wspominał nic o aktówce – powiedział Kovac. – Mają pani torebkę i rzeczy, które z niej wypadły. Co było w aktówce?

Zauważył, że fundament jej opanowania zaczęła podmywać fala paniki.

– Akta, raporty, listy z propozycjami wyroków.

– Coś, co ucieszy każdego złodzieja – rzucił Kovac z sarkazmem.

Carey Moore zignorowała go.

– Walizka należała do mojego ojca. Jest dla mnie ważna.

– Czy był w niej jakiś dokument dotyczący sprawy „Państwo kontra Karl Dahl”?

Nie spojrzała na niego. Była wkurzona, że właśnie udowadniał, iż nie miała racji, twierdząc, jakoby dzisiejsza napaść była dziełem przypadku. W zasadzie nie mógł jej winić. Nikt nie chciałby się przyznać, że stał się ofiarą celowego ataku.

– Tak.

– Będziemy chcieli dowiedzieć się, jakim sprawom przewodniczyła pani ostatnio – powiedziała Liska. – Ktoś może mieć pani coś za złe. Ktoś, kto spodziewa się surowego wyroku. Albo skazaniec, który niedawno opuścił więzienie. Musimy to wszystko zbadać.

– Dobrze – powiedziała sędzina Moore ledwie słyszalnym głosem. Adrenalina, która wcześniej dodawała jej energii, przestała działać. Carey Moore staczała się teraz w ciemną otchłań smutku i strachu. Widział to nie raz. Sam również to przeżył.

– Czy mąż może przyjechać panią stąd zabrać? – zapytała Liska. – Nie może pani sama prowadzić.

– Zadzwońię po taksówkę.

– Nie jest pani w formie, by gdziekolwiek jechać – powiedział Kovac, zastanawiając się, gdzie do cholery jest jej mąż. Jego żona została napadnięta. Było wielce prawdopodobne,

że ktoś chciał ją zabić. – Czy mąż jest poza miastem?

– Jest na kolacji w interesach. Poradzę sobie.

– Wie, że pani jest w szpitalu? Dzwoniła pani do niego?

– Jest na kolacji. Wyłączył telefon.

Jej szczęka znów zaczynała się zaciskać. Nie chciała mówić o nieobecny mąż. Prędeż sama wygrzebie się ze szpitalnego łóżka, poradzi sobie ze skutkami wstrząsu mózgu, połamanymi żebrami i emocjonalną traumą, niż zadzwoni do osoby, która powinna przy niej być na długo przed przyjazdem Kovaca i Liski.

– Gdzie odbywa się ta kolacja? – zapytał Kovac. – Jeśli jedzie pani do domu, nie może pani być sama. Możemy zadzwonić do restauracji lub posłać po pani męża kilku funkcjonariuszy.

– Nie wiem – ucięła krótko. – Nie ma potrzeby niepokoić mojego męża. Mieszka z nami opiekunka mojej córki.

Kovac spojrział na Liskę i uniósł brew.

– W takim razie ja odwożę panią do domu, pani sędzino – powiedział. – Gdy tylko podpisze pani prośbę o zwolnienie.

– To nie będzie potrzebne.

– Cóż, ja wierzę, że będzie, i tak właśnie zrobię – stwierdził kategorycznie. – Padła pani ofiarą napaści i powinna pani być na tyle mądra, by się do tego przyznać. Zabiorę panią do domu i sprawdzę, czy na miejscu wszystko jest w porządku.

Carey Moore nic nie powiedziała i uparcie wpatrywała się we własne dłonie. Kovac uznał jej milczenie za zgodę.

– Dobrze wiedzieć, że całkiem nie postradała pani zdrowego rozsądku – wymamrotał.

– O panu nie można powiedzieć tego samego, skoro tak mnie pan traktuje – odparła.

Kovac parsknął.

– Tak, czyli jak? Nie traktuję pani inaczej niż innych ofiar.

– Co tłumaczy, dlaczego od lat pan nie awansował.

– Możliwe – przyznał. – Ale przynajmniej nie podporządkowuję kariery własnym ambicjom i robię, co do mnie należy, czego nie można powiedzieć o pani.

## VI

Liska odwróciła uwagę dziennikarzy siedzących w poczekalni, wygłaszając krótkie oświadczenie, a potem wiele razy powtórzyła „bez komentarza”, a także „W tej chwili nie mogę o tym mówić”.

Kovac przewiózł Carey Moore na wózku inwalidzkim przez labirynt korytarzy do mało używanego bocznego wyjścia, przed które jeden z sanitariuszy podstawił jego samochód. Pani sędzina nie odezwała się ani słowem, gdy pomagał jej wsiąść na fotel pasażera oraz gdy jechali przez miasto.

– Gdzie pani mieszka? – zapytał.

Podawała mu adres tak samo oschle, jak mogłaby informować pierwszego lepszego taksówkarza. Jej dom, choć położony niedaleko centrum Minneapolis, znajdował się w całkiem innym świecie – w dzielnicy okazałych, eleganckich willi nad brzegiem jeziora. Kovac miał więc niewiele czasu – dziesięć, najwyżej piętnaście minut – by coś z niej wydobyć.

– Jutro czeka panią koszmarny ból głowy – zagaił.

Carey patrzyła prosto przed siebie.

– Koszmarny ból głowy czuję już teraz – odpowiedziała.

– Nie wydaje się pani, że to był osobisty atak?

– Każdy fizyczny atak jest osobisty z definicji, nie sądzi pan?

– Dobrze pani wie, o co mi chodzi. Proszę sobie darować prawnicze gadki. Jest pani w tym fachu na tyle długo, by wiedzieć, kiedy to nie ma sensu.

– Ach tak? Czyli nie sądzi pan, że prawnicy są zbyt tępi i egotyczni, by zauważyć, że nie wszyscy policjanci są kompletnymi idiotami?

Kovac spojrzał na nią. Za każdym razem, gdy przejeżdżali pod latarnią, ostre światło oblewało jej bladą jak u ducha twarz.

– Myślę, że pomiędzy moją decyzją a atakiem upłynęło na tyle mało czasu, że nie jest możliwe, by jakiś niezadowolony obywatel mógł zaplanować zabójstwo – powiedziała.

– Nie docenia pani zapału porządnie wkurzonego bandziora.

– Będę to sobie powtarzać przez weekend.

– Ludzie wiedzieli, że będzie pani podejmować decyzję w sprawie wcześniejszych wykroczeń Dahla. Może ktoś przygotował się na najgorsze. Ja na przykład tak właśnie zrobiłem.

– Gdzie pan więc był między szóstą trzydzieści a siódmą, detektywie Kovac?

– Siedziałem nad głównianą robotą papierkową w sprawie, którą pewnie i tak oddali pani w przyszłym tygodniu.

– Jeśli się pan nie przyłożył, będę do tego zmuszona.

– Twierdzi więc pani, że Stan Dempsey się nie przyłożył? Że nie zapiął sprawy Haasów na ostatni guzik?

– Twierdzą tylko, że moja praca jest znacznie bardziej skomplikowana, niż pan myśli. Nie podejmuję danej decyzji, bo ktoś sobie tak zażyczył. Bycie sędzią nie polega na spełnianiu zachcianek policji ani prokuratury. W tej pracy nie mam przywileju bycia stronniczą.

Wrzały w niej emocje, słyszał to w jej głosie. Zeznawał raz w sądzie, gdy ona występowała w roli prokuratora. Była chłodna i opanowana, ale jednocześnie ostra, a pod powierzchnią spokoju wyraźnie czuć było nutkę agresji. Przyjemnie było na nią wtedy patrzeć. Wyglądała wręcz ekscytująco. A to, że była atrakcyjną babką, wcale a wcale w tym nie przeszkadzało.

Wiedziała, jak wykorzystać atut swej urody w dyskretny sposób i z klasą. Niejeden powołany na świadka facet wpadał w tę pułapkę i wychodził z niej kompletnie pokonany, nie zdając sobie nawet sprawy, jak do tego doszło.

– Myśli pan, że nie jestem oburzona morderstwem Marlene Haas i jej dzieci? – zapytała. – Że w snach nie wracają do mnie obrazy z miejsca zbrodni? Te dzieci wiszące pod sufitem jak połamane lalki... Myśli pan, że nie chcę, by ich oprawca został ukarany – i to surowiej, niż pozwalają przepisy tego stanu?

W jej głosie słyhać było teraz łzy. Była wypalona. Jej zdolność do powstrzymania wzbierających emocji została dziś mocno nadwreżona.

Kovac zdecydował się wystawić ją na jeszcze cięższą próbę.

– Czemu więc nie ma pani odwagi, by coś zrobić w tym kierunku?

– Miałabym podjąć decyzję przychylną oskarżeniu tylko po to, by została natychmiast uchylona w odwołaniu?

– Ktoś musi w końcu wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Tak. I biorę ją ja. Za to, by oskarżenie stało na własnych nogach, a nie opierało się na czyjejś uprzejmości i potem było narażone na ataki.

– Pozwala więc pani obrońcom stawiać na swoim, a tym popaprańcom, gwałcicielom i mordercom przyznaje pani większe przywileje niż ofiarom, których życie zrujnowali? – pytał Kovac z rosnącym gniewem.

– Robię to, co do mnie należy – warknęła Moore. – Chcę zwymiotować.

– Mi też się robi niedobrze, jak to słyszę.

– Nie. Ja naprawdę będę wymiotować. Teraz.

Kovac obejrzał się na nią. Pochyliła się do przodu i bardzo szybko oddychała.

– O cholera!

Raptownie skręcił w stronę krawężnika i nieco zbyt mocno nacisnął pedał hamulca. Carey Moore otworzyła drzwi, obróciła się i wypadła z samochodu na chodnik, targana konwulsjami.

„Chryste” – pomyślał Kovac, wciskając hamulec i wysiadając z samochodu. Tylko tego mu było trzeba: być odpowiedzialnym za narażenie sędziny na dalsze szkody. Wpiszą mu to w papiery tuż pod niesubordynacją.

Carey Moore klęczała podparta rękami, w połowie na chodniku, w połowie na kratce ściekowej, i dyszała ciężko. Kovac ukląkł przy niej, niepewny, czy może jej dotknąć.

– Wszystko w porządku? – zapytał z głupia frant.

Gdyby miała na tyle siły, z pewnością uknęłaby mu łeb za takie głupie gadanie. Teraz potrafiła jedynie zwinąć się w kłębek, drżąc i chyba płacząc. Zaczął żałować, że nie został, by walczyć z dziennikarzami, i nie pozwolił Lisce odwieźć jej do domu. On słabo radził sobie z kobietami, nawet kiedy nie płakały.

Niezdarnie wygrzebał z kieszeni chustkę i podał ją sędzinie. Drugą dłoń położył na jej ramieniu.

– Jest czysta – powiedział. – Pomogę pani.

Zamachnęła się na niego ślepo.

– Niech mnie pan zostawi!

Parę razy niepewnie wciągnęła powietrze, odepchnęła się rękami i usiadła na piętach.

– Proszę odwieźć mnie do domu i w końcu, do cholery, zostawić mnie samą.

Kawałek dalej przy salonie tatuażu stały dwie prostytutki i paląc Bóg wie co, przyglądały się zajściu. Ta wyższa w czerwonej sukience zrobiła kilka kroków w ich stronę.

– Kochana, mam wezwać policję?

Kovac rzucił jej wściekłe spojrzenie.

– Ja jestem z policji.

– Nie ciebie pytam. – Podeszła jeszcze bliżej. Była wysoka jak gracz NBA i miała

grdykę wielkości piłki tenisowej. Transwestyta. – Pytam panią.

Carey Moore uniosła dłoń.

– Nic mi nie jest. Dziękuję. A on jest w porządku. Odwozi mnie do domu.

– Złotko, wyglądasz, jakby gość obił cię kijem golfowym.

– Została napadnięta – wyjaśnił Kovac.

Transwestyta parsknął z niedowierzaniem. Kovac wyciągnął odznakę i podstawił mu pod nos.

– Chcesz pojechać z nami? Mogę cię podrzucić do Booking.

– Za co? Za wstawienie się za słabszym?

– Za wkurzanie mnie.

– Kovac, zamknij się – warknęła Moore. – Chcę do domu.

Transwestyta wrócił pod salon tatuażu, a Kovac pomógł Carey Moore stanąć na nogach. Chwiejąc się jak młody jelonek, spróbowała złapać równowagę, przytrzymując się dachu samochodu, ale kolana odmówiły jej posłuszeństwa i niemal znów nie upadła.

Kovac złapał ją i przytrzymał.

– Powoli. Powinna była pani zostać w szpitalu. Zawiozę panią z powrotem.

– Zabierze mnie pan do domu – powiedziała z uporem. – Mogę chyba wymiotować bez nadzoru lekarza.

– Kręci się pani w głowie.

– Mam wstrząs mózgu. To chyba nic dziwnego.

Kovac pomógł jej wsiąść do samochodu, a potem kucnął i przyjrzał się jej w świetle latarni i neonu lombardu, który znajdował się za jego plecami. Wyglądała jak statysta z *Nocy żywych trupów*, ale w jej oczach wciąż palił się żar determinacji.

– Twarda z pani sztuka, muszę przyznać. Ale to nie zawsze popłaca.

– Proszę w końcu zawieźć mnie do domu – powiedziała. – A potem może pan wrócić do swojej dziewczyny w czerwonej kiece.

Kovac rozpoznał ten blask z odległości dwóch przecznic, gdy byli jeszcze daleko od celu. Jaskrawe, białe światło, jakiego używali dziennikarze telewizyjni, by wywołać wrażenie, że promienie słoneczne nadal padają na ziemię.

– Niech to szlag – zaklął, gdy w polu ich widzenia znalazły się wozy transmisyjne. Teraz nie miało już znaczenia, czy napastnik znalazł adres Carey Moore w jej torebce bądź aktówce. Dostawał go właśnie teraz, siedząc w gaciach przed telewizorem, oglądając

pieprzone wiadomości.

– Wykiwali nas – powiedział.

Spojrzał na Moore. Była pewnie tak samo zaskoczona jak wtedy, gdy tam, na parkingu, poczuła pierwsze uderzenie.

– Wygląda na to, że wydał panią któryś z sąsiadów – powiedział tylko po to, by podtrzymać rozmowę. Tak naprawdę nietrudno było kogoś znaleźć. Sprawa Dahla stała się na tyle głośna, że przyciągała uwagę całego kraju, więc dziennikarze mogli namierzać Moore od dnia, w którym przydzielono ją do prowadzenia procesu. Każdy mógł ujawnić miejsce jej zamieszkania.

Dwa radiowozy stały w poprzek ulicy, a mundurowi starali się utrzymać dziennikarzy w jako takim porządku, co miało takie szanse powodzenia, jak próba spędzania kotów w układne stadko.

– O dobry Boże. To przecież mój dom – powiedziała Moore.

– W tym biznesie wszystko jest dozwolone – odparł Kovac. – Dziennikarze wleźliby do tyłka diabła, gdyby w ten sposób mogli zdobyć przewagę nad konkurencją.

– Nie chcę, żeby tu byli.

– Cóż, powodzenia. Czy jest jakiś inny wjazd? Może od tyłu?

– Nie.

– Proszę się więc schylić, zanim panią zauważą – powiedział Kovac i skręcił na podjazd prowadzący do domu, jednocześnie opuszczając szybę.

– Hej! – krzyknął do dziennikarki i kamerzysty, którzy zasadzili się w najlepszym miejscu, na samym środku drogi, mając przed sobą wspaniały widok na dom sędziny. – Spieprzajcie stąd, ale już! To jest, kurwa, teren prywatny!

Zwrócił się do Moore i odezwał się ściszym głosem.

– Mam nadzieję, że to poszło na żywo. Ich producenci wpadają w szal, gdy na antenie pojawia się przekleństwo.

Kovac zrobił minę złego gliny, wysiadł z samochodu i podszedł do ekipy telewizyjnej, machając odznaką.

– Pakujcie zabawki i zjeżdżajcie na ulicę, tam, gdzie stoi reszta waszej bandy.

Rozpoznał reporterkę, dziarską blondynę z nadmiarem różu na policzkach. Mindy. Mandy. A może Cindy. Podstawiła mu mikrofon pod nos.

– Panie detektywie. Candy Cross, informacje programu trzeciego. Co może nam pan powiedzieć na temat stanu pani sędziny Carey Moore?

– Nic. Zwijajcie ten kram i wynoście się.

– Czekamy, by porozmawiać z sędziną Moore...

– Jeśli o mnie chodzi, możesz tu czekać na powtórne przyjście Mesjasza, złotko – powiedział Kovac. – Ale nie na terenie prywatnym. Mogę was stąd usunąć siłą i aresztować. Chcesz, by w wiadomościach o dziesiątej twoi koledzy puścili taki materiał?

Tłum dziennikarzy już się do nich zbliżał, na ramionach podskakiwały im ręczne reflektory, kamery mrugały czerwonymi lampkami. Przypominali stado psów w porze karmienia, które szczekają naraz, a przy tym każdy stara się wygryźć pozostałe.

– Ruszcie się, albo stracie sprzęt – powiedział Kovac wracając do samochodu. – Wjeżdżam do tego garażu i nie obchodzi mnie, czy na drodze stoją wasze klamoty.

„To musi być drugi zespół – pomyślał Kovac, rzuciwszy okiem na tłum. – Na wieść o ataku stacje posłały główne ekipy do szpitala. Drugie skończyły tutaj”.

Podniósł rękę, powstrzymując lawinę pytań.

– Nie mam nic do powiedzenia. Porucznik Dawes jutro wyda dla was oświadczenie.

Wysłuchawszy go, wrócili do przekrzykiwania się pytaniami, jakby w ogóle nic nie powiedział. Kovac pokręcił głową i zwrócił się do pary stojących w pobliżu policjantów.

– Wyrzucicie ich poza teren prywatny – polecił im. – Najlepiej niech czekają po drugiej stronie ulicy. Mam tu sędzinę Moore i jeśli na jej twarzy zobaczę choć jeden odblask flesza, to zacznę strzelać. Zrozumiano?

– Oni już nie używają fleszy – powiedział młodszy policjant, jakby to miało coś zmienić.

Kovac wlepił w niego wzrok.

– Masz uszkodzony mózg? – Zwrócił się do starszego oficera: – Czy on ma uszkodzony mózg?

– Możliwe – odparł, wzruszając ramionami.

Kovac pokręcił głową.

– Po prostu ich stąd przegońcie.

– Się robi, panie detektywie.

Gdy Kovac odwrócił się w kierunku samochodu, nie zobaczył za oknem sylwetki Carey Moore i na moment wpadł w panikę. Zaraz jednak zorientował się, że tylko się schyliła i zakryła płaszczem.

– Proszę zostać w takiej pozycji – wyszeptał, siadając za kierownicą. – Za chwilę zejść nam z drogi.

Carey Moore nie odpowiedziała. Kovac zajrzał pod płaszcz, by sprawdzić, czy nie wyczłona ducha. Okazało się, że nie, ale wyglądała tak, jakby mogła to zrobić w każdej



chwili, Jej skóra była szara i pokryta potem. Nie był pewny, czy znów nie zacznie wymiotować.

– Niech się pani trzyma – powiedział Kovac, przyglądając się niechętniej przeprowadzce dziennikarzy. Czekał na ich zniknięcie, przyjrzał się posiadłości Carem Moore.

Był to pięknie oświetlony, imponujący budynek z czerwonej cegły w kolonialnym stylu, którego wejście zdobiły dwie białe kolumny. Kovac obliczył, że jego dom wraz z garażem stanowił może połowę powierzchni siedziby sędziny. Żywopłot był równiutko podcięty, liście zgrabione, a przed czarnymi, lakierowanymi drzwiami stały trzy halloweenowe dynie. Stylowa brama z kutego żelaza gwarantowała, że na teren posiadłości nie dostanie się żaden włóczęga.

To miejsce sprawiało, że chciało się do niego wejść. Emanowało ciepłem. W środku z pewnością każdy czuł się mile widziany. Kovac zaś codziennie wracał do ciemnej klatki, która od dawna wymagała malowania.

Wrzucił bieg, podjechał pod samą bramę i zaparkował samochód pod takim kątem, by drzwi pasażera były jak najmniej widoczne od ulicy. Obszedł wóz naokoło, otworzył drzwi i pomógł Carey Moore wysiąść, jednocześnie podtrzymując płaszcz nasunięty na jej głowę. Obejmując ją ramieniem dla podpory, jednocześnie zasłaniał ją swym ciałem, gdy przechodzili przez bramę i szli do drzwi.

Kiedy stanęli na ganku, sędzina nacisnęła dzwonek i, czekając, zajrzała do wnętrza przez boczne okno.

– Gdzie są pani klucze?

– Nie wiem – wyznała.

– Miała je pani ze sobą przed napadem?

– Tak, w torebce.

– Proszę jutro z samego rana zmienić zamki.

– Dobrze.

– Do tego czasu przed pani domem będzie stał radiowóz – oświadczył. – Czy straciła pani jeszcze coś, o czym mi pani nie powiedziała?

– Nie, nic – odpowiedziała, ale wiedział, że kłamie. Ten, kto ją napadł, znał pewnie jej numery telefonu, nazwisko panieńskie jej matki i miał połowę jej kart kredytowych. Sporządzi listę zaginionych kart i powiadomi banki. Jeśli przestępca użyje którejś z nich, zostawi za sobą elektroniczny ślad.

Drzwi otwarły się, a w nich ukazała się śliczna, dwudziestoparoletnia blondynka i

wpatrywała się w Carey Moore z przerażeniem. Powiedziała coś po norwesku bądź szwedzku, czy w jakimś innym języku jednego z tych skandynawskich krajów, gdzie wszyscy ludzie wyglądają, jakby zostali komputerowo zaprojektowani na modelowych przedstawicieli rasy panów.

– O mój Boże! Pani Moore!

– Wygląda to gorzej, niż jest naprawdę – powiedziała Carey cicho. – Proszę, nie rób z tego wielkiej sprawy, Anka. Czy Lucy już śpi?

– Tak. Zasnęła przed chwilą – odparła niania.

Kovac pomógł Carey Moore zdjąć płaszcz, a opiekunka go od niego wzięła, jednak ani na chwilę nie spuściła z niej zmartwionego spojrzenia.

– Ale Lucy się o panią martwi. Nie chciała się położyć. I prosiła, żebym zostawiła włączoną lampkę nocną.

Carey Moore osunęła się na stare, rzeźbione, drewniane krzesło i na chwilę zamknęła oczy. Kovac przedstawił się opiekunce, Ance Jorgenson.

– Czy była tu pani przez cały wieczór? – zapytał.

– Tak.

– Czy odbierała pani jakieś dziwne telefony?

– Nie. Ale była jedna pomyłka – powiedziała Anka po zastanowieniu. – Jakaś godzinę temu.

– O kogo pytał rozmówca?

– O Marlene. Powiedziałam mu, że nikt taki tu nie mieszka.

Słyszając to, Carey Moore otworzyła oczy i spojrzała na Kovaca. Gdyby mogła stać się jeszcze bledsza, z pewnością by to zrobiła.

„Marlene, tak jak Marlene Haas?” – myślał Kovac. Kobieta, którą Karl Dahl rozciął na pół od szyi aż po krocze, a w ranie ułożył stokrotki, jakby była eksponatem na wystawie prac surrealistów? Carey Moore zapewne zastanawiała się nad tym samym.

– Czy dzwoniący był mężczyzną? – zapytał Kovac.

– Tak. I był bardzo uprzejmy – powiedziała opiekunka tak, jakby to oznaczało, że nie mógł być złym człowiekiem. – Przeprosił za pomyłkę.

– Czy ktoś pukał do drzwi?

– Nie.

– Czy słyszała pani jakieś głosy na zewnątrz?

Oczy opiekunki napełniły się łzami. Przenosiła wystraszony wzrok z Kovaca na Moore i z powrotem.

– Czy myśli pani, że człowiek, który panią skrzywdził, tutaj przyjdzie? Kim jest Marlene?

– Staramy się tylko zachować ostrożność – powiedział Kovac. – Proszę nie otwierać drzwi nikomu, kogo pani nie zna. Może sobie mówić, że jego matka wykrwawia się na ulicy.

– Pan sprawia, że się boję – powiedziała Anka niemal z wyrzutem.

Kovac kiwnął głową.

– To dobrze. Czy ten telefon zapamiętuje numer dzwoniącego?

– Tak – odpowiedziała Anka. Przyniosła słuchawkę bezprzewodowego aparatu z korytarza, wyszukała listę odebranych połączeń i podała aparat Kovacowi.

– Czy może pani zapisać mi ten numer? Ja pomogę pani Moore wejść na górę.

– Sama dam sobie radę – powiedziała, chwytając się stołu jako podpory i stając na nogi.

Kovac objął ją i poprowadził w kierunku schodów.

– Niech pani nie będzie taka cholernie upierdliwa. Pomagam pani i kropka. Jeśli pani upadnie i złamie sobie kark w mojej obecności, to ja będę miał problemy.

Najłatwiej byłoby ją podnieść i zarzucić sobie na ramię jak worek ziemniaków, ale nie chciał później tłumaczyć się przed szefem, jeśli Moore wniosłaby na niego skargę, a pewnie by to zrobiła.

– I niech pani nawet nie myśli o użyciu słów „zbieg okoliczności” – ostrzegł ją, gdy powoli wchodzili po schodach. – Marlene nie jest popularnym imieniem, a nawet jeśli był to przypadek, że ktoś zadzwonił do pani przez pomyłkę i zapytał o osobę o takim samym imieniu, jakie nosiła ofiara w sprawie, której pani przewodniczy, jest on raczej niewyobrażalny.

Nic nie powiedziała, ale zatrzymała się w łazience u szczytu schodów, upadła na kolana i ponownie zwymiotowała.

Kovac podał jej zwilżony ręcznik. Przyjęła go bez słowa i przez dłuższą chwilę siedziała na podłodze, kryjąc w nim twarz.

– Czy mam rację, zakładając, że pani numer telefonu nie widnieje w żadnej książce telefonicznej?

– Oczywiście.

– Będziemy musieli założyć podsłuch na pani aparacie. Dostanie pani, więcej takich telefonów.

– Czemu tak pan uważa?

– Ponieważ ten telefon zadzwonił już po napadzie. Jeśli telefonował ten sam czubek, to

chodzi mu o coś więcej niż o pani portfel.

Nie spojrzała na niego. Patrzyła w pustkę z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Powinna się pani położyć – powiedział Kovac, nachylając się, by pomóc jej wstać.

Przyjęła jego pomoc, nie zwróciwszy na niego najmniejszej uwagi. W drodze do pokoju zatrzymała się przy drzwiach córki, przyozdobionych bajecznym malunkiem wróżki, która czubkiem różdżki dotykała tabliczki z napisem: „Pokój księżniczki Lucy”. Opierając się o framugę, ostrożnie przekreśliła gałkę i zajrzała do środka. Kovac rzucił okiem nad jej ramieniem.

Księżniczka Lucy spała snem istoty niewinnej w łóżeczku z bładoróżową pościelą i zbieraniną białych kap, kołderek i narzut. Śliczny dzieciak. Miała cztery, może pięć lat, szopę falujących, ciemnych włosów i usteczka jak pączek róży. Na stoliku naprzeciw łóżka stała nocna lampka z kloszem lawendowego koloru, która wypełniała pokój ciepłym, łagodnym światłem.

Carey Moore przyglądała się swemu śpiącemu dziecku, oparłszy głowę o drzwi i jedną ręką zakrywszy usta. Kovac wiedział, że właśnie zdała sobie sprawę, iż decyzja, jaką dziś podjęła, miała konsekwencje wykraczające daleko poza jej biuro, jej pracę i ją samą. Ktoś, kto dziś zadzwonił do tego domu, sięgnął głęboko w jej prywatny świat, do miejsca, w którym powinna się czuć tak bezpiecznie jak nigdzie indziej, i gdzie bezpieczna powinna być jej córka.

Ludzie nigdy nie zdawali sobie sprawy, jaką iluzją jest ich poczucie bezpieczeństwa. System alarmowy znika po przecięciu jednego drutu. Strzeżony budynek z ochroniarzem przy drzwiach ma garaż, którego brama pozostaje otwarta na tyle długo, by obcy człowiek mógł wejść za którymś z mieszkańców. Ogrodzenie zawsze można przeskoczyć. Każdy wysłany e-mail może zostać odtworzony kilkoma kliknięciami myszki. Wystarczy spojrzenie jednej pary niepowołanych oczu na numer ubezpieczenia na jakimś formularzu i czyjaś tożsamość staje się dobrem na sprzedaż. Albo jeden telefon, by azyl stał się klatką.

Kovac zamknął drzwi.

– Odstawmy panią do łóżka zanim straci pani przytomność – powiedział cicho.

Główna sypialnia państwa Moore wyglądała jak luksusowy pokój w pięciogwiazdkowym hotelu. Nie żeby Kovac kiedykolwiek w takim był. Miejsca, w których się zatrzymywał, na ogół miały jednorazowe kubki, jedną działającą lampę i podejrzone plamy na ohydny, poliestrowym prześcieradle. Czasami jednak oglądał programy podróżnicze.

Pokój był ozdobiony ciężkimi, drogimi materiałami w ciepłych barwach złota i

czerwieni, na podłodze leżał gruby, miękki dywan, wszędzie stały antyki i podświetlone dyskretnym światłem dzieła sztuki. Na szafce po stronie łóżka zauważył kilka pamiątek – zdjęcie rumianego niemowlaka w srebrnej ramce, ozdobne pudełko z nadmorskim wieczkiem pokrytym egzotycznymi muszlami i perłami oraz czarnobiałą fotografię, na której uwieczniona była Carey w stroju absolwentki i przystojny, wysoki, dobrze ubrany mężczyzna o siwych włosach. Jej ojciec, sędzia Alec Greer. Żadne z nich nie mogło być bardziej dumne, gdy tak stali, patrząc na siebie z radością.

Kovac położył obok zdjęcia swoją wizytówkę.

– Na pewno pani nie chce, żebym poszukał pani męża? – zapytał Kovac, podczas gdy sędzina Moore sadowiła się wśród ozdobnych poduszek piętrzących się na łóżku.

Nigdzie nie zauważył jej zdjęć z małżonkiem. Na żadnej z nocnych szafek. Może jakaś stała na biblioteczce po drugiej stronie pokoju, ale wtedy nie można by jej dostrzec z łóżka.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedziała cicho.

Kovac wzruszył ramionami.

– Jak pani chce. Ale wiem, że jeśli byłaby pani moją żoną, a ja wiedziałbym, że ktoś panią napadł, to, do cholery, byłbym przy pani, choćbym jadł kolację z samym prezydentem.

– W takim razie pewnego dnia ogromnie uszczęśliwi pan jakąś kobietę, zostając jej mężem – wyszeptowała, zamykając oczy i odcinając się od niego oraz jego opinii.

– Cóż, jak dotąd mi się to nie udało – wymamrotał do siebie Kovac, opuszczając pokój.

Dwa razy był już żonaty i dwa razy mu nie wyszło. Pomimo to był pewien, że w takiej chwili byłby przy swojej partnerce. Pragnąłby ulżyć jej w cierpieniu. Chciałby uchronić ją przed strachem. Takie są przecież obowiązki męża – chronić i wspierać. Najwidoczniej mąż Carey Moore tego nie wiedział.

Opiekunka stała na schodach, wyłamując palce, i wyraźnie nie wiedząc, co ze sobą począć.

– Czy pan Moore w ogóle dzwonił dzisiaj wieczorem? – zapytał Kovac.

– Nie, nie dzwonił.

– Czy zwykle tak się zachowuje? Wychodzi i nikomu się nie opowiada? Nie dzwoni nawet, żeby powiedzieć córce dobranoc?

– Pan Moore jest bardzo zajęтым człowiekiem – powiedziała niechętnym tonem, spoglądając jedynie na jego ramię.

– Jak często nie ma go wieczorami?

– Nie wiem.

– Przecież pani tu mieszka, prawda?

– To nie moja sprawa.

– Cóż, ale to jest moja sprawa – powiedział Kovac. – Często go nie ma?

– Kilka wieczorów w tygodniu. On jest...

– Tak, wiem. Bardzo zajęтым człowiekiem.

Podał dziewczynie wizytówkę.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdy pan Moore wróci do domu. Bez względu na to, o jakiej to będzie porze.

Skrzywiła się, patrząc na wizytówkę. Kovac nie sądził, by w krajach nordyckich ktokolwiek w ogóle popełniał przestępstwa. Ludzie są tam na to zbyt uprzejmi i nadmiernie przystojni. Dziewczyna pewnie rozważała teraz, czy nie wrócić do Sztokholmu następnym samolotem.

– Proszę nie pozwolić, by pani Moore spała dłużej niż dwie godziny pod rząd – poinstruował ją, gdy zaczęli schodzić ze schodów. – Doznała wstrząsu mózgu. Musi pani koniecznie budzić ją w ciągu nocy i upewniać się, że wie, kim jest i gdzie się znajduje.

Opiekunka wciąż wpatrywała się w jego wizytówkę, gdy stojąc przy drzwiach, odwrócił się i spojrział na nią.

– Proszę powiedzieć, że to ja panią posłałem – zasugerował. – I tak już jest na mnie wkurzona.

## VII

Karl Dahl był obserwatorem. Nigdy nie miał za dużo do powiedzenia. Nigdy nie miał przyjaciół. Ludzie z zasady go nie zauważali. Dawno temu nauczył się wtapiać w tło.

Przez lata różni ludzie nadawali mu to samo przezwisko – Duch. Zawsze był blady, a jego twarz pozbawiona koloru. Otaczała go aura szarości – miał szare oczy, nawet jego skóra miała taki sam odcień.

Gdy był w okresie dojrzewania, różni ludzie mówili, że pewnie zatrzał się oparami ołowiu bądź rtęci. Ale on wiedział, że to nieprawda, bo przecież by umarł, a przynajmniej był poważnie chory.

Był już wcześniej w więzieniu. Kilka razy. To było miejsce, gdzie przyciąganie uwagi nie było wskazane. Zwłaszcza gdy miało się jego upodobania. Kiedy trafił do więzienia po swoim pierwszym brutalnym doświadczeniu, udało mu się uniknąć kłopotów, tak samo było i za drugim razem. Teraz jednak nie mógł już zachować anonimowości.

Tym razem każdy wiedział, kim był i o co go oskarżano. Wszyscy go nienawidzili. Zarówno strażnicy, jak i zatwardziali zbrodniarze nienawidzili go na tyle, by chcieć mu zrobić krzywdę, by go zabić. Inni więźniowie pluli na niego, gdy mieli okazję. Niektórzy wykrzykiwali pogrożki. Było dla niego jasne, że gdyby poza murami więzienia wpadł w ręce tłumu, też nie uszedłby z życiem.

Dzisiejszy dzień był najgorszy ze wszystkich. Sędzia Moore podjęła decyzję w sprawie jego „uprzedniej karalności”, jak nazywali to prawnicy. Wiadomość o tej decyzji przeszła przez więzienie jak pożar. Oskarżyciel nie będzie mógł wspomnieć o niczym, o co oskarżano Karla Dahla lub za co był karany przed morderstwem Haasów. Dla niego ten werdykt był korzystny, ale i tak nie wierzył, że ława przysięgłych mu odpuści. Jeden ze strażników nazwał go Dead Man Walking i Karl przyznawał, że – o ile nie wydostanie się z tego więzienia – słowa strażnika okażą się prorocze, bo on naprawdę będzie martwy.

Miał pojedynczą celę w korytarzu, gdzie pod nadzorem umieszczano potencjalnych samobójców. Wciąż jednak nie czuł się bezpieczny. Więzienie służyło tylko temu, by strzec normalnych ludzi przed siedzącymi w nim bandziorami. Ale nikogo nie obchodziło, czy w środku ktoś żył, czy umierał – zwłaszcza jeśli tym kimś był ktoś taki jak Karl Dahl.

Miał przynajmniej adwokata, który starał się coś dla niego zrobić. Wiedząc, że będzie to prawnik z puli obrońców publicznych, Karl spodziewał się najgorszego – podejrzewał, że dostanie jakiegoś znudzonego i zgorzkniałego nieudacznika, którego sama myśl, że miałby go bronić, napawać będzie takim wstrętem, że od razu przekaże go departamentowi więziennictwa stanu Minnesota.

Kenny Scott był porządnym gościem. Karl podejrzewał, że Scott niemal wierzył w jego niewinność.

Do pokoju przesłuchań wszedł strażnik: ogolony na łyso facet pozbawiony szyi.

– Koniec odwiedzin, Dahl. Idziemy.

Karl podziękował swemu adwokatowi, uścisnął mu dłoń i wstał z krzesła. Scott przyszedł powiedzieć mu o szczegółach decyzji Carey Moore i wytłumaczyć, jakie będą jego dalsze kroki.

– Idziemy – powtórzył strażnik ostrzejszym tonem.

Karl, szurając stopami, wyszedł na korytarz. Wbił wzrok w podłogę, by uniknąć spojrzeń strażnika. Podobnie jak zwierzęta drapieżne, strażnicy traktowali kontakt wzrokowy jako oznakę agresji i reagowali w stosowny sposób.

– Wiesz, że to nie robi żadnej różnicy – odezwał się strażnik. – Miałeś fuksa, że dostała ci się sędzia Moore, ale żadna ława przysięgłych cię nie wypuści.

Karl nic nie powiedział, żeby nie zostać posądzonym o pyskowanie.

– Cholerna szkoda, że nie mamy kary śmierci – ciągnął strażnik. – Cały ten rząd stanowy to banda pieprzonych liberałów. Wyjedź poza Twin Cities i spytaj pierwszej lepszej osoby na ulicy: każdy ci powie, że masz zawisnąć. I to publicznie. Ale najpierw trzeba by cię trochę pomęczyć. Pozwolić Wayne'owi Haasowi spędzić z tobą godzinę w zamkniętym pokoju.

Strażnik wystukał na elektronicznym panelu kod dostępu, który otwierał bramę prowadzącą z powrotem do celi. Rozległo się głośne brzęczenie zamka. Stalowe drzwi otworzyły się ze szczękiem. Strażnik pchnął je i puścił Karla przed sobą. Od razu dopadły go nienawistne spojrzenia więźniów.

– Ej! Ty! Pierdolony świrze! – krzyknął jeden z nich.

– Wsadź go tu do nas, Byku! Zabawimy się z tym kawałkiem gówna! – zawołał drugi, wielki, wkurzony, czarny facet z pasemkami warkoczyków biegnących zygzakami po czaszce. Z podwiniętych rękawów więziennego kombinezonu wystawały ramiona pokryte tatuażami jednego z miejskich gangów.

Kolejny więzień szedł przed Karlem, również eskortowany do celi przez strażnika.



Kroczył dumnie i wyzywająco, i choć był w kajdanach, wysoko zadzierał głowę. Był wysokim, ciężkim, białym facetem, z wytatuowanym z tyłu głowy węzem. Członek gangu motorowego. Obejrzał się przez ramię i spojrzał na Karla. Na policzku miał czarną swastykę, więzienny tatuaż oznaczający przynależność do organizacji nazistowskiej.

– Ej! Faszystowski złamasie! – zawołał do niego Zygzak. – Wybrałeś się na spacer ze swoją panienką? Taki sam gwałciciel dzieci jak ty, kurwa. Rasa panów, kurwa wasza mać! Idźcie się pierdolić między sobą!

Wąż popatrzył na krzyczącego, ale nie odezwał się ani słowem. Nawet nie zwolnił, tylko przy następnym kroku zrobił wymach ramionami i z półobrotu uderzył idącego za nim strażnika na wysokości szyi z taką siłą, że ten poleciał w tył i wpadł na Byka. Byk zatoczył się i poleciał na kraty. Przez korytarz przetoczył się ryk więźniów. Wszyscy krzyczeli, kibicując walce.

Widząc idącego w swoim kierunku Węża, Karl zamarł na tę jedną, niepotrzebną sekundę i gdy w końcu zdecydował się rzucić w kierunku drzwi, było za późno.

Masywne dłonie Węża znalazły się nagle tuż przed jego twarzą a w chwilę później zacisnęły na jego szyi. Łańcuch łączący kajdanki wpił się mu w skórę tuż nad grdyką. Karl wydał z siebie charczący dźwięk, gdy Wąż oderwał go od ziemi. Oczy przesłoniła mu ciemność. Nie mógł złapać powietrza. Gdy uniósł ręce, by rozluźnić ucisk dławiący gardło, Wąż cisnął nim o kraty celi Zygzaka. Karl uderzył skronią o żelazo raz, drugi, trzeci, aż z prawego oka poleciała mu krew.

Czarny gangster plunął mu w twarz. Do Karla nie docierały już krzyki więźniów, słyszał jedynie narastający w głowie szum. Zdawał się nie mieć żadnej kontroli nad własnymi członkami, kołysał się jak szmaciana lalka w pysku wściekłego psa. Jego ciało było jedynie bezwładną masą zawieszoną na kajdankach oprawcy.

Do resztek jego świadomości dotarło jeszcze czerwone światło alarmowe, mrugające nad drzwiami prowadzącymi do zewnętrznego korytarza.

Drzwi się otwały.

Wąż raz za razem walił jego głową o kraty.

Strażnik zwany Bykiem szedł na niego, wymachując pałką.

Pałka natrafiła na coś – a raczej na kogoś – i w powietrze trysnęła krew.

Karl upadł na podłogę, splątany ze swym napastnikiem, jednak wciąż się dusił.

Jako ostatnia przeszła mu przez głowę myśl, że gdyby był tutaj jego ojciec, to tylko by stał, kiwnąłby głową i powiedział, że dawno temu sam powinien to zrobić.

## VIII

– Myślisz, że ktoś chciał ją zabić?

– Na razie nie mogę tego komentować. Poza tym spekulowanie nie należy do moich obowiązków służbowych.

Kathleen Casey wysunęła język i wydała głośny, mało przyjemny dźwięk.

Liska spojrzała na pielęgniarkę z ukosa, pociągając długi łyk red bulla z puszki. Powoli podniosła prawą rękę i leniwie wysunęła środkowy palec.

Casey zaśmiała się nieznacznie.

Dziennikarze opuścili szpital, gdy tylko rozeszła się wieść, że nie mają szans spotkać, a nawet zobaczyć Carey Moore. Liska i Casey usiadły w dyżurce, pozwalając sobie na chwilę wytchnienia.

– Nie cierpię dziennikarzy prasowych – powiedziała Liska. – Rozmawiać z nimi to tak, jak tłumaczyć czterolatkom, dlaczego niebo jest niebieskie.

– No bo jest – rzuciła Casey.

– Ale dlaczego?

– Bo tak urządził to Pan Bóg.

– Ale dlaczego?

– Żeby móc wyłapać wszystkie dzieci, które pytają „ale dlaczego?“, i posłać je do piekła.

Liska uniosła brwi, udając oburzenie.

– Czy powinnam posłać do twojego domu kogoś z opieki społecznej, Casey?

– Za późno. Zdążyłam już pozbyć się ciał – powiedziała pielęgniarka i zaraz się zreflektowała. – Kiepski żart, biorąc pod uwagę okoliczności.

W oddali słychać było sygnał karetki.

Liska odsunęła puszkę na kraniec stołu i pokręciła głową.

– Wiesz, kiedy zastanawiam się nad tym, co Dahl zrobił tym dzieciom, zawsze myślę o moich synach. Gdy byli w ich wieku, wyglądali tak niewinnie, żyli pełni ufności... I byli tacy bezbronni.

W zasadzie wciąż tacy dla niej byli. Kyle, starszy i poważniejszy z dwójki, miał

prawie trzynaście lat i – jak podkreślał przynajmniej trzy razy w tygodniu – był już nastolatkiem, na co ona odpowiadała, że nastolatek nadal jest dzieckiem.

R.J. wciąż był małym urwisem. Po ojcu odziedziczył uroczą, acz frustrującą aurę wiecznej chłopięcości. Liska szła o zakład, że chłopcem będzie jeszcze jako bezzębny staruszek w domu opieki.

Nikki była wobec nich bezgranicznie opiekuńcza. Gdyby coś miało im się stać...

– Oszalałabym – powiedziała. – Kompletnie postradałabym zmysły.

– Pomyśl o Wayne Haasie – wtrąciła Casey. – Jak on musi się czuć po tym, co zrobiła dziś Moore.

Wayne Haas był prawdopodobnie jednym z pierwszych, którzy dowiedzieli się o decyzji sędziny. Kovac pewnie sam do niego zadzwonił. Dał mu do zrozumienia, że trzyma jego stronę przeciwko Moore, tej cholерnej liberałce. Odegrał przed Haasem rolę dobrego kumpla, a wszystko po to, by uspić jego czujność: a nuż powie coś, co go obciąży.

Liska będzie musiała przesłuchać jego syna, siedemnastoletniego Bobby'ego i zadawać mu pytania typu: „Gdzie byłeś między szóstą trzydzieści a siódmą?”, jakby jeszcze za mało wycierpiał.

Teraz na dodatek policja przesłucha ich jako potencjalnych podejrzanych. Będą wściekli i urażeni. I kto by im się dziwił?

Ale dla niej i dla Kovaca to nie może mieć znaczenia. Carey Moore była ofiarą napadu, a Wayne Haas i jego syn mieli powód, by chować do niej urazę.

Wycie syren pogotowia stało się głośniejsze.

Liska spojrzała na zegarek. Wkrótce powinien zadzwonić Kovac. Czekwała ich długa, pracowita noc. A ona chciała jedynie pójść do domu i przytulić swoich synów.

– Czy myślisz, że Dahl się z tego wywinie? – zapytała Casey. Wstała już z krzesła, przygotowując się na przyjazd karetki.

– Nie ma takiej możliwości, bez względu na to, czy to będzie sędzia Moore, czy nie. Dahl może uniknąć kary tylko wtedy, jeśli porwą go kosmici.

– Dziś postaliśmy na oddział psychiatryczny jednego takiego, co mógłby mu to załatwić.

Nagły wybuch hałasu tuż za ścianą dyżurki sprawił, że Liska poderwała się z krzesła. Syreny ryczały jak opętane, a przekrzykując je, ktoś darł się na cały głos: „Trzymajcie go, do cholery! Niech ktoś siądzie mu na piersi!”

Casey kiwnęła głową w kierunku drzwi.

– Grają moją piosenkę.

Liska podążyła za pielęgniarką w kierunku gabinetów pogotowia. Wszędzie było pełno ludzi, dokądś pędzili, przekrzykując się nawzajem. Policjanci o czerwonych, spoconych twarzach, lekarze w zielonych uniformach, sanitariusze z ekip ratunkowych pchający nosze od strony wjazdu dla karettek. Liska chwyciła jednego z policjantów za ramię i machnęła mu odznaką przed nosem.

– Co się tu dzieje?

– Bunt w więzieniu.

Jakiś sanitariusz wrzasnął na nich, żeby zeszli z drogi. Liska odskoczyła pod ścianę, robiąc miejsce dla noszy, na których leżał mężczyzna w pomarańczowym, więziennym kombinezonie. Tuż za nim pchano następne nosze. Ich pasażer zalewał korytarz tryskającą z rozerwanej arterii krwią.

Trzecie nosze uginały się pod ciężarem mężczyzny rozmiarów morsa. Był przypięty do oparcia i przygnieciony przez policjanta, który próbował go przytrzymać w miejscu. Obaj mieli twarze pokryte krwią. Więzień wył jak opętany.

Lekarz wzywał ochronę, krzyczał, by mocniej go skrupować, i ordynował poczwórną dawkę valium. Casey podeszła do olbrzyma ze strzykawką w dłoni. Więzień próbował zerwać pasy i szarpał się z policjantem. Nosze skręciły w bok i wpadły na wózek pełen medycznych narzędzi. Policjant stracił równowagę i upadł.

Więzień wydał z siebie potężny ryk i Liska zobaczyła, jak przytrzymujący jego nogę pas pęka niczym sznurówka i stopa w bucie wielkości jej przedramienia opada na podłogę.

Z kieszeni bluzy wyrwała składaną pałkę i rozłożyła ją jednym ruchem nadgarstka. Zanim zdążyła zdecydować, czy ma natrzeć, czy trzymać się z boku, więzień przewrócił się, odrywając od noszy zagłówek, do którego wciąż był przypięty, i całym ciężarem runął na leżącego policjanta.

– Złapcie go za ramię! – krzyczała Casey, próbując zbliżyć się ze strzykawką.

Kolejny funkcjonariusz rzucił się na więźnia, jednak ten zdołał się podnieść i próbował wydostać się z wciąż ograniczających go pasów. Jedną rękę miał już wolną. Zamachnął się i pięścią wielkości młota trafił policjanta w twarz, a ten upadł, tryskając krwią z rozbitego nosa.

Liska nie mogła podejść bliżej. Facet miotał się z wciąż przypiętym do pleców zagłówekiem, jak targane furia monstrum Frankensteina. Funkcjonariusz stojący między nim a drzwiami wyciągnął broń.

Poczekalnia pogotowia była pełna pracowników, pacjentów i czekających na nich ludzi, siedzących na krzesłach pod ścianą. Krzyczeli, zawodzili, jakieś małe dziecko darło się wniebogłose. Jeśli policjant strzeli...

Schylając się poniżej poziomu wzroku szalejącego więźnia, Liska rzuciła się w jego kierunku i walnęła go pałką. Poczowała satysfakcjonujące szarpnięcie ramienia – pałka trafiła na opór materii. Liska upadła na podłogę i przeturlała się w bok. Więzień runął na jedno kolano, wyjąc. Jeden z policjantów chwycił go od tyłu i powalił na podłogę.

Dopał do nich funkcjonariusz z bronią i przytknął więźniowi lufę do czoła. Wszyscy policjanci krzyczeli to samo naraz: „Na ziemię, kurwa! Nie ruszaj się!”

Kathleen Casey włączyła się do akcji, gdy tylko jeden z mundurowych przygwoździł ramię więźnia do ziemi. Liska syknęła, patrząc, jak igła zagłębia się w nabrzmiąłą, pulsującą żyłę.

Więzień darł się i wył.

– Moja noga! Jezu! Niech to szlag! Jest złamana! Złaźcie ze mnie! Ałaaa!

Casey zrobiła krok w tył, wciąż trzymając strzykawkę w podniesionej ręce. Liska wstała z ziemi, otrzepała się i poprawiła bluzę.

– Faceci to straszne cieniasy – powiedział pielęgniarz z pogardliwym prychnięciem.

– Właśnie – zgodziła się Liska. – Mężczyźni są do kitu. Małe babki górą!

Złożyła pałkę i schowała do kieszeni. Policjanci przewrócili leżącego potwora na plecy. Uspokajał się w miarę, jak valium rozchodziło się po jego ciele.

Pracownik pogotowia kucnął przy nim i rozciął zakrwawioną nogawkę. Ich oczom ukazała się wystająca spod skóry pokruszona kość goleniowa.

– Cholera – mruknęła Liska, opuszczając ręce. – Kupa papierkowej roboty.

Casey potrząsnęła głową.

– Sama nie wiesz, jaka jesteś silna, koleżanko.

– Gdzie jest Dahl?

Liska gwałtownie szarpnęła głową i spojrzała na policjanta, który zadał pytanie i od razu ruszył w kierunku noszy pozostawionych w głębi korytarza.

– Dahl? – zapytała, biegnąc za nim. Jej serce zabiło szybciej.

Inny policjant przebiegł obok niej z wyciągniętą bronią. Za jej plecami ktoś przez radio wzywał posiłki.

– Dahl? – spytała ponownie, z rosnącym niepokojem. – Karl Dahl?

Policjant, który dobiegł do noszy, zaklął. Były puste. Zostało na nich tylko zmięte prześcieradło, poplamione krwią w miejscu, gdzie leżący trzymał głowę.

– Kurwa mać! Nie ma go! Uciekł!

## IX

Od czasu morderstw nikt nie chciał podchodzić blisko domu Haasów, położonego na północy Minneapolis. W ciągu dnia dzieci powoli przejeżdżały obok niego na rowerach, zafascynowane myślą o czymś tak złym jak morderstwo. Podpuszczały się nawzajem, kto spróbuje podejść do okna i zajrzeć do środka – zwłaszcza przez okno piwniczne. Od czasu do czasu jakiś śmielszy dzieciak odważył się podjąć wyzwanie, jednak większość uciekała z piskiem.

Nikt nie chciał zbliżyć się do domu Haasów i tylko dlatego Wayne Haas z synem wciąż w nim mieszkali. Tablica z napisem: „Na sprzedaż” stała na podwórku od ponad roku, ale nie było chętnych do zakupu. Ci, którzy przychodzili obejrzeć dom, kierowali się tą samą niezdrową ciekawością, jaka kazała dzieciakom na rowerach zatrzymywać się i zaglądać w okna.

Nikt nie chciał kupić domu, w którym kobieta i dwójka dzieci zostały poddane torturom i zabite, a ich ciała zbezczeszczone w niewyobrażalny sposób.

Jeśli był na świecie jakiś nawiedzony dom, to powinien nim być właśnie ten. Zło, jakie zjawiało się w nim owego dnia, na pewno wsiąkło w ściany, podłogi, sufity i fundamenty, tak samo jak dym z pożaru przenikał dom, a jego zapach potrafił nigdy go nie opuścić.

Wayne Haas nie był człowiekiem zamożnym. Pracował w zakładzie mięsnym, wieształ na hakach tusze bydlęce i ładował towar na ciężarówki. Bez problemu starczało mu na życie, ale nie stać go było na to, by kupić nowy dom, nie sprzedając starego. A nikt go nie chciał.

Kovac i Liska wjechali na podjazd wyłożony spękany betonem, prowadzący do wolno stojącego garażu. Dom był pogrążony w ciemności, tylko w oknie na parterze migotały światła: ktoś oglądał telewizję. Miejsce spowijała dziwna aura pustki i osamotnienia. Ogród przed domem był brzydki, porośnięty chwastami, gdzieniegdzie upstrzony łysymi plamami. Kiedyś stał tu ogromny dąb, ale tornado, które nawiedziło okolicę tego samego feralnego dnia, wyrwało go z korzeniami, pozostawiając trawnik pusty, a dom odsłonięty. Następnego dnia zdjęcie tej sceny znalazło się na pierwszych stronach wszystkich lokalnych gazet.

– Nie mogłabym tu mieszkać – powiedziała Liska. – Nawet nie chcę wchodzić do środka.

– Wolałbym zamieszkać w śmietniku za sklepem rybnym niż tu – dorzucił Kovac.

Na ogół nie wierzył w przesady, ale nawet on miał pewne granice. Życie na miejscu zbrodni daleko poza nie wykraczało.

Po pierwsze, nie umiał przywyknąć do zapachu śmierci, choć obcował z nim od ponad dwudziestu lat. Ten odór był jedyny w swoim rodzaju, nie dało go się z niczym pomylić. Wisiał w miejscu zabójstwa, gęstniał w powietrzu, niemalże się materializował. Choć logika podpowiadała Kovacowi, że zapach zniknie wkrótce po wywiezieniu ciała i wyjściu ekipy sanitarnej, to jednak wierzył, że pamięć o nim pozostanie. Gdy powracał na miejsce zbrodni, zawsze się bał, że ten zapach go odnajdzie, wypełni jego głowę i ściśnie go w żołądku.

Druga żona Kovaca nie pozwalała mu wejść do domu w ubraniu, w którym był na miejscu zbrodni. Nazywała je „trupim wdziankiem”. Musiał zdjąć je w garażu i w samej bieliznie iść przez dom pod prysznic. Potem, zamiast oddać ubranie do pralni albo wyrzucić do kubła, jego żona zawoziła je do sklepu z odzieżą używaną. Jakby biedacy w Minneapolis nie mieli dość zmartwień i musieli na dodatek cuchnąć zwłokami.

Gdy w ten sposób zniknęły trzy jego garnitury, Kovac zmądrzał, zaczął trzymać na posterunku ubranie na zmianę i zaprzyjaźnił się z facetem z pralni.

Liska westchnęła.

– Zróbmy to w końcu i jedźmy do domu. Będę mogła całą noc przeleżeć w łóżku, nie zmrużywszy oka z powodów wyrzutów sumienia, że męczyliśmy tych biedaków.

Wayne Haas wyszedł przed dom i sprawiał wrażenie, jakby chciał komuś przywalić. Był wychudzonym mężczyzną z dużymi dłońmi i ramionami szerokimi od noszenia tuszy i kawałów mięsa. Stres i smutek pokryły jego twarz tak głębokimi bruzdami, że wyglądała jak wyrzeźbiona w drewnie.

– Co wy do cholery wyprawiacie? – zażądał wyjaśnień Haas, zerknąwszy na odznakę, którą wyjęła Liska. – Na wszystkich kanałach telewizyjnych o tym mówią. Ten skurwiel biega na wolności! Jak, do cholery, mogliście do tego dopuścić!?

– Wiem, jak musi pan się czuć – zaczął Kovac.

– Gównu pan wie! To nie pan musiał wejść do tego domu i odkryć, że połowa pańskiej rodziny nie żyje! A teraz skurwysyn jest nie wiadomo gdzie, gotowy nadal zabijać...

– Każdy gliniarz w mieście go szuka – zapewniał Kovac.

– I to ma niby sprawić, że lepiej się poczuję? Przecież to wy daliście mu uciec!

Kovac nie chciał zagłębiać się w wyjaśnienia, że to biuro szeryfa pozwoliło uciec Dahlowi, a nie departament policji. Dla Wayne'a Haasa nie miało to różnicy. Liczył się efekt końcowy.

– Ma pan rację – powiedział zamiast tego Kovac. – Też jestem wkurzony. To porażka stulecia. Proszę mi wierzyć, ja i moja partnerka nie chcieliśmy przyjeżdżać do pana i oznajmiać, że Karl Dahl uciekł. Nie chcieliśmy też przyjeżdżać i rozmawiać o decyzji sędziny Moore w sprawie materiału dowodowego.

Haas pokręcił głową i odsunął się trochę od drzwi. Kovac wykorzystał okazję i wszedł do środka. Liska, która rozmiarami przypominała kota, prześlizgnęła się obok niego i szybko rozejrzała po wnętrzu.

– Co jest nie tak z tą kobietą? – zapytał Haas. – Jak mogła powiedzieć, że to, co Dahl zrobił w przeszłości, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego? To przecież jasno dowodzi, jakim pieprzonym świrem jest ten człowiek. Ławnicy mają prawo o tym wiedzieć.

– Wiem – powiedział Kovac. – Jestem po pańskiej stronie. Facet nie obudził się ot tak pewnego dnia i postanowił kogoś zabić. Tacy jak on dochodzą do tego przez lata.

– To jakiś cholerny koszmar – powiedział Haas bardziej do siebie niż do nich.

– Możemy przysłać radiowóz, żeby stał przed pana domem, jeśli boi się pan, że Dahl tu wróci – zaproponowała Liska.

Haas skierował wzrok na telewizor, w którym reporter mówił coś na żywo sprzed pogotowia ratunkowego. Pomarańczowe, niebieskie i czerwone światła karetek i wozów policyjnych zalewały ekran kolorowymi błyskami, nadając mu niemal karnawałowy wystrój. Ale Kovac nie sądził, by cokolwiek z tego docierało do Haasa. Był gdzie indziej, w bardziej mrocznym miejscu.

– Nie chcę od was nic – odparł w końcu.

– Panie Haas – powiedziała Liska. – Czy pański syn jest w domu?

– Poszedł do szkoły grać w koszykówkę. Czemu pani pyta?

Kovac skrzywił się i wyglądał na zakłopotanego.

– To okropne. I proszę mi wierzyć, zdajemy sobie z tego sprawę. Gdyby to ode mnie zależało, wcale bym nie zadawał takich pytań, ale musimy spełniać polecenia przełożonych.

Haas popatrzył na niego podejrzliwie, ale nic nie powiedział i czekał, co będzie dalej.

– Jestem pewien, że słyszał pan o tym, iż sędzia Moore została napadnięta na parkingu przy budynku Rady dziś wieczorem – powiedziała Liska. – Musimy zapytać pana i pana syna, gdzie o tej porze byliście.

– Wynoście się z mojego domu – powiedział cicho Haas. Widać było, jak narasta w nim złość.

– To rutyna, panie Haas – tłumaczył Kovac. – Nikt naprawdę nie myśli, że mieliście z tym cokolwiek do czynienia. Musimy to tylko mieć na papierze.



– Wynoście się stąd! – powtórzył Haas, tym razem głośniejszym głosem. Jego szyja zrobiła się czerwona. Kovac widział, jak pulsuje mu na niej żyła. – Wynoście się z mojego domu i niech was szlag!

Podszedł do drzwi i takim z impetem otworzył je na oścież, że aż uderzyły w ścianę i w oknach zabrzęczały szyby.

Na ganku stał Bobby Haas, wyglądał na zaniepokojonego i patrzył na nich szeroko otwartymi, brązowymi oczami.

– Tato...? Tato, co się dzieje? I kim wy jesteście?

– Jesteśmy z policji – odpowiedziała Liska, ale chłopak wciąż patrzył tylko na swojego ojca, który podniósł rękę do czoła i zacisnął zęby.

– Tato!

– Panie Haas? – Kovac znalazł się przy nim w tej samej chwili co chłopiec. Haas schylił się, wyraźnie cierpiąc.

– Musimy go posadzić – zarządził Kovac. On i chłopak chwycili Wayne'a Haasa z obu stron i pomogli mu pokonać kilka kroków, jakie dzieliło ich od zielonego, zniszczonego fotela.

Kovac spojrział na Liskę.

– Wezwij karetkę!

Gdy Liska sięgnęła do kieszeni po telefon, Haas zamachał ręką w geście protestu.

– Nie, nie trzeba. Nic mi nie jest.

– Nie wygląda pan najlepiej – nalegał Kovac.

Bobby Haas kucnął przy ojcu.

– To ciśnienie. Skacze mu, gdy się zdenerwuje. Za parę minut poczuje się lepiej. Prawda, tato? Wszystko będzie dobrze.

Haas kilka razy głęboko wciągnął powietrze i niepewnie kiwnął głową, wciąż patrząc w podłogę. Był teraz blady, a jego skórę pokrywały krople potu.

Kovac spojrział na chłopaka.

– Może przyniesiesz tacie szklankę wody?

Ruszył do korytarza, a Liska wyszła wraz z nim.

Kovac ukląkł na kolanie, by lepiej widzieć twarz mężczyzny.

– Jest pan pewien, że nie chce pan pojechać do szpitala?

– Tak. Zostawcie nas już w spokoju – wyszeptał.

– Przykro mi, że tak pana zdenerwowaliśmy – powiedział Kovac. – Czasem ta robota jest do bani, na przykład dzisiaj. Ale musimy zadawać takie pytania. Jeśli nie dopniemy

wszystkiego na ostatni guzik, sprawa nam się posypie, a – jak pan widział – system nie sprzyja takim jak pan czy ja.

– Chciałbym tylko, żeby to było już za nami – powiedział Haas. – I żałuję, że tamtego dnia sam nie zginąłem.

– Ma pan syna. On pana potrzebuje.

Haas tylko zwiesił głowę.

Bobby i Liska wrócili i chłopiec podał ojcu szklanek wody. Liska rzuciła Kovacowi znaczące spojrzenie i kiwnęła w stronę drzwi. Wyszli na werandę.

– Chłopak sam zada ojcu pytanie i wyjdzie tu przekazać nam odpowiedź – powiedziała Liska. – Doszłam do wniosku, że tak będzie lepiej, niż gdybyśmy mieli doprowadzić gościa do zawału.

– Co miał chłopak na swoje usprawiedliwienie?

– Po lekcjach szwendał się z kumplem, potem wrócili do szkoły na kosza. Martwi się o tatę, mówi, że jest w kiepskim stanie. Wszystkie te wydarzenia odcisnęły na nim piętno.

– Biedak – wymamrotał Kovac, wkładając rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Bingo! Wyciągnął papierosa i pogłodził go palcami, jakby to był amulet na szczęście. – A co z chłopakiem? Jak on się trzyma?

– Jest roztrzęsiony. Może z powodu ojca. Może przestraszył się nas. Ma siedemnaście lat i penisa, a to kwalifikuje go do robienia najgorszych głupot.

Kovac spojrzał na nią z irytacją.

– Nie wyzywaj się na mnie za swoje popaprane życie miłosne. Nikt ci się nie kazał umawiać z prawnikiem.

– To tylko pokazuje, jak bardzo jestem zdesperowana – mruknęła. – Wyskrobuje resztki z dna beczki.

– Gdzie tam... Jeszcze nie byłaś na randce ze mną.

– A może powinnam. Jesteś jedynym facetem, który odpowiada na moje telefony. – Rzuciła okiem na jego dłoń. – Czy ty przypadkiem nie rzuciłeś palenia jakieś trzy godziny temu?

– To już trzy dni! – powiedział Kovac z oburzeniem. – I przecież nie palę.

Liska wykręciła głowę i zajrzała przez okno do domu, chcąc sprawdzić, co się dzieje między panami Haas. Wayne wciąż siedział w fotelu. Jedną ręką zakrył oczy, drugą położył na ramieniu syna. Bobby poklepywał ojca po kolanie, tym bardzo dojrzałym gestem dodając mu otuchy.

– Biorąc wszystko pod uwagę, chłopak nieźle sobie radzi – powiedziała. – Co

świadczy o tym, że musi być jakiś dziwny.

– A kto na tym świecie jest normalny?

– Mów o sobie. Ja jestem wzorem zdrowia psychicznego.”

– No tak – powiedział Kovac, zerkając na papierosa. – Ja jestem nieźle pokrecony i wcale się tego nie wstydzę. Ciężko pracowałem, by osiągnąć ten poziom wariactwa.

– Wychodzi – szepnęła Liska.

Bobby wyszedł na werandę, ostrożnie przytrzymując stare drzwi, by nie trzasnęły. Był przystojnym chłopakiem, z czupryną miękkich, ciemnych, falujących włosów i szczerymi brązowymi oczami. W ogóle nie przypominał ojca. Podczas gdy twarz Wayne’a Haasa wyglądała jak wyrzeźbiona tęym dłutem w kamieniu, rysy chłopaka były gładkie i delikatne jak u dziewczyny. Miał smukłą budowę kolarza i był wysoki prawie na metr osiemdziesiąt.

To właśnie on odkrył ciała Marlene Haas i dwójki dzieci na kilka minut przed tym, jak Wayne Haas wrócił z pracy. Wedle raportu policjantów, którzy jako pierwsi stawili się na wezwanie w domu Haasów, a także Dempseya i jego partnera, Bobby odmawiał opuszczenia domu i nie zgadzał się zostawić ojca samego. Wiele godzin spędził na werandzie, przyglądając się, jak technicy policyjni i specjaliści od medycyny sądowej chodzili w tę i z powrotem, zbierając dowody, przenosząc ciała.

Siedział skulony w kącie, kołysząc się w przód i w tył, obejmując kolana ramionami. Był przerażony i nie dało się go pocieszyć. Pracownica biura pomocy ofiarom próbowała go uspokajać i przekonywała, że powinien pojechać z nią na posterunek. W końcu zabrano go do szpitala dla jego własnego bezpieczeństwa, podano mu środki uspokajające i umieszczono na oddziale psychiatrycznym, gdzie przez kilka dni pozostawał pod obserwacją.

Kovac wiedział, jakie spustoszenie w ludzkiej duszy poczynić może widok krzywd, które jeden człowiek zdolny jest wyrządzić drugiemu. On sam był już dojrzałym mężczyzną, który ponad dwadzieścia lat spędził na służbie, prowadził niejedno śledztwo w sprawie morderstwa, a wciąż trafiał na zbrodnie tak nieludzkie, że czuł się wobec nich bezsilny, a ich cień pozostawał w jego pamięci na dobre. Bobby Haas będzie musiał żyć z widokiem umęczonych ciał swych bliskich przez resztę swojego życia.

– Jak tam twój tato? Dobrze się czuje? – zapytał Kovac.

Chłopak ni to wzruszył ramionami, ni przytaknął i odwrócił wzrok. Był zdenerwowany i zmartwiony. Zajrzał do pokoju przez okno i patrzył na ojca.

– Kazał mi wam przekazać, że po pracy wrócił prosto do domu i nigdzie później nie wychodził. O co tu chodzi?

Kovac nie odpowiedział.

– To było dla niego bardzo ciężkie, wie pan. Ta decyzja sędziego.

– Jak mogłeś słyszeć o wyroku sędziego, skoro po południu łąziłeś z kolegą po mieście?

– Wszyscy o tym rozmawiali. Byliśmy ze Stenchem w Burger Kingu.

– Jak się wtedy poczułeś, Bobby? – spytała Liska. – Gdy sędzia Moore wyłączyła z procesu informacje o wcześniejszych przestępstwach Dahla. Wkurzyłeś się?

– Cholera. No pewnie, że tak – powiedział chłopak, próbując grać twardziela. Nie za bardzo mu to wyszło. Oparł dłonie na biodrach i za duża, czarna kurtka z logiem Wikingów<sup>3</sup> podniosła mu się na ramionach, otaczając szyję niczym żółwia skorupa. – Jak ona mogła to zrobić? Przecież ten facet to psychol!

– Więc gdzie jest ten Burger King? – zapytał Kovac.

Chłopiec popatrzył na niego podejrzliwie.

– W mieście. Gdzieś w centrum, chyba.

– Chyba? Przecież tam byłeś. Jak możesz tego nie wiedzieć?

– Wszystkie te budynki stoją tak blisko siebie, połączone tymi korytarzami i przejściami. A w ogóle to byliśmy w wielu miejscach. Nie zwracałem uwagi.

– A co robiliście w centrum?

– Łaziliśmy. Jakiś problem?

Kovac spojrział na niego z zainteresowaniem.

– Będziemy musieli porozmawiać z twoim kolegą, Bobby – powiedziała Liska, dobry glina z dodatkiem mamy. – Sędzia Moore została dziś zaatakowana. Musimy wiedzieć, gdzie byłeś, kiedy to się stało.

Bobby Haas spojrział na nich tak, jakby każdemu z nich wyrosła dodatkowa głowa.

– Chyba żartujecie? Nie możecie tego mówić na serio. Myślicie, że ja to zrobiłem?

– A zrobiłeś? – zapytał Kovac.

– Nie!

– Nie wiemy, kto to zrobił, Bobby – powiedziała Liska. – Ale musimy znać miejsce twojego pobytu, żeby skreślić cię z listy podejrzanych.

– I mojego tatę też? Co z was za ludzie!?! – pytał, a w jego oczach błysnęły łzy. – Nie sądzicie, że już mu wystarczy?

– Taka jest procedura – powiedział Kovac. W końcu wsadził papierosa do ust, zapalił, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym tuż po prawej stronie twarzy Boba. – Standard.

---

<sup>3</sup> Minnesota Vikings – drużyna futbolowa z Minneapolis.

Liska spojrzała na niego gniewnie, po czym zwróciła się do chłopca.

– Wiemy, że dla ciebie i twojego taty to był koszmar. Przykro mi, że musimy przychodzić tu i zadawać takie pytania. Ale musimy. Tak samo jak policjanci badający morderstwa twoich bliskich musieli wszystko sprawdzić, żeby złapać Karla Dahla.

Chłopak przewrócił oczami, odwrócił się, znów spojrzał na nich.

– Ta. Świetnie im to wyszło.

– Będziemy potrzebować zeznań twojego kumpla – powiedział Kovac, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Na początek podaj nam jego imię. Nie sądzę, by rodzice nazwali go Stench.

– Jerome Walden – niechętnie wyznał Bobby. – Myśmy nic nie zrobili.

– Nie macie się więc o co martwić. Ale zrozum, dlaczego powinniśmy tak postąpić – tłumaczyła Liska cierpliwie. – Musimy najpierw wziąć pod uwagę tych, którzy mieli do sądziny Moore największy żal. Może ci się to nie podobać, ale tymi ludźmi jesteście ty i twój tato.

– I dlatego chcemy zadać wam kilka pytań i po sprawie – powiedział Kovac. – Oczywiście, jeśli tego nie zrobiliście.

Liska rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Detektywie Kovac, nie mieliście przypadkiem gdzieś zadzwonić?

Kovac zrobił niezadowoloną minę, rzucił niedopałek na drewniane deski podłogi, pokryte odłóżką farbą i przydeptał go butem. Po raz ostatni spojrzał na Bobby'ego Haasa.

– Ech, te baby. Cóż poradzić? – powiedział na pożegnanie, zszedł z werandy i oddalił się w kierunku samochodu: starego rżęcha, który przydzielono im z zasobów wydziału. Usiadł za kierownicą i czekał.

Zgodzili się wcześniej, że Liska zajmie się chłopcem. Nawet w wieku siedemnastu lat młody człowiek pozbawiony matki pozostawał nadal chłopcem. Bardziej prawdopodobne, że w towarzystwie Liski poczuje się bardziej swobodnie i przestanie się mieć na baczności. Jeśli działając pod wpływem złości i żalu, wyżył się na Carey Moore, była większa szansa, że przy rozumiejącej i współczującej kobiecie poczuje się winny.

Kovac pomyślał o Carey Moore, leżącej w łóżku po drugiej stronie miasta. Ten, kto ją dziś pobił, włożył w swe dzieło więcej energii i uczucia niż zwykły rabuś. Oni na ogół wymierzali parę ciosów i spadali. Metoda wal i uciekaj. Nie opłacało im się zostawać dłużej.

A w tej napaści czuć było wściekłość.

Liska podała Bobby'emu swoją wizytówkę, poklepała go po ramieniu i opuściła werandę.

Kovac odpalił samochód.

– I co myślisz? – zapyta), gdy zapinała pas.

– Myślę, że chcę pojechać do domu i przytulić moich chłopców.

## X

Karl przykucnął w swej kryjówce i przeżuwał kawałek zimnej pizzy z kiełbasą. Przełykanie bardzo go bolało z powodu wcześniejszego duszenia, ale potrzebował energii, jakiej miało dostarczyć mu jedzenie.

Czul ból w całym ciele, zwłaszcza na głowie, którą Wąż obijał mu o żelazne kraty. Gdy dotykał swoich ran, jego głowa zdawała się miękka, pokrywała ją mieszanka zdartej skóry i zastygającej krwi. W środku też go bolała. Pomyślał, że pewnie ma pękniętą czaszkę. Ale żył i był wolny, a tylko to miało znaczenie.

Nie po raz pierwszy chował się w kontenerze. Kontener był ciepłym miejscem na zimną noc, pod warunkiem, że ktoś umiał wytrzymać smród i nie było szczurów. Jeśli w ciągu dnia ludzie wrzucili do niego wystarczająco dużo śmieci, to można było całkiem się w nich zakopać.

A smród tak naprawdę był korzystny. Jeśli policja chodziła za kimś z psami i miała jakąś jego rzecz, to było w zasadzie po nim. Ale po pewnym czasie spędzonym wśród na wpół zjedzonej pizzy, skorupki od jajek, fusów po kawie i psujących się resztek z restauracji człowiek tracił swój naturalny zapach na tyle, że – jeśli miał szczęście – nie wykrywały go nawet psy.

Nie był dalej niż pół przecznicy od szpitala, schowany w zaułku za barem, którego specjalnością dnia była wątróbka z cebulą. Karl skulił się w tym rogu kontenera, gdzie zakryłby go cień, w razie gdyby ktoś podniósł pokrywę.

Syreny wozów policyjnych wyły wszędzie wokoło. Kręciły się jak rój pszczoł gotowy go dopaść. Dziś w nocy był najważniejszym człowiekiem w mieście. Nieczęsto mu się to zdarzało.

Słyszał nadjeżdżający samochód, który wolno posuwał się po bocznej ulicy. Nie był na sygnale, ale Karl na wszelki wypadek skurczył się, jak tylko mógł, schylił głowę i przykrył się kilkoma warstwami starych gazet i resztek z baru. Pokrywa kontenera była wygięta i nie zamykała się do końca. Przez szparę w niej do środka wpadało białe światło i zalewało blaskiem jego dziwne lokum. To musiała być lampa na fotokomórkę, wisząca nad budynkiem po drugiej stronie zaułka. A potem światło stało się czerwono-niebieskie.

Samochód zatrzymał się. Trzasnęły drzwi.

– Hej, chłopaki. Szukamy zbiega. Widzieliście tu kogoś dzisiaj wieczorem?

– Dopiero wyszliśmy na dymka, panie władzo.

Pracownicy baru. Karl słyszał, jak wyszli na zewnątrz parę minut temu. Raz po raz wymieniali mało znaczące uwagi – co będą robić po pracy, jaki nowy samochód kupił ich kumpel, jakie mecze będą obstawiać w niedzielnych zakładach.

– Kogo szukacie?

– Karla Dahla.

– Tego zabójcy?

– Tak. Uciekł. Wiecie, jak wygląda?

– Widziałem w telewizji. A niech to. Jak się wam wymknął?

– Ludzie szeryfa zawieźli go do szpitala, nie dopilnowali, no i im uciekł. To co, widzieliście kogoś?

– Tylko tego oberwańca, co tu chodzi po ulicy, zbiera puszki i takie tam. Je, co w kubie znajdzie.

– Gdzie jest teraz?

– A skąd mam wiedzieć? To stary, uliczny wariat.

– Raz widziałem, jak spał pod schodami tego tapicera na końcu ulicy.

Szuranie butów o beton. Coraz bliżej, bliżej...

Karl wstrzymał oddech.

Zawiasy pokrywy zaskrzypiały, gdy ktoś ją uniósł.

Karl wyobraził sobie, że jest niewidzialny.

Kontener zatrzęsł się, gdy ktoś podciągnął się, by zajrzeć w głąb. „Pewnie jeden z gliniarzy” – pomyślał Karl. Jakby na potwierdzenie, policjant zapalił latarkę i powiódł światłem po śmieciach, mijając jego głowę o jakieś dziesięć centymetrów. Snop światła kołysał się w tą i z powrotem, powoli się od niego oddalając.

– Uważaj, Doug, żeby cię szczury nie wciągnęły za głowę do środka – zażartował drugi z policjantów.

– Pusto.

– A panowie policjanci nie chcieliby jakiejś kawy, czy coś?

– A ty co, Jamal, królem świata zostałeś? Szeft ci dupę urwie za takie rozdawanie.

– W porządku, chłopaki. Musimy spadać. Ale dzięki za dobre chęci. Pokrywa opadła.

– Jak go zobaczycie, od razu dzwońcie na 911.

– Sie wie.



Karl nie odetchnął normalnie, dopóki nie usłyszał, jak radiowóz oddala się ulicą. Wciąż bał się ruszyć.

– Człowieku. Ten Dahl to na serio groźny facet – odezwał się Jamal. – Zabił dzieci. Pokroił tę babkę.

Skończyli palić w milczeniu, a potem wrócili do baru.

Karl odczekał jeszcze chwilę, zanim odważył się wychylić głowę z kontenera i rozejrzeć po ulicy. Wóz patrolowy odjechał. W zasięgu jego wzroku nie było nikogo.

Uważając, by nie narobić hałasu, wyszedł z kryjówki i ruszył w dół ulicy, chowając się w cieniu pod murami. Przy jej końcu, po lewej stronie, widział szeroki podest i schody prowadzące do tylnego wyjścia z zakładu.

Jeśli ten bezdomny, o którym mówili pracownicy baru, sypiał tam regularnie, to było bardzo prawdopodobne, że trzymał tam również swoje rzeczy.

Karl przemknął przez ulicę. Zobaczył wózek sklepowy wyładowany rzeczami, jakie na ogół zbierali bezdomni: puszkami, które można sprzedać w skupie metalu, butelkami oraz stertą brudnych szmat.

Musiał pozbyć się więziennego kombinezonu i znaleźć lepszy strój. Bezdomnym nikt nie poświęcał szczególnej uwagi, wybór przebrania był więc oczywisty.

Właściciela wózka nie było w pobliżu. Karl wyjął ze środka worek puszek i kolejny, pełen butelek. Pod spodem, owinięta w stary koc, leżała butelka rumu, w której zostało jeszcze kilka łyków. Wychylił jej zawartość, mając nadzieję, że to uśmierzy nieco łupanie w głowie i ból gardła.

– Ej! To moje rzeczy! – oburzony głos dobiegł od strony schodów, spod sterty materiału obiciowego. Tapicer pozbył się go pewnie bardzo dawno temu. Materiał zaszeleścił, zakotłował się i spod spodu wypełził ciemny zlepek szmat i brudnych włosów.

– Nie możesz tego zabrać! Dał mi to papież Klemens!

Mężczyzna natarł na Karla, młóćąc ramionami i szeroko otwierając usta do krzyku. Bez chwili wahania Karl zamachnął się butelką i zdzielił go po głowie tak mocno, jak potrafił.

Mężczyzna osunął się bezgłośnie na kolana, ale niesiony pędem poleciał do przodu i oparł się o Karla. Ten zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę i zaczął raz za razem uderzać butelką w głowę mężczyzny, czując, jak czaszka poddaje się i pęka pod jego razami. Nie przestał, dopóki nie było już w co bić.

Zmęczony, przykleknął i usiadł na stopach. Cały się spocił, trząsł się i kręciło mu się w głowie. Przetarł dłonią twarz, a gdy na nią spojrział, była pokryta krwią i mózgiem bezdomnego.

Zaciągnął ciało z powrotem pod schody, potykając się o kolejną butelkę, tym razem z jakimś przezroczystym płynem w środku. Odkorkował ją i powąchał. Wódka. Użył jej, by umyć twarz i ręce, resztę wypił.

Metodycznie, kawałek po kawałku, rozebrał trupa mężczyzny. Potem zdjął swój kombinezon i nałożył to, co zdjął – koszulę, spodnie, płaszcz. Ubranie śmierdziało brudnym ciałem, alkoholem, moczem i kałem.

Mężczyzna trzymał pieniądze w majtkach, przyklejone do krocza. Karl wziął je, były wciąż ciepłe od ciała jego ofiary. Wyjął ze zwitka kilka banknotów i schował do kieszeni, resztę przymocował do ciała w taki sam sposób, jak wcześniej zrobił to bezdomny.

Schowawszy kombinezon pod ciałem, przykrył je górą szmat i wrócił do wózka w poszukiwaniu innych przydatnych rzeczy.

Znalazł nóż do steków z dobrym ostrzem i schował go do kieszeni płaszcza. Wygrzebał też wełnianą czapkę, którą nasunął na głowę, sycząc z bólu, gdy wełna zaczęła wgrzyzać się w jego rany. Na myśl o tym, że czapka z pewnością była zawszona, wstrząsnął nim dreszcz obrzydzenia, ale nie miał wyboru, Jeśli chciał zachować życie, nie mógł być wybredny.

Przejechał rękami po brudnym chodniku i przyłożył je do twarzy, by wetrzeć błoto w skórę. Planował się ukryć, nie ukrywając się. Wiedział, jak to zrobić. Wiedział, jak stać się niewidzialnym. Był nierzucającym się w oczy mężczyzną o zwykłej, pozbawionej wyrazu twarzy. Ludzie patrzyli na niego tak, jakby go nie było.

Nie udałooby mu się teraz wyjechać z miasta. Policja pilnowała już pewnie wszystkich dworców autobusowych i kolejowych oraz stacji, przy których zatrzymywały się ciężarówki. Ustawiła blokady drogowe i punkty kontrolne. Spodziewano się, że będzie chciał uciec. Jego podobizny będą wszędzie – zdjęcia ogolonego mężczyzny z łysą czaszką. Ale już za chwilę nie będzie tym mężczyzną. I nie przyłapią go na próbie ucieczki.

W zasadzie najlepszym wyjściem było zostać tu, gdzie był teraz. Gliniarze sprawdzili już ulicę. Wiedzą o bezdomnym mieszkającym pod schodami. Nie był tego pewien, ale podejrzewał, że policjanci z patrolu, wyjeżdżając, zajrzeli do jego nory. Możliwe, że rozmawiali z nim nawet na tyle długo, by wiedzieć, że utrzymywał bliskie stosunki z papieżem Klemensem.

Doszedłszy do wniosku, że miejsce pod schodami było tak samo bezpieczne jak każde inne, Karl wlaź do barłogu, wyciągnął się przy martwym, wciąż jeszcze ciepłym ciele bezdomnego, i zapadł w sen.

## XI

Było już po północy, gdy skończyli przesłuchiwać Jerome'a „Stencha” Waldena. Matka chłopaka otworzyła im drzwi pijana, paląc cygaretkę. Uroczą kobietą.

Jerome wyglądał na zażenowanego faktem, że tkwi w tej obskurnej dziurze, śmierdzącej skisłym piwem, smażoną cebulą i kiepskim tytoniem. W czystym, szarym dresie i koszulce z logo University of Southern California wyglądał nienagannie i tak nie na miejscu, jak wcześniej Bobby Haas, klęczący przed swoim ojcem i pocieszając go. Jak można było się spodziewać, relacja Jerome'a z tym, co robił po południu, potwierdziła wersję Bobby'ego Haasa.

Kovac nie wierzył żadnemu z nich, ale w końcu on rzadko komuś wierzył. Przyzwyczał się do tego, że ludzie wciskają mu kit. Wszyscy okłamywali gliniarzy, nawet ci niewinni. Własną babkę podejrzewałby o kłamstwo, jeśli nie miałaby świadka.

Gdy wrócili na posterunek wydziału śledczego, na jego biurku leżała kasetka z kamery na parkingu Rady Okręgu. Poszli do sali konferencyjnej, obejrzelikiepskie nagranie i wypili po kubku ohydnej kawy.

W drodze powrotnej nie mieli ochoty rozmawiać, ale byli partnerami na tyle długo, że nie przeszkadzało im milczenie. Nie odezwali się do siebie również w czasie oglądania kasety.

Taśma musiała być zbyt często czyszczona i zapisywana ponownie, gdyż nagranie miało takie ziarno, że Kovac nie umiałby rozpoznać na nim Carey Moore, gdyby nie wiedział, że na nią patrzy. Weszła w kadr i szła w kierunku samochodu, czarnego bmw. Na ramieniu miała torebkę, w ręce aktówkę, która wyglądała na dość ciężką. Teczka po ojcu.

Włożyła rękę do torebki, by wyjąć kluczyki, i kilka przedmiotów wypadło jej na ziemię. Zatrzymała się, postawiła teczkę i schyliła, by podnieść zgubione rzeczy.

I wtedy po lewej stronie ekranu pojawił się człowiek. Ze względu na kąt, pod jakim umieszczona była kamera, trudno było ocenić jego wzrost. Miał na sobie dzinsy i ciemną kurtkę z kapturem nasuniętym na głowę. Nie dało się zobaczyć jego twarzy.

Uderzył ją mocno przez plecy jakąś pałką, prętem, a może małym kijem do baseballu. Atak był szybki i brutalny. Kovac odniósł wrażenie, że napastnikowi chodziło raczej o

zadanie jej bólu, niż zabranie czegokolwiek.

Wiedzieli od Carey Moore, że udało jej się pilotem włączyć alarm w samochodzie, i że to wtedy napastnik z niej wstał, znalazł jeszcze czas, by kopnąć ją w bok i zabrać jej portfel. Obrócił się, złapał aktówkę, którą ona postawiła na ziemi, i wybiegł z kadru, podążając – jak sądził Kovac – w kierunku schodów. Jak zeznał strażnik siedzący w budce na poziomie ulicy, o tej porze żaden samochód nie opuszczał parkingu z wyraźnym pośpiechem.

Liska przewinęła taśmę i jeszcze raz ją puściła.

– Do dupy.

– Właśnie. Jaki ma sens zakładanie tych kamer, jeśli później będą do nich wkładać ciągle tę samą kasetę tak długo, aż nie będzie na niej nic widać. Równie dobrze może to być przekaz z Księżyca.

– Muszą przejść na cyfrowki.

– To sporo kosztuje.

– Co ty nie powiesz? Gdybym ja miała codziennie tam parkować, musiałabym zaciągnąć drugą hipotekę. Myślę, że ich na to stać.

Rano któreś z nich zawiezie kasetę do laboratorium i zostawi technikom od obróbki cyfrowej. Kovac wątpił jednak, czy przyniesie to jakiś rezultat.

Rzucił pytanie, chcąc sprowokować dyskusję.

– Kogo podejrzewamy, prócz Bolka i Lolka?

– Wyglądają na porządne dzieciaki.

– Ted Bundy też tak wyglądał.

Liska wzruszyła ramionami.

– Trudno będzie potwierdzić ich historię. Kto zwróciłby na nich uwagę? Są tacy normalni. A na taśmie był tylko jeden sprawca. Gdzie podział się pomagier?

– Chcę mieć taśmy z kamer nad bramami garażu. Sprawdzimy, czy przed szóstą trzydzieści któryś z nich nie wjechał tam swoim samochodem. Mogli zostawić samochód, uciec schodami i wrócić po niego później, gdy ucichło całe zamieszanie. Dopilnuj, by policjant, który spisał wszystkie numery, przepuścił je przez bazę danych.

– Mogli zaparkować gdziekolwiek w mieście – powiedziała Liska. – Zostawianie samochodu akurat tam byłoby głupotą.

– To para siedemnastolatków. Przezorność nie jest w tym wieku dominującą cechą.

– Dobrze, że mi powiedziałeś. Chyba pojedę do domu zamknąć moje starsze dziecko w pokoju na najbliższe dziesięć lat.

– Myślę, że możemy wykluczyć Wayne'a Haasa – powiedział Kovac. – Jest za duży,

by być gościem z kasety, a poza tym nie wygląda mi na szybkiego. Ma motyw, ale jakoś mi do tego nie pasuje.

– Mi też nie. A może to jakiś były więzień chowający urazę? – zaproponowała Liska. – Albo byle świr, który śledzi proces Dahla?

– Co wiemy o rodzicach dzieci adoptowanych przez Haasów? – zapytał Kovac, niezadowolony, że taka myśl w ogóle przyszła mu do głowy.

– Matka siedzi za handel narkotykami. Ojciec też ma kartotekę. Siedział za pobicie, co czyni go naszym głównym podejrzanym.

– Jest na wolności?

– Tak.

Większość przestępstw wyglądała prosto. Pan X zabijał pana Y, bo Y miał coś, czego X chciał, albo Y oszukał X-a w narkotykowym interesie, bądź Y przeleciał babkę X-a, kiedy ten był poza miastem. Pierwsi podejrzani na ogół okazywali się sprawcami. Pokręcone teorie spiskowe nadawały się tylko do kryminałów.

– Musimy pogadać z Dempseyem.

– Jest dobrym źródłem.

– Jest też całkiem dobrym podejrzanym – powiedziała Liska.

Kovac spojrział na nią przeszywającym wzrokiem.

– Co to niby ma znaczyć?

– Daj spokój, Sam. Dobrze wiesz, jak bardzo Dempseyowi zależy na tym, by Dahl poszedł siedzieć. Wydział trzyma go tylko dlatego, że trwa proces, i nie chcą, żeby obrona miała na niego kolejnego haka. Ale gdy proces się skończy... „Adios, Stan”. Nie sądzę, by Dempsey należał do fanklubu Carey Moore.

Kovac gryzł kciuka, z niezadowoleniem myśląc o tej możliwości, już słyszał te zarzuty: szef dochodzenia od początku miał obsesję na punkcie Dahla; z powodu załamania nerwowego nie może teraz pracować w terenie i chce, żeby Dahl okazał się winnym; decyzja sędziny Moore jest policzkiem wymierzonym w jego dokonania...

Ale to wszystko i tak nie będzie miało większego znaczenia. Szefowie dotąd nie wyrzucili Stana z roboty tylko dlatego, że źle by to wyglądało w mediach, a poza tym Stan by ich pozwał. Koniec końców biedny Stan i tak miał przechlapane.

– Jezu... – wymamrotał Kovac, potarł dłońmi twarz, po czym przejechał palcami przez włosy. – Nie podoba mi się to.

– A od kiedy ta praca polega na tym, co nam się podoba? – zapytała Liska.

– To znaczy... Pogadać z nim, wiadomo, dobry pomysł. Nikt nie zna uczestników tego

śledztwa lepiej niż Stan.

– Musimy go brać pod uwagę jako podejrzanego, Sam, i to ty powinienes mu o tym powiedzieć – nalegała Liska. – Znasz go. Obaj należycie do starej gwardii. Od ciebie lepiej to przyjmie.

Kovac westchnął i – podniósł się z krzesła.

– No dobra. Ale ty bierzesz na siebie Żwirka i Muchomorka. Coś mi się wydaje, że obu im się przyda kontakt z odrobiną matczynego ciepła.

Liska przewróciła oczami.

– Pewnie. Ja nim wprost emanuję. Istny *Domek na prerii*.

Ona też wstała. Sweter podwinął jej się powyżej paska od spodni, ukazując tkwiącego w kaburze glocka 9 mm.

– Spadam stąd, Kojak. Zobaczymy się rano.

– Już jest rano.

– Nawet mi tego nie mów. Lecę.

Po jej wyjściu Kovac chodził po biurze w tę i z powrotem. Na początku każdej sprawy zawsze czuł się niespokojny. Mógłby pracować przez całą dobę. Rozwikłać to szybko, dopaść gnoi.

Policjanci w wydziale śledczym Minneapolis mieli około trzech dni na rozwikłanie sprawy, zanim nie pojawiło się kolejne morderstwo lub napaść i poprzednia sprawa musiała zostać odłożona na później. A może on zachowywał się w ten sposób dlatego, że mógł sobie na to pozwolić. Praca była jego życiem. Nie miał po co wracać do domu.

Włożył płaszcz, wyszedł na zewnątrz i stanął na schodach prowadzących do wielkiego, neogotyckiego budynku koloru surowej wątroby. Chciał zapalić, ale tego nie zrobił. Wcześniej, przed domem Haasów zapalił tylko dla efektu.

W tej części centrum ulice prawie całkiem opustoszały. Piątkowe szaleństwa odbywały się po drugiej stronie, w rejonie barów i klubów wokół Target Center, siedziby drużyny koszykarskiej Timberwolves. Życie nocne. To dopiero pomysł.

Kovac poszedł na parking, do miejsca, gdzie co dnia zostawiał samochód. Budynek, w którym pracował, został nazwany imieniem gliniarza, zamordowanego w późnych latach osiemdziesiątych tylko dlatego, że nosił mundur. Facet siedział w pizzerii i pilnował własnego nosa, myślał pewnie o tym, że niedługo pójdzie na emeryturę, kiedy nagle jakiś młodociany gangster wyciągnął gnata i strzelił mu w głowę na oczach ludzi.

Ten gliniarz przez wiele lat codziennie narażał życie, żył ze świadomością potencjalnych i realnych zagrożeń, jakie każdego dnia czekały go w pracy, ale udało mu się

ich uniknąć. Dotrwał do emerytury tylko po to, by ktoś strzelił mu w łeb, gdy po pracy jadł pizzę.

Chyba nikt nie umiał przewidzieć, że zostanie ofiarą.

Marlene Haas nie wstała tamtego dnia z myślą o tragedii, jaka wydarzy się w jej domu już za kilka godzin.

Carey Moore zmierzała do domu, myśląc o swojej małej córeczce, albo o mężu, którego nigdy nie ma. Może zastanawiała się nad awanturą, jaka za przyczyną jej decyzji miała ogarnąć całe miasto. Aż tu nagle bam! Jakiś bandzior pojawia się znikąd, powala na ziemię i bije do utraty przytomności.

Kovac aż się skrzywił, zauważając, w jakim kierunku zmierzają jego myśli: „Biedna Carey Moore”. Nie chciał o niej myśleć jako o osobie, która ma jakieś problemy, smutki, uczucia. Jednak gdy wyjechał z parkingu, nie ruszył w stronę domu. Skręcił w przeciwnym kierunku, do Lake of Isles.

## XII

Carey leżała w łóżku i męczyła się, nie mogąc zasnąć. Nawet płytki oddech sprawiał jej cierpienie – z powodu żeber. Głowa zdawała się pękać, nabrzmiała do tego stopnia, że Carey chętnie rozłupałaby ją, byle tylko pozbyć się bólu. Wciąż była ubrana, bo nie pozwoliła Ance zdjąć z siebie szarego garnituru – nie ze wstydu, tylko dlatego, że najmniejszy ruch sprawiał, że kręciło jej się w głowie i robiło niedobrze. Spodnie miała rozdarte na kolanie. Szew na rękawie pękł w czasie walki, brakowało jej guzika przy bluzce i miała dziurę na łokciu.

Skupiła się na tych szczegółach – uszkodzeniach, jakich doznało jej ubranie, był to jeden z jej ulubionych kostiumów i wkurzało ją, że będzie musiała go wyrzucić – choć tak naprawdę żaden z tych detali nie miał znaczenia. Nie zastanawiała się nad tym, że ktoś na nią napadł, może nawet chciał ją zabić. Nie chciała myśleć o tym, jak to mogło się skończyć – już nigdy nie ujrzałaby swojej córki, nie byłaby przy ojcu w jego ostatnich dniach.

Dopał ją poczucie winy z powodu niewłączenia męża na listę osób, których by jej brakowało. Nie, że go nienawdziła. Nie był złym facetem. Był wspaniałym ojcem – kiedy był w domu – co zdarzało się coraz rzadziej w ciągu ostatniego roku. Tyle, że wszystko dobre, co było kiedyś między nimi, gdzieś się zgubiło. Jedyne, co im zostało, to wzajemne pretensje.

Carey zrozumiała, że ich małżeństwo się skończyło już jakiś czas temu. David też to wiedział. Czuł się tak samo źle jak ona, ale oboje woleli nie dotykać tego problemu. Ich związek stał się słoniem w kącie pokoju, o którym żadne z nich nie mówiło. Bo gdyby zaczęli rozmawiać, musieliby również coś zrobić, a konsekwencje tej decyzji byłyby bolesne dla ich dziecka.

Zamiast tego oboje zajęli się pracą. Carey miała jej mnóstwo na głowie w związku ze zbliżającym się procesem Dahla. David, który na początku ich małżeństwa był obiecującym dokumentalistą, wciąż zbierał fundusze na swój ostatni projekt. Wiele czasu poświęcał chodzeniu na kolacje i picciu wina, a także kłanianiu się w pas ludziom, którzy mogli mu w tym pomóc. Niestety, wsparcie wciąż nie nadchodziło i musiał się zniżyć do okazjonalnego reżyserowania reklam dla lokalnej telewizji.

Carey czuła, że mąż ma jej za złe, że ona odniosła sukces, a on nie. Stał się



przeczulony na punkcie swej kariery, każda wzmianka na ten temat wprawiała go w rozdrażnienie. Carey była cierpliwa, starała się go wspierać, wiedząc, jak mocno cierpiała jego duma. Ale David za dobrze czuł się w roli ofiary, zaczął się przyzwyczajać do tego, że Carey obchodzi się z nim jak ze zgniłym jajem. A ją powoli zaczęło to męczyć. Od jakiegoś czasu David po prostu działał jej na nerwy.

Gdyby wiedział, ile razy gryzła się w język, żeby czegoś mu nie powiedzieć, ile razy dawała mu kolejną szansę, by udowodnić, że jest mężczyzną – i ile razy ją zawiódł.

Napór gromadzących się pod powiekami łez sprawił, że ból głowy jeszcze się nasilił. Carey starała się odegnać je, mrugając. Gdyby zaczęła płakać, musiałyby w końcu kiedyś wydmuchać nos, co byłoby tak bolesne, że pewnie by zemdląca.

A może to nie był taki głupi pomysł.

Na wyświetlaczu elektronicznego budzika stojącego na szafce nocnej cyfry 1:13 świeciły zielono. Ani śladu Davida.

„Potencjalni sponsorzy, jasna cholera” – pomyślała Carey. Podejrzewała, że jej mąż ma romans, i na tę myśl niemal czuła ulgę. Nie dotknął jej od miesiący. Nie chciała, żeby to robił. Jego dotyk wprawiał ją tylko w irytację. Z drugiej jednak strony myśl, że miałby ją zdradzać, niemiłosiernie ją wkurzała, bo zbyt łatwo mogła sobie wyobrazić, że robi to z czystej złośliwości.

Podniosła rękę do twarzy, chcąc potrzeć policzki i czoło, ale gdy tylko dotknęła swych ran, aż zachłysnęła się z bólu, a potem jęknęła, bo wciągając powietrze, sprawiła, że odezwały się potłuczone żebra.

Anka zapukała miękko i weszła do pokoju.

– Ten detektyw kazał mi sprawdzać, jak się pani czuje – powiedziała cicho.

– Nic mi nie jest, Anka.

– Nie wygląda pani za dobrze.

– Wiem – powiedziała Carey. – Czy mój mąż nie dzwonił?

– Nie. Ale słyszałam, jak dzwoniła pani komórka. Oczywiście nie odebrałam.

– Możesz mi ją przynieść?

Opiekunka zmarszczyła brwi.

– Powinna pani spać.

– Przecież właśnie przysłaś mnie obudzić – zauważyła Carey. – Chcę tylko sprawdzić swoje wiadomości.

Anka wyglądała na niezadowoloną. Burcząc pod nosem coś niemiłego po szwedzku, wyszła i po chwili wróciła z telefonem.

– Dziękuję – powiedział Carey. – Idź do łóżka, prześpij się trochę. Obiecuję nie zapaść w śpiączkę.

Anka z dezaprobatą prychnęła na poczucie humoru swej pracodawczyni, ale wyszła, zostawiając ją samą.

Carey połączyła się z pocztą głosową, wpisała hasło i przymknęła oczy, przesłuchując wiadomości.

Pierwszy telefon był od Teda Sabina, lokalnego odpowiednika prokuratora okręgowego i jej byłego szefa, który dzwonił, by powiedzieć, że słyszał o napadzie i martwi się o nią, oraz by obiecać, że użyje całej swej dość sporej władzy, by przyspieszyć pojmanie i skazanie napastnika.

Potem dzwoniła Kate Queen, stara przyjaciółka jeszcze z czasów pracy w prokuraturze. Była zatroskana i kazała Carey dzwonić natychmiast, gdyby czegokolwiek potrzebowała, a ona od razu przyjedzie. Kate udzielała porad psychologicznych ofiarom i świadkom przestępstw. Carey nie spodziewała się, że kiedykolwiek będzie potrzebować jej profesjonalnej pomocy.

Następnie w słuchawce zagrział głos Chrisa Logana: zdenerwowany, zły i bardzo donośny, jak zawsze wtedy, gdy Chris otrzymywał złe wiadomości, na które nic nie mógł poradzić: „Carey, do jasnej cholery. Właśnie się dowiedziałem. Dobrze się czujesz? Jesteś w szpitalu? Czemu, do diabła, nie poprosiłaś kogoś, żeby odprowadził cię do samochodu? Chryste. Powinienem sam cię odprowadzić, wkurzony czy nie. Zadzwoń”.

Skasowała wiadomość i położyła telefon obok siebie na łóżku. Ogarnęło ją uczucie, którego do końca nie umiała określić: mieszanka żalu, smutku, utraty. Dobrze byłoby mieć przy sobie kogoś silnego, na kim mogłaby polegać. Kogoś, komu mogłaby zaufać. Ramię, na którym mogłaby się oprzeć.

W jej życiu nie było takiego mężczyzny. Po jednej wspólnie spędzonej nocy nigdy więcej nie szukała takiego wsparcia u Logana, choć musiała przyznać, że kilka razy myślała, by to powtórzyć. Ale po tym, co usłyszała od niego dzisiaj w swoim gabinecie, pozbyła się pokusy raz na zawsze. Poczła się zawiedziona tym, że tak podle wykorzystał przeciwko niej pamięć o ich zbliżeniu. Już nigdy mu nie zaufa.

Prawdę mówiąc, właściwie nigdy mu nie ufała. Nie do końca. To dlatego nie było żadnych innych wspólnych nocy – ani przedtem, ani potem. Logan był człowiekiem o chorej ambicji. Dla niego liczyła się tylko wygrana w sądzie, chciał, by sprawiedliwość triumfowała bez względu na koszty, jakie musiał ponieść on i otaczający go ludzie. W latach, gdy pracowali razem, byli przyjaciółmi, ale Carey wiedziała, że Logan widzi w niej również

rywała, i zawsze źle się z tym czuła.

Ojciec z pewnością byłby dla niej podporą – twardy jak skała Gibraltaru, takim pamiętała go przez całe swoje życie. Ale na dobrą sprawę jej ojca już nie było. Informacja ta nie dotarła jeszcze do jego ciała, ale jego duch odszedł. Została tylko skorupa, czekająca w domu starców, aż nadejdzie koniec.

Czując się samotna i zagubiona, Carey zapadła w płytki, pełen majaków sen. Śnił się jej człowiek, który ją pobił. W ciemnym teatrze swojego umysłu leżała na betonie, walcząc z kimś, kogo nie mogła zobaczyć. Na początku jego twarz była czarną, pustą plamą, ale potem powoli nabrała wyrazistości.

Przez jej głowę jak w świetle błyskawicy pojawiały się obrazy, w każdym błysku inna twarz. Karl Dahl. Wayne Haas. Chris Logan. David. Marlene Haas, jej twarz w stanie rozkładu, wytrzeszczone, martwe oczy.

Carey zerwała się ze snu, krzycząc, i próbowała się podnieść. Ból powalił ją z powrotem na poduszki, przewróciła się na bok, targnięta ponownym atakiem mdłości. Pociła się, trzęsła, oddychała za szybko.

Nagle zadzwonił leżący tuż koło jej dłoni telefon i wystraszył ją tak, że aż podskoczyła. David, pomyślała z nadzieją. Nie była jednak pewna, czy wołała, by powiedział, że wraca do domu, czy że musi jeszcze gdzieś zostać.

– David?

Po drugiej stronie słuchawki przez długą chwilę panowała cisza. Carey zaczęła się bać.

Gdy rozmówca w końcu się odezwał, nie poznała jego głosu. Niski, szorstki szept, słowa rozciągnięte i dziwnie zniekształcone.

– Jadę po ciebie, suko – powiedział i odłożył słuchawkę.

## XIII

Kovac właśnie zatrzymał samochód naprzeciw domu Carey Moore, gdy zadzwonił jego telefon.

– Kovac.

– Tu Carey Moore.

Jej głos był cichy i opanowany, ale słyszał w nim skrywane napięcie.

– Właśnie odebrałam telefon. To był mężczyzna. Powiedział: „Jadę po ciebie, suko”.

– Jestem tuż koło pani domu. Za moment u pani będę.

– Gdy podejdzie pan do drzwi, proszę nie dzwonić. Nie chcę, by obudziła się Anka albo Lucy.

Rozłączyła się. Stanowcza i rzeczowa, widać, że była przyzwyczajona do tego, by wszystko mieć pod kontrolą – nawet w kryzysowej sytuacji.

Kovac przeszedł przez ulicę i podszedł do wozu patrolowego stojącego przy krawężniku. Kierowca opuścił szybę.

– Cześć, chłopaki. Jak tam, widzieliście coś?

– Nie. Cisza i spokój.

– Obeszliście dom?

– Kilka razy. Zamknięty na cztery spusty.

– A mąż się pojawił?

– Nie.

Była pierwsza trzydzieści nad ranem. Jaka kolacja biznesowa trwa do tej pory?

Kovac bezwiednie klepnął dłonią w dach samochodu.

– Jesteś żonaty, Benson? – zapytał kierowcy.

– Już drugi raz.

– Co by zrobiła twoja żona, gdybyś nie wrócił do domu do pierwszej trzydzieści, nic jej nie mówiąc?

– Powiesiłaby moje jaja na żyrandolu. Beze mnie.

– Właśnie.

Kovac gotów był się założyć, że Carey Moore nawet nie zadzwoniła do męża, żeby

dowiedzieć się, gdzie jest, kiedy – jeśli w ogóle – wraca do domu lub by go powiadomić o napadzie.

Podszedł do bramy i pchnął ją, gdy usłyszał brzęczenie. Moore patrzyła na niego przez jedno z pionowych okien z boku drzwi. Otworzyła, gdy znalazł się na schodkach.

Wciąż miała na sobie te same spodnie i bluzkę, w których przyjechała ze szpitala. Spodnie były przedarte, satynowa bluzka poplamiona krwią i pozbawiona guzików w strategicznym punkcie na piersi. Mignęła mu koronka i zarys wypukłości, których większość znanych mu sędziów nie posiadała. Ale jeśli Moore w ogóle przejęła się tym, że widział jej stanik, nie dała tego po sobie znać.

– Powinna pani usiąść – powiedział. – Wygląda na to, że tylko drzwi powstrzymują panią przed upadkiem.

– Ja...

Kovac podniósł dłoń.

– Proszę nawet nie próbować.

Zamknęła drzwi i na moment się o nie oparła, blada jak płótno. Stanęła na nogach resztką sił i zaprowadziła go do pobliskiego gabinetu.

Pałaca się na biurku lampa zalewała wnętrze bursztynowym blaskiem, miękko odbijającym się od skórzanych mebli i ręcznie polerowanych sosnowych desek pokrywających ściany. Sędzina osunęła się w róg ciemnozielonej kanapy. Kovac zajął najbliższe krzesło, przysuwając je tak blisko, że ich kolana prawie się zetknęły.

– O której otrzymała pani telefon? – zapytał, wyjmując z kieszeni notes i pióro.

– O pierwszej dwadzieścia dwie. Spojrzałam na zegar.

– Na komórkę czy na telefon stacjonarny?

– Na komórkę.

– Mogę ją zobaczyć?

Podążyła mu aparat drżącą dłonią.

Kovac wszedł do menu i znalazł listę połączeń przychodzących.

– To ten sam numer, z którego wcześniej ktoś dzwonił do domu i pytał o Marlene.

– Dowiedział się pan, do kogo należy?

– To telefon na kartę. Najlepszy przyjaciel współczesnych przestępców. Może uda nam się znaleźć producenta, dowiedzieć się, w których sklepach w Twin Cities sprzedaje telefony. Ale wie pani równie dobrze jak ja, że to bardzo duży obszar, a te cholerne gadzety są wszędzie. Znaleźć w tym mieście bandziora, który kupił akurat ten aparat... Prędzej umrzemy ze starości, niż nam się to uda.

Wpatrywała się w ciemny kąt pokoju, jak gdyby czekała na znak z zaświatów.

– Kogo podejrzewacie? – zapytała w końcu.

– Nie powinienem o tym mówić.

Sędzina zaśmiała się smutno i potrząsnęła głową.

– Pan wybaczy, detektywie Kovac. Nie traktujecie mnie chyba jako zwykłej ofiary? Obserwuję, jak działa system karny, od kiedy jako studentka zaczęłam pomagać ojcu. Oto ludzie – których, jak mniemam – bierzecie pod uwagę: Wayne Haas, Bobby Haas, Stan Dempsey...

– Bez urazy, pani sędzino, ale to nie jest nawet czubek góry lodowej osób, które panią w tej chwili nienawidzą.

– Powinniście też sprawdzić rodziców adoptowanego rodzeństwa, które zostało zamordowane.

– Znam swoje obowiązki.

– Wiem, że je pan zna.

Spojrzała w bok, nad czymś się zastanawiając. Oparła czoło na dłoni i westchnęła.

– Nie nadaję się do roli ofiary – przyznała. – Nie wiem, jak się zachować. Nie wiem, co powinnam czuć, co powinnam myśleć, a co starać się wyprzeć. Wciąż nie mogę uwierzyć, że coś takiego mi się przydarzyło.

Z jej rzęs spadła łza i potoczyła się po policzku. Otarła ją wierzchem podrapanej dłoni.

– Umieję tylko walczyć, atakować, doprowadzać do tego, by sprawy toczyły się po mojej myśli.

– W tym nie ma nic złego... – powiedział Kovac i zamyślił się. Może to, że Carey Moore nie umiała się odnaleźć w roli ofiary, wynikało stąd, że nie miała się na kim oprzeć. Nawet nie liczyła na to, że ktoś mógłby walczyć za nią.

Po chwili przerwał ciszę:

– Nie ma dobrej pory, żeby przekazać pani tę wiadomość, więc równie dobrze mogę to zrobić od razu – powiedział. – Karl Dahl uciekł dziś w nocy policji.

Carey Moore patrzyła na niego bez słowa tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy zrozumiała, co do niej powiedział. Urazy głowy miały czasem bardzo dziwne skutki.

W końcu jednak zareagowała.

– Uciekł? Jak to uciekł? W jaki sposób to mogło się stać?

– W więzieniu doszło do bójki. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Kilku więźniów i strażników trzeba było odwieźć do szpitala. Ktoś potężnie spieprzył sprawę, nie przypiął Dahla do noszy. A on po prostu wstał i wyszedł, kiedy nikt nie patrzył.

– O Boże! – powiedziała z tym samym oburzeniem i niesmakiem, jakie musiał czuć każdy gliniarz w mieście.

Potrójny morderca był na wolności, bo jakiś mundurowy zawałił podstawowe obowiązki. Kovac wiedział, że nie będzie miało znaczenia, kim był ten bezmyślny dupek, ani dla jakiej agencji pracował. Każdy gliniarz, detektyw i pracownik biura szeryfa będzie teraz musiał znosić ataki opinii publicznej, mediów i przełożonych.

– Ludzie będą zachwyceni – powiedział Kovac, sarkastyczny jak zawsze. – Zawiódł kolejny element systemu karnego.

Carey Moore zamknęła oczy, ale nie udało jej się w ten sposób od niczego uciec. Po prostu jedynie nic nie widziała.

– Czy ktoś powiadomił Wayne’a Haasa?

– Tak, mnie przypadła ta przyjemność.

– Jak to przyjął?

– A jak pani myśli?

Nie odpowiedziała. Jego pytanie, tak jak jej, było retoryczne.

Siedząc w uroczym gabinecie, pograżyli się w ciszy na tak długo, że nagły odgłos przekręcanej w zamku klucza wydał im się głośniejszy niż wystrzał pistoletu. Kovac miał bezpośredni widok na drzwi wejściowe. Podniósł się z krzesła, stanął wyprostowany i czekał z dziwną mieszaniną zainteresowania i złości.

Do domu wszedł David Moore, miał przekrzywiony krawat i koszulę rozchełstaną pod szyją. Spojrzawszy na niego Kovac, musiał przyznać, że facet był w miarę przystojny: średniego wzrostu, włosy blond, obcięte w klasyczny sposób. Kiedyś mógł mieć budowę sportowca, ale teraz robił się miękki, pulchność twarzy i szyi zdradzały słabość do używek. Miał pomięty, brązowy garnitur i skruszoną minę.

Jednym słowem: dupek.

Kovac nabrał do niego niechęci, zanim ten zdążył otworzyć usta.

– Carey? Co się dzieje? – zapytał, wchodząc do pokoju. – Co ci się stało?

Nie powiedział tego z czułą troską, ale prawie tak, jakby był urażony jej wyglądem.

– Zostałam napadnięta na parkingu.

– O, mój Boże.

– Pańska żona została zaatakowana, panie Moore – powiedział Kovac. – Uważamy, że ktoś chciał ją zabić.

Moore stał bez ruchu i jak idiota patrzył to na Kovaca, to na swoją żonę.

– Kim pan jest? – zapytał w końcu.

Kovac pokazał mu odznakę.

– Kovac. Wydział zabójstw.

– Zabójstw?

– Zajmujemy się także napaściami. Dzisiejszy napad to jutrzejsze morderstwo – powiedział z nutą sarkazmu, której David Moore nie mógł zrozumieć. Taki wewnętrzny, policyjny żart. Szefowie wydziału zdawali się zawsze preferować śledztwa w sprawie napadów i pobić. Było ich więcej, a poza tym rozwiązywanie takich spraw utrzymywało statystyki brutalnych przestępstw na niskim poziomie.

Moore przestał zwracać na niego uwagę, rzucił marynarkę na krzesło i w końcu podszedł do żony.

– Dobrze się czujesz?

– A wygląda, jakby dobrze się czuła?

Carey Moore zerknęła na Kovaca z ukosa.

Mąż usiadł obok niej na kanapie.

– Mój Boże, Carey. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Czemu ty nie sprawdzasz swoich wiadomości? – zapytała z napięciem w głosie. – Dzwoniłam do ciebie. Dzwoniłam z pogotowia sześć godzin temu.

Moore miał na tyle przyzwoitości, by wyglądać na skruszzonego.

– O kurczę. Musiała mi sięć bateria.

– Czy coś w tym stylu – mruknął Kovac.

Mąż spojrzał na niego.

– Przepraszam? Co pan powiedział?

– Muszę zadać panu kilka pytań, panie Moore. To tylko rutyna. Gdzie pan był dziś między szóstą a siódmą?

Carey Moore spiorunowała go wzrokiem.

– Detektywie, to nie będzie konieczne.

David Moore wstał, wściekły.

– Czy sugeruje pan, że mógłbym napaść na własną żonę?

– Ja nic nie sugeruję – spokojnie odparł Kovac. – Zadaję tylko pytanie. Czy udzielenie prostej odpowiedzi sprawia panu problem?

– Nie podoba mi się pańskie podejście, detektywie.

– Nikomu się nie podoba. Na całe szczęście mam to gdzieś.

David Moore zrobił się niezdrowo czerwony. Mocno oparł ręce na biodrach.

– Moja żona jest szanowanym członkiem palestry...



– Wiem, kim jest pańska żona, panie Moore – przerwał mu Kovac. – Kim pan jest: tego muszę się dowiedzieć. A póki co, nie przychodzi mi do głowy zbyt wiele pozytywnych określeń.

Moore nabrał powietrza, by dać wyraz świętemu oburzeniu, jednak uprzedziła go Carey.

– David, przestań. Na miłość Boską, po prostu odpowiedz na jego pytania. On wykonuje swoją pracę.

Jej mąż najwyraźniej nie lubił być upominany, bo zrobił się jeszcze bardziej czerwony – z upokorzenia, gniewu lub obu tych powodów.

– Carey, on się do ciebie odnosi bez szacunku.

Odwróciła wzrok i potrząsnęła głową z westchnieniem wyraźnie mówiącym: „Mój Boże, jak ja cię mam dość”.

– Nie staram się być niemiły, panie Moore – skłamał Kovac. – Ale jest druga nad ranem. Pańska żona została pobita i od tej pory otrzymała już dwa telefony z pogrózkami. Nie mam cierpliwości, by cackać się z pańskim ego. Spróbujmy więc jeszcze raz: Gdzie pan był dziś wieczorem?

Moore wyraźnie miał ochotę obrócić się na pięcie i wybiec z pokoju. Wielkie, dramatyczne wyjście znieważanego bohatera.

Siniaki i opuchlizna na twarzy jego żony stawały się coraz wyraźniejsze. Zaczynała wyglądać jak postać z horroru, jakiś stwór, który żyje pod mostem. Jedno oko miała tak podbite, że prawie się nie otwierało. Guz na czole wyglądał jak koszmarna deformacja czaszki. Dolna warga była dwa razy większa niż zazwyczaj, szwy puściły i z rany sączyła się krew.

A David Moore nie dodał jej otuchy nawet jednym czulszym gestem. Nie zapytał o szczegóły ataku, nie skomentował sugestii Kovaca, że ktoś mógł chcieć ją zabić. Nie zapytał nawet o to, czy została zgwałcona.

– Miałem służbową kolację – powiedział Moore.

– Gdzie?

– W nowej restauracji w wieży IDS, koło hotelu Marquette. Nazywa się Buffalo Grill.

– Na którą mieliście rezerwację?

– Na siódmą trzydzieści, ale spotkaliśmy się wcześniej na drinka.

– O której i gdzie to było?

Moore odwrócił wzrok.

– A może po prostu podam panu nazwisko współnika, z którym się spotykałem? I tak

będzie pan je ode mnie chciał, prawda?

Kovac posłał mu twarde, beznamiętne spojrzenie gliny.

– A może pan po prostu odpowie na pytanie, które zadałem.

– Panowie! – gwałtownie wtrąciła Carey Moore. – Nie czuję się za dobrze. Naprawdę chciałam się już położyć. Możecie kontynuować beze mnie.

Spróbowała sama wstać z kanapy. W końcu mąż ruszył się, by jej pomóc, i dla równowagi chwycił ją za łokieć.

– Pomogę ci wejść na górę.

Nie podziękowała mu.

Kovac patrzył, jak odchodzą, i starał się coś odczytać z ich mowy ciała. Ona szła sztywno, kulejąc, ale wciąż trzymała się prosto. Brodę uniosła wysoko ku górze i nie opierała się na mężu, choć on starał się teraz sprawić wrażenie czulego i troskliwego.

Kovac wiele by dał, żeby słyszeć, o czym rozmawiali, idąc po schodach, ale mówili ściszymi głosami i nie dotarło do niego ani jedno słowo. Zamiast tego rozglądnął się więc po pokoju, chcąc się dowiedzieć, kim byli mieszkający tu ludzie. Pokój więcej mówił jednak o ich dekoratorze niż o nich samych, choć zdawał się należeć raczej do męża niż do niej. Było tu wiele elektronicznych gadżetów – duży, plazmowy ekran na ścianie nad kominkiem, sprzęt stereo, radio satelitarne. Dwa dyplomy konkursowe noszące jego nazwisko.

Fakt, że brakowało tu fotografii rodzinnych i osobistych drobiazgów, wiele dla Kovaca znaczył. Nie znalazł ani jednej założonej w połowie książki, nikt nie zostawił na fotelu napoczętej robótki. Nie było zabawek ani książek, które mogłyby należeć do Lucy. Pośrodku nienagannie uprzątniętego biurka tkwił drogi, płaski monitor komputera. Na szafce za biurkiem stały książki o filmie, biografie ludzi, których nazwiska Kovac znał, ale więcej takich, o których nigdy nie słyszał. Dużo kaset wideo.

– Powinni ją byli zatrzymać w szpitalu – z niezadowoleniem powiedział Moore, wróciwszy do pokoju.

– Nie chciała zostać – powiedział Kovac, biorąc z półki jedną z kaset i udając, że studiuje jej tytuł. – Chciała wrócić do domu i być z rodziną – nie licząc pana, oczywiście.

– Co pan do cholery...?

– Wiedziała, że tu pana nie będzie – ciągnął Kovac. – Ale nie chciała, byśmy pana szukali. Jak pan sądzi, dlaczego?

– Chyba nie wspominałem żonie, gdzie będę jadł kolację – powiedział Moore. – Oboje jesteśmy bardzo zajętymi ludźmi. Takie szczegóły czasem wypadają nam z głowy.

– Czym pan jest tak bardzo zajęty, panie Moore? Ci współnicy, z którymi się pan dziś

spotkał – w jakiej branży działają?

– Robię filmy dokumentalne. Ludzie, z którymi się spotkałem, mogą mi pomóc finansowo w zrealizowaniu filmu, mającego porównać ze sobą gangsterów z lat trzydziestych i uliczne gangi, jakie istnieją dzisiaj.

– Dlaczego nie chciał pan rozmawiać o tych ludziach w obecności żony? – zapytał Kovac, podchodząc bliżej do Moore'a. – I czemu ona nie chciała słyszeć dalszej części naszej rozmowy?

Moore próbował przywołać na twarz wyraz zdumienia.

– Nie wiem, co pan ma na myśli, detektywie. Starałem się tylko być pomocnym. Wiedziałem, że będzie pan chciał znać ich nazwiska...

– Ale nie chciał pan mówić o tym, gdzie spotkał się z nimi na drinka.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Acha.

Wytrącony z równowagi, Moore westchnął nerwowo.

– Spotkaliśmy się w barze hotelu Marquette. Nie ma w tym chyba nic podejrzanego, prawda?

Kovac wzruszył ramionami.

– To zależy. Kim więc są ci pańscy kontrahenci?

– Edmund Ivors – odpowiedział Moore bez wahania. – To biznesmen. Zrobił fortunę na sieci multipleksów i lubi odwdzięczać się przemysłowi filmowemu, wspierając zdolnych twórców.

– Takich jak pan.

– Tak.

– Czy powinienem znać pana nazwisko? – zapytał Kovac, celowo będąc niegrzecznym.

Mięśnie na twarzy Moora zadrżały.

– Byłbym zaskoczony, gdyby pan o mnie słyszał – powiedział napiętym głosem. – Nie wygląda mi pan na intelektualistę.

Kovac z rozbawieniem uniósł brwi.

– Uuu! Uważaj, bracie. Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. I dobrze ci radzę: nie zadzieraj ze mną. – Wyszczrzył się w groźnym uśmiechu. – Żle się to dla ciebie skończy. Ale, co tam. Masz u mnie plusa za to, że pokazałeś, że masz jaja. Kto jeszcze uczestniczył w tym waszym podwieczorku?

Moore nadąsał się.

– Wspólniczka pana Ivorsa. Panna Bird. Hmm... Ginnie Bird.

– Wspólniczka? – Kovac uniósł brwi. – Czy to to samo, co siostrzenica?

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – powiedział Moore, zniecierpliwiony.

– Nie zna pan tego eufemizmu? No to zapytam wprost: panna Bird była tam w pracy, czy po to, żeby się z kimś pieprzyć?

Moore spojrzał na niego z wściekłością.

– Kim pan jest, żeby tak się do mnie zwracać?

Kovac podszedł do niego bardzo blisko, aż Moore cofnął się o krok.

– Jestem skurwielem z dochodzeniówki, który ma dość twojego nastawienia, facet. Myślę, że nie chciałeś się przyznać przed żoną, że jedna z osób, w towarzystwie których spędziłeś ostatnie sześć godzin, jedząc najdłuższą na świecie kolację służbową, jest kobietą. I sądzę też, że powód jest taki, że twoja żona ci nie ufa, a ty o tym wiesz.

Moore głośno sapał przez nos. Był wściekły. Kovac domyślał się, że gość najchętniej rozłożyłby go na łopatki, ale nie miał na tyle odwagi ani siły.

– Ta rozmowa jest skończona – powiedział Moore, zaciskając szczęki. – Nikt nie będzie mnie traktował jak przestępcy w moim własnym domu. Proszę wyjść. A rano zacznę dzwonić do ludzi, którzy poważnie uprzykrzą panu życie.

Usta Kovaca wykrzywił nieprzyjemny uśmiech.

– Czy to jest groźba, panie Moore? – zapytał spokojnie. – Czy pan mi grozi? Zna pan ludzi, którzy mogliby wykonać taką robotę? To by pana posłało na sam szczyt mojej listy podejrzanych.

– Moja żona ma bardzo rozległe koneksje – powiedział Moore. – Zna ludzi, którzy stoją nad panem i mogą pociągnąć za odpowiednie sznurki.

Kovac zaśmiał się groźnie. Przypominał drapieżne zwierzę, które łapą przyciska gardło swojej ofiary.

– I myśli pan, że jest gotowa to dla pana zrobić? Zabawne. Według mnie wygląda raczej na kobietę, która wolałaby, by mężczyzna ruszył tyłek, przestał się za nią chować i sam załatwił swoje sprawy.

– Niech się pan wynosi z mojego domu! – nienawiść w oczach Moora była piorunująca.

Kovac wiedział, że przeciąga strunę, ale zbyt dobrze się bawił, by teraz wyjść. Oparł się o fotel rozmiarów małego nosorożca i skrzyżował ręce na piersi.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że nie zadał pan ani jednego pytania na temat tego, co zdarzyło się na parkingu? To dlatego, że wszystko pan wie, czy dlatego, że gównem to pana

obchodzi?

– Oczywiście, że mnie to obchodzi! – Moore potarł twarz rękoma i odszedł parę kroków. – Carey upiera się przy tym, że to był napad rabunkowy. Czy naprawdę sądzi pan, że ktoś próbował... miał zamiar... ją skrzywdzić?

– Widziałem nagranie z kamery umieszczonej w garażu – powiedział Kovac. – Sądzę, że gość by ją zabił, gdyby nie udało jej się uruchomić alarmu w samochodzie i go przestraszyć. Zanim przywiozłem ją do domu ze szpitala, ktoś tu dzwonił z dziwnym pytaniem. Przed chwilą odebrała telefon z wyraźną pogroźką. Gość powiedział: „Jadę po ciebie, suko”.

– Jezu... – wyszeptał Moore. – Nie możecie namierzyć dzwoniącego? Nie możecie go zidentyfikować z nagrania? Oczyścić taśmę, poprawić, zrobić powiększenie twarzy?

– Mamy jego numer telefonu. Ślepa uliczka. A jeśli chodzi o magiczną przemianę złego nagrania w dobre, cóż... Hollywood nie kręci filmów o prawdziwych przestępstwach ani nie finansuje policji. Nastolatek mieszkający w sąsiednim domu ma pewnie bardziej zaawansowany sprzęt niż nasi technicy. Zrobimy wszystko, by złapać tego psychopatę, ale pańska żona jest w poważnym niebezpieczeństwie. Moim zadaniem jest dopilnować, by nie stało jej się nic gorszego. A ja moją pracę traktuję bardzo serio, panie Moore. Poszkodowana jest dla mnie najważniejsza. Widzi pan, nie tak często trafia mi się żywa ofiara. Więc jeśli zachowuję się zbyt agresywnie lub nadopiekuńczo, to dlatego, że dopóki ja prowadzę tę sprawę, nikt nie liczy się bardziej niż sędzina Moore. Ani pan, ani szef policji, ani papież, ani sam Pan Bóg. Takie są moje zasady. Pański dom jest pod dwudziestoczerogodzinną obserwacją. Technik już tu był, założył podsłuch na wszystkie telefony, będziemy więc w stanie zlokalizować wszystkich dzwoniących. Będziemy także nagrywać wszystkie rozmowy – przychodzące i wychodzące.

Moore opadł na dużą, skórzaną sofę, oparł łokcie na kolanach i schował twarz w dłoniach.

– Nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– Pańska żona podjęła dziś bardzo niepopularną decyzję w sprawie Karla Dahla – powiedział Kovac. – Czy pan o tym wiedział?

– Tak, oczywiście.

„Ale nie było to dla ciebie na tyle ważne, dupku, by odwołać kolację i być przy żonie” – pomyślał Kovac.

– Ta sprawa wywołuje silne emocje, panie Moore. Większość ludzi jest przekonana, że Dahl powinien zostać ugotowany w smole albo rozpięty przez budynkiem rady jak tarcza, do

której każdy mógłby kilka razy rzucić siekierą. Pani Moore podjęła decyzję korzystną dla Dahla, a ten skurwiel uciekł z więzienia. Potrójny morderca biega po ulicach i ludzie będą za to winić pańską żonę, choć z jego ucieczką nie miała nic wspólnego.

– On uciekł? – zapytał Moore z paniką w głosie. – Myśli pan, że on to zrobił?

– Nie – odparł Kovac. – Ale myślę, że wszyscy mieszkańcy Twin Cities, łącznie z Dahlem, pomyśla, że pańska żona jest jego świętą patronką.

Czując, że poziom adrenaliny w jego krwi opada, Kovac westchnął, wyprostował się, wyjął z kieszeni wizytówkę i rzucił na sofę, koło nogi Moora.

– Pójdę już – powiedział. Teraz miał już dość.

Gdy zamknął za sobą drzwi i zagłębił się w ciemność, pokiwał głową nad samym sobą. Dla facetów życie było niekończącym się konkursem sikania w dal. Aż dziw, że w czasach, gdy faceci udowadniali sobie, kto ma większego fiuta, kobiety nie przejęły kontroli nad światem.

Uniósł rękę, pomachał policjantom w radiowozie i wszedł do samochodu. Popatrzył na drugą stronę ulicy, na dom i okno na piętrze, w którym wciąż paliło się światło.

„Ciekawe, co ta noc przyniesie państwu Moore”.

## XIV

Stan Dempsey rzadko spał dłużej niż godzinę bez przerwy od czasu, gdy owego pamiętnego dnia, w sierpniowy wieczór prawie rok temu, wszedł do domu Haasów. A nawet te urywki snu były przetykane koszmarami i pełne uczuć, z którymi nie wiedział, co zrobić.

Przez całe życie był prostym człowiekiem, cichym do tego stopnia, że dzieciaki w szkole sądziły, że coś z nim jest nie tak. Nigdy nie miał prawdziwego przyjaciela – tak jak wyobraża go sobie większość ludzi: kumpla, z którym poklepywaliby się po plecach i wspólnie pili piwo podczas meczu. Nie interesowały go takie rzeczy.

Od dzieciństwa chciał być detektywem, jak Joe Friday w *Dragnet*. Pożerał kryminały i w chłopięcych marzeniach zawsze widział siebie w roli policjanta na tropie zbrodni, któremu zawsze udaje się dopaść przestępców.

Służył w armii, potem skończył dwuletnią szkołę wyższą. Gdy w końcu udało mu się dostać do akademii policyjnej, uczył się najwięcej z całej klasy. Dzień, w którym dostał dyplom, był dla niego jednym z najpiękniejszych w życiu. A gdy uzyskał stopień detektywa, osiągnął szczyt – spełniło się jego jedyne marzenie.

To marzenie zmieniło się teraz w krwawy koszmar i z tym najtrudniej było mu się pogodzić. Załamał się, stracił poczucie własnego ja i sensu życia. Czuł się tak, jakby z nieba spadł na niego wielki, stalowy odważnik, i uczucia, które zawsze trzymał schludnie poukładane w zamkniętym pudełku, nagle się wysypały, a teraz próbowały wydrzeć się z jego ust, oczu, uszu, a nawet przez czubki palców.

Przełożeni w wydziale zastanawiali się, czy przypadkiem nie ma problemów z opanowaniem złości, bali się, że może się załamać nerwowo. Byliby przerażeni, gdyby wiedzieli, co naprawdę dzieje się w jego głowie. Kłębiły się tam myśli o potwornej karze, brutalnej zemście wymierzonej przeciwko wszystkim, którzy – jego zdaniem – stali po niewłaściwej stronie. W miarę jak zbliżał się proces, był coraz bardziej nerwowy i przestawał panować nad sobą.

Informacja o tym, że Karl Dahl zbiegł, dotarła do niego dzięki telewizyjnym wiadomościom w piątek o dziesiątej wieczorem. Stan ledwie pamiętał dwie następne godziny. Wpadł w szal. Ciśnienie w jego głowie było tak wysokie, że wydawało mu się, że zaraz ona

ekspłduje, że znajdą go potem z rozwaloną czaszką na podłodze w salonie i pomyślą, że palnął sobie w łeb.

Powywracał meble. Kopiąc w ścianę, wybił w niej dziurę. Wyjął z szafy wszystką broń, jaką posiadał. Magazynek służbowego pistoletu opróżnił, strzelając w sofę. To, że żaden z sąsiadów nie zadzwonił po policję, świadczyło, jak bardzo jego dzielnica podupadła w ciągu ostatnich lat.

Pomiędzy wybuchami wściekłości zapadał w sen, kładł się tam, gdzie akurat stał – na podłodze w salonie, przy stole w jadalni – i budził się, by odkryć, że jego gniew jeszcze się nie wyczerpał.

Karl Dahl był na wolności, a on nie mógł na to nic poradzić. Do cholery, nikt nie pofatygował się nawet, by go o tym powiadomić. Każdy gliniarz w mieście przemierzał teraz ulice w poszukiwaniu Dahla – za wyjątkiem jego. Przełożeni posadzili go za biurkie'm. Równie dobrze mogli go spętać kajdanami.

Stan miotał się po swoim małym domu, ciężko oddychając i czując, jak ciśnienie w jego głowie ciągle narasta. Skończyła się noc. Był sobotni rano.

Włączył telewizor stojący na blacie kuchennym. Kanał 11 zrezygnował z wyświetlania sprawozdań z turniejów wędkarskich i tym podobnych lokalnych ciekawostek. Zamiast tego nadawał relację z ucieczki Karla Dahla i pobicia sędziny Moore.

Reporter stał na ulicy przed budynkiem więzienia i tłumaczył, jak doszło do zamieszek: jeden z więźniów zaatakował Karla Dahla, rozpętało się istne piekło, wezwano karetki pogotowia. Ze względu na wyjątkową sytuację i ciężki stan kilku więźniów zaniechano pewnych procedur. Nikt nie przypiął nieprzytomnego Dahla do noszy, na których jechał do szpitala.

„Totalna wtopa” – pomyślał Stan. Najważniejszy przestępca, jakiego kiedykolwiek złapał, największy sukces w jego całej karierze... Cały jego wysiłek poszedł teraz na marne z powodu głupoty i bezmyślności. Ktoś pozwolił, by zło wyrwało się na wolność i do woli przemierzało ulice miasta. Dobrzy ludzie i ich dzieci znaleźli się w niebezpieczeństwie.

Stan wyjął z szafki pudełko z płatkami kukurydzianymi i postawił na blacie, udając, że robi śniadanie. Starał się zachować pozory normalności, zrobić coś zwykłego, pozbywając się jednocześnie nadmiaru nagromadzonej energii – tak jakby powoli odkręcał zawór bezpieczeństwa.

W telewizji przeszli od zdjęć z więzienia do ujęć samochodów policyjnych, przeszukujących ciemne ulice, potem pokazali siedzibę Rady Okręgu i pobliski parking, a w końcu zdjęcie sędziny Moore.



Była ubrana w togę i miała poważny wyraz twarzy, z jej postaci biła wyniosłość. Oczy koloru zimowego nieba – chłodny błękit pomieszany z szarością – patrzyły przesywająco. Stan wiedział, że pod tym spojrzeniem człowiek czuł się jak robak u jej stóp.

Reporter nadający na żywo z parkingu mówił o napaści na Carey Moore. Miejsce zbrodni wciąż było otoczone policyjną taśmą, a ponumerowane kartoniki wskazywały miejsca, gdzie znaleziono potencjalne dowody, które następnie opisano i zapakowano w torebki.

Sędzina Moore wyszła na parking tuż po wydaniu wyroku w sprawie kryminalnej przeszłości Dahla. Napastnik wypadł z cienia i zaatakował od tyłu. Powalił ją na ziemię i bił, bił, bił...

Stan poczuł, jak robi mu się gorąco – nie tylko ze złości, ale również z podniecenia. W jakiejś nieznanej mu części jego mózgu zrodziła się myśl, że Moore dostała to, na co zasłużyła. Ktoś musiał nauczyć ją rozumu. W końcu pojęła, jak to jest być ofiarą, czuć bezradność i przerażenie.

Stan nigdy nie był człowiekiem agresywnym, ale nie był też tym, kim stał się wskutek morderstw Haasów. Czuł satysfakcję na myśl o uderzeniu Carey Moore, o wyładowaniu na niej swojej złości i frustracji. A złość i frustracja ulegały zwielokrotnieniu właśnie dlatego, że to przez nią zrodziły się w nim odczucia, które przeczyły jego naturze.

Takie myśli kotłowały się w jego głowie, gdy próbował otworzyć pudełko chrupków z rodzynekami. Nie mógł włożyć palca pod kartonową klapkę, brakowało mu paznokci.

Poczuł pulsowanie w głowie. Uszy wypełnił huk, jak gdyby w jego czaszce falował potężny ocean. Ciśnienie wewnątrz wciąż rosło i rosło.

W telewizji pokazywali dom Carey Moore nad Lake of the Isles. Ceglana twierdza, za bramą której mogła się czuć bezpieczna, chroniona przez elektroniczny system alarmów i zabezpieczeń. Moore myślała pewnie, że Dahlowie tego świata nie mogą jej tam dosięgnąć.

Zamknięcie pudełka nie dało się podważyć. Wbijał w nie palce, miął, nie pomagało. Przypadkiem upuścił je na podłogę. Gdy schylił się, by je podnieść, ciśnienie w głowie osiągnęło taki poziom, że omal nie zemdlał.

Cisnął pudełko na blat, chwycił nóż i zaczął je dźgać raz za razem, z wściekłością, której nie umiał już kontrolować.

Wbijał nóż z taką siłą, że ostrze grzęzło w powierzchni blatu. Zdawał sobie sprawę, że dźwięk, który dobiega jego uszu, ten prymitywny, zwierzęcy warkot, wydobywa się z tak głębokich i pierwotnych zakamarków jego wnętrza, że nawet nie wiedział, jak się stamtąd wydostał.

Płatki fruwały we wszystkich kierunkach. Machnął ręką, przewracając karton z mlekiem. Biała ciecz rozlała się po podłodze. Nóż utkwiał w blacie na dobre. Zaciął się, próbując go wyciągnąć. Złapał cukierniczkę i rozbił ją o ścianę, cukier rozsypał się po kuchni.

A to wszystko przez Moore.

I przez bezmyślnych strażników.

Wszystko przez Karla Dahla.

Stracił kontrolę nad sobą – a wszystko przez ludzi, którzy w ogóle się z nim nie, liczyli, jakby był kawałkiem brudu na podłodze. Jego życie się nie liczyło. Podobnie jak tych parę sukcesów, jakie w nim osiągnął.

Stan osunął się na ziemię i oparł plecami o kuchenną szafkę. Ścisnął głowę rękami. Po jego policzkach popłynęły łzy. Otworzył szeroko usta, jak do krzyku, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

A nawet jeśli by krzyczał, nie było nikogo, kto usłyszałby jego głos.

Karl drzemał przy trupie szmacciarza przez całą noc, budząc się na najłżejszy dźwięk dobiegający z ulicy. Siadał wtedy na chwilę i nasłuchiwał. Bezsenny czas spędzał, obcinając kępki włosów z głowy bezdomnego nożem do steków, który znalazł w wózku.

Samochód policyjny więcej się nie pojawił, żaden przyjaciel nie przyszedł też szukać bezdomnego, który leżał bez życia pod schodami zakładu tapicerskiego.

Ciemność pozwoliła mu być anonimowym. Teraz zbliżał się nowy dzień, a wraz z nim niepokój na myśl o tym, że wkrótce znajdzie się wśród ludzi. Oni jednak spojrzą na niego i nawet nie zauważą, kim jest – będą widzieć jedynie to, czym się stał, i dojdą do wniosku, że nie jest wart ich uwagi. Mają w końcu ważniejsze sprawy na głowie – po ulicach biega potrójny morderca.

Karl pomyślał, że powinien się ruszyć, zwiększyć dystans między sobą a szpitalem i tym trupem pod schodami.

Przede wszystkim musiał się jednak wypróżnić i znaleźć coś do picia. Gardło bolało go okrutnie od uścisku, w jakim Wąż trzymał jego szyję. Czuł, że w środku jest opuchnięte. Jego krtań nie była w porządku i z trudem przełykał ślinę. Potłuczoną czaszkę rozsadał potworny ból.

Powoli wyczołgał się z kryjówki pod schodami i stanął na nogi. Za zakładem tapicerskim znajdował się niewielki dok załadunkowy. W kącie stała stara, przeżarta rdzą ciężarówka, obłożona z niebieskiej farby. Wyglądała tak, jakby tam umarła. Jedna z opon była

całkiem płaska. Antena radiowa została zrobiona ze starego wieszaka.

Karl wypróżnił się za samochodem, a potem przekreślił boczne lusterko i przyjrzał się swojemu odbiciu. Białka jego oczu nabiegły krwią, naczynia krwionośne pękły wskutek duszenia. Twarz była posiniaczona i opuchnięta, wargi pęknięte i pokryte zaschniętą krwią. Zupełnie siebie nie przypominał, co w jego sytuacji było korzystne.

Biorąc po jednym kosmyku splecionych włosów bezdomnego, wpychał je pod wełnianą czapkę, tak, by ich końce zwisały luźno nad czołem i wokół twarzy. Zyskał w ten sposób kolejny element przebrania.

Pchając przed sobą sklepowy wózek, Karl szedł wzdłuż bocznej ulicy i zaglądał do kubłów, które mijał po drodze. Jakiś robotnik zostawił pół butelki piwa na skrzynce po owocach za barem. Karl wypił je, po czym wspiął się do kontenera, w którym wczoraj się chował. Znalazł tam kość wieprzową, na której zachował się jeszcze fragment mięsa i kawałek smażonej wątroby, twardej jak podeszwa. Wbił zęby w zimne, tłuste mięso na wieprzowej kości.

– E, ty! Wynocha z moich śmieci!

Przysadzisty mężczyzna w brudnym fartuchu i jeszcze brudniejszej podkoszulce na ramiączkach stał przed tylnymi drzwiami baru. Na głowie miał białą wełnianą czapkę z wywiniętym brzegiem. Umięśnione ramiona pokrywała masa granatowych tatuaży.

– Wyłaż, ty stary, popieprzony wszarzu! Ale już, kurwa!

Karl rzucił w jego kierunku ogryzioną kością, odwrócił się i odszedł, pchając przed sobą klekoczący po nierównym chodniku wózek. Przy końcu ulicy skręcił, doszedł przed bar, zaparkował wózek tak, by mieć go na widoku, i wszedł do środka.

Duża kobieta o ciemnej twarzy i kruczoczarnych włosach upiętych w wysoki kok wyszła zza lady z wściekłym wyrazem twarzy i mokrą ścierką w jednej ręce.

– Hej, ty! Wynoś się! – wrzasnęła. Sądząc po akcencie, mogła być Greczynką.

Karl wyjął z kieszeni dwadzieścia dolarów i pomachał do niej banknotem. Po raz pierwszy od czasu więziennej bójkę spróbował coś powiedzieć. Jego głos był szorstki jak papier ścierny, a mówienie bolało go jak cholera.

– Mam pieniądze – powiedział. – Chcę tylko kubek kawy i może smażone jajka. Mam pieniądze. Bardzo panią proszę.

Kobieta zatrzymała się dobre dwa metry przed nim i obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

– Widzi pani, miałem w życiu pecha – powiedział. – Nie chcę robić problemów. Może pani wziąć całą dwudziestkę, jeśli pani chce. Chciałbym tylko zjeść porządny posiłek. Rzadko

mi się zdarza jeść coś, czego wcześniej ktoś inny nie wyrzucił do kubła.

Wciąż mierzyła go wzrokiem, skrzyżowawszy ramiona pod sporym biustem.

– Nie możesz jeść tutaj. Wystraszysz mi klientów.

W lokalu nie było nikogo innego.

– Bardzo panią proszę... Tylko kawę. I może jakieś herbatniki? Cokolwiek...

Kobieta wciąż nie była przekonana, ale to, że nie zaczęła na niego wrzeszczeć, Karl uznał za doby znak.

– Jeśli byłaby pani taka miła – powiedział łagodnie. – Pan Jezus kocha tych, którzy pomagają braciom w potrzebie.

Kelnerka zbyła jego uwagę pogardliwym prychnięciem, obróciła się na obcasach swych ortopedycznych butów i odeszła.

Karl zastanawiał się, czy pójdzie do kuchni zawołać przysadzistego kucharza, by go przegonił. Czekać na rozwój sytuacji, spojrzał na wiszący nad ladą telewizor. Właśnie leciały wiadomości.

Tematem dnia był on sam. Jego ucieczka, poszukiwania, ostrzeżenie dla mieszkańców, by się do niego nie zbliżali, a w razie spotkania dzwoniли po policję. Jego portret jako niebezpiecznego przestępcy był mocno przerysowany i Karl się ucieszył. Nieczęsto uznawano go za osobę tak ważną.

Kolejnym tematem w wiadomościach była sędzina Carey Moore. Wczorajszego wieczoru została zaatakowana na parkingu koło pracy i przewieziona do Centrum Medycznego Okręgu Hennepin. Karl pomyślał, że może nawet znaleźli się tam w tym samym czasie. To dopiero byłoby coś – kobieta, która stanęła po jego stronie, znalazłaby się w tym samym oddziale pogotowia co on, może nawet z jego powodu.

W więzieniu wciąż się o niej rozmawiało. Najczęściej były to bezczelne i sprośne uwagi, bo była piękną kobietą, a w więzieniu – poza wyjściem na wolność – faceci myśleli głównie o seksie. A fakt, że była sędzią, nakręcał ich jeszcze bardziej. Posiąć kobietę, która ma władzę, podporządkować ją swojej woli, to silna stymulacja erotyczna. Karl czuł, że na niego również działa, gdy tak stał i oglądał relację z konferencji prasowej Carey Moore.

Miała duże oczy, spojrzenie nieruchome i stanowcze. Patrzyła w kamery z poważnym wyrazem twarzy. Jej usta były marzeniem każdego faceta – górna warga wygięta w łuk, dolna pełna, lekko wykrzywiona, jakby lekko nadąsana. Szyję miała jasną, gładką i niezwykle zgrabną.

Karl w życiu nie znał takiej kobiety. Była aniołem. Jego aniołem.

W telewizji pokazali zdjęcia jej domu. Transmisja na żywo, jak informował napis w

dole ekranu. Był to piękny budynek z cegły ze schludnym ogrodem i ładną, czarną, kutą bramą. Nie pałac, ale właśnie taki dom, w jakim powinna mieszkać dama.

Zdaniem reporterki mieszkańcy bogatej dzielnicy nigdy nie przejmowali się zbrodniami, trapiącymi inne części miasta, aż w końcu tragedia przydarzyła się jednej z nich. Jak twierdziła dziennikarka, była to cena, jaką sędzinie Moore przyszło zapłacić za sprzymierzenie się z mordercą.

„Na żywo z Lake of the Isles, Candy Cross, informacje kanału trzeciego”.

„Lake of the Isles – pomyślał Karl. – Jaka ładna nazwa...”

Duża Greczynka szła w jego kierunku przez salę pełną pustych stolików, wciąż z wściekłą miną, ale niosła styropianowe pudełko i kubek. Postawiła je na stole i odeszła, zanim mogłyby na nią przeskoczyć jego pchły.

– Masz – powiedziała. – Ale nie możesz tu jeść. Przestraszysz mi klientów. Idź stąd.

– Niech Bóg panią błogosławi – wyszeptał Karl i podał kobiecie dwadzieścia dolarów.

Złożyła banknot i wsunęła za stanik.

Nie wróciła z resztą.

## XV

Kovaca zbudził łomot, rozlegający się – jak sądził – w jego własnej głowie. Zegarek wskazywał 7:32 rano. W sobotę.

Wygrzebał się z łóżka, nagi jak w chwili urodzin, i podszedł do okna. Na dachu domu obok jego sąsiad idiota machał młotkiem. W ciszy poranka stukanie rozchodziło się jak salwy armatnie.

Kovac otworzył okno i wychylił się na zewnątrz.

– Elmer Fudd! Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery?!

Sąsiad spojrzał na niego groźnie, uniósłszy młotek, jak gdyby zaraz miał go cisnąć w okno Kovaca. Facet miał ponad siedemdziesiąt lat, złośliwe, świńskie oczka i więcej włosów w uszach niż na głowie. Teraz głowy nie było widać, bo Fudd miał na niej swą ulubioną lotniczą czapkę w szkocką kratę, z uszami podwiązanymi do góry. Końcówki sznurków sterczały mu na środku głowy jak owadzie czułki.

– Mocuję świąteczne dekoracje.

– O siódmej trzydzieści, kurwa?!

Starszy mężczyzna zmarszczył się gniewnie.

– Masz strasznie niewyparzoną gębę.

– Jeszcze się nawet nie rozkręciłem – odparł Kovac. – A ty chyba postradałeś zmysły! Świąteczne dekoracje? Jeszcze nie było Halloween!

– Widać, że się nie znasz! – krzyknął mężczyzna. – W „Almanachu farmera” pisali, że w tym roku zima zacznie się wcześniej. W Halloween może być burza śnieżna.

– Może też tak się zdarzyć, że zestrzelę cię z tego pieprzonego dachu, jeśli nie odłożysz młotka!

Sąsiad wykrzywił się niemiło.

– Znam swoje prawa. Rozporządzenie rady miasta mówi, że po siódmej trzydzieści mogą walić młotkiem, ile wlezie.

Odwróciwszy się tyłem do Kovaca, mężczyzna wziął kolejny gwóźdź i zaczął wbijać go w dach. Każdego roku było to samo: przed Bożym Narodzeniem ogródek staruszka zamieniał się w przedziwne muzeum świątecznych symboli. Ozdoby były wszędzie – stały na

dachu, zwisały z okapów i drzew, wypełniały trawnik. Święty Mikołaj przynosił prezenty małemu Jezuskowi. Anioł zwiastował dobrą nowinę gromadzie bałwanów z dykty. A wszystko to oświetlone większą liczbą żarówek niż Times Square. Przez osiem tygodni Kovac czuł się tak, jakby mieszkał drzewi w drzewi ze Słońcem.

– Nigdy nie słyszałeś o zwykłej ludzkiej życzliwości, ty stary pierdoło?

Mężczyzna wystawił język.

Kovac odwrócił się i wypiął do niego goły tyłek.

Zaczynał się kolejny dzień.

Prysznic. Plaster nikotynowy. Kawa. Dwa pączki, żeby uczynić zadość stereotypowi.

Poranne wiadomości lokalne były w całości poświęcone ucieczce Karla Dahla i oburzeniu, jakie wywołała ona wśród ludzi. Napad na Carey Moore zajął dalekie, drugie miejsce. Wszyscy i tak pewnie myśleli, że sama była sobie winna. Teraz, gdy dziennikarze niemalże podali jej adres do wiadomości publicznej, przed jej dom zjadą tłumy chętnych, by obrzucić go jajkami.

Albo i zrobić coś gorszego...

Kovac westchnął, potarł rękami twarz i zastanowił się, od czego zacząć. On albo Liska będą musieli porozmawiać z sekretarzem Carey Moore i dowiedzieć się, czy sędzina już wcześniej otrzymywała jakieś listy z pogrózkami. Trzeba będzie przejrzeć spis telefonów, jakie Moore odebrała w ciągu ostatniego miesiąca, i sprawdzić, czy nie ma tam numeru, z którego dzwoniło do niej wczoraj. Będą się też musieli dowiedzieć, czy z więzienia nie wyszedł ostatnio ktoś, kogo Moore posłała za kratki już jako sędzia albo jeszcze jako prokurator.

O dziewiątej stawia się w komendzie głównej przed porucznik Dawes, a ona bez wątplenia uświadomi im powagę sytuacji. Sama na pewno usłyszała już podobne kazanie od swoich szefów, których z kolei wymęczyli ich przełożeni, i tak aż do samego szczytu. Komendanta, do porządku przywołał sam burmistrz, a prokurator okręgowy został pouczony przez stanowego prokuratora generalnego. Kovac i Liska wysłuchają wykładu na temat karygodnych błędów policji i powszechnego oburzenia, jakby byli półgłówkami, którzy nie są w stanie sami zauważyć, co się wokół nich dzieje.

Chryste. Jak on nie cierpiał mieszania polityki w pracę porządnych gliniarzy. Zawsze mu się marzyło, by ustawić wszystkich wyższych oficerów w szeregu i kazać tym, którzy przez ostatnie dziesięć lat nie pracowali na ulicy, zrobić wielki krok w tył, a potem patrzeć, jak wpadają do wielkiej, czarnej dziury i giną w niej na zawsze.

Najchętniej poszedłby na to spotkanie później. Na przykład po zamknięciu sprawy.

Musiał porozmawiać ze Stanem Dempseyem.

„Wpadłeś, stary” – powiedział sam do siebie.

Kovac nigdy nie wzbraniał się przed ściganiem glin. Zły facet był po prostu złym facetem, nieważne, że nosił odznakę. Dawno temu pracował nawet w wydziale spraw wewnętrznych i dość dobrze poznał ten śliski teren. Ale Stan Dempsey nie był złym policjantem. Kovac naprawdę mu współczuł.

Dempsey przez całe życie się nie wychylał. Był porządnym gliniarzem, ale nikt z szefostwa nie zauważał go aż do chwili, gdy stał się ciężarem dla wydziału. Stan nie miał kumpli, był dziwny, cichy i mało towarzyski. Lepiej by mu się pracowało w kostnicy niż w terenie, ale był gliniarzem, a pewnie tylko o tym w życiu marzył.

Kovac wątpił, by któryś z byłych partnerów Stana naprawdę coś o nim wiedział. Ale to, że Stan stracił panowanie nad sobą, gdy po raz pierwszy przesłuchiwali Karla Dahla w związku z morderstwami na Haasach, wiedzieli wszyscy. Dempsey wpadł w furję, trzy razy większą niż on sam. Kompletnie oszalał. Trzeba było dwóch policjantów, by odciągnąć go od aresztowanego. Rzucał przekleństwami, oczy miał wywrócone prawie do środka głowy i toczył pianę z ust. Musieli podać mu środki uspokajające.

Kovac próbował sobie wyobrazić, jak Stan Dempsey czeka w ukryciu na Carey Moore, wyskakuje zza samochodu, rzuca się na nią, przewraca na ziemię i uderza raz za razem.

„Ty pieprzona cipo. Ty dziwko”.

Stan miał w sobie tę tłumioną wściekłość, ukrytą za twarzą pozbawioną wyrazu i obojętnym zachowaniem. Kovac chwycił długopis i na rachunku z pizzerii Domino zanotował, by poprosić technika wideo o powiększenie obrazu narzędzia zbrodni. Jeśli to była policyjna pałka... to było źle.

Stan Dempsey mieszkał nie dalej niż milę od Kovaca w niewielkim, dwupiętrowym domu krytym szarym drewnem i wykończonym białymi listwami. Ogródek przed domem usłany był liśćmi klonu, które wiatr przywiał ze skweru po drugiej stronie ulicy.

Kovac podszedł do drzwi i nacisnął guzik dzwonka. W domu panowała cisza. Nie słyszał szczekania psa ani kroków Stana. Zadzwoił jeszcze raz i czekał.

Gdzie Stan mógł pójść o tak wczesnej porze w sobotni rano? Może do sklepu po zakupy? Stan wydawał się Kovacowi facetem, który jadał smażoną wątróbkę z cebulą, zapiekankę z ziemniaków i mięsa oraz inne potrawy, jakich normalni ludzie nie tykali – jakies



ozory i ogony.

Stan wciąż nie podchodził do drzwi. Kovac spróbował przekręcić gałkę. Zamknięte.

Może poszedł na spacer. Może wyjechał z miasta na weekend. Jakieś dawne wspomnienie kazało mu pomyśleć, że Dempsey jest wędkarzem. Może miał jakiś domek w lesie nad jednym z tysięcy jezior Minnesoty.

Kovac odszedł od drzwi i stanął przed kwadratowym oknem wychodzącym na ulicę. Zastłony były szczelnie zasunięte i nie mógł zajrzeć do środka.

W oknie z boku domu, za którym prawdopodobnie znajdowała się jadalnia, wisiała tylko siatkowa firanka i Kovac mógłby zobaczyć, co dzieje się wewnątrz, ale okno było umieszczone zbyt wysoko, by dało się do niego dosięgnąć.

Udał się na tył domu. Niedaleko tylnych drzwi znajdował się grill. Na betonowym tarasie stały tanie, plastikowe meble – mały stół i pojedyncze krzesło. Obraz samotności. Kovac wziął krzesło i wrócił do okna z siatkową firanką.

Nie miał pojęcia, co spodziewał się zobaczyć w środku. Ale na pewno nie oczekiwał widoku, który ukazał się jego oczom. Mała, tradycyjnie urządzona jadalnia, pomalowana na bladezielone. Zwyczajny wiśniowy kredens. Tradycyjny stół... z arsenałem broni na blacie. I kamera na statywie naprzeciw odsuniętego od stołu krzesła.

– O, cholera – powiedział Kovac szeptem, czując, jak ściska mu się żołądek.

– Czy mogę panu pomóc?

Kovac obejrzał się przez ramię i ujrzał drobną, starszą kobietę ubraną w liliową podomkę w kwiatki i kapcie w kształcie uszatek królików.

– Jestem oficerem policji, proszę pani – powiedział, schodząc z krzesła. Wyjął z kieszeni płaszcz odznakę i legitymację, pokazał kobiecie.

Ledwie rzuciła na nie okiem.

– Pan Dempsey też jest policjantem – powiedziała. – Detektywem.

– Tak, proszę pani, wiem.

– Jestem jego sąsiadką. Nazywam się Hilda Thorenson.

Miał ochotę powiedzieć Hildzie, że nie powinna zbliżać się do obcych, którzy wyglądają tak, jakby mieli obrabować czyjś dom, ale doszedł do wniosku, że teraz nie jest na to odpowiednia pora.

– Nie wie pani, czy pan Dempsey jest w domu? – zapytał.

– Och, nie. Skąd miałabym to wiedzieć? Czemu pan pyta? Coś się stało?

– Może... – odpowiedział Kovac.

Jego myśli galopowały. Głowę wypełnił mu obraz Stana Dempseya, wkładającego lufę

pistoletu do ust. Nie miał ochoty, by to zobaczyć. Kilka razy musiał się zajmować samobójstwami policjantów. Nie chciał spojrzeć na kolejnego martwego gliniarza i pomyśleć: „To mogłem być ja”. Nie pragnął stanąć przed kolejną żoną, dziewczyną, córką lub synem i tłumaczyć, że ich bliski wybrał śmierć, bo ból, jaki sprawiało mu życie, stał się nie do zniesienia.

Rodzina nigdy nie umiała zrozumieć przyczyny. Dlaczego mąż, partner, ojciec – a czasem żona, partnerka, lub matka – nie przyszedł do mnie, by podzielić się tym bólem? Dlaczego on lub ona nie udali się do księdza, rabina lub psychiatry po radę i pomoc? Nie potrafili pojąć, że policjanci nie wierzyli, by rozumiał ich ktokolwiek prócz innych policjantów. A przecież i tak nie zwierzali się sobie nawzajem z problemów, jakie ich trapiły. Nie chcieli swym kolegom wydać się słabymi ani dać powodu przełożonym, by zaczęli im się przyglądać ze szczególną uwagą.

Kovac nagle poczuł się winny, że przez tyle lat nie zadał sobie trudu, by poznać Stana Dempseya. Może gdyby to zrobił, facet miałby w ogrodzie przynajmniej dwa białe, plastikowe krzesła.

– Muszę dostać się do mieszkania pana Dempseya – powiedział Hildzie Thorenson. – Obawiam się, że coś mogło mu się stać.

Starsza kobieta wyglądała na przejętą.

– O mój Boże!

Kovac spróbował otworzyć tylne wejście. Zamknięte. „Cholera”. Był za stary na to, by wyważać drzwi.

– Mam klucz – odezwała się sąsiadka. – Na wszelki wypadek. Proszę zaczekać. Przyniosę go.

Kovac patrzył za nią, gdy oddalała się w tempie niewiele szybszym od żółwiego. Musiała mieć co najmniej osiemdziesiąt lat. A Dempsey mógł właśnie w tej chwili siedzieć na kiblu i zbierać się na odwagę, by pociągnąć za spust.

Dempsey musiał się czuć zdesperowany już od dawna, siedząc za biurkiem, podczas gdy inni rozwiązywali sprawę, która doprowadziła go do rozstroju nerwowego. Z pewnością był wkurzony zarządzeniem sędziny Moore, może nawet do tego stopnia, by posunąć się do rękoczynów. A ucieczka Karla Dahla przepełniła czarę.

Kovac nie mógł dłużej czekać.

Podszedł do tylnych drzwi, uchylił siatkową osłonę i zablokował haczykiem, by się nie zamykała. Podniósł żeliwną doniczkę, w której stała świeca przeciw owadom, i wybił nią małą szybkę w drzwiach. Dziesięć sekund później był już w środku, nawołując Dempseya.

Nie próbował nawet rozglądać się wokoło. Biegiem przemierzał niewielkie mieszkanie.

– Stan? To ja, Sam Kovac. Gdzie jesteś? – krzyczał, otwierając drzwi do małej łazienki, do której wchodziło się z korytarza. Pusta. Domowy gabinet Dempseya. Pusty. Sadząc po dwa stopnie, pobiegł schodami na górę, przygotowując się na odgłos wystrzału.

– Stan? Gdzie jesteś? Musimy porozmawiać!

Pierwsza sypialnia. Pusta. Druga. Też pusta.

Biorąc głęboki oddech, Kovac położył dłoń na klamce drzwi do łazienki. Na ogół tutaj to robili – w łazience, którą najłatwiej było później posprzątać.

Kovac pchnął drzwi.

Pusto.

Sekunda ulgi.

Zbiegi na dół i wypadł przez tylne drzwi, niemalże przewracając wścibską sąsiadkę.

Garaż.

Dwutlenek węgla.

Ale mały, wolno stojący garaż był pusty.

Nie było w nim ani Stana, ani jego samochodu.

„Cholera”.

– Co się dzieje? – zapytała starsza kobieta. – Czy pan Dempsey jest ranny?

– W ogóle go tu nie ma, proszę pani – odpowiedział jej Kovac.

– Nie mam pojęcia, gdzie mógł się podziać – powiedział takim tonem, jakby nie mogła sobie wyobrazić, że Stan Dempsey ma jakiegokolwiek życie prywatne.

Kovac potarł ręką kark i westchnął ciężko.

– Muszę panią prosić, by wróciła pani do domu. Policja wkrótce przyjedzie odgrodzić to miejsce.

Kobieta wyglądała na zmieszaną i przestraszoną.

– O, jejku, jejku.

– Dziękuję pani za pomoc – powiedział Kovac. Stał i patrzył, jak starsza pani odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Uszy jej króliczych kapci kołysały się w rytm kroków.

Morderca powiesił dzieci Haasów w piwnicy. Była więc pewna logika w myśleniu, że Stan Dempsey również mógł wybrać piwnicę jako miejsce swojej śmierci.

Kovac wrócił do domu i zapalił światło na schodach prowadzących do piwnicy.

– Stan. To ja, Sam Kovac. Schodzę na dół – ostrzegł. Idąc powoli, pokonywał stopień po stopniu.

Piwnica była wykończona sękatymi sosnowymi deskami, na podłodze leżał tani, zielony dywan, a sufit wyłożony był dźwiękochłonnymi panelami, pożółkłymi od dymu. Przestrzeń nie była podzielona ścianami. Jeden kąt służył jako pralnia, inny do przechowywania najróżniejszych rzeczy. Pozostałą przestrzeń Stan przeistoczył w prywatne centrum dowodzenia.

Pod ścianą stało kilka korkowych tablic, pokrytych zdjęciami z domu Haasów, zdjęciami z sekcji zwłok, kopiami raportów, własnymi notatkami Dempseya. Nad tablicami rozpięty był kawał papieru pakunkowego, na którym Stan rozrysował linie czasu: kto, kiedy, gdzie się znajdował, o której znaleziono ciała, o jakiej porze – według koronera – doszło do zgonu. Kartonowe pudełka na blacie biurka zawierały odpisy akt sprawy.

Nic z tego nie wydało się jednak Kovacowi szczególnie dziwne. On sam miał piwnicę pełną akt spraw, które kiedyś prowadził. Większość detektywów, których znał, miała takie piwnice. Trzymali te graty z różnych przyczyn – z powodu przesądów, paranoi, na wypadek gdyby sprawa miała przepaść w sądzie w odwołaniu, w razie gdyby posterunek miał spalić się do szczytu i po oryginałach nie zostałoby ani śladu. On sam w swoim domowym biurze rozkładał papiery spraw, które prowadził, by jeszcze raz się nad nimi zastanowić w wolnym czasie.

Rzecz, jaka w piwnicy Stana Dempseya niepokoiła Kovaca najbardziej, było krzesło. Drewniane krzesło z wysokim, prostym oparciem, ustawione naprzeciw tablicy ze zdjęciami. Obok niego na podłodze stała duża, czerwona popielniczka pełna popiołu i niedopałków.

Kovac wyobraził sobie Dempseya, siedzącego godzinami na tym krześle, wpatrującego się w te zdjęcia kaźni. Obrazy z najciemniejszych zakamarków ludzkiej wyobraźni, wprost z najgorszego koszmaru. Czysta brutalność zatrzymana w czasie. Twarze ofiar pozbawione wyrazu, patrzące prosto w obiektyw. Umysł nie chciał przyjąć do wiadomości, że na kilka godzin przed zrobieniem tych zdjęć, byli to prawdziwi, żyjący ludzie. Albo że przez te kilka godzin poprzedzających śmierć ci ludzie – matka i dwoje małych dzieci – zostali poddani okrutnym torturom, doświadczyli niewyobrażalnego strachu i z pewnością zdawali sobie sprawę z tego, że zginą.

A jeśli umysł pozwalał tej rzeczywistości wniknąć do swojego wnętrza, to nagle zaczynało się słyszeć krzyki ofiar, widzieć strach na ich przerażonych twarzach. Zbyt łatwo było zobaczyć ten okrutny horror przed własnymi oczami.

Jeśli policjant pozwalał, by stało się coś takiego, jeśli sprawę taką jak ta traktował osobiście, jeśli godził się na to, by logika, rutyna i dystans ustąpiły emocjom, współczuciu i woli odwetu... to wkraczał na drogę szaleństwa.

Złe przecucie ciążyło mu jak kamień na sercu, gdy wspinał się po schodach na górę. Tym razem idąc przez dom, dokładnie się wszystkiemu przyjrzał.

W kuchni panował okropny bałagan. Płatki kukurydziane leżały na blacie i podłodze, tak jakby pudełko eksplodowało. Pośród płatków wlały się rodzynki, jak szczurze odchody. Z przewróconego kartonu wylało się mleko.

Pudełko po płatkach nosiło ślady nakłuć nożem. Kuchenny blat doznał podobnych zniszczeń. Samego noża nie było nigdzie widać, ale na blacie zostały ślady krwi.

„Stan postradał tutaj zmysły” – pomyślał Kovac, przyglądając się chaosowi. Zauważył mały telewizor. Właśnie nadawano lokalne wiadomości, ale dźwięk był wyłączony. Na ekranie widoczna była paskudna morda Karla Dahla, obok podawano opis jego osoby.

Uznany za niezwykle groźnego przestępcę.

Nie zbliżać się.

Bezzwłocznie dzwonić na policję.

Kovac przeszedł do jadalni, z której zobaczył pokój dzienny, a w nim wszystko przewrócone do góry nogami. Stara, brązowa sofa została przestrzelona wieloma nabojami. Lampa leżała na podłodze. Niski stolik był przewrócony.

„Co się tu do cholery stało?”

Kovac przez chwilę rozważał myśl o włamaniu, ale przecież dom był zamknięty na głucho. Nie. To z pewnością zrobił sam Dempsey. To był obraz gniewu, który narastał w tym spokojnym, cichym, niezrozumianym człowieku, od kiedy został wezwany do potrójnego morderstwa pewnego burzowego wieczoru w sierpniu zeszłego roku.

Rozłożona na stole w jadalni kolekcja broni była imponująca. Śrutówki, strzelba myśliwska, kilka ręcznych pistoletów, z których dwa wydawały się pochodzić z okresu drugiej wojny światowej. Noże o ostrzach różnej długości i kształtu. Stara, skórzana sakiewka wypełniona piaskiem lub śrutem. Policjanci nosili taką broń jeszcze przed wprowadzeniem praw Mirandy. Uderzenie czymś takim w okolice ucha mogło powalić nawet rosnącego chłopca, jeśli się wiedziało, jak to zrobić. Nikt już nie nosił takich sakiewek, a w każdym razie nie w zgodzie z prawem.

A nad bronią – w schludnym rzędzie – medale. Purple Heart, medal za rany odniesione w walce. Brązowa Gwiazda. Kilka odznaczeń policyjnych. Wszystkie rozłożone jak na wystawie, jakby Stan naprawdę spodziewał się, że do jego domu przyjdą ludzie. To były rzeczy, które chciał pokazać – wyróżnienia za kolejne, dobrze przeżyte etapy w życiu: pobyt w armii, na wojnie, służba w policji.

Na kredensie stały dwie oprawione w ramki fotografie. Stan w brzydkim garniturze z

lat siedemdziesiątych i szerokim krawacie, obok niego mała atrakcyjna kobieta z tlenionymi, sztywnymi od lakieru i wysoko natapirowanymi włosami, wyglądającymi jak kask. Przed nimi siedziała dziewczynka w wieku pięciu, może sześciu lat i jako jedyna z trójki uśmiechała się szeroko, pokazując szczerbę po przednim zębie.

Rodzina Kovac nie wiedziała, że Dempsey kiedyś był zonaty. Trudno mu było to sobie wyobrazić. W domu nie zauważył żadnych przedmiotów świadczących o obecności kobiety. W szafie nie było damskich ubrań, w łazience ani na nocnej szafce nie stały kosmetyki. Żona Stana odeszła w skutek śmierci lub rozwodu. Mała dziewczynka dorosła i dawno temu wyprowadziła się z domu.

W końcu Kovac z lękiem spojrział na kamerę wideo, złowieszczo wpatrującą się w samotne krzesło odsunięte od stołu. Stanął za nią i rozważał, jak przestawić urządzenie z funkcji nagrywania na odtwarzanie.

Na małym ekranie pojawił się Stan Dempsey, wyszedł zza kamery i usiadł na krześle. Gdy zaczął mówić, jego głos był całkowicie pozbawiony emocji. Bardzo rzeczowy. Mówił o rzeczach, które zdarzyły się w jego życiu, i o tym, że jedyne, o czym kiedykolwiek marzył, to zostać policjantem. Detektywem. Mówił, że przez długie lata bardzo kochał swoją pracę. Wymienił kilka spraw, z których rozwiązania był szczególnie dumny.

W tle widać było kuchenny blat i stojący na nim słoik na ciastka w kształcie siedzącej świnki. Kovac oderwał wzrok od ekranu i spojrział przez drzwi do kuchni. Faktycznie, słoik stał na swoim miejscu – taka śmieszna, kolorowa rzecz, w ogóle niepasująca do swojego właściciela i całkowicie kontrastująca z dziwacznym, mrocznym tonem nagrania.

Cała ta sytuacja wydawała się nierealna. Dempsey był opanowany – jak człowiek, który podjął ważną decyzję – i teraz odczuwa spokój. Wybrał jeden z noży. Mówiąc, co to za nóż i do czego służy, czule gładził jego ostrze.

Odłożył pierwszy nóż i podniósł następny – myśliwski, szeroki, lśniący, z przerażającym, ząbkowanym ostrzem. Wyjaśnił, że używa się go do podcinania zwierzęcych gardeł, do patroszenia i obdzierania ze skóry.

Potem sięgnął po nóż do filetowania i opisał proces oddzielania mięsa od kości. Do tego potrzebny jest bardzo ostry nóż – mówił. Później opowiedział, jak sam pieczołowicie ostrzy i pielęgnuje swe noże.

Ani noża myśliwskiego, ani tego do filetowania nie było teraz na stole.

Na nagraniu Dempsey podniósł teraz długi nóż o rozdwojonym ostrzu, taki, jaki sprzedają w zestawie do grillowania.

„W zależności od sposobu, w jaki się go użyje – ciągnął Dempsey swoim

bezbarwnym, monotonnym głosem – może stać się bardzo skutecznym narzędziem”.

„Jezu Chryste!”

Później przeszedł do opowiadania o broni palnej. Dwa pierwsze pistolety z kolekcji należały jeszcze do ojca Dempseya: jego własny z okresu drugiej wojny światowej i ten, który zabrał martwemu Niemcowi.

W końcu nawiązał do morderstwa Haasów. Mówił o tym, jak ciężko pracował nad tą sprawą i o wściekłości, jaką poczuł w pokoju przesłuchań, gdy usiadł naprzeciwko człowieka, który zamęczył na śmierć kobietę i dwójkę dzieci. Opowiadał o złości, jaka go ogarnęła, kiedy przełożony odsunął go nie tylko od sprawy, ale od służby w ogóle, i posadził go za biurkiem.

„...a teraz sędzina podjęła decyzję, że dawne zbrodnie Karla Dahla nie mogą posłużyć jako dowód w sądzie. Przysięgli mogliby się zbytnio zasugerować. Sędzina Moore się obawia, że wiedza o tym, jak rodził się ten zbrodniarz, jak dorastał do potrójnego morderstwa, mogłaby nieprzychylnie nastawić przysięgłych do Dahla. Cóż, czy nie o to właśnie chodzi? – pytał Stan Dempsey. – Czy mamy udawać, że do czasu, gdy zaszlachtował Marlene Haas i jej dwoje dzieci, Karl Dahl był cholernym harcerzykiem? Oczywiście, że nie! Był przestępcą i zbrodniarzem, ale ława przysięgłych o tym nie usłyszy”.

Dempsey wolno pokiwał głową.

„To po prostu nie jest w porządku. Sędzia nie może wytrącać oskarżeniu argumentów z rąk. Decyzja sędziny Moore spowodowała, że Dahl znalazł się o krok od uniknięcia odpowiedzialności za potrójne morderstwo. Powinna się za to wstydzić.

Słyszałem, że ma córkę. Ciekaw jestem, jakby się czuła, gdyby to jej dziecko ktoś zgwałcił i powiesił pod sufitem jak zarżnięte jagnię. Myślę, że inaczej by śpiewała”.

„Boże” – z przerażeniem pomyślał Kovac.

Zrobiło mu się niedobrze.

„Oczywiście teraz to nie ma znaczenia – ciągnął Dempsey. – Karl Dahl jest na wolności. Uciekł. Nie wiem, jak to mogło się stać, ale się stało. Muszę coś z tym zrobić. Wezmę na siebie odpowiedzialność i zrobię, co trzeba. Winni muszą ponieść karę...”

Winni muszą ponieść karę”.

Ekran zaczął śnieżyć.

Stan Dempsey zniknął.

## XVI

Carey była zaskoczona, gdy obudziła się w sobotni rano – nie mogła uwierzyć, że noc już minęła. Spędziła ją zawieszona w dziwnym mroku pomiędzy snem a jawą, bez wypoczynku, męczona koszmarami. Czuła się tak, jakby nieznana siła wciągała ją pod ciemną wodę i oplatała obrazami przemocy. Starła się wyrwać, uciekała na powierzchnię jawy, z trudem łapiąc powietrze tylko po to, by za chwilę znów zapaść w toń.

David nie przyszedł do łóżka. Gdy odprowadził ją na górę, powiedział, że spędzi noc w pokoju gościnnym, by ona mogła dobrze wypocząć. Carey wiedziała, że jemu tak samo jak jej myśl o osobno spędzonej nocy przyniosła ulgę. Choć chciałaby mieć koło siebie kogoś, kto dodałby jej otuchy, tą osobą nie był jednak jej mąż. David nie nadawał się do roli obrońcy i opiekuna, musiała więc być silna i niezależna, by nie musiał jej odgrywać.

Carey podniosła się z bólem, ostrożnie usiadła na brzegu łóżka i spuściła nogi na podłogę. Czuła zawroty głowy, jednak nie tak silne, jak się spodziewała. Teraz należało wstać. Udało się. Szła co prawda jak staruszka, bo od upadku na beton okropnie bolały ją kolana, ale doszła do łazienki.

Twarz, jaką zobaczyła w lustrze, wyglądała jak z horroru. Podbite oczy, potężny guz na czole, czarny szew na spuchniętej wardze. Na jej widok przestraszyłby się niejeden dorosły. Myśl, że w takim stanie zobaczy ją córka, bolała ją bardziej niż wszystkie rany.

Lucy miała dopiero pięć lat. Carey powie jej tylko, że ktoś ją przewrócił. Co innego, gdyby była starsza: znajome dzieci mogłyby nagadać jej jakichś bzdur podsłuchanych u rodziców. Na szczęście zainteresowania pięciolatek wciąż obracały się wokół niewinnych wydarzeń z ich małego świata.

Carey ogarnęło przemożne uczucie czułości. Chciała wziąć Lucy w ramiona, przytulić ją mocno i ochronić przed całym złem świata. Przez lata pracy, najpierw jako prokurator, a potem sędzia, Carey widziała go tak dużo... Wszystkie te okropne rzeczy, jakie jeden człowiek potrafił uczynić drugiemu bez żadnego powodu... Tak bardzo chciała ustrzec przed nimi swoją córkę.

Pomyślała o dwójce adoptowanych dzieci wiszących pod sufitem w domu Haasów. Czy ich rodzona matka czuła to samo?



Poruszając się w zwolnionym tempie, Carey rozebrała się i rzuciła podarte spodnie i bluzkę na podłogę. Będzie musiała je wyrzucić. Wzięła ciepły prysznic, krzywiąc się z bólu, gdy woda dotknęła ran na skórze dłoni i kolan. Powinna była poprosić Ankę o pomoc, ale się wstydziła. To David powinien przy niej być. Nawet jeśli ona wcale tego nie chciała, powinien tu być. Powinien ofiarować jej pomoc i współczucie.

Zastanawiała się, co pomyślał o nich wczoraj Kovac. Był dobrym gliną, a taki człowiek szybko rozgryza ludzi i widzi, jakie relacje ich łączą. Kovac od razu obdarzył Davida niechęcią, to było jasne. Niemal wprost oskarżył jej męża, że był z inną kobietą, kiedy powinien siedzieć przy niej. I pewnie tak właśnie było, ale Carey nie miała teraz siły o tym myśleć. I wiedziała, że to również nie umknęło uwagi Kovaca.

Włożyła szare, rozciągnięte spodnie od dresu i czarny, kaszmirowy sweter, który był tak sprany i znoszony, że czuła się w nim równie bezpiecznie, jakby owinięto ją w kocyk z dzieciennego łóżeczka.

Krótkie spojrzenie przez frontowe okno potwierdziło jej obawy, że media tak szybko nie przestaną się nią interesować. Po drugiej stronie ulicy zaparkowało kilkanaście wozów transmisyjnych wszystkich lokalnych stacji telewizyjnych z antenami podniesionymi w stan gotowości.

Wóz patrolowy, jaki Kovac obiecał przysłać, stał przed jej domem jak duży, obronny pies. Nie pierwszy raz Carey potrzebowała policyjnej ochrony. Kiedy jako prokurator zajmowała się porachunkami mafii, niejednokrotnie znalazła się w niebezpieczeństwie. Stawanie twarzą twarz z gangsterami i ich oślizgłymi prawnikami na ogół nie kończyło się dobrze.

Ale siedzenie za stołem sędziowskim nie było łatwiejsze. Z procesu karnego jedna strona zawsze wychodziła niezadowolona, pełna urazy i poczucia krzywdy. Tylko dla wygranych sędzia był przyjacielem.

Odwróciwszy się od okna, Carey po raz pierwszy zauważyła, że dom pogrążony był w ciszy. Nie słychać było telewizora, w którym o tej porze emitowano poranny program dla dzieci. Z kuchni nie dobiegały odgłosy śniadania. Co prawda było jeszcze wcześniej, ale Anka nawet w weekendy budziła się o świcie, a Lucy zaraz po niej.

Carey otworzyła drzwi sypialni i nasłuchiwała. W powietrzu unosił się zapach kawy, ale było tak cicho, że słyszała tykanie zegara stojącego w korytarzu na dole. Drzwi do pokoju Lucy stały otworem. Widziała brzeg zasłanego łóżka. Drzwi do pokoju Anki były zamknięte. Carey zapukała w nie cicho, ale nikt nie odpowiedział.

Zajrzała do pokoju gościnnego, oczekując, że zastanie w nim rozbebeszone łóżko.

David nigdy po sobie nie ścielił, w życiu nie podniósł z ziemi brudnej koszuli czy skarpet. Zawsze zostawiał pokój w takim stanie, jakby splądrowali go złodzieje. A teraz nie było nawet śladu, żeby w nim spał.

– Hej, jest tam kto? – zawołała w dół schodów.

Dom był pusty. Wszyscy wyszli. Zostawili ją bez słowa, zakładając pewnie, że będzie chciała porządnie się wyspać.

Carey zdawała sobie sprawę, że sytuacja miała swoje logiczne wytłumaczenie, lecz pomimo tego poczuła ukłucie niepokoju. Pozostałość po ataku. Nieracjonalny strach w bezpiecznym otoczeniu. Nieuzasadnione uczucie, że jej bliscy są w niebezpieczeństwie. Obawa przed tym, że jej napastnik wróci.

„Jadę po ciebie, suko”.

Wspomnienie tego niskiego, ochryplego głosu było jak dotknięcie lodowatej ręki na szyi.

Carey otrząsnęła się z przykrego wrażenia i powoli, z trudem zeszła na parter.

W gabinecie, w którym wczoraj rozmawiała z Kovacem, znalazła ślady obecności Davida. Spędził noc na kanapie. Złota, szenilowa kapa leżała na podłodze. Na niskim stoliku stała ciężka, kryształowa szklanka – pusta, za wyjątkiem wyciśniętego plasterka limonki. David nie użył podkładki, by chronić stary mebel, prezent od jej ojca.

Carey podniosła szklankę i zanurzyła palec w kropli płynu na dnie. Gin. Wciąż czuć było jego kwaskowaty, drażniący aromat.

To ona została pobita i obrzucona pogrózkami, a on pił!

Wyczerpana wysiłkiem, jakim było zejście na dół, Carey usiadła na skórzanym krześle przed biurkiem Davida. Cisza dzwoniła jej w uszach, miała zawroty głowy, jakby pod czaszką krążyło jej stado ptaków. Próbowwała przeczekać ten zamęt, wpatrując się z uwagą w stojące na biurku przedmioty – płaski monitor IBM-a, telefon, notatnik.

Przypomniała sobie, że gdy obudziła się ostatniej nocy, słyszała, jak David z kimś rozmawia. Czy to zdarzyło się naprawdę? A może był to jeden z jej majaków? Z kim mógł rozmawiać o trzeciej nad ranem? Czy Kovac został u nich w domu aż tak długo? Nie, nie zapamiętała jego głosu, tylko głos swojego męża.

Uważniej przyjrzała się notatnikowi. David zawsze bazgrał nerwowo, gdy rozmawiał przez telefon. Kartka na samej górze była czysta, ale wyraźnie widać było na niej wgłębienia: ślady po długopisie. Nie mogła odczytać ani słowa, ale w koszu koło biurka znalazła zwiniętą w rulonik kartkę z tego samego notatnika.

Nie wahała się ani przez moment. Nie czuła cienia winy. Sięgnęła do kosza i wyjęła

kartkę, trzymając ją z taką samą obojętnością, jak śledczy trzyma dowód rzeczowy.

Większość znaków pokrywających kartkę stanowiły ciemne, geometryczne kształty, przeróżne czworokąty, kostki, kwadraty. Na środku widniała jednak liczba – dwadzieścia pięć tysięcy – i symbol dolara. Suma była podkreślona trzema grubymi kreskami.

Może w końcu znalazł sponsora swojego filmu.

Ale jeśli kartka miała jakiś związek z rozmową, którą – jak jej się wydawało – słyszała, to jej mąż musiałby prowadzić interesy w środku nocy. Było to bardzo mało prawdopodobne – chyba że znalazł sponsorów w Chinach.

Późnonocne, prowadzone ściszym głosem rozmowy były na ogół rozmowami kochanków. Albo partnerów w interesach, o których nie można było rozmawiać w świetle dnia.

Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to sporo pieniędzy. Dwadzieścia pięć tysięcy w środku nocy to łapówka, spłata długu albo szantaż.

Carey złożyła kartkę, schowała ją do kieszeni swetra i zastanowiła się, w co do cholery wpakował się jej mąż.

Popatrzyła na telefon, rozważając krok, jaki miała zamiar wykonać. Stała przed wyborem: jeśli zrobi to, co planuje, znajdzie się na prostej drodze do zakończenia ich małżeństwa. Tylko że ich małżeństwo w zasadzie już nie istniało. Nie było sensu wahać się, denerwować albo bać, że to może wyjść na jaw.

Nie pozwalając sobie na żadne emocje – poczucie winy, smutek lub złość – podniosła słuchawkę i przejechała na sam dół listy połączeń przychodzących. Tajemniczy numer. Ten, z którego ktoś dzwonił do Marlene, a potem do jej ucha wyszeptał: „Jadę po ciebie, suko”.

Jeśli więc David rozmawiał w nocy z tego aparatu, to on musiał wykonać telefon.

Nacisnęła guzik ponownego wybierania numeru, przez moment wsłuchiwała się w sygnał po drugiej stronie – nikt nie podnosił słuchawki. Po chwili odezwała się automatyczna sekretarka pizzerii Domino z informacją o godzinach otwarcia lokalu.

Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to trochę dużo jak na kupienie pizzy.

David nie użył więc tego aparatu. Jeśli tajemnicza rozmowa w ogóle się odbyła, musiał rozmawiać przez telefon komórkowy.

Carey otworzyła górną szufladę po lewej stronie biurka. Było to ich wspólne miejsce na przeróżne drobiazgi, jakich potrzebowali na co dzień – blankiety czeków, znaczki pocztowe, naklejki z adresami. Tu trzymali bilety na różne wyjścia, spinacze do papieru i rachunki do zapłacenia. Używając tej szuflady, żadne z nich nie oczekiwało od drugiego respektowania prywatności.

Przejechała ręką po leżących tam rzeczach, schludnie poukładanych w kilku oddzielnych przegródkach. Jej palce trafiły na bilety na pokaz jazdy figurowej. Widząc je, Carey uśmiechnęła się, boleśnie naciągając szwy na wardze. Ostatnią pasją Lucy było łyżwiarstwo. Cieszyła się, że zabierze swoją córkę na pokaz.

Do wczoraj. Pokaz miał się odbyć za dwa dni. Do tego czasu z jej twarzy nie znikną ślady pobicia, a ludzie nie przestaną na nią patrzeć z nienawiścią.

Uśmiech znikł z jej ust. Nie chciała, by Lucy widziała, że obcy nie lubią jej mamy. To było nie w porządku wobec dziecka. Carey da więc swój bilet Ance i wyjście rodzinne zamieni się w wyjście córki, taty i niani.

Odsunąwszy od siebie uczucie zawodu, Carey kontynuowała przegląd szuflady, metodycznie posuwając się ku jej tyłowi w nadziei, że znajdzie rachunek telefoniczny Davida. Wszystkie inne rachunki już sprawdziła, ale żaden nie opiewał na kwotę dwudziestu pięciu tysięcy.

Nagle jej wzrok padł na kartkę zapisaną pismem Davida. Widniały na niej numery telefonów i nazwy: „Elitę”, „Pierwsza klasa”, „Cudowne dziewczyny”.

Carey podniosła słuchawkę i wykręciła ostatni numer z listy. Połączyła się z automatyczną sekretarką, której seksowny głos informował: „Cudowne dziewczyny do towarzystwa spełnią twoje wszystkie marzenia. Zostaw wiadomość po sygnale. Wkrótce oddzwonimy, by zaspokoić tve pragnienia”.

Carey poczuła, że robi jej się niedobrze. Jej mąż sypiał z prostytutkami i wyglądało na to, że robił to regularnie. Na myśl o tym, że śpi z nim w jednym łóżku, zapragnęła jak najszybciej wziąć prysznic. A fakt, że nie wiedziała, od jak dawna to trwa i czy David mógł narazić ją na ryzyko jakiejś choroby, sprawił, że była wściekła na samą siebie. Ich życie seksualne od dobrych kilku miesięcy praktycznie nie istniało, ale teraz nabrała podejrzeń, że David zaczął odwiedzać burdele dużo wcześniej. Miesiące temu. Może lata.

„Nie do wiary” – pomyślała. To wszystko działo się tuż pod jej nosem, a ona nic nie zauważyła. Bo w ogóle nie patrzyła! Prawdę mówiąc, ostatnio nie obchodziło jej, co robi David. Nie chciała nim zaprzętać swojej uwagi. A on zdawał sobie z tego sprawę. W innym wypadku nie czułby się na tyle komfortowo, by zostawiać adresy agencji towarzyskich w szufladzie, do której ona w każdej chwili mogła zajrzeć.

A może chciał, żeby znalazła tę kartkę? Może chciał w ten sposób zwrócić jej uwagę? Zranić ją? A może pchnąć ją do działania, na które sam nie miał odwagi się zdobyć?

Carey zrobiła kopię kartki i dodała ją do rosnącej listy dowodów.

Powoli obróciła krzesło tak, by usiąść przodem do szafek na dokumenty, i wyciągnęła

pierwszą szufladę. David był maniakiem ładu. Założył osobną przegródkę na wyciągi z banku, odcinki ze sklepu, zapłacone i niezapłacone rachunki za gaz, prąd i tak dalej.

Zadanie płacenia rachunków David wziął na siebie na samym początku ich małżeństwa. Przyjął tę odpowiedzialność z ochotą i poczuciem, że robi coś naprawdę ważnego. Miał w końcu lepszą głowę do interesów niż ona. Ostatnio jednak zaczął narzekać, że robi się z niego sekretarkę, jakby wypisanie czeku, naklejenie znaczka na kopertę czy wstukanie kilku liczb do komputera uwłaczało jego godności. Carey zaproponowała więc, że za kilka dolarów ekstra może powierzyć to zadanie Ance. Wtedy David śmiertelnie się obraził, twierdząc, że Carey umniejsza jego rolę w życiu rodziny.

Carey powstrzymała się od komentarza, że jego rola w rodzinie od dawna była czysto dekoracyjna.

Wyjęła teczkę z zapłaconymi rachunkami telefonicznymi, wśród nich ostatni rachunek męża. Było na nim wiele numerów, których nie umiała rozpoznać, to jednak wcale jej nie zdziwiło. David miał swój własny świat i rzadko ją do niego wpuszczał. Na liście wyjątkowo często powtarzał się jeden numer. Bardzo często. Na tym rachunku może pięćdziesiąt razy.

Podniosła Słuchawkę. Wybrała numer. Automatyczna sekretarka znów odezwała się damskim głosem, tym razem lekko zachrypniętym.

„Nie mogę teraz odebrać telefonu. Świetnie się bawię! Zostaw wiadomość. Cześć!”

„Pewnie jego dziewczyna” – pomyślała Carey. Tej myśli nie towarzyszyło ani uczucie zazdrości, ani bólu. Tak jakby romans miał ktoś obcy, a nie jej własny mąż.

Przepuściła rachunek przez faks, by zrobić kopię, włożyła oryginał z powrotem doteczki, a teczkę do szuflady.

Z tą samą obojętnością wyjęła wyciągi ze służbowego konta Davida i odcinki transakcji kartą kredytową. Usiadła wygodnie i zaczęła je przeglądać.

Wiele uzasadnionych wydatków, równie wiele niejasnych. Jakies rachunki w restauracjach i barach. Siedemdziesiąt pięć dolarów w kwiaciarni. Pięćdziesiąt trzy dolary w tej samej kwiaciarni. Czterdzieści pięć dolarów, znów ta sama kwiaciarnia. Tysiąc sześćset dolarów na upominkowy karnet w studiu fitness, oddalonym dziesięć minut od ich domu. Niezły prezent. Cztery tysiące trzysta w luksusowym sklepie z odzieżą Bloomingdale. Czterysta dziewięćdziesiąt siedem dolarów dla hotelu Marquette. Na odcinku widniała wczorajsza data.

„...Gdzie pan był dziś wieczorem?”

„Miałem służbową kolację”.

„Gdzie?”

„W nowej restauracji w wieży IDS, koło hotelu Marquette...”

Poczuła dziwną pustkę w piersi. Gdy ona leżała w szpitalu, jej mąż leżał obok innej kobiety w hotelowym łóżku.

Odsuwając od siebie tę bolesną myśl, skopiowała wyciąg z konta Davida, po czym zabrała się do przeglądania listy wypisanych przez niego czeków. Nie znalazła takiego na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, za to co miesiąc powtarzał się ten sam zapis: trzy tysiące pięćset dolarów dla firmy zarządzającej nieruchomościami. Pierwszy czek został wypisany prawie rok temu.

Mieszkanie dla kochanki? Jego własna kryjówka dla spotkań z prostytutkami? Co za skurczybyk! Od czterech lat nie zarobił ani grosza, a wydawał tysiące dolarów miesięcznie z ich pieniędzy – a właściwie z jej pieniędzy – na dom schadzek!

Carey otworzyła teczkę z wyciągami z banku, szukając wiadomej sumy zarówno po stronie przychodów, jak i wydatków. Nie pojawiała się na żadnym z kont, ale ostatnie wyciągi miały już ponad miesiąc.

Była sobota. Nie mogła zadzwonić do banku. Wiedziała, że David wiele operacji przeprowadzał przez Internet, ale nie wiedziała, jak mogłaby sama w ten sposób dostać się do konta.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu. Serce niemal wyskoczyło jej z piersi. Gdy wkładała dokumenty z powrotem do teczki, trzęsły jej się ręce.

Wstała za szybko i poczuła zawrót głowy. Nie miało dla niej znaczenia, czy David zastanie ją przy biurku. Bała się jedynie, że przestraszy córkę, gdy pokaże się jej w tym stanie. Ale gdy wyjrzała przez okno, zobaczyła, że w kierunku domu zmierza Kovac.

Był niewyspany i wymięty jak niepościelone łóżko. Grube włosy sterczały mu na głowie, ledwie przeczesane palcami, jego surowa twarz była blada z przemęczenia, a usta ściągnięte w grymasie niezadowolenia. Jak większość gliniarzy pracujących w terenie, Kovac nigdy nie miał większych szans, by znaleźć się na okładce „Gentelman’s Quarterly”. Kupował tanie garnitury, na fryzjera wydawał grosze. Nie cackał się ze sobą. Carey mogła się założyć, że Kovac nigdy nie wydał czterech i pół tysiąca w Bloomingdale’u – na siebie czy kogokolwiek innego. Bez pytania wiedziała także, że pała silną niechęcią do polityków i policyjnych szyc na kierowniczych stanowiskach.

Tej nocy spał pewnie tyle samo co ona, może nawet mniej. W końcu miał na głowie śledztwo – i to z sędzią w roli ofiary. Władze miasta niewątpliwie wierciły policji dziurę w brzuchu, nie dlatego, że szczególnie przejmowały się jej losem, ale miały po prostu dość uwagi mediów oraz pewne zobowiązania wobec wyborców.

Nie wyglądał na zdziwionego, gdy otworzyła mu drzwi, zanim nacisnął dzwonek.

– Pani sędzino...

– Dzień dobry, detektywie. Zgaduję, że nie przychodzi pan na darmowy lunch.

Zamrugnął oczami, zdziwiony, że wciąż stać ją było na sarkazm.

– Jakoś nie mam apetytu – odparł. – Ma pani kawę?

– Tak.

– Muszę się napić. Ma pani ochotę?

– Proszę się rozgościć – powiedziała oschle, gdy Kovac minął ją w drzwiach i ruszył w poszukiwaniu kuchni.

– Gdzie mąż? – zapytał, grzebiąc po szafkach. Udało mu się znaleźć kubki przy drugiej próbie. Kawa była już zaparzona, pół dzbanka zostało wypite. Na suszarce przy zlewie obrócone do góry dnem stały dwa umyte kubki. David i Anka. Na stole leżała rozłożona gazeta.

– Wyszedł.

Kovac obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Carey czuła się tak, jakby patrzył przez jej ubranie, przenikał wzrokiem do środka jej ciała i odnajdywał miejsce, gdzie przechowywała swe najgłębsze sekrety. To nie było przyjemne uczucie.

– Nie lubi pan Davida – powiedziała, siadając na krześle.

Kovac nalał kawę do kubków.

– Nie – odpowiedział wprost. – Nie lubię go. A pani?

– Jest moim mężem.

Znów to samo spojrzenie gliny. Podobny wzrok musiał mieć tygrys, gdy mierzył wzrokiem swoją ofiarę. Kovac usiadł obok niej przy kuchennym stole i postawił przed nią kubek parującej kawy.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Nie mam powodu rozmawiać z panem na temat mojego małżeństwa.

– Nie chce pani widzieć tego powodu.

Carey ściągnęła w dół kącik ust.

– Jak raczył pan wczoraj zauważyć, w tej chwili nie brakuje ludzi, którzy źle mi życzą. David jedynie mi zazdrości. I ma alibi.

Kovac nie musiał nic mówić. Wiedziała, o czym teraz myśli: zdradzający mąż stwarza sobie alibi, a do brudnej roboty najmuje kogoś innego. Carey normalnie sprzeciwiłaby się takiemu pomysłowi, ale dziś sama miała wątpliwości.

„Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów”.

– Ma pan lepszych podejrzanych – powiedziała tylko.

– Mam innych podejrzanych.

Jego dobór słów nie umknął jej uwadze, ale nie połknęła haczyka.

Stół kuchenny stał we wnęce z dużym oknem wychodzącym na ogród za domem, na trawnik zasłany jesiennymi liśćmi i huśtawkę Lucy – radosny pomnik dzieciństwa. Zwykły sobotni ranek: dwoje ludzi, kawa, stół, cicha rozmowa.

– On panią zdradza – powiedział Kovac.

Carey nie przestała patrzeć przez okno.

– Nie mogę tego zrozumieć. Jest pani silną, niezależną kobietą. Czemu się pani na to zgadza?

Wciąż nie mogła się zmusić, by spojrzeć mu w oczy.

– Nie ma pan dowodu na to, że David mnie zdradza... Prawda?

– Niech pani ze mną nie gra. Nie jestem głupi. Pani też nie.

Carey nie odpowiadała przez chwilę, która wydawała się trwać godzinę. W końcu odezwała się cichym i zaskakująco łagodnym głosem:

– Może nie jestem aż tak silna, jak pan sądzi.

Teraz na niego przyszła kolej, by zamilknąć.

Carey czuła, że Kovac ją obserwuje, i zastanawiała się, co o niej myśli. Że odsuwa od siebie prawdę, stosuje mechanizm wyparcia? Że jest żałosna, skoro zostaje z mężem, który nie ma dla niej szacunku? Okres wyparcia miała już za sobą. Ale nie chciała o tym rozmawiać.

– Czy Dahl jest ciągle na wolności? – zapytała.

– Tak. Ale nie musi się pani go obawiać – powiedział Kovac. – Nie ma powodu, by chciał panią skrzywdzić. W końcu jest pani teraz jego najlepszym przyjacielem.

Carey zignorowała przytyk.

– A co z nagraniem z parkingu? Udało się je wam poprawić?

– Jeszcze nie.

– To co pan tu właściwie robi, detektywie? – spytała, unosząc brew. – Nie, żebym nie cieszyła się pańskim uroczym towarzystwem, ale...

Kovac westchnął głęboko i zapatrzył się na swój kubek z kawą.

– Stan Dempsey, detektyw, który prowadził śledztwo...

– Wiem, kim jest Stan Dempsey. Co z nim?

– Dziś rano poszedłem do jego domu. Wie pani, od czasu tych morderstw Stan nie był sobą... Chciałem z nim porozmawiać o tym, co stało się wczoraj. Miał w końcu równie dobry



powód, co inni, by nazwać panią „pieprzoną cipą” i stłuc na kwaśne jabłko.

– I...?

– Nie było go – odpowiedział Kovac. – Obrócił cały dom w pobojuisko. Strzelał do kanapy, powywracał stoły i krzesła, porozbijał mnóstwo rzeczy. Jednym słowem: wpadł w szał. Zostawił kasetę wideo, na której mówi o morderstwach Haasów, o swojej frustracji i złości. A potem wspomina o pani, o wyroku, jaki pani wydała. Na końcu stwierdza, że musi wziąć sprawy w swoje ręce i upewnić się, że winni poniosą karę.

– Winni – powiedziała Carey. – Czyli Karl Dahl?

– I pani.

– Dempsey mi groził?

– Nie wprost, ale obawiam się, że może stanowić zagrożenie dla pani... a także dla pani córki.

Carey wyprostowała się, jej puls gwałtownie przyspieszył.

– Moja córka? Co mówił o mojej córce?

– Stan wie, że ma pani małe dziecko, i uważa, że z tego powodu powinna pani lepiej rozumieć ofiary i to, przez co przeszły – odpowiedział Kovac, ale nie spojrzał jej prosto w oczy.

Carey mocno uderzyła dłonią w stół.

– Niech mnie pan nie traktuje jak dziecka, detektywie! Nie jestem naiwna! Co Dempsey naprawdę powiedział o mojej córce?

Teraz Kovac spojrzał prosto na nią.

– Zastanawiał się, czy inaczej odnosiłaby się pani do Dahla, gdyby pani córka została zgwałcona na różne sposoby, a na koniec powieszona za kark jak zarżnięte jagnię.

Carey przeszedł dreszcz. Poczowała mrożące ukłucie, jakby ktoś w plecy wbił jej sopel lodu. Jej oczy wypełniły się łzami. Przypomniała sobie zdjęcia z miejsca zbrodni.

– O mój Boże... – wyszeptała.

Strach, jaki czuła już wcześniej, wrócił ze zwielokrotnioną siłą. Nie było Lucy. Nie było Davida. Nie było Anki. Nie miała pojęcia, gdzie mogli się teraz znajdować ani co się z nimi działo. Lucy była sensem jej życia. Sama myśl, że ktoś mógłby ją zranić, poddać torturom...

Wstała od stołu i ruszyła przez kuchnię w kierunku telefonu. Wzbierało w niej uczucie mdłości, kręciło jej się w głowie i drżała na całym ciele. Chwyliła słuchawkę i wykręciła numer komórkowy Davida.

Po drugiej stronie telefon dzwonił... dzwonił... i dzwonił.

– Na miłość boską, David! Odbierz ten przeklęty telefon!

Kovac wstał, ale nie za bardzo wiedział, co zrobić.

Carey rozłączyła się i na wszelki wypadek jeszcze raz wykręciła ten sam numer, w razie gdyby za pierwszym razem się pomyliła. Telefon Davida dzwonił bez odpowiedzi. W końcu włączyła się automatyczna sekretarka z informacją, że skrzynka abonenta jest pełna. Davida znów nie było, tak jak nie było go poprzedniej nocy, gdy pieprzył się z jakąś dziwką w hotelu Marquette.

– Niech to szlag – wrzasnęła, ciskając słuchawką o ścianę.

Rozpląkała się. Wstrząsnęły nią silne, gwałtowne spazmy. Fale gniewu, bezsilności i wyczerpania zalewały ją na zmianę. Nagle poczuła ciężar wszystkich doświadczeń ostatniego czasu – napad, proces Dahla, uczucie, że jest z tym wszystkim całkiem sama, a teraz jeszcze doszła świadomość, że jej dziecko przez nią znalazło się w niebezpieczeństwie. Zakryła twarz dłońmi i zgięła się wpół, jakby ktoś kopnął ją w brzuch.

– Hej – powiedział Kovac miękko, dotykając jej ramienia. – Proszę się uspokoić. Nic się nie stało. Wysłaliśmy za Dempseyem list gończy.

– A skąd pan wie, że już tutaj nie był? – zapytała Carey, roztrzęsiona.

– Funkcjonariusze przed pani domem by go zauważyli.

– Nie, jeśli zaparkowałby za rogiem, kawałek dalej. Mógł tam siedzieć i czekać. Zobaczył, że David wyjeżdża samochodem z garażu. Pojechał za nimi – ciągnęła. – Dlaczego pan do mnie nie zadzwonił od razu, gdy już wiedział, że Dempsey zniknął?

– Żeby mogła pani wpaść w histerię pół godziny wcześniej? I co by to dało? – pytał Kovac spokojnie. – Niezwłocznie powiadomiłem wszystkie patrole w okolicy. Pani nie mogłaby zrobić nic więcej. A nie chciałem tego pani mówić przez telefon.

Złość Carey wypaliła się. Nie miała czym jej podsycać. Rosnąca w niej obawa i strach pochłaniały wszystkie inne uczucia.

– Chcę zobaczyć moją córeczkę – wyszeptała. – Muszę znaleźć moje dziecko. Muszę znaleźć Davida. Czemu nie może być przy mnie chociaż raz, gdy go potrzebuję?!

Głos jej się załamał, odkaszlnęła, próbując powstrzymać szloch.

Kovac objął ją ramieniem.

– Chodźmy – powiedział cicho. – Musi pani usiąść. Znajdziemy pani córkę.

– Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę – powiedziała Carey zduszonym głosem. Na krótki moment oparła się o niego, czując potrzebę bliskości kogoś silniejszego niż ona sama. Pachniał mydłem i olejkiem sandałowym. Jego marynarka była lekko przesiąknięta dymem papierosowym.

– Przepraszam – powiedziała zażenowana, nie umiając spojrzeć mu w oczy. Zrobiła krok do tyłu. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – odparł Kovac, prowadząc ją do stołu. – Teraz wiem, że ma pani ludzkie słabości, ale proszę się nie martwić, zachowam to w tajemnicy.

## XVII

Karl doszedł do wniosku, że w dzielnicy, do której się wybiera, pewnie nie ma żadnych bezdomnych. Jesienny dzień był słoneczny i na tyle ciepły, by mógł pozbyć się zniszczonego płaszcza. Zostawił go w kubie za zamkniętą drukarnią, nie zdejmując jednak wełnianej czapki z kosmykami włosów bezdomnego, choć głowa swędziała go niemiłosiernie i ledwie to znosił. Nie miał wątpliwości, że ubrania kłoszarda są pełne pcheł.

Chciał wziąć gorący prysznic i się ogolić. Wydawało mu się, że czuje, jak setki małych włosków przebijają się przez skórę jego klatki piersiowej i krocza. Na tą myśl przeszedł go dreszcz obrzydzenia.

Przyglądając się swemu odbiciu w okratowanej szybie drukarni, był zadowolony z efektu. Spodnie bezdomnego wisały na nim jak worek, jako że Karl był mężczyzną raczej niewielkim. Gdyby był kobietą, nazywano by go drobnym, ale nie wiedział, czy o mężczyźnie też można tak powiedzieć.

Włożył ręce do kieszeni i zgarbił ramiona tak, że z boku jego sylwetka przybrała kształt litery S. To był odpowiedni wygląd, rozleniwiony – od razu wiadomo, że człowiek z takim wyglądem nigdzie się nie spieszy. Jeśli będzie poruszał się powoli, nikt nie pomyśli, że próbuje umknąć sprawiedliwości.

Buszując w wózku śmieciarza, Karl znalazł kilka par okularów słonecznych, niektóre połamane i krzywe, inne całkiem dobre. Przymierzył je wszystkie, aż w końcu znalazł pasujące do niego i zakrywające jego przekrwione oczy, które z pewnością przyciągałyby ludzką uwagę i zapadały w pamięć.

Jeszcze raz obejrzał się w lustrze i był coraz bardziej zadowolony. Ale wciąż czegoś mu brakowało. Nie zmienił wyglądu swoich ust ani szczęki, a ludzie często najpierw na tę część twarzy zwracali uwagę. A przecież wszyscy w Minneapolis widzieli jego zdjęcia w gazetach i telewizji.

Miał jednodniowy zarost, co, trochę pomagało, ale jednak mu nie wystarczało. Miał jeszcze siniaki z poprzedniego dnia. Sięgnął do ust i wyjął mostek, odsłaniając kilka przerw w uzębieniu. Lepiej, ale wciąż za mało. Ponownie zagłębił się w stercie śmieci w wózku, szukając czegoś, co podsunęłoby mu jakiś pomysł.

Ludzie ulicy zbierali najdziwniejsze rzeczy. Ten miał kolekcję prawie pustych aerozoli, głównie po farbach i lakierach do włosów. Karl wiedział, do czego służyły – do wdychania oparów. Tani odlot. W wózku znajdowało się też pół tuzina butów nie do pary, z których każdy wyglądał tak, jakby przejechał go samochód. Był worek na śmieci pełen puszek aluminiowych i butelek po piwie. To pewnie stąd pochodziły pieniądze, które Karl przykleił do ciała taśmą klejącą. W wózku znalazł jeszcze młotek, który przywiązał do kostki sznurówką i schował pod nogawką spodni. Zobaczył też kombinerki.

Podniósł je i uważnie im się przyglądał, a w jego głowie pojawiały się różne pomysły. Włożył czubek palca w otwór i lekko ścisnął.

Stanąwszy przed oknem drukarni, Karl podciągnął brzeg koszulki, którą miał na sobie, i zawinał ją naokoło dolnej wargi. Potem wziął kombinerki i zaczął metodycznie zgniatać sobie usta, kawałek po kawałku, mocno, aż w oczach pojawiły mu się łzy. Od jednego końca ust do drugiego i z powrotem.

Gdy zaczął słabnąć z bólu, przestał i jeszcze raz przejrzał się w szybie. Wargę zaczęła już puchnąć, w kilku miejscach na skórze pozostał ślad po ząbkach kombinerek, ale tylko dwa razy przeciął skórę.

Teraz był zadowolony. Na razie to wystarczy.

Zgarbiony, powłócząc nogami, z tłustą wargą wystającą z twarzy, Karl porzucił wózek i wrócił na ulicę. Dzień był naprawdę cudowny. Niebo miało elektryzująco niebieską barwę, a powietrze było ciepłe – jak na to miejsce i tę porę roku. Jednak na ulicach prawie nie było przechodniów. W sobotę w tej części miasta niewiele się działo. Sklepy i zakłady były pozamykane, mieszkańcy nie mieli po co włączyć się po ulicach.

Brak ludzi nie powstrzymał jednak miejskich autobusów od jeżdżenia. Karl usiadł na przystanku, zgarbił się i czekał. Jakiś bezdomny, który spał tu ostatniej nocy, zostawił na ławce rozłożoną gazetę. Na pierwszej stronie znalazło się jego policyjne zdjęcie oraz zdjęcie sędziny Moore w todze, przewodniczącej jakiemuś procesowi.

Serce Karla zabiło szybciej. Jego zdjęcie i zdjęcie jego anioła na tej samej stronie. Jego matka powiedziałaby, że to znak. Karl nigdy nie wierzył w znaki – za wyjątkiem tego. Carey Moore została pobita za niego, za to, że wydała przychylny mu wyrok. Nie mógł sobie wyobrazić, by postąpił tak inny sędzia. Cały stan chciał widzieć go martwym.

A ona miała odwagę, by bronić swych przekonań. Karl odkrył, że ta jej cecha go podnieca. Silna, namiętna kobieta, która przed nikim się nie cofnie.

Autobus miejski zatrzymał się przy krawężniku, zarzęził i zasyczał, jak starzec puszczający bąka. Karl złożył gazetę, wszedł i ruszył w drogę do swej wybawicielki.



## XVIII

Stan wyjechał z miasta fordem taurusem, jakim jeździł od chwili, gdy samochód opuścił fabrykę w Detroit w 1996 roku. Auto sprawowało się dobrze: wozilo go z jednego miejsca na drugie. Nie miał powodu zamieniać je na inne. Nie był typem faceta, który czuł potrzebę manifestowania swego statusu przy pomocy rzeczy.

Teraz, gdy miał już plan działania, potrzebował bazy. Gdy jeden z kolegów przyjdzie do jego domu przesłuchać go w związku z atakiem na Carey Moore – a na pewno tak będzie – znajdzie kasetę, a wtedy zaczną go szukać.

Było dla niego ważne, by zostawić kasetę. Chciał, by ktoś ją znalazł. Musieli zrozumieć, kim był, jakie wartości reprezentował i jak stał się tym, kim był teraz. Co ta sprawa z nim zrobiła. Musieli wraz z nim poczuć tę niewyobrażalną bezsilność, jaką czuł, siedząc za biurkiem bądź w gabinecie psychologa i patrząc w ścianę, wiedząc, że władza, by zamknąć Karla Dahla lub go wypuścić na wolność, raz na zawsze wymknieła się z jego rąk i teraz spoczywa w rękach innych osób. Ludzi, którzy nie wiedzieli, czym jest zło.

Za dawnych czasów Stan był całkiem niezłym wędkarzem. Jezioro stanowiło jego miejsce ucieczki od pracy i od nieudanego małżeństwa. Lubił pustkę, czas spędzony samotnie, bez hałasu, ludzkich głosów i potrzeby rozmawiania z kimkolwiek.

Krajobraz na zachód od przedmieść Minneapolis był bagnisty, pełen dużych i małych jezior, pokryty gęstym lasem, poprzecinanym setkami wąskich, krętych dróg. Jezioro, nad które jeździł Stan, było zbyt małe, by wzbudzać zainteresowanie letników na szybkich łodziach motorowych i zbyt trudne do znalezienia, by przyciągać przypadkowych wędkarzy. Stan łowił w nim ryby od czterdziestu pięciu lat.

Jego wuj posiadał domek na południowo-zachodnim brzegu tego jeziora. Nic, czym warto by się chwalić. Prosta chata pokryta smołowanym dachem. Mała kuchnia i miniaturowa łazienka z kabiną prysznicową z cynowej blachy. Pod domkiem piwnica, przed nim – osłonięta siatką weranda, gdzie w letni wieczór można było posiedzieć bez obawy, że zostanie się zjedzonym przez komary. Obok dość duża szopa, w której Stan trzymał swoją łódkę, a wuj dostawczego chevroleta.

To miejsce było kryjówką Stana od dzieciństwa. Jego wuj był teraz starszym

człowiekiem, a na dodatek chorował od lat. Gdy umrze, domek przejdzie na niego.

Zatrzymał się po drodze w wiejskim sklepie, gdzie zaopatrzył się we wszystkie niezbędne rzeczy – jedzenie, wodę, papierosy i papier toaletowy. Za ladą stała gruba dziewczyna z kolczykiem w nosie i długimi, kruczoczarnymi włosami z żółtym pasmem na przedzie. Nie zwróciła na Stana uwagi. Patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, tak jak większość ludzi.

Jeziro lśniło w słońcu jak tafla niebieskiego szkła. Sitowie i trzciny wyschły i przybrały złotawy kolor. Przeciwny brzeg był upstrzony białymi jak papier pniami brzoź, których liście płonęły jaskrawą żółcią. Rosnące za nimi klony i dęby mieniły się paletą czerwieni, brązów i pomarańczy. Dla Stana było to najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Na terenie posiadłości jego wuja stały dwa potężne drzewa, kryły ziemię gęstym cieniem, by nie zarastała gęstą trawą. Domek wyglądał tak, jak zawsze, za wyjątkiem założonych przez Stana krat w oknach i na drzwiach. Takie miejsca, gdzie właściciele pojawiali się rzadko i na ogół tylko w weekendy, często padały ofiarą wandalii lub złodziei: miejscowych dzieciaków, które nie miały nic lepszego do roboty.

Stan otworzył drzwi i wniósł zakupy do środka. W domku zawsze unosił się delikatny zapach stęchlizny. Wilgoć zdawała się przenikać przez ściany do środka i osiadać na poduszkach wiekowej kanapy, która służyła również jako łóżko.

Stan wyszedł na dwór, poszedł do szopy, otworzył dużą kłódkę i podniósł bramę wjazdową. Uniósł maskę furgonetki, podłączył akumulator do ładowarki i wrócił do rozpakowywania.

Z bagażnika swojego samochodu wyjął dwie czarne torby i zaniósł je do domu. Były w nich przedmioty, które zapakował na chybił trafił, nie wiedząc, co może mu się przydać do wykonania zadania. Dwa pistolety. Kilka noży. Kajdanki. Gruba taśma klejąca.

Pewna część jego osoby przyglądała się tym przedmiotom i jemu samemu z niedowierzaniem i strachem, ale nie były to uczucia na tyle silne, by mogły go powstrzymać od działania. On już podjął decyzję. Przez większość czasu pracował metodycznie, niczym sterowany pilotem, jakby to były normalne, rutynowe czynności. Szykował się, by wziąć prawo w swoje ręce.

Przygotował sobie kilka kanapek, wybrał broń bliskiego zasięgu, zapakował parę niezbędnych rzeczy i opuścił chatę, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Akumulator furgonetki był już naładowany. Stan położył swoje rzeczy z tyłu, pod plandeką. Wyprowadził furgonetkę z szopy, na jej miejsce postawił swój samochód, zatrzasnął podnoszone drzwi i zamknął je na kłódkę.



Żadne miejsce nie było całkowicie zabezpieczone przed włamaniem, ale Stan dobrze wiedział, że złodzieje byli na ogół leniwi i woleli wkładać w swoją pracę jak najmniej wysiłku. Przeszkoda w postaci kłódki lub kraty na oknie mogła sprawić, że złodziej zaniecha włamania i będzie poszukiwał łatwiejszego celu.

Stan zastanowił się, jak inaczej to wszystko mogło się potoczyć, gdyby tamtego dnia Marlene Haas zamknęła drzwi na klucz. Czy Karl Dahl poszedłby dalej, chcąc uniknąć dodatkowej trudności bądź bojąc się, że ktoś zobaczy, jak się włamuje?

A może był tak zdeterminowany, by wprowadzić swą chorą fantazję w życie, że byle zamek mu nie przeszkodził?

Stan wierzył, że prawdziwa była druga odpowiedź. Karl Dahl zbyt długo żył samą wyobraźnią, zbyt wiele razy obracał w głowie swój niecny plan, by z niego zrezygnować.

Teraz sam rozumiał, jak to jest.

Czuł dokładnie to samo.

## XIX

– Szefowie chcą, by wydział włożył w to śledztwo całą energię. Mamy wypruwać sobie żyły.

Porucznik wydziału zabójstw Juanita Dawes oparła się o krawędź biurka. Była gotowa, by stanąć przed kamerami – nienagannie uczesane włosy, staranny makijaż, elegancka, ciemnogrnatowa garsonka, świetnie dobrane dodatki. Konferencja prasowa w biurze komendanta miała się zacząć za pół godziny.

Dawes pokonywała kolejne szczeble kariery w policji Minneapolis w zawrotnym tempie. Miała czterdzieści jeden lat. Liska o tym wiedziała tak samo jak wszyscy, gdyż informacja o wieku jej przełożonej pojawiała się za każdym razem, gdy padało jej nazwisko, jakby była to jego część: Porucznik Juanita Dawes Lat Czterdzieści Jeden.

Liska podejrzewała, że promując Dawes, władze wydziału chciały zdobyć trzy punkty naraz w konkursie politycznej poprawności – Dawes była czarnoskórą, w dodatku kobietą, a jej imię wskazywało na latynoskie korzenie. To, że tak naprawdę nie była Latynoską, nie miało żadnego znaczenia. Komendant i ludzie z jego otoczenia troszczyli się tylko o pozory.

Choć nie można było powiedzieć, że Dawes nie nadawała się na to stanowisko. Liska uważała, że Dawes była najlepszym szefem, jakiego kiedykolwiek mieli. I bez względu na to, jak znalazła się na szczycie drabiny, chwalała jej za to.

Liska zerwała się z łóżka o świcie, by przejść ten sam rytuał, co Dawes: włosy, makijaż, stalowoszary garnitur, który podkreślał błękit jej oczu. Proste kolczyki z czarnych pereł, do tego srebrny łańcuszek, a na nim pojedyncza czarna perła.

Wyglądała bosko. Po konferencji prasowej, która będzie transmitowana przez wszystkie stacje telewizyjne w Twin Cities powinny zasypać ją propozycje matrymonialne.

– Mamy już kogoś, kto zajmuje się taśmą z parkingu. Jak wszystko dobrze pójdzie, za parę dni dostaniecie poprawioną kopię – ciągnęła Dawes. – Ściągnęłam Elwooda i Tippena. Zbiorą informacje na temat wszystkich ostatnio wypuszczonych więźniów, których procesom przewodniczyła sędzina Moore. Rozmawiali już z jej sekretarzem w sprawie listów z inwektywami i pogrózkami.

– Będziemy także potrzebować listy połączeń telefonicznych z jej biurem –

powiedziała Liska. – Mamy numer, z którego dwukrotnie dzwoniło do niej wczoraj. Nie dojdziemy do tego, kto dzwonił, ale może uda nam się zauważyć jakieś prawidłowości, specyficzną porę, częstotliwość.

– Ktoś się już tym zajął – powiedziała Dawes. – A wy powinniście odnaleźć biologicznego ojca zamordowanych dzieci Haasów. Nie wiesz, czy ktoś próbował korzystać z kart kredytowych sędziny Moore?

– Jeszcze nie – odpowiedziała Liska. – Cóż... Wygląda na to, że to ja będę musiała poruszyć niewygodny temat.

– Tak... Stan Dempsey – Dawes zmarszczyła brwi.

– Po tym, co Sam zastał dziś rano w jego domu, musimy go uznać za jednego z głównych podejrzanych.

Dawes wyglądała na szczerze zasmuconą.

– Naprawdę wolałabym tak na to nie patrzeć, ale obawiam się, że Dempsey jest naszym pierwszym kandydatem. Według Kovaca, Dempsey w zasadzie wyznał, że ma zamiar ukarać Moore za ten wyrok w sprawie Dahla.

– Jedna rzecz mi tu nie gra – powiedziała Liska. – Jeśli Dempsey zaatakował sędzinę Moore wczoraj wieczorem, to czemu nie wspomniał o tym na kasecie, którą nagrał dzisiaj rano? No wiesz – czemu miałby się z tym kryć? W końcu z tego, co mówił Sam, Dempsey całkiem otwarcie opowiadał o swoich planach co do niej.

– Trafne spostrzeżenie – powiedziała Dawes. – Jeśli napadł na sędzinę jako samozwańczy anioł zemsty stający w obronie sprawiedliwości, dlaczego o tym nie wspomniał? Dlaczego nie powiedział czegoś w stylu: „Skończę to, co zacząłem” albo: „Ta suka dostała ode mnie to, na co zasłużyła”?

– Oczywiście musimy pamiętać, że facet oszalał – powiedziała Liska. – Kto wie, co dzieje się w jego głowie?

– Chciałabym na ten temat usłyszeć opinię fachowca. Pogadam z komendantem, żeby wezwał tego psychologa, do którego chodził Dempsey.

– Będzie się zasłaniać tajemnicą zawodową.

– Może się zasłaniać, ile chce – powiedziała Dawes. – Ale jeśli Dempsey mu wyznał, że chce popełnić przestępstwo, to miał obowiązek nam to zgłosić.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by Stan Dempsey miał się komukolwiek z czegokolwiek zwierzać – odparta Liska. – Odkąd pracuję w wydziale zabójstw, usłyszałam z jego ust może dziesięć słów.

– Wiem. Nasz Stan zawsze był cichym dziwakiem – powiedziała Dawes. – Żal mi go.

Postarajmy się póki co go nie osądzać. Z kim jeszcze rozmawialiście o wydarzeniach wczorajszej nocy?

– Z Wayne'em Haasem, jego synem i kolegą syna.

– I co?

– Wayne Haas odpada – odpowiedziała Liska. – Ale mógł to zrobić syn. On i jego kumpel przyznali, że byli wieczorem w mieście, wiedział też o decyzji sędziowskiej. Z pewnością ma wiele powodów, by wściekać się na Moore.

– Słyszałam, że Kovac rozmawiał z mężem sędziny.

– Tak. Facet mu się nie spodobał. Mówi, że to kutas.

Dawes skrzywiła się.

– Kovacowi nikt się nie podoba. Jakby miał okazję, przesłuchałby własną matkę. I to na ostro.

– Dzisiaj ma sprawdzić alibi Davida Moora.

Dawes spojrzała na zegarek i westchnęła.

– Lepiej już chodźmy. Szef urwie mi głowę, jak się spóźnimy. Wiesz, co mówić, jak zaczną zadawać pytania?

– Nie możemy spekulować na temat wyników toczącego się śledztwa.

– Bardzo dobrze – powiedziała Dawes, otwierając drzwi i puszczając Lisę przodem. – Świetny garnitur, pani detektyw.

– Dziękuję, szefie. Pani też.

Konferencja prasowa jak zawsze przyciągnęła zgraję aroganckich dupków, którzy o niczym nie mieli pojęcia, i bandę dziennikarzy, chcących wiedzieć wszystko. Liska zastanawiała się, ilu z nich by się tu fatygowało, gdyby Carey Moore była samotną matką na dwóch etatach, ledwie wiążącą koniec z końcem. Sędzina Moore zasłużyła sobie na obecność burmistrza, prokuratora okręgowego, szefa policji, jego zastępcy, kapitana z wydziału dochodzeniowego, porucznik Dawes i jej samej.

Światła ekip telewizyjnych były nieprzyjemnie mocne. Oślepią, mrużyła oczy. „Pewnie zniechęci to kilku potencjalnych kandydatów na męża” – pomyślała, próbując zażartować z sytuacji, w jakiej się znalazła. Musiała teraz wyglądać jak Azjatka z tlenionymi włosami. Chińska pankowa. Zainteresują się nią jedynie skośnookie łobuzy.

Prasa miała za co się na nich wyżywać. Najpierw męczyli ich o ucieczkę Dahla, potem o napaść na sędzinę Moore. Szeryf okręgu Hennepin pełnił rolę chłopca do bicia. Zdaniem

Liski, nie było takiego wytłumaczenia sytuacji, które nie zawierałoby słów „kompletna wtopa”.

Szeryf zaklinał się, że wszyscy funkcjonariusze, jakich miał pod ręką, przemierzali teraz ulice, szukając Dahla. Przysięgał, że Dahl jest absolutnym priorytetem nie tylko policji, ale także wszystkich pracowników biura szeryfa. Na pomoc wezwano miejski oddział FBI. Obietnice szeryfa nie miały jednak większego znaczenia, zważywszy na to, że właśnie jego ludzie spieszyli całą sprawę.

Grube ryby z departamentu policji wołały mówić o tym, jak ważne teraz było przywrócenie wiary obywateli w służby porządku publicznego. „Sprawą zajęli się nasi najlepsi detektywi. Nie spoczną, dopóki nie ujmą człowieka, który uderzył w samo serce porządku prawnego naszego miasta”.

Gdy do odpowiedzi wezwano Liskę, wygłosiła swą kwestię bez zająknięcia: „Nie możemy spekulować na temat wyników toczącego się śledztwa”.

Pierwszym miejscem, do którego udała się po zakończeniu konferencji prasowej, był zakład karny dla kobiet, gdzie wyrok odsiadywała Amber Franken, matka dwójki zamordowanych w domu Haasów dzieci.

Amber Franken była chudą blondynką o szczurzej twarzy i niezdrowej cerze. Jej skóra była tak cienka, że Liska widziała niebieską siatkę żył na jej szyi. Podwinęła rękawy, pokazując chude przedramiona pokryte tatuażami i starymi śladami po igle. Miała dwadzieścia dwa lata, co oznaczało, że zaczęła rodzić w wieku czternastu lat. Jej zamordowane dzieci miały w chwili śmierci siedem i pięć lat. Najmłodsze dziecko, dwuletnia dziewczynka, została umieszczona w innej rodzinie zastępczej.

Wkroczyła do pokoju przesłuchań z wyzywającą miną i leniwie osunęła się na krzesło naprzeciwko Liski.

- Amber, jestem detektyw Liska z wydziału zabójstw.
- Pozwę was za to, co stało się moim dzieciom – rzuciła pogardliwym tonem.
- Tak? – zapytała Liska bez zainteresowania. – No to powodzenia.
- I opiekę społeczną też pozwę. Umieścili moje dzieci w niebezpiecznym środowisku.

Liska na końcu języka miała pytanie, czy ona, dziwka i narkomanka, była dla swych dzieci lepszym środowiskiem. Ale powstrzymała się. Potrzebowała współpracy tej kobiety, a to wymagało, by trzymała swą niewyparzoną gębę na wodzy.

„Trzymam kciuki, Nikki”.

– Czy miała pani ostatnio jakiś kontakt z ojcem swoich dzieci?

Amber zaśmiała się.

– Z tym śmieciem? Nie miałam z nim „kontaktu” od czasu, gdy zrobił mi ostatnie dziecko.

– To czemu jest na liście odwiedzających sprzed dziesięciu dni?

– Pewnie przyszedł się zobaczyć z jakąś inną zdzirą.

Liska pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stole, i westchnęła.

– Posłuchaj, Amber. Ani ty nie chcesz rozmawiać ze mną, ani ja z tobą, ale będziemy tu siedzieć i dobrze się ze sobą bawić, dopóki nie udzielisz mi sensownej odpowiedzi.

Zadarła nos, a na jej twarzy znów pojawił się złośliwy uśmiezek.

– Czasu akurat mam dużo.

– Racja. Ale pamiętaj, że możesz go mieć albo mniej, albo jeszcze więcej.

– Co to niby ma znaczyć?

– Ma to znaczyć tylko tyle, że jeśli mnie wkurzysz, będziesz tracić mój czas i utrudniać policyjne śledztwo, to nie będzie to dobrze wyglądało, gdy zechcesz się ubiegać o zwolnienie warunkowe.

Dziewczyna odchyliła się do tyłu, jej twarz poczerwieniała. Spojrzała na nią wytrzeszczonymi oczami.

– Czy pani mi grozi?

– Mówię ci tylko, jak jest, Amber – powiedziała Liska spokojnie. – I wyświadczam ci przysługę. Jeśli się nie zbierzesz do kupy i przynajmniej nie zaczniesz udawać, że jesteś porządną obywatelką, to sąd nie będzie się spieszył z wypuszczeniem cię na zewnątrz. Tak to wygląda. A czeka cię poważna odsiadka. To nie jest okręgowe więzienie, gdzie z ochotą posyłają cię na wolność, bo brakuje im łóżek. Stan Minnesota ma wiele pustych cel. Dociera to do ciebie? Nie chcę ci utrudniać życia, Amber. Naprawdę. Nawet nie chcę tu teraz być. Sama mam dwójkę dzieci. Wolałabym ten czas spędzić z nimi. Jestem pewna, że ty, jako matka, potrafisz to zrozumieć. Pamiętasz, jak to jest. Dzieciaki wpatrują się w ciebie, jakbyś znała wszystkie odpowiedzi. Nie ma drugiej takiej miłości. Ta więź jest nie do przerwania.

Oczy Amber Franken wypełniły się łzami. Spojrzała w bok, mocno ściskając założone ramiona, jakby próbowała podtrzymać samą siebie na duchu.

– Tęsknisz za nimi, prawda? – zapytała Liska łagodnie.

Nie miało znaczenia, jak złą matką była ta dziewczyna. Czas wymazał z jej pamięci złe wspomnienia i zostawił tylko słodkie, sentymentalne obrazy chwil spędzonych z dziećmi. Dziećmi, których już nigdy nie zobaczy.

– Mogę sobie tylko wyobrażać, jak musisz się czuć, wiedząc, że odeszły. Wiedząc, co musiały znieść, zanim umarły...

Amber rozplakała się na dobre. Zakryła twarz dłońmi i załkała głośno.

– Tak bardzo za nimi tęsknię!

Czując szczere współczucie dla tej dziewczyny, Liska cierpliwie czekała, aż jej atak minie. Na świecie nie mogło być nic gorszego niż myśl, że twoje dzieci padły ofiarą tortur.

Po kilku minutach Amber wytarła oczy i nos połą koszuli. Liska spróbowała jeszcze raz.

– Po co Ethan Pratt przyszedł cię odwiedzić dziesięć dni temu?

Amber drżąc wciągnęła powietrze.

– Żeby pomówić o złożeniu pozwu. Chce mieć w nich udział, ten śmierdzący skurwiel. Jakby kiedykolwiek był kimś więcej niż dawcą spermy. Pierdolona pijawka. Powiedziałam mu, żeby sobie wziął własnego adwokata.

– Czy mówił coś na temat procesu Karla Dahla?

Ponownie wytarła nos, tym razem wierzchem dłoni, którą następnie wytarła o spodnie.

– Powiedział, że jak go jeszcze kiedyś aresztują, to chciałby dostać sędzinę Moore, bo ona bardziej się troszczy o oskarżonego niż o ofiarę.

– Czy wydawał ci się na nią zdenerwowany?

– Nazwał ją pieprzoną cipą, jeśli o to pani chodzi.

– Tak. Właśnie o to mi chodzi – powiedziała Liska.

## XX

Oboje usłyszeli, że do garażu wjeżdża samochód. Carey Moore spojrzała na drzwi, które – jak uznał Kovac – musiały być wejściem od garażu. Jej emocje były widoczne nawet spod siniaków – nadzieja, przejęcie, odrobina lęku.

Kovac wstał, ubiegając ją, sam podszedł do drzwi i zamknął je na klucz, do czasu, aż nie usłyszał głosów – David Moore, Szwedka, dziecko. Brzmiali spokojnie i radośnie. Kovac miał ochotę otworzyć drzwi i szybkim uderzeniem zetrzeć z twarzy Moore'a uśmiezek, jaki na pewno miał teraz na twarzy. Zamiast tego uchylił tylko nieznacznie drzwi i posłał mu długie, nieprzyjazne spojrzenie.

David Moore był niemile zaskoczony.

– Co pan tu robi? – zapytał.

– A co pan robi, zostawiając kobietę ze wstrząsem mózgu samą w domu?

– Zglądałam do niej w nocy kilka razy, proszę pana – powiedziała dziewczyna, starając się pomóc. – Pani Moore dobrze się czuła.

Kovac zignorował ją, nie spuszczać wzroku z Moore'a.

– Pojechaliśmy na śniadanie – powiedział Moore obronnym tonem. – Pomyślałem, że Carey powinna dobrze się wyspać.

Mała, ciemnowłosa dziewczynka o dużych, niebieskich oczach siedziała wygodnie na jego rękach. Miała bezpośredniość swojej matki.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Kochanie, to jest pan policjant – wytłumaczył jej Moore. – Jest tu dlatego, że mamusię wczoraj spotkała krzywda.

Obróciła się i spojrzała na tatę.

– A gdzie jest mamusia?

– Jestem tutaj, kochanie – powiedziała Carey, stając obok Kovaca w drzwiach.

Wystarczyło jedno spojrzenie i błękitne oczy Lucy napęłniły się łzami.

– Mamusiu?

– Kiepsko wyglądam, co? – powiedziała Carey miękko. Kovac zrobił krok w tył i puścił ją przed siebie. – Ale czuję się dobrze. Naprawdę. To tylko zadrapania i siniaki.



Lucy nie bardzo wiedziała, co zrobić. Niepewnie spojrzała najpierw na tatę, potem na mamę.

– Wyglądasz strasznie – zawyrokowała w końcu.

– Wiem.

– Może powinnaś się pomalować?

Oczy Carey zalśniły łzami. Uśmiechnęła się, próbowała zaśmiać, po czym wyciągnęła rękę po swoją córeczkę.

– Chodź! Pomożesz mi i opowiesz, co jadłaś na śniadanie.

Dziewczynka wyslizgnęła się z objęć taty i podbiegła do mamy. Wzięła ją za rękę i poprowadziła do kuchni.

– Jadłam naleśniki z jagodami, a na to dużo syropu klonowego. Lubię syrop.

– Wiem, że lubisz.

– Ale to wcale nie szkodzi, bo myję zęby.

Kovac patrzył, jak szły przez kuchnię i korytarz. Ten moment bliskości między matką a córką dotknął go w czułym, głęboko skrywanym miejscu. Nie pozwolił sobie jednak poświęcać temu więcej uwagi. Odwrócił się do Davida Moore'a.

– Muszę z panem porozmawiać.

– Czy mogę najpierw zdjąć płaszcz? – zapytał Moore z urazą w głosie.

Kovac zwrócił się do dziewczyny.

– Z tobą też.

Poszli do kuchni, usiedli i Kovac wtajemniczył ich w sprawę Dempseya. Szwedka słuchała z szeroko otwartymi oczami.

– Nie możecie być nieosiągalni – powiedział Kovac, kierując tę uwagę do Moore'a. – Żadnego wyłączania komórek ani ignorowania telefonów.

Moore wyglądał na zdenerwowanego.

– Myśli pan, że ten człowiek jest niebezpieczny?

Kovac powstrzymał się od pytania, czy Moore zawsze był taki głupi, czy to nowa przypadłość.

– Ja wiem, że on jest niebezpieczny. Nie może pan tak po prostu zabrać córki i gdzieś z nią pojechać. Wolałbym, żeby nie opuszczała domu, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

– A może powinniśmy wyjechać z miasta?

– Nie sądzę, by w tej chwili pańska żona była w stanie podróżować. Musiałby na to pozwolić lekarz. Ale jeśli tylko będzie pan robił to, co panu powiem, powinniście być bezpieczni. Policja będzie was pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Opiekunka wymamrotała coś po szwedzku, pewnie „o mój Boże”, „co za gównno” albo „pieprzyć to”. Posłała Moore’owi nerwowe spojrzenie, ale on udał, że tego nie widzi. Kovac zanotował ten moment w swojej pamięci. Niania i tatuś? Przypomniawszy sobie, że poprzedniej nocy stanęła w obronie Moore’a, gdy Kovac zapytał o jego rozkład zajęć.

Leniwy skurwiel. Nie stać go było nawet na to, by znaleźć sobie kochankę poza domem.

– Muszę iść – powiedział Kovac. – W razie potrzeby obydwójecie macie moją wizytówkę. Jeśli będziecie musieli wyjść z domu, poinformujcie patrol przed domem, powiedzcie im, dokąd jedziecie i o której macie zamiar wrócić.

David Moore był wyraźnie niezadowolony.

– Czy to znaczy, że jestem więźniem we własnym domu?

– No tak – powiedział Kovac. – Przykro mi, że taką niewygodę sprawia panu to, że życie pańskiej żony i córki znalazło się w niebezpieczeństwie.

– Nie to miałem na myśli.

– Dobrze wiem, o co panu chodziło. Nie chce pan być pod moją kontrolą. Co, do cholery, jest dla pana takie ważne? Nagle zrobił się pan ambitny?

Moore zmrużył oczy.

– Wypraszam sobie.

– No jasne.

– Pracuję nad dużą transakcją.

– Naprawdę? Cóż, żyjemy w dobie telekomunikacji. Niech pan skorzysta z telefonu, wyśle maila.

Moore wpatrywał się w punkt tuż po lewej od głowy Kovaca. „I tak zrobi to, na co będzie miał ochotę. Dupek” – pomyślał detektyw.

– Muszę mieć także twój numer komórki – zwrócił się Kovac do opiekunki.

Podyktowała go, a Kovac zapisał w swoim notesie.

– Sam trafię do drzwi – powiedział i wyszedł z kuchni. Zatrzymał się w korytarzu i nasłuchiwał, na wypadek gdyby byli na tyle głupi, by zacząć gruchać, zanim on znajdzie się za drzwiami.

– Zrobię świeży dzbanek kawy – Moore.

– Ja idę do siebie. Muszę się pouczyć – opiekunka.

Kovac czekał na nią przy schodach. Wyglądała na zaskoczoną jego widokiem, ale nie była zaniepokojona.

– Anka, muszę zamienić z tobą słowo.

– Ja nic nie wiem – zaznaczyła od razu. – Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

– W Szwecji nie macie przestępstw?

– Mamy, ale nie takie jak tu. Co ten człowiek zrobił tej rodzinie, tym dzieciom... To jakiś obłąd, czyste zło. A teraz pan mówi, że ten drugi człowiek – policyjny detektyw – chce skrzywdzić Lucy i panią Moore?

– Tak, to dość przerażające – zgodził się Kovac. – Pani sędzina pełni funkcję publiczną, przyciąga uwagę, jej decyzje niekiedy wywołują wrogość.

Anka spojrzała w bok, wyraźnie zmartwiona.

– Anka, zadam ci bardzo osobiste pytanie – powiedział Kovac. – I bardzo cię proszę o szczerłość. Muszę wiedzieć, co się tu tutaj dzieje, to bardzo ważne. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak – powiedziała, zaniepokojona i niepewna.

– Czy ciebie i pana Moore’a coś łączy?

Kovac obserwował jej reakcję – na jej twarzy malowało się zdziwienie i obraza.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odpowiedziała. – Pan Moore jest moim pracodawcą.

– I nikim więcej?

– Nie. Oczywiście, że nie.

Odpowiedź była o sekundę spóźniona i dziewczyna nie spojrzała mu w oczy.

– Nie sypiasz z nim? Stłumiła okrzyk niedowierzania.

– Nie! Pójdę teraz na górę. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia. Do widzenia.

Oburzenie. Wściekłość.

Ale wciąż nie spojrzała mu w oczy.

## XXI

Karl wysiadł z autobusu przy Calhoun Square w modnej dzielnicy Minneapolis, zwanej górnym miastem, choć położona była na południe od centrum. W okolicy stało wiele pięknie odnowionych starych domów, ogrody były zadbane, a elegancki bulwar porastały drzewa. Była to dzielnica młodych, odnoszących sukcesy małżeństw, młodych, dobrze sytuowanych par gejowskich i zamożnych emerytów.

Nie było tu ludzi, którzy wyglądali jak Karl, ale on miał w planie szybko temu zaradzić.

Udał się do domu handlowego na Calhoun Square, pełnego butików i małych

restauracji wciśniętych w stary, ceglany budynek, który pamiętał jeszcze czasy przemysłowych początków dzielnicy. Znudzona dziewczyna na stoisku z odzieżą spojrzała na niego z mieszaniną obrzydzenia i trwogi. Był prawie pewien, że ucieknie. Jednak gdy wyciągnął dwudziestodolarowy banknot, uspokoiła się i wysłuchała jego prośby o nową czapkę. Obejrzała banknot uważnie. Jej chciwość przeważyła. Sprzedała mu czapkę baseballową koloru khaki i nie wydała reszty.

Idąc do męskiej toalety Karl obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak dziewczyna wkłada banknot do własnej portmonetki. Rozmiar ludzkiej nieuczciwości wprawiał go w zdumienie. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

W toalecie pozbył się wełnianej czapki wraz z włosami bezdomnego i założył baseballówkę. Było wcześniej i prócz niego w toalecie nie było nikogo. Korzystając z okazji, umył twarz oraz głowę.

Zdjęcie czapki okazało się bardzo bolesne. W ranę, jaką zrobił mu Wąż, waląc jego głową o kraty, wplątała się wełna. Gdy kawałek po kawałku zdejmował czapkę, rana otwierała się w kilku miejscach i na nowo zaczęła krwawić. Popatrzył na swe odbicie w lustrze i pomyślał, że wygląda koszmarnie – czerwonooki demon z piekła rodem. Wargi pulsowały rwącym bólem. Groteskowo spuchnięta i różowa przypomniała mu o delikatnych fałdach ciała między kobiecymi udami. Przez krótką chwilę wyobraził sobie, że czuje piżmowy zapach kobiety gotowej na seks. Celebrował ten moment.

Z kieszeni wyjął mostek, opłukał go i wsadził z powrotem do ust. W tej części miasta ludzie nie chodzili po ulicach bez zębów.

Czapka baseballowa dobrze pasowała do jego okularów słonecznych.

Starannie podwinął rękawy koszuli do połowy przedramienia. Z brudnymi spodniami niewiele mógł zrobić, za wyjątkiem podwinienia za długich nogawek. Zdjął buty, a potem skarpetki, które wyrzucił do kubła. Znowu założył buty. Na razie będzie to musiało wystarczyć.

Opuścił daszek czapki głęboko na oczy, wyszedł z łazienki, potem z budynku i udał się na spacer po dzielnicy. Z rękami w kieszeniach szedł po chodniku jak człowiek pozbawiony trosk. Może właśnie wracał do domu ze Starbucksa. Albo rano pracował w ogrodzie i stąd te ubrudzone spodnie.

Idąc, przyglądał się willom. Rowery na werandzie oznaczały, że w domu jest więcej niż jedna osoba. Para lub rodzina. Szukał mniejszych budynków, jedno – lub dwupiętrowych. Duże grządki kwiatów, teraz zniszczonych przez przymrozki, świadczyły o tym, że w domu mieszka osoba z dużą ilością wolnego czasu – starsza, być może emeryt.

Jego uwagę przyciągnął mały domek w stylu Cape Cod. Niebieski z białymi okiennicami, okolony drewnianym płotem. Obok drzwi wisiała drewniana, ręcznie robiona tabliczka: „Tu mieszka Babcia”. Karl skręcił na rogu, a potem ponownie w alejkę biegnącą na tyłach domów.

Wysokie parkany broniły prywatności prawie wszystkich domów. Dom babci ogrodzony był płotem z szerokich, kładzionych poziomo desek cedrowych, którym pozwolono przybrać srebrnoszarą barwę starości.

Karl wcisnął się między ten płot a ogrodzenie sąsiedniego domu i powoli sunął do przodu, szukając poluzowanej deski. Nie znalazłszy żadnej, doszedł w końcu do ściany niewielkiego garażu. Dalej, na tyłach domu, odkrył okno zasłonięte od ulicy dużym krzakiem bzu.

Z garażu dobiegł głos odpalanego silnika. Karl schował się za krzakiem i patrzył, jak w kierunku bramy jedzie tyłem staromodne volvo. Nie dostrzegł twarzy kierowcy, ale sądząc po ostrożnym i niepewnym sposobie prowadzenia, była to kobieta.

Wyjeżdżała „Babcia”. Karl był ciekaw, czy w domu został jeszcze „Dziadek”. Cofnął się i zajrzał przez okno do garażu. Nie zauważył żadnych elektrycznych narzędzi, założył więc, że nie mieszka tu żaden mężczyzna.

Okno na tyłach domu zostawiono otwarte, by wpuścić do środka świeże powietrze jesienno poranka. Już niedługo nastanie zima, a wtedy nikt nie otworzy tego okna przez następne pięć miesięcy.

Między garażem a płotem stało kilka dużych doniczek ze zwiędłymi roślinami, czekając, aż ktoś je opróżni i schowa na zimę. Karl przetoczył największą z nich pod okno, odwrócił do góry nogami i użył jako stopnia.

Potem wyjął z kieszeni nóż do steków, który zabrał bezdomnemu, pomajstrował chwilę przy siatce osłaniającej okno i już po chwili odgiął ją na tyle, by przedostać się do środka. Gdy był już wewnątrz, starannie rozprostował siatkę i przyczepił ją na poprzednie miejsce.

Oczekiwał, że w domu będzie pełno babcinych śmieci – porcelanowych piešków, kryształowych pater, wymyślnych mebli obitych kolorowymi tkaninami w kwieciste wzory i lalek w koronkowych sukienkach. A to miejsce wyglądało jak z żurnala dekoratorskiego – szarozielone ściany i ciemne, stylowe meble.

W kuchni Karl znalazł historię życia „Babci” w obrazkach. Lodówka była całkowicie pokryta zdjęciami jej w towarzystwie innych ludzi – przyjaciół, rodziny, wnuków. Tyle uśmiechniętych, szczęśliwych twarzy.

Według nieotwartych listów, leżących na kuchennym blacie, „Babcia” nazywała się Christine Neal.

Christine Neal nie miała jeszcze sześćdziesięciu lat, była schludna i zadbana. Biegała w maratonach. Jeździła na wakacje do egzotycznych krajów. Na kilku zdjęciach była tak łysa jak Karl. Transparent na jednym z jej biegów wzywał do udzielenia pomocy lokalnej grupie wsparcia dla osób chorujących na raka piersi.

Karl otworzył lodówkę i wyjął z niej pomarańczę. Była zimna, soczysta i orzeźwiająca. Gdy skończył jeść i wyrzucił łupiny do kosza, starannie wytarł rączkę lodówki i ruszył w poszukiwaniu łazienki.

Na dole była tylko jedna, tuż obok pokoju, który musiał być sypialnią Christine Neal. Łazienka była nieskazitelnie czysta, biała i pachniała lawendą.

W szafce nad umywalką Karl znalazł nitkę dentystyczną o smaku miętowym, urwał sobie kawałek i zaczął wyciągać resztki spomiędzy zębów – kawałki pomarańczy i włókna zjedzonego wczoraj mięsa. Wziął szczoteczkę, nałożył pastę i energicznie wyszorował zęby. Wyjął mostek, wyczyścił go i włożył z powrotem do ust.

Rozebrał się i wrzucił rzeczy do pojemnika na brudną odzież, zadowolony, że w końcu może się ich pozbyć. Ostrożnie odkleił pieniądze przyklejone do krocza. Goły usiadł na toalecie i przygotował się na swoje pierwsze wypróżnienie na wolności. Co za przyjemne intymne przeżycie.

Podniósł z ziemi magazyn „People” i zaczął go kartkować. Świat rozrywki mało go interesował. Rzadko oglądał telewizję. O nowych filmach dowiadywał się jedynie z plakatów, wiszących w oknach kin.

Wielu gwiazd nie potrafił rozpoznać. Wszystkie kobiety wyglądały młodo i bardzo chudo, poza tymi ubierały się jak dziwki. Nie powinny się dziwić, gdy ktoś je kiedyś zgwałci lub zabije, jeśli tak się ubierają. Mężczyźni byli nieciekawi. Polowa z nich wyglądała tak, jakby ubierała się w supermarkecie i nie miała pojęcia, że trzeba wkładać koszulę do spodni. Większość powinna pójść do fryzjera i się ogolić.

„Tak samo, jak ja” – przypomniał sobie Karl.

Prysznic był gorący i z odpowiednio silnym strumieniem. Karl natarł się mydłem Olay i spłukał pierwszą warstwę brudu. Namydlił się ponownie, wziął z pułki różową maszynkę Christine Neal i zaczął się golić. Najpierw głowa, potem twarz, następnie klatka piersiowa i brzuch. Miał szczęście, że włosy nie rosły mu na plecach – co zdarzało się wielu mężczyznom – bo potrzebowałyby pomocy.

Od brzucha przeszedł do nóg, tak samo uważny, by się nie zaciąć, jak robiłaby to

każda kobieta. Potem zmienił ostrze i rozpoczął niełatwe zadanie golenia partii intymnych. Karl nie mógł znieść włosów wystających mu spod skóry – sprawiały, że czuł się brudny.

Chwytał penisa i pogładził go, aż stwardniał, co ułatwiało golenie.

Jego skupienie przerwał krzyk kobiety.

W drzwiach łazienki stała Christine Neal, zastygła w osłupieniu. Jej oczy na ułamek sekundy spotkały się z jego. A potem rzuciła się do ucieczki.

Karl wybiegł spod prysznica, poślizgnął się na mokrych kafelkach, ale zdołał utrzymać równowagę. Przebiegł korytarz i dopadł Christine Neal w kuchni, w chwili gdy podnosiła słuchawkę. Rzucił się na nią od tyłu. Słuchawka upadła na podłogę.

Christine była silną, wysportowaną kobietą, wiła się, wyginała plecy, kopała go i drapała. Walczyli, leżąc na podłodze, ona charczała, próbowała krzyczeć, dławiła się własnym oddechem. Jej ręka po omacku przeszukiwała podłogę i w końcu udało jej się trafić na telefon.

Karl wyciągnął rękę, by jej go zabrać, częściowo się z niej zsuwając. Christine Neal wykorzystała ten moment, by stanąć na nogi. Ale zanim udało jej się zrobić choć krok, Karl chwycił ją za kostkę i znów upadła. Łkała teraz, próbując wołać o pomoc.

Przewróciła się na bok, starała się od niego odczołgać i jeszcze raz się podnieść.

Karl złapał ją za włosy, ale zostały mu w dłoni. Peruka. Odrzucił ją na bok i usiadł kobiecie okrakiem na brzuchu.

Leżała na plecach, a on zaciskał ręce na jej gardle. Kilka razy uderzyła go pięściami, usiłowała podnieść ciało i go zrzucić. Próbowała krzyczeć. Jej głos zamarł pod jego palcami.

Ścisnął mocniej. Twarz Christine Neal zaczęła się robić niebieska z braku tlenu. Język wyszedł jej z ust, spuchnięty i siny. Oczy były wytrzeszczone.

Karl skupił się na nich, na uczuciu, jakie je przepełniało – czysty, zwierzęcy strach. Pomyślał, że musi być potwornie umierać w ten sposób – patrzeć w twarz swego zabójcy i nie widzieć tam cienia współczucia. Na jego twarzy Christine Neal z pewnością nie widziała żadnych uczuć.

Nie było w tym nic osobistego. Nie czuł złości do tej kobiety, nie miał też naprawdę chęci, by ją zabić. Ale nie mógł pozwolić, by wezwała policję. Ukrywał się. Nikt nie wiedział, gdzie teraz był. Mógł swobodnie poruszać się po mieście. I miał plany. Nie mógł dać Christine Neal szansy na ich zrujnowanie. Po prostu nie opłacało mu się zostawiać jej przy życiu.

Wymachy jej rąk stawały się coraz słabsze, aż w końcu tylko uderzała dłońmi o podłogę... potem tylko drżała... a potem nie robiła już nic.

Karl nie zabrał dłoni z jej gardła, nie przestał jej dusić. Nie chciał, by Christine Neal nagle ożyła i zyskała drugą szansę ucieczki lub wezwania pomocy. Ścisnął, dopóki nie poczuł, że cierpną mu ręce.

W końcu ją puścił, ale wciąż jeszcze na niej siedział. Głowa opadła jej na bok. Usta miała szeroko otwarte, oczy puste. Christine Neal przestała istnieć.

Karl westchnął. Odpoczywał. Rozprostował ręce i palce, rozmasował bolące mięśnie przedramion. Po chwili wstał i zaciągnął ciało kobiety do sypialni. Zdjął jej ubranie i zaniósł do pojemnika, tam, gdzie wcześniej zostawił ubranie bezdomnego. Wrócił do sypialni i wsunął ciało pod łóżko, pamiętając, by następnie poprawić falbanę kapy.

Zmył łazienkę alkoholem. Wyczyścił kratki w wannie i umywalce, znalazł butelkę płynu DrCno i nalał do syfonów. W kuchni wytarł słuchawkę i odłożył ją na bazę. Po walce nie pozostał żaden ślad.

Znalazł drzwi do piwnicy, zabrał pranie, włożył do pralki ubrania bezdomnego i Christine Neal, nasypał proszek, wlał pół opakowania wybielacza i włączył.

Wróciwszy na górę, Karl podniósł blond perukę Christine Neal i przez sypialnię wszedł do garderoby, by się ubrać.

Z szuflady wyjął parę grubych, obcisłych, brązowych rajstop. Założył je ostrożnie, uważając, by ich nie zaciągnąć. Wcisnął do rajstop zwitek pieniędzy i umieścił na kroczu, następnie ułożył genitalia tak, by były jak najmniej widoczne. Potem ubrał brązową wełnianą spódnicę do pół łydki.

Z szuflady z bielizną wyciągnął stanik. Był dla niego za wąski w plecach i wrzynał mu się w żebra. Nie mógł sobie wyobrazić, jak kobiety znosiły taką niewygodę.

Zamiast stanika ubrał obcisłą, elastyczną podkoszulkę i stworzył iluzję małych piersi, wkładając w odpowiednie miejsca po parze zwiniętych, sportowych skarpet. Koszulka trzymała je na miejscu. Na wierzch założył brązowy, bawełniany sweter.

Spodziewał się, że z butami może mieć problem. Ale gdy porównał długość swojej stopy z rozmiarem butów Christine Neal, zobaczył, że nie jest tak źle. Zdecydował się na parę brązowych trzewików na niskim obcasie. Pasowały jak ulał.

By zakończyć proces przemiany, udał się do łazienki. Pracował kiedyś jako pomocnik w teatrze w St. Louis i wiele razy miał okazję przyglądać się, jak aktorzy nakładają na siebie warstwy kolorów i cieni, by na swych pospolitych twarzach wymalować inną postać.

Najpierw nałożył podkład, ukrył siniaki i przebarwienia. Używając brązowego cienia, kredki i czarnego tuszu, podkolorował oczy. Szminką pomalował usta, powiększając górną wargę za pomocą konturówki.



Gdy skończył, zrobił krok w tył i przez chwilę podziwiał swoje dzieło w lustrze. Na koniec na łysą głowę nałożył perukę Christine Neal.

I nagle stał się kobietą.

Był Karłą.

Nikt nie szukał blondynki w brązowej spódnicy i swetrze.

Wizerunku dopełniły brązowo-niebieska drukowana apaszka z jedwabiu, którą zasłonił jabłko Adama i czerwone ślady po kajdankach, którymi wczoraj dusił go Wąż, oraz para dużych okularów słonecznych w grubych, szylkretowych oprawkach – takich, jakie na zdjęciach miała żona prezydenta Kennedy’ego.

Karl wrócił do sypialni, nachylił się i uniósł falbanę kapy. Spod łóżka patrzyły na niego martwe oczy Christine Neal, z otwartych ust wystawiała do niego spuchnięty język. Wyglądała jak stary manekin, porzucony na tyłach sklepu, zapomniany pod stertą niepotrzebnych śmieci.

– Dziękuję, pani Neal – powiedział Karl z szacunkiem. – Jestem pewny, że była pani naprawdę miłą kobietą.

Opuścił falbanę na miejsce i wyszedł, zatrzymując się przy szafie na płaszcze w korytarzu, z której wyjął brązowe ponczo. Zabrał jeszcze torebkę i – z kuchni – kluczyki do samochodu. Potem wyszedł tylnymi drzwiami.

W garażu stało ciemnogrnatowe volvo. Bardzo ładne. Skórzane siedzenia i tym podobne luksusy. Taki samochód nie będzie się wyróżniał w tej części miasta. I było w nim naprawdę czysto. Pachniał cytryną.

Karl wyjechał z garażu i zamknął jego drzwi pilotem. Jeśli będzie miał szczęście, nikt nie przyjdzie odwiedzać Christine Neal przez weekend. A nawet jeśli tak się stanie, odwiedzający po prostu nie zastaną jej w domu. Nie będzie Christine, jej samochodu, jej torebki. Wyszła. Poszła na zakupy, a może do kina. Jeśli gdzieś pracowała, zauważą jej nieobecność najprędzej w poniedziałek. A jeśli nie, może minąć wiele dni, zanim ktoś zacznie jej szukać.

Dla niego będą to dni na swobodne używanie samochodu Christine, na robienie tego, co będzie chciał, na pojechanie tam, gdzie zapagnie.

Skręcił w główną ulicę i wyruszył na kolejny etap swojej wędrówki, by znaleźć miejsce, gdzie poczuje się najszcześniejszy – dom swojej wybawicielki, Carey Moore.

## XXII

– Na torebce sędziny Moore nie ma żadnych odcisków palców, które moglibyśmy wykorzystać. Przynajmniej kilka osób dotykało samochodu i jak na razie żadna z nich nie ma kartoteki – mówił Tippen.

Chodził w tę i z powrotem wzdłuż stołu konferencyjnego. Był chudy, wysoki i miał karykaturalną twarz: długą, kanciastą, z masywnym nawisem brwi i szczeciniastymi wąsami szpakowatego koloru. Długo pracował jako detektyw w biurze szeryfa, a kilka lat temu przeniósł się do wydziału zabójstw policji miejskiej.

Jeszcze jako człowiek szeryfa Tippen spotkał się z Kovacem i Liska przy sprawie Krematora, która zaangażowała siły kilku agencji. Kremator atakował głównie prostytutki, torturował je, zabijał, a na koniec podpalał ich ciała w parkach publicznych. Dobrze im się razem pracowało i od tego czasu byli kompanami do kielicha.

– Sędzina Moore dostaje więcej nienawistnych listów, niż można by przypuszczać – powiedział Elwood Knutson, kolejny członek ekipy Krematora. Facet rozmiarów średniego niedźwiedzia brunatnego w za małym kapeluszu, ich dyżurny filozof.

– Trudno uwierzyć – rzuciła sarkastycznie Liska.

Kovac nic nie powiedział.

– Jej sekretarz ma je posortowane ze względu na kategorie: chore, bardziej chore i całkiem chore.

– Jakież groźby? – zapytał Kovac.

– Tak, niektóre zawołowane, inne całkiem jawne. Wszystko, co do niej trafia i wygląda na coś poważnego, ląduje w biurze szeryfa – Elwood spojrzał na Tippena. – To doprawdy dziwne, że nikt nie zabił jej dawno temu.

– Nie patrz na mnie! – odparł Tippen. – Jeśli nie zauważyłeś, przeszedłem do innej drużyny.

– To dlaczego jakoś pracy biura szeryfa w ogóle się nie poprawiła? – zapytała Liska.

Tippen cisnął w nią ziarnkiem kawy w czekoladzie. Jadł je nałogowo, choć był ostatnim facetem w całym wydziale, któremu potrzebna była kofeina.

– Skopiowałem i przyniosłem wszystkie listy – ciągnął Elwood, wskazując potężną

ręką na stos leżących przed nim teczek. – Lektura do poduszki, jeśli ktoś ma ochotę.

– A co z byłymi więźniami? – zapytał Kovac. – Wypuszczono ostatnio jakiegoś drania, który mógłby się czuć osobiście skrzywdzony?

– Namierzyłam kilku oczywistych kandydatów przez ich kuratorów – powiedziała Liska. – Jak dotąd żaden z nich nie pasuje mi do roli napastnika z parkingu. Wbrew staraniom naszego systemu penitencjarnego wielu z nich naprawdę się zmieniło i w czasie napaści było w pracy, co mogą poświadczyć ich szefowie. Ale – ciągnęła – mam potencjalnego sprawcę w osobie Ethana Pratta, ojca dzieci zaadoptowanych przez Haasów.

Tippen uniósł zmierzwioną brew.

– Znikł z pola widzenia tuż po zapłodnieniu, a nagle zależy mu na dzieciach tak bardzo, że atakuje sędziego?

– To ten typ faceta – powiedziała Liska. – Wraca tylko po to, by odstawić wielką, dramatyczną scenę.

– Klasyczny dupek – ocenił Kovac.

– Pratt siedział za napaść. Pobił w barze gościa za to, że był kibicem Dallas Cowboys...

– To przestępstwo? – udał zdziwienie Elwood.

– ... sprął też jego dziewczynę. Duże pięści, mało rozumu – podsumowała Liska. – Trafił do mediów, gdy aresztowano Dahla. Po wyjściu z sądu wygłosił głośne i paskudne oświadczenie, w którym domagał się dla niego krzesła elektrycznego. W jakiś sposób umknęło mu, że w naszym stanie nie ma kary śmierci.

– Widziałem to – powiedział Elwood. – Gość z wąsami a la Fu Manchu i rozwianą plerezą.

Liska kiwnęła głową.

– Ulubiony image białych miernot pragnących wyglądać sexy.

– Miałeś kiedyś fryz na czeskiego piłkarza, Sam? – Zapytał Elwood. Kovac spojrział na niego z wyrzutem.

– Elwood, na Boga.

– Miał wąsy – powiedziała Liska z figlarnymi ognikami w oczach. – Widziałam na zdjęciach.

– To były lata osiemdziesiąte – bronił się Kovac. – Każdy gliniarz z jajami nosił Fu Manchu.

– Naprawdę? Mnie nie było jeszcze wtedy na świecie.

Kovac rzucił jej rozbawione spojrzenie i starał się nie roześmiać.

– Nie prowokuj mnie, żebym tam przyszedł, Dzwoneczku.

– A co zrobisz, zbijesz mnie swoją laską?

– Aż się prosisz o cały dzień szowinistycznych żartów na temat napięcia przedmiesiączkowego.

– Ha! Uważaj, Kojaku. Jak dobrze wiesz, twoja niewyparzona gęba nie równa się z moją.

– Nawet tego nie zamierzam – powiedział Tippen. – Zbyt łatwe.

Kovac musiał przyznać, że dobrze było nieco otworzyć wentyl i pozbyć się ciśnienia wywołanego stresem. Byli dla siebie bezwzględni i ktoś z zewnątrz uznałby ich żarty za szokujące, ordynarne i w kiepskim guście. Ale właśnie dzięki nim radzili sobie z pracą, która na co dzień pozwalała im dostrzec najgorsze przejawy ludzkiego okrucieństwa i zdeprawowania.

Porucznik Dawes chrząknęła głośno, przywołując ich do porządku.

– Ethan Pratt...?

Liska miała na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzoną.

– Jest na zwolnieniu warunkowym. Nie mieszka pod ostatnim znanym adresem, wczoraj wieczorem nie było go w pracy i nie zgłosił się do swojego kuratora. Na dodatek Amber Franken powiedziała mi, że gdy Pratt odwiedził ją dziesięć dni temu, niepochlebnie wyrażał się o sędzinie Moore. Twierdzi, że nazwał ją „pieprzoną cipą”.

– To chyba popularny zwrot wśród zwolenników plerez – zauważył Tippen.

– Ich czułe słówka – zgodził się Elwood.

– Dodaj je więc do swojego repertuaru, Elwood – powiedziała Liska. – Dziewczyny szaleją, jak słyszą takie gadki.

– Dobra, zatem facet nie ma alibi na czas napadu, jest porywczy i nazwał sędzinę dokładnie tymi samymi słowami co napastnik – podsumowała Dawes. – Musimy go dorwać i uciąć z nim małą pogawędkę.

– Już rozesłaliśmy listy gończe – powiedziała Liska. – Szukajcie dupka z wąsami i beznadziejną fryzurą.

– Wyznaczę kogoś, by się tym zajął – powiedziała Dawes. – Ktoś musi wiedzieć, gdzie go znaleźć.

– Nawet dupki mają przyjaciół – skomentował Elwood.

– A co z Dempseyem? – zapytał Kovac.

Kovac był pewien, że każda agencja na obszarze Twin Cities wiedziała o poszukiwaniach Dempsey'a, ale nikt nie chciał o tym rozmawiać.

– To przecież on gania po okolicy uzbrojony po zęby i chce walczyć o sprawiedliwość – powiedział Kovac sucho.

Dawes potrząsnęła głową.

– Próbowaliśmy się skontaktować z jego córką w Portland, w Oregonie. Nie oddzwoniła.

– Dempsey ma córkę? – zapytał Elwood z niedowierzaniem.

– Dempsey uprawiał seks z kobietą? – dorzucił Tippen. – Stan, nie znaleźliśmy cię z tej strony.

– I tu właśnie tkwi problem, nie sądzicie? – zauważyła Dawes. – Nie znamy go. Nie potrafimy znaleźć nikogo, kto go zna. Nie wiemy, gdzie mógłby się ukryć. Nie wiemy, co robi po pracy.

– Kiedyś łowił ryby – powiedział Kovac. – A w domu widziałem jego zdjęcie z żoną na wieczorku tanecznym.

Nikt z obecnych nie wiedział, jak na to zareagować. Nie byłiby bardziej zdziwieni, gdyby Kovac wskoczył na stół i odtańczył kankana.

– Sprawdźmy w okręgowym rejestrze nieruchomości – zaproponował Kovac. – Może ma chatę nad którymś z jezior. Powinniśmy też odnaleźć jego byłą, na wypadek gdyby Stan zdecydował, że naprawianie świata zacznie od własnej rodziny.

– Dobry pomysł, Sam – powiedziała Dawes. – Pogrzebię głębiej w teczce Dempseya. Jego żona musiała kiedyś być wpisana jako kontakt w razie jakiegoś wypadku. Zabraliśmy też z domu Stana jego notes z adresami. Może tam ją znajdziemy.

– A jeśli to się nie uda, sprawdźcie, kto był jego adwokatem podczas sprawy rozwodowej – zasugerował Tippen. – On będzie miał nazwisko adwokata żony. Trochę naokoło, ale powinno zadziałać.

Dawes kiwnęła głową.

– Sprawdzaliśmy już w rejestrze pojazdów, czy Stan ma jakiś inny wóz. Wychodzi na to, że nie.

– Więc albo będzie jeździć swoim samochodem – powiedział Tippen – albo coś zwędzi.

– Stan nie ukradłby samochodu – powiedział Kovac. – To przestępstwo.

Liska spojrzała na niego znacząco.

– A torturowanie kogoś długim widelcem – nie?

– On to postrzega jako sprawiedliwość. Oko za oko. Tak widzi swoje zadanie. Ale nie złamie prawa, by osiągnąć cel. Po pierwsze, byłoby to niezgodne z jego zasadami, nie

mówiąc już o tym, że głupie i bezmyślne.

– I po co nam psycholog Dempseya, skoro mamy Sama? – zapytała Liska.

Kovac spojrział na Dawes.

– To po prostu zdrowy rozsądek.

– Kogo posłaliście pod dom sędziny Moore? – spytała Dawes. – Skoro nikt nie wie, gdzie jest Dahl, sędzina będzie z pewnością na pierwszym miejscu listy Dempseya.

– Jeśli spróbuje zbliżyć się do sędziny, mam dwoje ludzi przed jej domem i wóz patrolowy jeżdżący w promieniu kilku przecznic przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A jak ona się czuje? – zapytała Dawes.

Kovac wzruszył ramionami.

– Twarda z niej sztuka. Jakoś się trzyma.

– Może i ona jest twarda, ale jej wyroki już nie – poskarżył się Tippen.

– Daj jej spokój! – warknął Kovac. – Wczoraj w nocy ktoś nieźle ją poturbował.

Wszystkie brwi w pokoju powędrowały do góry. Kovac poczuł, że jego policzki robią się gorące.

Krępującą ciszę przerwała Liska.

– On znowu rzuca palenie.

Jakby to mogło wytłumaczyć wszystkie dziwne zagrania.

– Acha...

– A, no skoro tak... – Cóż...

Nikt nie spojrział wprost na niego, oprócz porucznik Dawes.

– Nikki mówiła mi, że nie za bardzo podoba ci się jej mąż.

– To dupek. Jak tylko tu skończymy, jadę sprawdzić jego alibi.

– Sądzisz, że się nie utrzyma?

– To dupek – powtórzył Kovac. – A co z kasetą z parkingu?

Liska potrząsnęła głową.

– Nie rozpoznałabym samej siebie na tym nagraniu. Sami zobaczcie.

Podeszła do telewizora stojącego na stoliku na kółkach w rogu pokoju, włączyła wideo i puściła kasetę.

Kovac zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

– Tylko tyle udało im się zrobić?

– Biorąc pod uwagę to, z czym musieli pracować...

Obraz miał nieco większą klarowność, ale osoby wciąż pozbawione były rysów twarzy.

– Co to za biały znak na plecach napastnika? – zapytał Kovac.

– Przypuszczam, że jakieś logo – powiedziała Liska. – Ale nie ma szans, by udało nam się je odszyfrować.

– A jak poszło sprawdzanie tablic rejestracyjnych samochodów z parkingu?

– Na razie nic nie mamy.

– Ani wozu młodego Haasa lub jego kumpla, ani Ethana Pratta – myślał Kovac na głos. – A może któryś z byłych więźniów?

– Nic – powiedział Tippen.

Kovac westchnął, podrapał się po głowie, upił łyk kawy. Czuł, jakby jego powieki były z papieru ściernego. Odsunął krzesło od stołu i wstał.

– Skończyliśmy?

– A co, masz coś lepszego do roboty? – spytał Tippen.

Kovac przeciągnął się i ziewnął.

– Tak. Myślałem, że może najpierw złapię kilku drani, potem obejrzę film albo zbawię świat, czy coś takiego.

Liska mrugnęła do niego zalotnie.

– Superbohater nigdy nie odpoczywa.

– Dobrze to ujęłaś, maleńka – odparł. – Jak będziesz grzeczna, to może ci pozwolę popatrzeć, jak się przebieram w budce telefonicznej.

– No dobra. Mów, o co chodziło? – zapytała Liska, gdy wrócili do swoich biurka w głównej sali.

Kovac nie podniósł wzroku znad papierów.

– O co chodziło z czym?

– Wczoraj w nocy chciałeś zostawić Carey Moore na pastwę losu, a dziś rano stajesz w obronie jej honoru. Co jest grane?

– Żal mi jej – powiedział, ostentacyjnie zakładając na nos okulary do czytania i wrócił do przeglądania notatek. – Ktoś stłukł ją na kwaśne jabłko, podczas gdy jej mąż pieprzył się z jakąś lalą i miał w dupie to, co się dzieje z jego żoną.

– Wiesz to na pewno?

– Wiem, kiedy facet kłamie w takich sprawach. A ona stara się udawać, że nic się nie stało albo że dla niej to nie ma znaczenia. Nie rozumiem tego.

– Jest zawstydzona – powiedziała Liska cicho. – Nikt nie lubi wychodzić na dumnia. A

zwłaszcza kobieta sukcesu, od której wszyscy oczekują, że będzie twarda, silna i Bóg wie co tam jeszcze. Mówię ci to z własnego doświadczenia.

Kovac zdjął okulary i popatrzył na nią. Liska była niegdyś żoną detektywa z wydziału wałki z narkotykami w policji St. Paul. Ich związek trwał wystarczająco długo, by zdążyła z nim mieć dwójkę dzieci. Pobrali się jeszcze jako szeregowi policjanci, potem razem zdobywali kolejne stopnie zawodowe. On był jednym z tych niepokornych młodzieńców, których kobiety zawsze chcą reformować. Wszyscy nazywali go Szybki. Liska wierzyła, że jest ponad to, że potrafi go zaakceptować takim, jakim jest. Ale nie przewidziała, że Szybki nie będzie umiał znieść jej sukcesu.

Nikki była świetnym gliną. Miała szuflady pełne pochwał od szefów. Przydzielano ją do ważnych spraw. Jej zdjęcia raz po raz zdobyły pierwsze strony gazet. A Szybki był lekkomyślnym kowbojem, zawsze działał na krawędzi prawa i często coś partaczył. Poza tym pracował jako tajniak. Musiał trzymać się w cieniu, z dala od kamer i fleszy.

Zdradzał ją więc. Bez przerwy. Mścił się za to, że nie umiał dorównać jej na polu zawodowym.

Kovac nienawidził gościa. Od samego początku.

– Wiem – powiedział miękko. – I dobrze się stało, że to nie ty pojechałaś wczoraj do Carey Moore. Jedno spojrzenie na jej męża i wykastrowałabyś go na miejscu. To skurwiel, a ona go toleruje, bo... No nie wiem. Mają córkę. Ona ma sporo na głowie jako sędzia... Może po prostu nie starcza jej energii, by jeszcze z nim się użerać.

Oczy Liski zwięzły się.

– Ty ją lubisz.

Kovac zrobił grymas niezadowolenia.

– Szkoda mi jej.

– Nie. Ty ją lubisz – powiedziała całkiem na serio, dźgając go palcem. – To kolejna dziewczyna w opałach, którą musisz ratować. Uważaj, Sam. Nie chcę, żebyś się sparzył.

– Jezu – powiedział zrzędlwym tonem, z powrotem nakładając okulary, by ukryć się przed jej przeszywającym jak laser wzrokiem. – Nie masz żadnych argumentów na poparcie swojej tezy.

– Jak to nie mam? Znam cię. I pamiętam twoje wpadki z przeszłości.

– To dawne winy – mruknął Kovac. – Nie mają znaczenia.

– Wskazują na wzór postępowania – klóciła się Liska.

– Ja ledwie znam tę kobietę.

Liska tylko westchnęła i spojrzała na niego z mieszaniną troski i niepokoju. Czuł, że



chciała coś jeszcze powiedzieć, ale ugryzła się w język.

– Muszę iść – powiedział, wstając od biurka. – Co masz teraz w planach?

– Dalszy ciąg podchodów do Bobby’ego Haasa. Jeśli nie znajdzie się świadek, który oświadczy, że widział jego lub jego kumpla na miejscu zbrodni, to nie mam jak powiązać go z napadem. Pomyślałam więc, że pojedę do Haasów, zapytam, jak się czują, przekażę im nowiny na temat Dahla, choć w zasadzie nie ma o czym mówić. Pokażę Bobby’emu, jaką jestem miłą, dobrą i opiekuńczą kobietą.

– Żeby potem łatwiej było ci go złamać i rzucić sprawiedliwości na pożarcie?

– Dokładnie tak.

Kovac poklepał ją po ramieniu.

– Moja dziewczynka.

## XXIII

Gdy Liska podjechała przed dom Haasów, Bobby właśnie grabił liście w ogrodzie. Zaparkowała na chodniku przed domem, bo na samą myśl o wjechaniu na podjazd jeżyły jej się włosy na głowie.

Czuła się zażenowana tym, że ten dom tak na nią działał. Przez lata odwiedziła dziesiątki miejsc zbrodni, wracała do nich, spędzała w nich czas, starając się wyobrazić sobie przebieg wypadków. Ale tutaj... Żałowała, że nie miała ze sobą medalika na łańcuszku.

Chłopak podniósł na nią wzrok, gdy tylko wysiadła z samochodu. Miał wyraz twarzy, który mówił, że w życiu usłyszał już wiele złych informacji i właśnie gotował się na kolejne.

– Cześć, Bobby. Jak tam twój tato?

– Nie najlepiej.

– Nie powinien pójść do lekarza? – zapytała. – Mogę ci w tym pomóc. Wiem, że on nie chce o tym słyszeć, ale jeśli jest chory...

Bobby Haas obejrzał się na dom, jakby pytając o pozwolenie. Gdy znów się do niej obrócił, westchnął.

– Nie, dziękuję. Dostał jakieś leki od swego lekarza. I tak naprawdę nie czuje się gorzej niż zwykle. Po prostu musi odpocząć. Sam się nim zajmę. Dla mnie to żaden problem.

– Twój ojciec to twardy i dumny człowiek – powiedziała Liska. – Wiesz, że gdy dzieje się coś naprawdę złego, czasem najciężej znoszą to właśnie najsilniejsi.

– On się czuje odpowiedzialny – powiedział Bobby. – Tak jakby mógł temu zapobiec. Przecież musiałyby być jasnowidzem. Może ja też mógłbym coś zrobić, gdybym wiedział, że to się stanie.

Liska skinęła głową.

– Ale nie wiedziałeś. Nikt nie wiedział. Nikt nie potrafiłby wyobrazić sobie czegoś tak potwornego – prócz Dahla i przestępców jego pokroju.

– On wciąż jest na wolności, prawda?

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, by go złapać – powiedziała Liska. Kiwnęła głową w kierunku werandy. – Możemy na chwilę usiąść?

Chłopak przyjrzał się jej podejrzliwie, ale poszedł za nią, gdy ruszyła, nie czekając na

jego odpowiedź i dając mu do zrozumienia, że w zasadzie nie ma wyboru. Liska zajęła miejsce na ostatnim schodku, Bobby usiadł dwa stopnie niżej, opierając granie o barierkę. Promienie jasnego, jesiennego słońca zalały go ciepłym światłem. Wyglądał jak anioł.

„Ładny chłopak” – pomyślała Liska. Tak właśnie należało by go opisać – nie jako przystojnego, młodego mężczyznę, ale jako pięknego chłopca. Musiał być podobny do matki. Próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądała Marlene Haas, ale jedyne, co przychodziło jej do głowy, to koszmarny obraz z miejsca zbrodni – Marlene oparta o poduszki w pokoju telewizyjnym, jej twarz pozbawiona życia, a w otwartym brzuchu zwiędłe stokrotki.

– Bobby, jestem pewna, że słyszałeś to już tyle razy, że masz już dość, ale naprawdę przykro mi z powodu twojej straty. Przykro mi, że ty i twój tata przechodzicie przez taką mękę. Ale żal mi zwłaszcza ciebie, bo przecież to ty znalazłeś ciało mamy i rodzeństwa. Nie jestem w stanie nawet próbować sobie wyobrazić, co musiałeś wtedy czuć. Czy ty i twoja mama byliście sobie bliscy?

Chłopak patrzył na ogród, jakby jego matka stała właśnie koło garażu.

– Marlene była moją macochą, ale tak, lubiłem ją. Była miła. I naprawdę dobra. Lubiła piec. Dom zawsze pachniał ciastem.

– Czy twoja mama mieszka gdzieś w okolicy?

– Zmarła, gdy miałem trzynaście lat.

– Przepraszam, nie wiedziałam. Co się stało?

– Miała raka.

– O cholera, to straszne. Naprawdę nieźle dostałeś od życia w kość. Lekko wzruszył ramionami.

– Daję sobie radę. Tata i ja mamy siebie nawzajem.

– Wy dwaj dobrze się rozumiecie, prawda?

– Kiedyś robiliśmy razem dużo rzeczy. Chodziliśmy na mecze, na ryby i takie tam. Tata był trenerem naszej młodzieżowej drużyny hokejowej. Nauczył mnie jeździć samochodem.

– Od czasu tragedii już tego nie robicie?

– On nie ma ochoty. Gdy to się stało, wziął urlop, ale dali mu tylko trzy tygodnie. Mówiłem mu, że powinien rzucić tę robotę. Odejść na emeryturę.

Westchnął ciężko, przygnieciony swoimi troskami.

– Sądziłem, że moglibyśmy się gdzieś przeprowadzić, na przykład do Arizony, i po prostu zacząć od początku. Tutaj będzie ciągle myślał o tym, co się stało. Ale musimy siedzieć w tym koszmarnym domu. A on nic z tym nie robi.

– Ten dom trudno sprzedać, Bobby – powiedziała Nikki. – O ile twój tata nie zarabia dużo więcej niż ja, to nie stać go na kupno nowego domu bez sprzedaży tego.

– Ale nie potrzebowalibyśmy domu – powiedział chłopiec. – Wystarczyłoby mieszkanie. Nie rozumiem go. To, co się stało, jest potworne, ale musimy żyć dalej.

Liska po raz kolejny zauważyła, że chłopak przerażająco dobrze poradził sobie z tragedią. Przeżył własny smutek, pokonał go i ruszył dalej. Pod wieloma względami to on był teraz dorosłym w tej rodzinie, podczas gdy bolesne wspomnienia i żal obezwładniały jego ojca. Ale poza tym wciąż był chłopcem, który pragnął odzyskać swego tatę.

– Czy twój tato skontaktował się z kimś z biura pomocy ofiarom? Oni mogliby umówić go ze specjalistą z poradni...

– On nie pójdzie – wymamrotał Bobby, patrząc w dół, na spękany, betonowy stopień.  
– Nie wierzy psychologom.

– A ty? Byłeś tam? Może chciałbyś pójść?

– Mi nic nie jest. Kilka razy rozmawiałem z panią psycholog. Nie rozumiała, o co mi chodzi. Ale kto mógłby to zrozumieć?

Liska obserwowała, jak chłopak bawi się końcem sznurówki, oznaka zdenerwowania. To nie był szczęśliwy dzieciak. A ona dotknęła jego czułych punktów, otworzyła wciąż świeże rany.

Spojrzał na nią.

– Jak się czuje sędzina?

– Lepiej. Wyjdzie z tego. Policja bada wszystkie tropy.

– To dlatego tak naprawdę pani tu przyszła? Żeby jeszcze raz mnie zapytać, czy to zrobiłem?

– Muszę mieć potwierdzenie twoich zeznań, Bobby, żeby móc cię oczyścić z podejrzeń – powiedziała Liska. – Czy ty albo Stench rozmawialiście z którymś z nauczycieli, gdy wczoraj wieczorem byliście na meczu w szkole?

– Nie. Po co mielibyśmy z nimi rozmawiać?

– Tylko pytam.

– Ale wpadłem na jednego z woźnych, gdy wchodziliśmy do szkoły. To był pan Dorset. Nie wiem, może on nas zapamiętał.

– Czy musieliście płacić, żeby wejść na mecz? – Nie.

– O której zaczęła się gra?

– O siódmej.

– Byliście na całym meczu?

– Tak.

Teraz Liska pozwoliła sobie na westchnięcie.

– No dobra – powiedziała. – Zrozum, Bobby. Ja nie staram się udowodnić, że to zrobiłeś, tylko że tego nie zrobiłeś. Mam syna prawie w twoim wieku. Gdy pomyślę, że on miałby przechodzić przez to wszystko... Chciałabym, żeby był wtedy przy nim ktoś, na kogo mógłby liczyć. Ty nie masz nikogo takiego, prawda?

Popatrzył w bok.

– Mam mojego tatę.

– Nie do końca. To bardziej on ma ciebie. Ma szczęście, że jesteś takim dobrym dzieckiem.

Chłopak popatrzył w dół, przejechał grabiami po trawie.

– To mój tata. Wszystko bym dla niego zrobił.

– Bobby, czy wiesz, kim jest Ethan Pratt? – spytała Liska, zmieniając temat.

Bobby wyglądał na zdezorientowanego.

– Tak. Znam to nazwisko. Pratt jest... był ojcem Brittany i Ashtona. Czemu pani pyta?

– Czy kiedykolwiek dzwonił lub przychodził do waszego domu?

– Nie. Czemu miałyby to robić?

Liska wzruszyła ramionami.

– Sprawdzam tylko wszystkie tropy. Zadzwoń, jeśli przypomni ci się ktoś, kto mógłby potwierdzić twoje zeznania. Skontaktuję się z woźnym. Dziękuję, Bobby.

Chłopak nic nie odpowiedział.

Liska odeszła, zastanawiając się, czy w swym oddaniu dla ojca Bobby Haas mógłby posunąć się do zemsty.

## XXIV

Kovac gorąco wierzył w element zaskoczenia. Wcześniejsze ostrzeżenie dawało tylko ludziom czas na wygładzenie swoich kłamstw. Nie lubił umawiać się na przesłuchania. Po prostu się zjawiał, a nagle wizyta gliniarza z wydziału zabójstw, który zadaje mnóstwo pytań, przyprawiała przeciętnego obywatela co najmniej o drzenie rąk.

Oczywiście wiedział, że nie uda mu się całkowicie zaskoczyć świadków, mających potwierdzić alibi Moore'a, który na pewno chwycił za słuchawkę, gdy tylko Kovac znalazł się za drzwiami. Ale nie mogą się spodziewać, że tak po prostu zapuka do ich drzwi.

Gdy Liska poszła do domu, wrzucił nazwiska Edmunda Ivorsa i Ginnie Bird do policyjnej wyszukiwarki. Mieli czyste konta.

Ivors pojawił się za to w Google'u. Tak jak powiedział Moore, Ivors, lat pięćdziesiąt siedem, był przedsiębiorcą, który dorobił się fortuny, zakładając sieci multipleksów w Twin Cities i Chicago. Miał biuro w centrum, dom w bogatej, podmiejskiej dzielnicy Edina i willę nad jeziorem Minnetonka, gdzie wszystkie rezydencje pochodziły sprzed co najmniej stu lat. Zasiadał w radach nadzorczych kilku komitetów filmowych i tuzina organizacji charytatywnych. Wydawał się człowiekiem bez zarzutu, ale Kovac z własnego doświadczenia wiedział, że właśnie tacy ludzie mieli sporo grzechów na sumieniu.

Ginnie Bird natomiast w ogóle nie istniała. Kovac nie znalazł jej w żadnej bazie danych. Próbował różnych kombinacji jej imienia – Virginia, Ginnifer, Lenny, Jennifer – i różnych pisowni nazwiska. I nic. Nie było jej w książce telefonicznej, nie posiadała samochodu zarejestrowanego na siebie. Nie znalazła się na liście uprawnionych do głosowania ani w spisie podatników stanu Minnesota.

Moore twierdził, że Ginnie jest „wspólniczką” Ivorsa, więc przynajmniej on powinien znać jej adres i telefon.

Kovac spojrzął na zegarek. Jego brzuch burczał jak zły pies. Potrzebował lunchu, galonu kawy i około trzech paczek papierosów. Poklepałby się po plecach za to, że tak dobrze radzi sobie bez palenia, gdyby się nie obawiał, że w ten sposób skręci staw barkowy. Duże dochodzenia zawsze prowadził na kofeinie, nikotynie i adrenalinie.

Zadzwoił telefon, odrywając go od myśli o papierosie, zanim zdążył się złamać.

– Kovac.

– Dzień dobry, panie Kovac, nazywam się Edmund Ivors.

Element zaskoczenia właśnie obrócił się przeciwko niemu. Atak wyprzedzający. Od razu pomyślał, że to znak, że coś tu śmierdzi.

– O, pan Ivors. Zgaduję, że rozmawiał pan z panem Moore'em.

– Tak. Dowiedziałem się o napadzie na sędzinę Moore wczorajszej nocy. Oczywiście, od razu zadzwoniłem do Davida. Powiedział, że chciałby mi pan zadać kilka pytań.

– To prawda – powiedział Kovac. – Właśnie wychodzę z pracy. Możemy gdzieś się spotkać?

– Jestem w swoim biurze. Zna pan adres?

– Tak. Będę u pana za pół godziny.

Biuro Ivorsa wyglądało tak samo elegancko, nowocześnie i bogato jak sam właściciel. Ivors był drobnym, nienagannie ubranym mężczyzną z krótko przyciętą, szpakowatą brodą. Miał granatowy garnitur w prążki, którego cena dorównywała miesięcznej pensji Kovaca. Do tego delikatnie prążkowana koszula, fioletowy krawat i chusteczka w kieszonce na piersi. Kovac z natury nie ufał facetom w krawatach pasujących do chusteczek – zbyt wysoko się cenili. Buty Ivorsa były pewnie ręcznie robione przez ślepych mnichów we włoskich Alpach.

Kovacowi wystarczyło jedno spojrzenie na gościa, by stwierdzić, że to dupek.

Ivors powitał go w poczekalni z przesadnie przyjaznym uśmiechem i mocnym uściśnięciem delikatnej dłoni. Facet wyglądał na takiego, który raz na tydzień robi manicure.

– Detektywie – odezwał się Ivors. – Cieszę się, że udało mi się pana złapać.

– Ciekawe czemu? – zapytał Kovac. – Większość ludzi stara się mnie unikać.

– Chciałem położyć kres wszelkim podejrzeniom, jakie mógłby pan mieć w stosunku do Dave'a.

Kovac spojrzał na niego.

– Jesteście bliskimi znajomymi, pan i Dave?

Ivors uśmiechnął się gładkim uśmiechem polityka.

– Znam Davida od kilku lat. To bardzo miły człowiek. Nie mógłby się dopuścić czegoś podobnego.

– Więc wczorajszy wieczór spędził w pana towarzystwie.

– Tak. Spotkaliśmy się na drinka w restauracji hotelu Marquette. Około siódmej.

– Jaki się panu wydał? Zdenerwowany, podekscytowany, spokojny...?

– Wydawał się całkiem normalny.

– Czy wspominał o żonie?

– Nie przypominam sobie. Rozmawialiśmy o interesach – Ivors wykonał gest w kierunku drzwi. – Przejdźmy do mojego biura. Tam będzie nam wygodniej. Czy mogę coś panu podać? Wodę? Sok? Zaproponowałbym kawę, ale nie mam pojęcia, jak ją przygotować. Gdyby nie moi podwładni, musiałbym zadowalać się herbatą. Umieję zgotować wodę, ale na tym kończą się moje talenty.

– Dziękuję za wszystko.

Z okien biura rozciągał się imponujący widok na miasto. Cała ściana zbudowana była ze szkła. Pośrodku stało drewniane biurko w stylu art déco, a obok, na krześle dla odwiedzających, siedziała kobieta.

Kovac obrzucił ją szybkim, taksującym spojrzeniem. Ginni Bird. Kolejne zaskoczenie. Coraz mniej mu się to podobało. Wszystko było ukartowane w tak ewidentny sposób, że musieli go chyba uważać za totalnego idiotę.

Ginnie wyglądała na kobietę delikatną i słabą. Była drobna, wręcz chuda, za wyjątkiem nienaturalnie dużego, sztucznego biustu. Mogła uchodzić za atrakcyjną, ale nie w sposób, który przemawiałby do Kovaca. I nie chodziło tu o żadną konkretną rzecz. Była elegancko ubrana – w spodnie z wielbłądziej wełny i rdzawą, jedwabną bluzkę. Miała ładny makijaż. Ale tkwiło w niej coś, co sprawiało, że do głowy przychodziło mu jedno skojarzenie – tania dziwka. Coś w jej zapadłej, pociągłej twarzy, kształcie i układzie oczu, a może we włosach – jasnych, słabych i kiepsko obciętych.

A może po prostu Kovac bezwiednie zapalał do niej niechęcią, bo miał w pamięci, że to ją posuwał Moore, gdy jego żona leżała w szpitalu.

– Detektywie Kovac – powiedział Ivors. – To jest Ginnie Bird. Ginnie była wczoraj z nami.

– Pani Bird.

Kobieta nie wykonała żadnego ruchu, poza wyciągnięciem do Kovaca wiotkiej dłoni. Najwyraźniej nie chciała tu być, a już na pewno wolała nie mieć nic do czynienia z policją.

Koniuszek jej nosa był czerwony, jakby płakała lub była przeziębiona.

„Narkomanka – pomyślał Kovac. Ta bladeść skóry, wychudzenie... Ach, to o to chodziło! Ginnie Bird była dziwką i narkomanką, którą ktoś starał się przebrać za porządną kobietę”.

– Więc byliście wczoraj we trójkę w mieście do drugiej nad ranem – powiedział Kovac. – To bardzo długi wieczór.



– Rozmawialiśmy o nowym projekcie Davida – odpowiedział Ivors, podchodząc do barku, by nalać sobie szklanek wody z kryształowego dzbanka, w którym pływały plasterki cytryny. – David robi dokument porównujący...

– To bez znaczenia – uciął ostro Kovac. – Pan finansuje jego projekt?

– Tak.

– A jaka jest w tym pani rola, pani Bird?

Wyglądała na zaniepokojoną faktem, że Kovac przeniósł na nią uwagę. Odpowiedział mu Ivors, zanim Ginnie zdążyła otworzyć usta.

– Ginnie jest kierownikiem obsady. Będzie szukać aktorów do tej części filmu, w której zostaną odtworzone prawdziwe zdarzenia.

– I to uprawnia panią do udziału w negocjacjach? – zapytał Kovac z powątpiewaniem.

– Ginnie jest bardzo utalentowana, ma świetny instynkt. Chciałem, żeby podzieliła się z nami uwagami na temat projektu.

Kovac spojrział wprost na kobietę.

– Czy jej talenty obejmują zdolność mówienia?

Ivors zaśmiał się jowialnie, wciąż grając rolę dobrego gospodarza.

– Przepraszam, Ginnie. Żona zawsze mi mówi, że nie daję ludziom dojść do słowa. Ja po prostu nie umiem się powstrzymać od mówienia!

– Proszę spróbować – powiedział Kovac bez rozbawienia. Ponownie zwrócił się do Bird. – Czy jest pani w tym mieście nowa?

– Nie – powiedziała, marszcząc brwi. Jej głos był równie silny jak uścisk dłoni.

– A może niedawno wyszła pani za mąż?

– Nie. Dlaczego?

– Cóż, dziś rano próbowałem panią odnaleźć, szukałem pani numeru telefonu. W żadnym spisie nie ma pani nazwiska. Stan Minnesota zdaje się w ogóle nie wiedzieć o pani istnieniu.

– Jestem z Wisconsin – odpowiedziała pośpiesznie. – Mieszkam w Hudson.

Na drugim brzegu rzeki St. Croix, tuż za wschodnią granicą Twin Cities.

– Doprawdy? – zapytał Kovac. – Ładne miejsce. Mam kolegę w Hudson. Ray Farmer. Jest tam szefem policji. Może go pani zna?

– Nie, nie znam – powiedziała Ginnie Bird, zerkając na Ivorsa. – Mieszkam tam od niedawna.

A twierdziła, że nie była nowa w okolicy. Kimkolwiek była, z pewnością kiepsko szło jej kłamanie.

– Skąd pani w takim razie pochodzi?

– Z Illinois.

Kovak uniósł brwi, jak gdyby ludzi z Illinois uważał za szczególnie podejrzanych.

– W restauracji hotelowej dowiedziałem się, że w piątkowe wieczory zamykają o jedenastej trzydzieści – Kovac zmienił temat.

– To prawda – powiedział Ivors. – Później przenieśliśmy się do baru.

– Jeśli więc spytam pracowników baru, dowiem się, że wasza trójka pozostawała tam aż do zamknięcia?

Łaskawe usposobienie Ivorsa zaczynało mijać.

– A dlaczego miałby pan to robić, detektywie? Czy złamaliśmy jakieś prawo, o którego istnieniu mi nie wiadomo? Sądziłem, że chce pan wiedzieć, gdzie przebywał David Moore w czasie, gdy napadnięto na jego żonę. Jakie znaczenie ma to, że siedzieliśmy w barze do drugiej?

– Staram się po prostu wziąć wszystko pod uwagę, panie Ivors – powiedział Kovac. – Założmy, czysto teoretycznie, że ktoś zlecił komuś innemu pobicie sędziny Moore. Ten drugi człowiek mógłby później spotkać się z tym pierwszym, by odebrać zapłatę.

– David nigdy by czegoś takiego nie zrobił! – oburzyła się Ginnie.

Kovac spojrzał na nią podejrzliwie.

– Zna go pani aż tak dobrze?

– On po prostu nie mógłby zrobić czegoś takiego.

– Jestem gliniarzem od bardzo dawna, pani Bird, i muszę pani powiedzieć, że widziałem ludzi zachowujących się w najbardziej nieprawdopodobny sposób. Nikt by się nie spodziewał. Ale gdy ktoś ma już dość i czuje się zapędzony w kozi róg, to nie wiadomo, jak się zachowa. Niektórzy widzą, że między nimi a wolnością lub między nimi a dużymi pieniędzmi stoi człowiek, i wybierają najkrótszą drogę do celu. I nieważne, co stanie się z tym człowiekiem.

– Mówi pan o Davidzie, jakby był przestępcą – powiedziała Ginnie. Była rozsierdzona.

– Nie wiem, czy nim nie jest – powiedział Kovac. – I to samo mogę powiedzieć o pani. Śledztwo, jak pani wie, służy właśnie temu, by się wszystkiego dowiedzieć, otworzyć kilka szaf i przyjrzeć się leżącym w środku trupom. Każdy ma przynajmniej jednego.

– To niedorzeczne – powiedział Ivors, wyraźnie już zły. – Carey Moore została napadnięta na parkingu koło pracy. Jej mąż był z nami od siódmej wieczorem. Czy nie tego właśnie chciał się pan dowiedzieć, detektywie Kovac?

– Tego.

– Więc już pan to wie.

– Zgaduję, że chce mnie pan wyprosić.

– Po ulicach naszego miasta biega morderca trójki niewinnych ludzi – powiedział Ivors. – Jestem pewien, że ma pan ważniejsze rzeczy do roboty, niż stać tu i zadawać bezsensowne pytania.

Na ustach Kovaca igrał delikatny uśmiech, gdy odwrócił się w drodze do drzwi.

– Widzi pan, panie Ivors, urok mojej pracy polega na tym, że nie ma w niej bezsensownych pytań. Dziękuję, że poświęcili mi państwo swój czas – powiedział i skłonił się Ginnie Bird. – Byliście bardzo pomocni.

## XXV

Karl bez problemu znalazł dom sędziny Moore. Rozpoznał go dzięki transmisji, jaką widział w telewizji. Ładny, ceglany dom z białymi framugami i czarnymi okiennicami. Taki, w którym bogaci, szanujący się ludzie chcieli wychowywać dzieci i urządzać przyjęcia.

Mógł sobie wyobrazić, jak tu wszystko będzie wyglądać w czasie świąt – jak na pocztówce. We wszystkich oknach staną świece, na czarnych, błyszczących drzwiach zawisnie duży wieniec, a wokół dwóch białych kolumn będą się wić laurowe girlandy. A w środku stanie wysoki, dostojny świerk, z kolorowymi światełkami i tysiącem innych dekoracji.

Teraz dom przedstawiał idealny obraz jesieni. Wielkie klony gubiły opadające na trawnik złote liście, a próg zdobiły pomarańczowe dynie.

Właśnie taki dom wyobrażał sobie dla Carey Moore. Odpowiedni dom dla pięknej kobiety.

Karl przejechał obok w swoim volvo, zauważając stojący przy krawężniku radiowóz. Skręcił za róg, wyglądając za kolejnym samochodem policyjnym, ale żadnego nie zobaczył. Ani radiowozu, ani nieoznakowanego samochodu z dwoma mężczyznami siedzącymi w środku i udającymi, że na kogoś czekają.

Za domem biegła alejka, ale Karl nie odważył się w nią wjechać. Na tyłach domu Carey Moore mogli być policjanci. Może gdy się ściemni, zostawi wóz za rogiem i przyjdzie tu na piechotę.

Na razie Karl pojechał na parking znajdujący się na północnym brzegu jeziora Calhoun, połączonego kanałem z Lake of the Isles. Calhoun roiło się od żaglówek – białych na tle lśniącej, niebieskiej wody. Jezioro było ogromne, jego brzegi dzieliły setki akrów wody. Lake of the Isles było dużo mniejsze, ale za to bardzo malownicze, ze swoimi wysepkami i bogactwem wodnego ptactwa, krążącego nad powierzchnią jeziora i używającego jego tafli jako lądowiska.

Karl szedł na północ brukowaną ścieżką, która biegła wokół jeziora. Mieszkańcy całej Minnesoty opuścili swe domy i przyjechali w te piękne tereny, by cieszyć się ciepłem, słońcem i bezchmurnym niebem. Ścieżka pełna była ludzi w każdym wieku, od dzieci w

spacerowych wózkach po białowłosych staruszków. Po równoległej, zewnętrznej ścieżce mknęli rowerzyści i deskorolkarze.

Karl głęboko oddychał świeżym powietrzem, czuł wdzięczność dla losu i optymizm. Gdy doszedł do miejsca, z którego widać było dom sędziny, usiadł na ławce. Po drodze nad jezioro zatrzymał się w pełnym klientów sklepie spożywczym i kupił kanapkę z wołowiną i musztardą oraz butelkę coca-coli. Teraz wyjął swój lunch z torebki i zabrał się za jedzenie.

Zewsząd dobiegały go urywki rozmów. Jakaś kobieta narzekała na swoją synową, inna znów na lumbago, jeszcze inna na męża. Dwóch mężczyzn omawiało szczegóły jakiegoś interesu. Młoda para poważnym tonem omawiała przyszłość swojego związku.

Obok niego płynęło zwykłe, codzienne życie. Ludzie, pochłonięci swoimi małymi dramataми, nawet nie zauważali, że mijana przez nich kobieta, siedząca na parkowej ławce, jest tak naprawdę najbardziej poszukiwanym człowiekiem w mieście. A może i w całym kraju.

Karl bawił się myślą, że udało mu się schować na pełnym widoku. Napawało go to poczuciem dumy. Jako Karla Neal (nazwisko Neal wybrał z wdzięczności dla kobiety, która dostarczyła mu jego nowej tożsamości) był uznawany za niegroźną panią, kolejną osobę zajmującą się swoimi sprawami w to piękne, sobotnie popołudnie. Nie warto było poświęcać mu wiele uwagi.

Gdy tak patrzył na tych wszystkich otaczających go ludzi – dzieci karmiące kaczki i gęsi nad brzegiem jeziora, gawędzące ze sobą matki, kłócących się kochanków, starszych panów rozprawiających o zbiegłym mordercy i starsze panie rozmawiające o tym, o czym zwykle mówią kobiety w ich wieku – przez głowę przeszła mu myśl: co by było, gdyby nagle wstał, zdjął perukę i ujawnił, że to on jest tym potworem, którym tak gardzą.

Wyobraził sobie powszechną panikę jako coś namacalnego, falę, która go obmywa. Oddychałby nią i czerpał z niej siłę. Dzięki tej sile poczułby się jak tytan – niezniszczalny.

Oczywiście to nie mogło się wydarzyć. Pozostanie tym, kim jest – cichą kobietą cieszącą się pięknym dniem, patrzącą na dom po drugiej stronie jeziora i myślącą o uroczej sędzinie, która w nim mieszka.

## XXVI

Stan jechał ostrożnie, stosując się do ograniczeń prędkości i zatrzymując się na wszystkich światłach. Myśl, że to, co planował zrobić, było wbrew prawom tak ludzkim, jak i boskim, kołatała się w jakimś odległym zakątku jego głowy. Jedyne prawem, jakiego teraz przestrzegał, było: oko za oko.

Wymagało tego jego zadanie, jego misja. Musiał odnaleźć winnych i ukarać ich za to, co stało się Marlene Haas i tym dwóm malutkim dzieciom, za to, co właśnie uchodziło Karlowi Dahlowi na sucho. Tak jakby taki śmieć jak on miał jakieś prawa. A co z prawem ofiar?

Jeśli system nie potrafił oddać im sprawiedliwości, to musiał to zrobić Stan. To będzie jego ostatnie zadanie na ziemi. Nie miał żadnego innego powodu, by nadal żyć. Jego kariera była skończona, a nic innego nie posiadał. Gdy przestawał być gliną, w ogóle przestawał istnieć.

W pewnym sensie już go nie było. Ten człowiek, o którym ludzie myśleli, że go znali, już nie istniał. Choć i tak naprawdę nikt nigdy nie starał się go znać. Pewna część jego osoby została wyłączona, czyniąc go z jednej strony otępiąłym, a z drugiej bardziej ożywionym niż kiedykolwiek wcześniej.

„To właśnie na tym polega szaleństwo” – myślał Stan, ale w związku z tym nie czuł żadnego strachu, paniki, rozpacz.

Kenny Scott, obrońca Karla Dahla, mieszkał w niczym niewyróżniającym się domu w nieciekawej dzielnicy. Przypominał on dom Stana – dwupiętrową kostkę z lat pięćdziesiątych, identyczną jak otaczające ją budynki w okolicy.

Rosnące przed domem krzaki jałowca były przerośnięte, a trawnik marny, jakby Scott nigdy go nie nawoził ani nie spulchniał. Parkując za rogiem Stan potrząsnął głową. Ogród wymagał troski. Jeśli ktoś zapuszczał swój ogród, to – zdaniem Stana – fakt ów świadczył o braku charakteru. Ale przecież już wcześniej wiedział, że Scott go nie posiada.

Wysiadł z ciężarówki, założył na ramię niewielką sportową torbę i ruszył w kierunku domu Scotta. Po drugiej stronie ulicy kilku chłopców kopało piłkę. Nie zwrócili uwagi na Stana. Dwa domy od Scotta jakaś kobieta mocowała się z dziecięcym wózkiem, próbując

wsadzić go do stojącego na podjeździe minivana. Nawet nie spojrziała na Stana, gdy ją mijał. Zawsze był osobą, której nikt nie zauważał. I wiele razy działało to na jego korzyść.

Skręcił na podjazd przed domem Scotta i wszedł za dom. Znalazł tam niewielki, betonowy taras z grillem, parasolem i stolikiem ze szklanym blatem, wokół którego stały cztery metalowe krzesła z zielonymi poduszkami.

Stan położył torbę na stole, rozpiął ją i wyjął pistolet. Kaliber 22, mały, cichy. Wielu przestępców uważało, że potrzebna im wielka spluwa. Czterdziestka czwórka albo coś większego. Bzdura. Goście mieli problem z ego. Idioci, którzy starali się pozować na mężczyzn. Dwudziestka dwójka wystarczała przy bliskim zasięgu, robiła mało hałasu i bałaganu. Łatwo też było schować ją do kieszeni i po prostu odejść z miejsca zbrodni.

Zapiął torbę, przewiesił przez ramię i przesunął na plecy, by mu nie przeszkadzała. A potem podszedł to tylnych drzwi i zapukał.

Gdzieś w środku grał telewizor. Kenny Scott oglądał uniwersytecką ligę piłki nożnej. Stan przez wiele lat sam był jej ogromnym fanem, kibicował zespołowi Michigan Wolverines. Ale jak z innymi faktami w jego życiu, ten też znany był tylko jemu, bo nikt nigdy go o to nie zapytał.

Zapukał jeszcze raz.

Prawnik przeszedł przez kuchnię, wyglądając na zdezorientowanego. Stan widział go przez szybę w drzwiach. Scott wyjrzał przez nią, wciąż zmieszany.

– Panie detektywie...? – zapytał, otwierając drzwi.

– Panie adwokacie – powiedział Stan. – Czy mogę zająć panu chwilę? Scott wciąż nie wiedział, co myśleć, ale zrobił krok do tyłu, bo – jak sądził – Stan był w końcu kimś, kogo znał. Stan wszedł do środka i wycelował mu z pistoletu prosto w twarz.

Oczy Scotta zrobiły się duże jak spodki.

– Co to ma znaczyć?

– Niech się pan odwróci, panie Scott.

– Czy pan zwariował?

– Tak, proszę pana, zwariowałem – powiedział Stan beznamiętnie. – Niech się pan odwróci i stanie pod ścianą.

Powaga sytuacji zaczęło docierać do prawnika. W jego oczach pojawił się strach.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał. – Nic panu przecież nie zrobiłem.

Stan miał ochotę głośno się roześmiać, ale tego nie zrobił. Jak Scott mógł myśleć, że jego działania jako obrońcy Dahla nie miały wpływu na nikogo innego?

– Proszę się odwrócić. Więcej tego nie powtórzę, panie Scott.

Kenny Scott nie reagował. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

Stan uderzył go w twarz pistoletem, Głowa prawnika poleciała raptownie w bok. Polała się krew i opryskała nieświeżą, beżową ścianę. Stanowi wydawało się, że widzi, jak pojedyncze krople lecą w zwolnionym tempie, zmieniając po drodze kształt i rozplaszczając się w kontakcie ze ścianą.

Głos docierał do niego z opóźnieniem, ale potem dołączył do wizji, jak jakiś dziwny efekt specjalny. Usłyszał dźwięk pistoletu, uderzającego o kość policzkową Scotta, krzyk bólu prawnika i głuchy odgłos, gdy jego ciało zderzyło się ze ścianą.

Stan przytknął mu lufę do pleców, z lewej kieszeni wyjął kajdanki i zapiął je najpierw na jednym, potem na drugim nadgarstku, skuwając ręce prawnika za jego plecami.

– Dlaczego pan to robi? – zapytał Scott ponownie.

Tym razem Stan słyszał w jego głosie strach. Scott zaczynał rozumieć, że ta sytuacja nie ułoży się dla niego pomyślnie. Pewnie wyobrażał już sobie, co Stan z nim zrobi.

Stan poczuł władzę. To było niezwykle ekscytujące. To właśnie czuł Dahl, zdobywając kontrolę nad swoimi ofiarami.

– Schodami w dół – powiedział, odrywając Scotta od ściany i pchając go na prawo, w kierunku zejścia do piwnicy. Tam, gdzie przed chwilą była twarz Scotta, po ścianie spływała krew. Leciła mu z nosa i z rany na policzku, którą zrobił pistolet.

Prawnik zaczął płakać.

– Proszę tego nie robić.

Sądził, że umrze, więc najwidoczniej uważał, że to mu się właśnie należało.

– Schodami w dół.

Stan pchnął go lekko. Scott oparł się ramieniem o framugę drzwi, starając się sprzeciwić. Stan chwycił go za ramię, szarpnął w bok i pchnął do przodu, tym razem mocniej.

Prawnik potknął się, zaczął spadać po schodach i obrócił się w bok, chcąc się przytrzymać ściany, by spowolnić upadek.

– Czuje się pan bezradny? – zapytał Stan. – Myśli pan, że tak mogła się czuć Marlene Haas, gdy pański klient ją torturował? Albo że czuły się tak jej dzieci, gdy prowadził je do piwnicy?

– Jezu – wysapał Scott. – Przecież nie może mi pan tego mieć za złe. Jestem obrońcą z urzędu, na miłość boską. Nie wybieram, kogo bronię. Myśli pan, że chciałem bronić Karla Dahla?

– Próbował go pan z tego wyciągnąć – powiedział Stan, spychając go kolejne kilka stopni w dół.



– Na tym polega moja praca.

– Dla was to jakaś cholerna gra. Wie pan, czego dopuścił się Dahl, ale próbuje go pan wyciągnąć, wynajdując jakiś techniczny kruczek.

– Zasady stworzono w jakimś celu...

– Tak, by pan mógł je naginać, a taki chory łajdak jak Dahl wyszedł na wolność.

Chciał pan, by zgwałcił i zamordował kolejną osobę?

– Oskarżony jest niewinny...

– Niewinny?

Stan poczuł, że wściekłość ogarnia go jak pożar.

– On zarznął tę kobietę. Skrzywdził dzieci i powiesił pod sufitem. Ja tam byłem. Widziałem je. Czuję ich śmierć w powietrzu. Czy ma pan pojęcie, jak to wygląda, panie adwokatcie? Czy kiedykolwiek był pan na miejscu zbrodni?

Scott nie odpowiedział. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy z tego, jak to jest znaleźć się w miejscu, gdzie doszło do brutalnego morderstwa. Nigdy nie doznał tej niepokojącej bliskości zła, którego fizyczna obecność wciąż była w nim wyczuwalna. Nigdy nie poczuł wibrującego w powietrzu przerażenia. Nie doznał wrażenia, że w uszach wciąż słychać krzyk ofiar, z których ktoś siłą wydziera życie.

– Szuka pan furtek, by pomóc takim szumowinom – powiedział Stan gorzko. – Jest pan tak samo winny jak Dahl. I zapłaci pan za to.

Przyłożył stopę do pleców Scotta i pchnął. Prawnik poleciał głową dół, spadł z kilku ostatnich schodów i upadł na betonową podłogę jak worek cementu.

Stan przeszedł nad nim, zbliżył się do półki zawieszanej pod ścianą i położył na niej torbę. Rozpiął ją i zajrzał do środka, próbując zdecydować, co najbardziej nada się w tej sytuacji.

– Stanie pan przed sądem, panie Scott – powiedział, wyjmując z torby cały swój arsenał. – I nie ma pan co liczyć na uniewinnienie.

## XXVII

David Moore, niezwykle uzdolniony dokumentalista, który od lat nie nakręcił żadnego filmu, miał stronę internetową poświęconą swojej osobie. Nadęty bufon.

Kovac zasiadł przy biurku i zaczął ją przeglądać. To nie była tania robota. Ciekawa grafika, ostre kolory, zmieniający się montaż zdjęć z jego kilku prac. Dużo autokreacji oraz chwaleń się osiągnięciami i nagrodami. Udało mu się zrobić z siebie geniusza.

Kovac zastanawiał się, czy ktokolwiek po obejrzeniu tej strony zaproponował mu pracę, czy Moore założył ją tylko po to, by poprawić sobie samopoczucie. Kovac o robieniu filmów dokumentalnych nie wiedział nic poza tym, że wszystkie, które widział w telewizji, były sponsorowane przez kopalnie ropy lub przez prywatne fundusze powołane na rzecz rozwoju sztuki. I chyba z tego ostatniego pochodził Edmund Ivors.

Kovac nie rozumiał, jak można się było utrzymać, robiąc to co David Moore. Jeśli gość reżyseruje jeden film na dziesięć lat, to albo musiał na nim zarobić krocie, albo wyciąga kasę od żony.

Podejrzewał to drugie. David Moore dużo gadał, ale mało robił. Jego ostatnim dziełem była reklama dla lokalnej telewizji.

Dla Kovaca najciekawsze na stronie były liczne zdjęcia samego Moore'a. Moore przy pracy, z czasów, gdy był o dziesięć kilo chudszy. Moore w czarnym krawacie na jakiejś ceremonii wręczenia nagród, z nim Carey. Wyglądała na szczęśliwą, promiennie się uśmiechała i trzymała męża pod ramię. Miała na sobie wystrzałową sukienkę, która sporo odślaniała. Musiała być wtedy oskarżycielem, dopiero wyrabiała sobie markę, pracując w biurze prokuratora okręgowego. A jej mąż był na szczycie. Bohater dnia.

„Facet był ulepiony z tej samej, kiepskiej gliny co były mąż Liski – pomyślał Kovac. – Mocny w gębie i wrażliwy na własnym punkcie. Co mówiła Carey? Że mąż ma jej za złe jej sukces”.

Biorąc pod uwagę, że wkoło kręcili się tacy faceci, aż trudno było uwierzyć, że kobiety w ogóle zadawały się jeszcze z mężczyznami. Choć musiał przyznać, że sam nie był specjalnie łakomym kąskiem. Ale przynajmniej żadnej ze swoich żon nie zazdrościł sukcesów zawodowych – w każdym razie wtedy, gdy był jeszcze ich mężem. A potem – to już inna

sprawa.

Czterogwiazdkowy hotel Marquette był częścią kompleksu IDS, którego trzon stanowiła ponadpięćdziesięciopiętrowa bryła ciemnego szkła. Hotel łączył się z centralnym biurowcem przez Crystal Court – zabudowany dziedziniec o powierzchni 23 000 stóp kwadratowych, którego szklany dach unosił się 35 metrów nad ziemią, a na środku stała gigantyczna fontanna.

Kompleks łączył się z resztą miasta systemem nadziemnych przejść, zabudowanych mostów na wysokości drugiego piętra, które spajały wszystkie większe budynki w centrum. Przejścia te umożliwiały przemieszczanie się po centrum bez konieczności wychodzenia na zewnątrz, co było dużym udogodnieniem w mieście, gdzie temperatury zimą spadały dużo poniżej zera, a przez betonowe kaniony ulic gnał lodowaty wiatr.

W hotelu Kovac od razu machnął młodemu recepcjoniście odznaką przed nosem, a ten natychmiast poszedł po menadżera, którym okazał się chudy jak szkapa, rudy mężczyzna z bardzo poważną miną. Jak informowała plakietka na jego piersi, nazywał się Brendan Whitman. Kovac znów pomachał odznaką na powitanie i położył na blacie zdjęcie Davida Moore'a, które ściągnął z jego strony internetowej.

– Panie Whitman, czy poznaje pan tego mężczyznę?

– Tak, to pan Greer – odpowiedział bez wahania.

Pan Greer. Moore wybrał nazwisko teścia, by rejestrować się w hotelu, w którym zdradzał jego córkę. Pasywno-agresywny dupek.

– Czy może mi pan powiedzieć, czy pan Greer był tu wczoraj?

Whitman spojrzał na niego podejrzliwie.

– Ale o co chodzi?

– O dochodzenie w sprawie napaści, do jakiej doszło wczorajszego wieczoru. Jestem pewien, że nie chciałby pan, by nazwa hotelu była z kojarzona z takim zajściem.

– Oczywiście, że nie.

– Więc spróbujmy jeszcze raz. Czy pan Greer wynajął tu wczoraj pokój?

– Tak, sam go meldowałem.

– O której to było?

Whitman chwilę się nad tym zastanowił.

– Około trzeciej po południu, jak zawsze.

– Jest stałym klientem?

– Odwiedza nas co dwa tygodnie. Przyjeżdża z Los Angeles. Jest z branży filmowej.  
Czy pan Greer został poszkodowany?

– Jeszcze nie – wymamrotał Kovac pod nosem. – Czy gdy przyjeżdża, towarzyszy mu kobieta?

– Nie. Zawsze jest sam.

– Czy widział go tu pan kiedyś z kobietą?

– Tak. Kilka razy widziałem go w towarzystwie kobiety w barze.

– Jak wyglądała?

Whitman skrzywił się, próbując ją sobie przypomnieć.

– Hmm... Średniego wzrostu, szczupła blondynka.

– Czy trzymacie rejestr gości? – zapytał Kovac. – Czy mógłby pan, dajmy na to, wpisać nazwisko pana Greera do komputera i wydrukować listę jego wszystkich pobytów w hotelu?

– Tak, ale do tego potrzebowałby pan nakazu – odpowiedział Whitman. – Gdybyśmy tak po prostu udzielali tego typu informacji, hotel byłby narażony na wiele nieprzyjemności. Co innego, gdyby do tego typu czynności zmusiłyby nas władze.

– Rozumiem – powiedział Kovac, ale wcale mu się to nie podobało.

Nie miał szans, by dostać nakaz sprawdzenia pobytów Moore'a w hotelu i rewizji jego operacji finansowych, którym bardzo chętnie by się przyjrzał. By go dostać, musiałby wykazać, że ma powód, by żądać danych informacji. A jeśli miał ochotę szukać po omacku, to – jak mówił mu już niejedyn prokurator, między innymi Carey Moore – mógł równie dobrze pobawić się w ciuciubabkę.

Pobyty w hotelu Davida Moore'a mogły mieć znaczenie w trakcie sprawy rozwodowej, a nie w sądzie karnym. Śledztwo dotyczyło napaści na Carey Moore, a jej mąż miał na ten czas wiarygodne alibi. Jeśli Kovacowi nie uda się powiązać Moore'a z rzeczywistym sprawcą napaści, to nic z tego nie będzie.

Liska zrobiłaby mu awanturę już za to, jakie pytania zadawał Brendanowi Whitmanowi. Wszędzie widziała znaki ostrzegawcze, co niezmiernie go irytowało. Na miłość boską, czy nie mógł po prostu współczuć Carey Moore – nie zakochując się w niej w ciągu jednej nocy? Czy nie mógł najzwyczajniej w świecie nie lubić jej męża za to, że ją zdradzał?

Na ogół nie zakochiwał się tak łatwo i w zasadzie stronił od jakichkolwiek związków z kobietami. Nigdy mu się nie udawały, choć nie wiedział, dlaczego. Był przecież w miarę porządnym gościem, kobiety traktował z szacunkiem. Zdawał sobie sprawę, że na jego porażki małżeńskie duży wpływ miała praca. Te godziny napięcia, stres, związana z nimi

ponurość. Jego lepsze cechy najwyraźniej nie wystarczały, by przechylić szalę.

Był gliną i nie chodziło o to, co robił – bardziej o to, kim był.

## XXVIII

– Jadę do sądu – powiedziała Carey.

Stałą w korytarzu przy drzwiach wejściowych, ale nie chciało jej się przejść tych kilku kroków, jakie dzieliły ją od gabinetu, w którym David od rana siedział przed komputerem. Nie miała ochoty go widzieć, mówić do niego ani słyszeć jego głosu.

David spojrział na nią, nie wstając z krzesła. Był zaniepokojony.

– Dlaczego? Przecież miałaś siedzieć w domu.

– Pojadę z policjantem – powiedziała. – Przez jakiś czas nie będę mogła wrócić do pracy. Pomyślałam, że w tym czasie przynajmniej coś poczytam i nadrobię zaległości w papierach.

– Zadzwoń do swojego sekretarza. Niech ci to wszystko przywiezie do domu.

Carey nie odpowiedziała. Oczywiście, że mogła poprosić sekretarza. Nawet powinna. Czowała się fatalnie i byłoby lepiej, gdyby została w łóżku. Ale prawda była taka, że nie chciała przebywać w domu ze swoim mężem. Nie zdecydowała jeszcze, co zrobi – czy wyzna Davidowi, że zna jego sekret, czy poczeka, aż uda jej się zgromadzić więcej dowodów, czy może powie o wszystkim Kovacowi.

Nie chciała uwierzyć w najgorsze – że mężczyzna, którego kiedyś kochała i poślubiła, mógł ją znienawidzić do tego stopnia, by chcieć ją zabić. Ale David, którego odkryła dzisiejszego ranka, nie był tym samym człowiekiem. Prowadził życie, o którym nic nie wiedziała. Był kimś całkiem obcym. I nie miała pojęcia, na co było go stać.

– Wrócę niedługo – powiedziała.

Lucy zbiegła ze schodów ubrana w różowy strój wróżki, ściskając swą ulubioną zabawkę – pluszowego psa o imieniu Marvin.

– Mamusiu! Mogę jechać z tobą? Proszę! Tak bym chciała! Mogę?

Carey chwyciła swoją córkę w objęcia i przytuliła mocniej, niż wymagała tego sytuacja.

– Kochanie, jadę tylko w tę i z powrotem.

– Ale ja chcę z tobą – nalegała Lucy, a jej oczy zaszkliły się łzami.

Bała się. Bała się, że jej mamie znów się coś stanie i że tym razem w ogóle nie wróci

do domu. Lucy była dzieckiem bystrym i spostrzegawczym. Wiedziała, że mamie przydarzyło się coś złego – gorszego niż zwykły upadek. Carey podejrzewała, że Lucy wyczuwała też napięcie między nią a Davidem. Nigdy się przy niej nie kłócili, ale z pewnością dało się wyczuć spowijającą ich negatywną aurę. Lucy z pewnością wprawiało to w niepokój.

– Dobrze – powiedziała Carey. – Możesz jechać ze mną.

Twarz jej córki rozjaśnił promienny uśmiech.

– A pojedziemy samochodem policyjnym?

– Nie. Pan oficer zawiezie nas samochodem tatusia.

– Moim samochodem? – wtrącił się David. – Dlaczego?

– Ponieważ mój stoi na policyjnym parkingu. Mają zebrać z niego odciski palców – odpowiedziała Carey. – A co? Planujesz gdzieś jechać?

– Nie – powiedział, najwyraźniej szukając dobrej wymówki, by nie wpuścić jej do swojego wozu. – Muszę tylko zabrać moje papiery, zanim pojedziecie.

– Wrócimy za dwadzieścia minut. Twoje papiery leżały tam cały dzień, a teraz nagle nie możesz się bez nich obejść? O co chodzi?

– O nic nie chodzi – warknął, wstając z krzesła. – Po prostu przypomniałem sobie, że będę ich potrzebował.

– No to idź i je weź.

Chciała dodać, by przy okazji zabrał z tylnego siedzenia bieliznę swojej dziewczyny, ale się powstrzymała.

– Dobrze! – wysapał David, wyraźnie podenerwowany. – Wezmę!

Tupiąc nogami, ruszył przez korytarz i kuchnię do garażu.

Carey spojrzała na córkę. Lucy patrzyła na nią z powagą i smutkiem.

– Musisz założyć płaszczyk, moja panno wróżko – powiedziała Carey i podeszła do szafy, by go wyciągnąć.

Oficer Paul Young zatrzymał samochód na krawężniku, tuż pod znakiem „Zakaz parkowania” i wszedł z Carey i Lucy do budynku sądu. Odprowadził je do samego biura. Obszedł pomieszczenia służbowe Carey, sprawdzając, czy nie czeka na nią jakaś niemiła niespodzianka, a potem zajął stanowisko przed drzwiami.

Lucy podbiegła do biurka w gabinecie i wdrapała się na krzesło Carey, uradowana perspektywą zabawy wszystkimi ciekawymi rzeczami leżącymi na blacie.

– Mamusiu, mogę pograć na twoim komputerze?

– Nie, kochanie. To moje miejsce pracy i komputer nie służy do zabawy – odparła Carey, wyjmując z torby na zakupy papiery, które przywiozła z domu: kopie rachunków telefonicznych, dowodów płatności kartą kredytową i listy agencji towarzyskich. Z regału wzięła pustą teczkę, włożyła do niej papiery i schowała ją do szuflady biurka. Dowody winy jej męża mogły tu leżeć i czekać, aż ona zadecyduje, co dalej z nimi zrobić.

– Mamusiu, to młotek dziadka Greera, prawda?

– Tak, kochanie.

Carey zapatrzyła się na córkę. Lucy trzymała młotek obiema rączkami. Był prawie tak długi jak jej ramię i kiepsko się komponował z różowym strojem wróżki. Na jej ustach malował się szelmowski uśmiech. Była cudowna! To dziecko to jedyna dobra rzecz, jaką dało jej małżeństwo z Davidem.

Carey przejechała dłonią po jej ciemnych, zmierzwionych włosach. Poczowała, że zbiera się jej na płacz.

– Chciałabym, żeby dziadek mnie pamiętał – powiedziała Lucy.

– Też bym tego chciała, słoneczko.

„Boże, jak bardzo bym tego chciała!” – pomyślała.

Przez całe życie mogła liczyć na pomoc ojca we wszystkim, o każdej porze dnia i nocy. Był jej opoką, schronieniem i kotwicą.

Ojciec nigdy nie polubił Davida. Dał to do zrozumienia pytaniami, jakie jej zadał, gdy powiadomiła go o zaręczynach. Nie chciał jej urazić, po prostu wyraził swą troskę: Czy na pewno tego pragnęła? Czy to David był tym jedynym?

W tamtej chwili miała to ojcu za złe. Chciała, by cieszył się wraz z nią, by ją wsparł, pochwalił jej decyzję.

David był wtedy innym człowiekiem, sukces i zachwyty krytyków dodawały mu pewności siebie. Ale już w owym czasie jej ojciec widział, że Davidowi brakuje siły charakteru. Powiedział jej, że jeśli naprawdę tego chce, to, udzieli jej swego błogosławieństwa, jednak – zaznaczył – musi pamiętać, że w tym małżeństwie to ona jest stroną silniejszą i gdy sprawy źle się potoczą, będzie mogła polegać tylko na sobie. Rozumiał, że wartość Davida będzie wzrastać i opadać zależnie od opinii innych ludzi.

A potem ojciec poprowadził ją kościelną nawą i oddał mężczyźnie, który został jej mężem. I nigdy więcej nie powiedział o Davidzie złego słowa.

– Nie płacz, mamusiu – powiedziała Lucy. Odłożyła młotek na biurko, stanęła nóżkami na krześle i przytuliła się do Carey.

Carey zachłysnęła się z bólu, jakim żebra zareagowały na uścisk, ale nie powiedziała



Lucy, by przestała. Poczowała się bezpieczniej w objęciach kogoś, kto ją kochał – nawet jeśli tym kimś była tylko jej pięcioletnia córeczka.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi. Carey aż podskoczyła. Zanim zdążyła zapytać, kto to, do pokoju wszedł Kovac z chmurną miną. Zatrzymał się i ogarnął wzrokiem rozgrywającą się przed nim scenę. Chciał wpaść i zacząć robić Carey wymówki za to, że wbrew jego zakazowi opuściła dom, ale widząc ją płaczącą w objęciach Lucy, całkiem stracił rezon.

Zawstydzona Carey dyskretnie otarła łzy z policzków. Na palcach jednej ręki mogła policzyć ludzi, którzy widzieli ją płaczącą. Kovacowi udało się to dwa razy w ciągu jednego dnia.

– Proszę wejść i się rozgościć, detektywie Kovac – powiedziała, siląc się na sarkazm, ale w jej głosie słyhać było głównie słabość.

Kovac wodził wzrokiem od Carey do Lucy i z powrotem.

– Jak pan tu nas znalazł? – zapytała Lucy, patrząc na niego oczami błyszczącymi z ciekawości.

– Jestem detektywem – powiedział Kovac. – Moja praca polega na tym, by znajdować ludzi i dowiadywać się, kto popełnił przestępstwo.

– Moja mama jest sędzią – powiedziała Lucy z dumą.

– Wiem.

– Ona wsadza złych ludzi do więzienia.

Kovac spojrział na Carey i – jak jej się wydawało – powstrzymał się od kąśliwej uwagi.

– Posłuchaj, księżniczko Lucy – powiedział Kovac. – Muszę porozmawiać z twoją mamą na osobności. Może poszłabyś na korytarz pobawić się z oficerem Youngiem? Zobaczyłabyś, jakie fajne rzeczy ma na pasku. Pokaże ci, jak działają kajdanki.

– Teraz jestem wrózką, nie księżniczką – poinformowała go Lucy i odwróciła się do Carey. – Mogę, mamusiu?

– Oczywiście, kochanie.

Lucy zeskoczyła z krzesła, podeszła do Kovaca i podała mu swą małą rączkę. Sądząc po jego minie, równie dobrze mogła mu wręczyć jadowitego węża.

– Nie wolno mi chodzić samej – wytłumaczyła Lucy. – Musi mnie pan zaprowadzić.

Kovac spojrział na Carey, a ona kiwnięciem głowy wskazała mu na drzwi.

– Uhm... No dobrze – wymamrotał, chwytając małą dłoń, i wyszedł z Lucy na korytarz, by przekazać ją pod opiekę Younga.

Gdy wrócił do gabinetu, wyglądał na wstrząśniętego. Nie wiedział, co zrobić z

uczuciami, jakie wzbudziła w nim Lucy. Umiał sobie radzić z mordercami, ale ta pięcioletnia dziewczynka całkiem go rozbroiła.

– Ma pan dzieci, detektywie?

Zawahał się przed odpowiedzią.

– Nie. Nie jestem żonaty.

Nie, żeby jedno miało z drugim coś wspólnego. Jak większość gliniarzy, których Carey znała, Kovac był pewnie żonaty i rozwiedziony co najmniej raz.

– Jest urocza – powiedział.

– Dziękuję.

Przez chwilę w pokoju panowała niewygodna cisza.

– Przypuszczam, że chciał mnie pan złączyć za opuszczenie domu – powiedziała Carey.

– Mówiłem, żeby pani nie wychodziła.

– Może pan mówić, co chce...

– ...a pani i tak zrobi to, na co ma ochotę.

– Pan zachowałby się inaczej?

Kovac zastanowił się nad tym, a po chwili kącik jego ust uniósł się w nieznacznym uśmiechu.

– Nie. Ma pani rację. Ale powinna pani usiąść. Wygląda pani trochę blado.

– Wyglądam jak zombi.

– Cóż... trochę tak – przyznał Kovac.

Carey usiadła na krześle przy biurku, wdzięczna za jego miękkie, skórzane obicie.

– Ma pan jakieś wiadomości, czy będzie pan tylko prawil mi kazania?

Kovac usiadł naprzeciwko niej i westchnął.

– Miałem ochotę trochę pani pomarudzić, ale... czy ma to jakiś sens?

– Nie przyjechałam tu sama – powiedziała Carey. – Nie jestem jedną z tych kobiet w filmach grozy, które koniecznie muszą zejść do piwnicy, by sprawdzić, co wydaje takie przerażające odgłosy.

Kovac znów uśmiechnął się w ten swój dziwny sposób, tylko połową ust. Rozejrzał się po pokoju, jakby nie chciał spotkać jej wzroku, dopóki na jego twarz nie wróci surowa mina twardziela.

– Dużo tu u pani ładniej niż w gabinetach oskarżycieli – powiedział. – Ale jako jeden z nich była pani naprawdę dobra. Nie tęskni pani czasem do tego?

– Czasem – przyznała. – Ale teraz robię to, o czym zawsze marzyłam.

– To przez ojca?

– Tak. Był moim idolem – powiedziała i spojrzała w bok, obawiając się kolejnego przyływu emocji.

– I wspinałym sędzią. Co robi na emeryturze? Gra w golfa w Arizonie?

– Umiera – powiedziała. – Ma chorobę Alzheimera... i umiera.

– Boże... Przykro mi.

– Mi też.

– Zawsze palnę coś głupiego.

– Przecież pan nie wiedział. A jak tam poszukiwania Dempseya? – zmieniła temat. –

Wpadliście na jakiś trop?

Kovac pokręcił głową.

– Ani śladu Stana. Ani jego samochodu.

– Czy ktoś zadzwonił do Kenny’ego Scotta? Musi być na samej górze jego listy.

– Ktoś miał się tym zająć.

– Nie zadzwonił pan do niego osobiście?

– Kenny Scott nie jest dla mnie najważniejszy – powiedział Kovac. – Poza tym mam dość roboty z panią.

Carey uśmiechnęła się lekko i zauważyła, że ona też nie patrzy mu w oczy, gdy zdejmuje maskę oficjalnej powagi.

– Sprawiam aż tyle kłopotu?

Nie odpowiedział od razu. Przyglądał się jej. Czują na sobie jego wzrok. W końcu powiedział:

– Myślę, że dla własnego dobra nie powinna pani być taka odważna. Czemu musiała pani tu przyjechać?

– Chciałam zabrać do domu trochę papierów, które mogłabym przejrzeć, leżąc w łóżku.

Omiótł biurko przenikliwym spojrzeniem.

– Gdzie więc one są?

– Zapomniałam, że były w aktówce – skłamała.

– O... Jest pani całkiem niezła – powiedział Kovac. – Ale ja jestem lepszy. Spróbujmy jeszcze raz, może teraz powie mi pani prawdę. Czemu musiała pani tu przyjechać?

Carey spojrzała w dół, na szufladę biurka, w której schowała teczkę z dokumentacją rozrywek Davida. Powinna ją pewnie dać Kovacowi. Ale co tak naprawdę w niej było? Dowody na to, że mąż ją zdradzał. Kovac już to wiedział. A notatka „\$25.000” mogła oznaczać wszystko. Może David myślał o kupnie łodzi. Może dwadzieścia pięć tysięcy było

do wygrania na loterii. Może David planował wpłacić zaliczkę na dom dla kolejnej cizi – albo dla siebie. Może chciał się wyprowadzić.

– Rozmawiałem ze współnikami pani męża – powiedział Kovac. – Ludźmi, z którymi wczoraj jadł kolację. Jeden z nich to Edmund Ivors. Zna go pani?

– Nie. David nie wtajemnicza mnie w swoje interesy – powiedziała. „Ani w cokolwiek innego” – pomyślała.

– Czy mówi coś pani nazwisko Ginnie Bird?

– Nie. Czemu?

– Myślę, że pani mąż z nią sypia – powiedział Kovac wprost. – W zasadzie jestem tego pewien.

Carey przez chwilę milczała. Kovac pozwolił jej przyswoić tę informację.

– Powiem mu, że chcę rozwodu – powiedziała w końcu.

Kovac zdumiał się.

– Tak od razu? Żadnego „wyjaśnijmy to”? Albo „zapiszmy się na terapię małżeńską”?

– Nasze małżeństwo umierało powolną śmiercią od dawna. Nie zostało nic do wyjaśniania, trzeba tylko ustalić grafik odwiedzin.

– Przykro mi.

Carey prawie się zaśmiała.

– Dlaczego? Przecież nie cierpi pan mojego męża. Nie rozumie pan, jak w ogóle mogłam za niego wyjść, a co dopiero spędzić z nim wszystkie te lata.

– Przykro mi ze względu na panią – powiedział Kovac łagodnie. – Przykro mi, że znalazła się pani w takiej sytuacji. I przepraszam, że musiałem powiedzieć pani o kochance.

Carey potrząsnęła głową.

– Nie. Niech pan nie przeprasza.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w szufladę biurka, a w końcu wysunęła ją, wyjęła teczkę i podała Kovacowi.

– Co to?

– Dowody. Użyję ich w sądzie.

Kovac zaczął przeglądać zawartość teczki.

– Jak długo to pani gromadziła?

– Od dzisiejszego ranka. Sama zabawiłam się w detektywa. Nawet nie starał się tego ukryć.

– Obślizgły, zakłamany skurwiel – warczał Kovac pod nosem, patrząc na rachunki za hotel i kwiaty. Podniósł listę agencji towarzyskich i zrobił się purpurowy z wściekłości. Carey

nie miała wątpliwości, że gdyby David stał gdzieś obok, Kovac dałby mu po mordzie.

Wyjął kopie kilku niezrealizowanych czeków, wystawionych na agencję zarządzania nieruchomościami.

– Za co te czeki?

– David wynajmuje mieszkanie – powiedziała i podała mu adres. – Może dla siebie, może dla jednej ze swoich koleżanek. Zadzwoiłam dziś do tej agencji i udałam, że jestem nową księgową Davida. Powiedziałam, że moja poprzedniczka zostawiła straszny bałagan w rachunkach i nie mogę odnaleźć adresu. Grzecznie spytałam, czy nie mogliby mi pomóc.

– A oni dali się nabrać – powiedział Kovac.

Carey skinęła głową.

– A to? – Zapytał, podnosząc kartkę z zapiskiem dotyczącym dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

– Nie wiem – powiedziała cicho. – Znalazłam to dziś rano w koszu na śmieci.

– Zapłata za wykonanie zlecenia – powiedział.

– Nie wie pan tego na pewno. To może być cokolwiek. Dług. Pieniądze związane z jego pracą... Chciał kupić łódkę...

Wszystko, co powiedziała, brzmiało jak wymówka. Gdyby była na miejscu Kovaca, myślałaby dokładnie to, co on.

– W październiku? – zapytał. – Kto kupuje łódkę tuż przed zimą?

Carey nie odpowiedziała.

– Carey... – po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

– O Davidzie można powiedzieć wiele złych rzeczy – powiedziała miękko, spuszczać oczy i wlepiając wzrok w biurko. – Ale nie wierzę, że zrobiłby to, co pan sugeruje.

– A czy zanim odkryłaś te rzeczy, uwierzyłybyś, że David prowadzi podwójne życie? Że leci do burdelu, gdy tylko się odwrócisz? Że wynajmując hotel, posługiwał się twoim panieńskim nazwiskiem?

Podniosła na niego wzrok, wyglądała na zaskoczoną. W jej oczach był wyraźny ból.

– Tego nie wiedziałaś – powiedział Kovac łagodnie. – Czego jeszcze o nim nie wiesz?

Co miała mu na to odpowiedzieć? Była żoną obcego sobie człowieka.

– Kiedyś było między nami inaczej – powiedziała w końcu, czując potrzebę usprawiedliwienia tego, że tak długo pozostawała w tym związku. – Kiedyś się kochaliśmy. Zaczęliśmy się od siebie oddalać dopiero w ciągu ostatnich kilku lat. David powoli stał się tym zgorzkniałym, nieszczęśliwym człowiekiem, którym jest teraz. A ja starałam się to sama

przed sobą ukryć, umniejszyć, wolałam myśleć, że jest po prostu sfrustrowany brakiem sukcesów zawodowych. Nie chciałam go krytykować, bo wiedziałam, że jego duma i tak cierpi. Poza tym byłam zajęta własną karierą, która tak dobrze się rozwijała. Otarła łzę wierzchem dłoni.

– No i jest Lucy, która kocha Davida, a on jest dla niej wspaniałym ojcem. Uwielbia ją. Jego świat kręci się wokół niej. Nie przeszkadzało mi, że David już nic do mnie nie czuje. Mam moją córkę, mam ciekawą pracę. To mogłoby wystarczyć.

Czuła się źle i lekko dygotała. Chyba jeszcze nigdy nie była tak przygnębiona. Kovac siedział naprzeciw niej pogrążony w milczeniu i patrzył na nią, a na jego zmęczonej życiem twarzy malowało się współczucie.

– Chciałabym już pójść do domu – oznajmiła Carey, wstając z trudem. – Muszę odpocząć przed wielką sceną finałową.

– Powiesz mu dzisiaj? – Zapytał Kovac, również wstając. – Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– A po co mam to odkładać? Już i tak za długo czekałam.

Gdy mijala go w drodze do drzwi, Kovac delikatnie dotknął jej ramienia. Jego dotyk ją zaskoczył.

– Mogę być tam z tobą – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

I naprawdę miał na myśli to, co mówił, Carey była o tym przekonana. Ten twardy, uliczny glina, który nawet jej nie lubił, pomógłby jej przez to przejść, gdyby tylko go poprosiła. I zostałby z nią do końca. Bo Sam Kovac właśnie taki był – bezpośredni, szczerzy i odpowiedzialny. I po prostu wierzył, że należało postępować słusznie.

– Wolę nie mieć publiczności – powiedziała.

– To będę stał na zewnątrz.

Carey pokręciła głową.

– Przed moim domem już stoi dwóch policjantów. David również zdaje sobie z tego sprawę. Nie będzie próbował zrobić mi krzywdy. Ma przed sobą całe swoje drugie życie. Więzienie na pewno nie leży w jego planach.

– Nie chcę, żebyś była sama – powiedział Kovac.

– Ale ja właśnie będę chciała być sama. Pomimo wszystkich ostatnich dowodów świadczących o tym, że jest inaczej, wolę płakać w samotności.

Kovacowi wyraźnie się ten pomysł nie podobał. Chciał ją chronić. Carey sprawiło to nieoczekiwaną radość. Co za cudowne uczucie: ktoś się o nią troszczył, ofiarowywał wsparcie, chciał wziąć na siebie ciężar jej problemów.

- Jestem ci wdzięczna za propozycję – powiedziała. – Naprawdę.
- Nie ufam mu, Carey.
- Nie martw się. David jest zbyt pasywno-agresywny, by mnie samemu zranić.
- Chcę, żebyś do mnie zadzwoniła, jak już będzie po wszystkim – powiedział Kovac.

Wciąż trzymał ją za ramię i stał wystarczająco blisko, by mogła poczuć jego oddech na swoim policzku. Mięta... i delikatny aromat whisky.

Uniosła brew.

- Cóż to? Pije pan na służbie, detektywie Kovac?
- Tak – przyznał, uśmiechając się nieznacznie. – Ty mnie do tego doprowadziłaś.

Zrobiła krok w tył, a on ją puścił.

- Proszę się nie martwić. Zachowam to w tajemnicy.

Przyjął poważny wyraz twarzy.

– Uważaj. Zadzwoń do mnie. I pamiętaj, mogę być przy tobie, zanim odłożysz słuchawkę.

Carey kiwnęła głową.

- Dziękuję... Sam.

Chciała objąć go i przytulić z wdzięczności za to, że był dla niej taki dobry. A może dlatego, że chciała poczuć wokół siebie jego silne ramiona, które dałyby jej wsparcie i schronienie. Czowała się taka samotna.

Zamiast tego jeszcze raz mu podziękowała i otworzyła drzwi, za którymi ukazała się rozpromieniona twarz Lucy.

- Mamusiu! Nauczyłam się, jak kogoś aresztować!

Oficer Young uśmiechnął się do niej.

- Co się mówi niedobrym facetom?

Lucy wsparła ręce na biodrach i zrobiła najgroźniejszą minę, na jaką było ją stać.

- Ręce do góry!

Carey zaśmiała się.

- Musimy już iść, kochanie. Podziękuj oficerowi Youngowi i detektywowi Kovacowi.

Lucy grzecznie podziękowała policjantowi, podeszła do Kovaca i zadarła główkę.

- Dziękuję, że potrzymano mnie pan za rękę, detektywie Kovac.

Kovac schylił się i po dorosłemu uściskał jej dłoń.

- Nie ma za co, czarodziejska księżniczko Lucy. Możesz mi mówić Sam.

Dziewczynka uśmiechnęła się, zachwycona.

- Lubię cię, detektywie Sam. Poniesiesz mnie?

– Lucy! – skarciła ją mama.

Kovac wyglądał na zagubionego i lekko przestraszonego. Spojrzał na Carey.

– Nie musisz – powiedziała z uśmiechem.

Ale gdy przeniósł wzrok z powrotem na Lucy, nie wiedział, jak ma jej odmówić. Lucy objęła rączkami jego szyję i wskoczyła mu na ręce. Była z siebie ogromnie zadowolona.

– Będziemy się bawić, że jesteś olbrzymem – powiedziała. Trajkotała bez przerwy, aż doszli do samochodu.

Gdy postawił dziewczynkę na chodniku, odwrócił się do Carey i spoważniał.

– Pamiętaj, jeśli zadzwonisz, od razu się zjawię. I uważaj.

Carey pokiwała głową i usiadła na tylnym siedzeniu mercedesa. Przez całą drogę do domu myślała o tym, jak bardzo Sama Kovaca polubiłby jej ojciec.



## XXIX

– Gdy posyłasz dzieci do rodzin zastępczych, martwisz się o to, czy rodzice nie robią tego jedynie dla pieniędzy albo czy nie okażą się agresywni. Ale do głowy ci nie przyjdzie, że mógłby je zabić jakiś psychol.

Marcella Otis pracowała w ośrodku adopcyjnym i to ona prowadziła sprawę Wayne’a i Marlene Haasów, gdy ubiegali się o dzieci Amber Franken. Liska umówiła się z nią na spotkanie w kawiarni w centrum handlowym Nicollet, kilka ulic od posterunku. Siedziały przy stoliku na dworze, raczyły się słońcem i kawą, i rozmawiały. Z daleka wyglądały pewnie jak dwie kobiety gawędzące o codziennych sprawach. Jedynie ludzie przy sąsiednim stoliku, którzy w ewidentnie przysłuchiwali się ich rozmowie, wiedzieli, że jest inaczej.

Otis stanowiła niecodzienny widok. Była kobietą postawną, ubraną dziś w odblaskowo zieloną tunikę, założoną na spodnie tego samego koloru, a na głowie miała pstrokaty, afrykański toczeł, spod którego wylewała się kaskada warkoczyków. Nosiła modne okulary w prostokątnych oprawkach i mnóstwo srebrnej biżuterii.

– Gdy tamtego wieczoru zobaczyłam wiadomości, pomyślałam, że to jakiś koszmar. Nigdy tego nie zapomnę. Ta straszliwa burza. Nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Pamiętam, że zanim rozpułtał się huragan, wszystko na chwilę zrobiło się zielone – niebo, powietrze. Ale to było dziwne.

Zamknęła oczy i zadrżała na samo wspomnienie.

– Czy ojciec dzieci dał jakiś znak życia przed tymi morderstwami? – zapytała Liska.

– Ethan Pratt? Ha! To dopiero gagatek. Nie interesował się dziećmi ani trochę.

– Ale słyszałam, że ma pozwać okręg za narażenie ich na niebezpieczeństwo.

Marcella zacisnęła usta i zrobiła kwaśną minę.

– Teraz oczywiście bardzo mu na nich zależy. Są dla niego więcej warte martwe niż żywe. Ten gość to hiena grzebiąca w ich kościach. Odgrażał się, że pozwie też rodzinę Haasów, a raczej to, co z niej zostało. Jakby ci ludzie jeszcze za mało wycierpieli.

Liska pokiwała głową.

– Przed chwilą rozmawiałam z Bobbym Haasem. Przeszedł więcej, niż człowiek powinien cierpieć przez całe życie. To on znalazł ciała Marlene i dzieci. A jego własna matka

zmarła na raka.

– Na raka? – spytała Marcella, unosząc brwi ze zdumieniem.

– Powiedział mi, że Marlene Haas była jego macochą, i że jego rodzona matka zmarła na raka kilka lat temu.

– Jeśli mówił o pierwszej pani Haas, to z pewnością nie była to prawda – powiedziała Marcella. – Pierwsza pani Haas zносиła pranie do piwnicy. Poślizgnęła się i spadła ze schodów. Skręciła sobie kark.

Liska oparła się na krześle.

– Czemu Bobby miałby na ten temat kłamać?

– Nie wiem. Musiałabyś jego zapytać. Może po prostu nie chce pamiętać o tym, że kolejna osoba odeszła z jego życia tak nagle.

– Znałaś tamtą panią Haas?

Marcella przytaknęła.

– Miała na imię Rebecca. Słodka kobieta z wielkim sercem. Planowali z Wayneem adoptować kolejne dziecko. Byłam w ich domu porozmawiać na ten temat jakiś dzień lub dwa przed wypadkiem.

– Powiedziałaś: jeśli mówił o pierwszej pani Haas. Kogo innego mógł mieć na myśli?

– Swoją rodzoną matkę, jak przypuszczam. – Marcella wypita łyk latte.

– Bobby Haas jest adoptowany?

– Tak. To pierwsze dziecko, jakie wzięli pod opiekę Wayne i Rebecca. Bobby miał dziesięć lat. Potem go adoptowali. A teraz przypominam sobie, że rodzona matka Bobby'ego również nie zmarła na raka. Popęliła samobójstwo. – Obracała w palcach kawałek herbatnika, próbując przypomnieć sobie coś więcej. – Tak. Powiesiła się.

– Jezu – szepnęła Liska.

– O ile dobrze pamiętam, to była poważnie chora kobieta. Bobby Haas przeszedł przez męki potępionych, zanim naprawdę stał się Bobbym Haasem.

– A on? Ma coś na sumieniu? Problemy w szkole? Bójki uliczne?

– Nie. Z tego co wiem, jest wzorowym uczniem. Nigdy nie wpakował się w żadne problemy. Czemu pytasz? Coś nabroił?

– Nie – powiedziała Liska w zamyśleniu. – A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– To dobry dzieciak – powiedziała Marcella. – Gdybym ja przeszła przez połowę tego, co on, już dawno bym zwariowała.

– A może on zwariował – powiedziała Liska z zadumą. – Można zwariować na wiele sposobów. A najbardziej należy obawiać się tych, którzy robią to po cichu.

– Nie możesz chyba na serio uważać, że to on jest odpowiedzialny za te morderstwa – powiedziała Marcella. – Chłopak był zdruzgotany, nie dało się go uspokoić. To Karl Dahl jest waszym człowiekiem.

– Tak – powiedziała Liska, myślami oddalając się od rozmowy. – Ale ja badam sprawę napadu na sędzinę Moore.

Marcella Otis prychnęła i skrzywiła się niemiło.

– Nie chcę brzmieć nie po chrześcijańsku, ale w tym mieście jest wielu ludzi, którzy chętnie ustawiliby się w kolejce, by jej przyłożyć.

„To prawda” – pomyślała Liska. Ale była coraz bardziej przekonana, że Bobby Haas stał na samym początku tej kolejki.

## XXX

– Dobra, ludzie. Podsumujmy, co się zmieniło.

Porucznik Dawes stała u szczytu stołu w sali konferencyjnej. Nazywali ją pokojem narad wojennych, gdy prowadzili sprawę taką jak ta. Jedna ze ścian była cała pokryta białymi tablicami. Poszlaki, tropy, pytania i detale zapisywano na niej flamastrem, którego ślady łatwo było usunąć, robiąc miejsce dla notatek z kolejnej koszmarnej sprawy.

– Staralem się sprawdzić, czy Stan Dempsey posiada inną nieruchomość niż dom, w którym mieszka – powiedział Elwood. – Nic nie znalazłem. Ale odkryłem, że w obrębie Twin Cities jest czterdziestu jeden Dempseyów posiadających ziemię gdzieś w okolicy. Jeden z nich może być krewnym Stana. Moi ludzie już do nich dzwonią.

– Zlokalizowaliśmy jego byłą żonę? – zapytała Liska.

– Na cmentarzu – powiedziała Dawes. – Zmarła w zeszłym roku. Guz mózgu. Żadnych wieści od córki. Skontaktowałam się z policją w Portland i poprosiłam ich o jej znalezienie.

– Czy ktoś ostrzegł Kenny’ego Scotta przed Dempseyem? – spytał Kovac. – Jako obrońca Dahla jest jego głównym celem.

– Dzwoniłam do niego – odpowiedziała Dawes. – Nagrałam się na sekretarkę. Wysłałam patrol pod jego dom, mają czekać na jego powrót. Mam nadzieję, że wyjechał z miasta na weekend.

– Lepiej by zrobił, gdyby wyjechał na dobre – powiedział Tippen. – Jeśli jego adres trafi do wiadomości publicznej, będzie miał w swoim obejściu zgrają rozsierdzonych chłopów z widłami.

– Został wyznaczony przez sąd – powiedziała Dawes. – Nie broni Dahla z własnej woli.

– To prawda – zgodził się Tippen. – Ale z własnej woli wykazuje się nadgorliwością.

– Mieszkańcy Minnesoty nie znoszą nadgorliwości – zauważył Elwood. – Jest na samym szczycie listy cech podejrzanych, razem ze skłonnością do radości i rozpacz.

– Lepiej grzeszyć nadmiarem nijakości – doradził Tippen.

Dawes zwróciła się do Kovaca.

– Sam, a co ty masz?

– Ból głowy – odpowiedział. – Nie podobają mi się świadkowie potwierdzający alibi męża. Jeden jest bardzo śliski. A drugi to prostytutka. Moore zameldował się w hotelu Marquette wczoraj około piętnastej. Z prostytutką zeszli do hotelowego baru około osiemnastej – osiemnastej piętnaście i tam spędzili resztę nocy. Między piętnastą a osiemnastą Moore pieprzył prostytutkę, więc nie mógł obijać kijem żony. Ten obślizgły to Edmund Ivors. Dołączył do nich około siódmej.

– Edmund Ivors? – powtórzył Tippen. – Skądś znam to nazwisko.

– To jakiś multipleksowy potentat – powiedział Kovac. – Ale najciekawsze jest to, że na chwilę zjawił się przy nich trzeci gość. Ani Moore, ani Ivors nie wspomnieli o nim w swoich zeznaniach. Barmanka opisała go jako jasnowłosego trzydziestolatka w ciemnych dżinsach, czarnej koszulce i czarnej kurtce. Był tam może przez dziesięć minut.

– Wystarczająco długo, by powiedzieć: „Cześć, próbowałem zabić twoją żonę, ale musiałem zwiewać. Dawaj forszę”.

– Na to mi wygląda. Potrzebujemy nakazu, żeby dostać od hotelu kasetę z kamery w barze.

– Czy barmanka widziała, żeby ktoś komuś coś dawał? Kovac potrząsnął głową.

– Była zajęta. Widziała, jak z nimi rozmawiał. Potem już go nie było. Kutas Moore, obślizgły Ivors i dziwka Bird udali się na kolację i Bóg wie co jeszcze. Barmanka powiedziała, że Ivors wyglądał jej na typa, który lubi się przyglądać.

Liska skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Yyyy...

– Jaki motyw ma Moore? – zapytał Elwood. – Oprócz tego, że jest dupkiem, oczywiście.

– Pieniądze – powiedział Kovac. – Jeśli ona się z nim rozwiedzie, Moore otrzyma połowę. Jeśli ją zabije, dostanie wszystko.

– To ona się z nim rozwodzi? – dociekała Liska, patrząc na Kovaca ze szczególną uwagą.

– Na to się zanosi – powiedział Kovac, omijając jej wzrok. Nie chciał zdradzić zaufania Carey. Nikt nie musiał wiedzieć, że wielka scena miała się rozegrać za kilka godzin, a już na pewno nie Liska. – Ten pajac żył za jej pieniądze trochę za długo. Od lat nie zrobił żadnego filmu. Biega za panienkami, podczas gdy ona leży w szpitalu ze wstrząsem mózgu. Atmosfera między nimi jest tak gęsta, że można by ją ciąć nożem.

– Ona ma pieniądze? – zapytała Dawes.

– Rodzinny majątek – odpowiedział Tippen. – W przeszłości Greerowie siedzieli w przemyśle drzewnym. Zbili fortunę na ciężkiej pracy napływowych drwali. Ojciec Aleca Greera przerzucił się na wydobycie rudy żelaza, gdy jeszcze było to opłacalne, i w odpowiednim czasie sprzedał udziały w kopalniach. Sędzia Greer jest więc bogatym człowiekiem. I jeśli nie ma w planie zostawić wszystkiego organizacjom dobroczynnym, to jego córka sporo odziedziczy.

Dawes uniosła brwi.

– Dziękujemy bardzo, profesorze Tippen.

– Jestem człowiekiem renesansu – powiedział Tippen, nieznacznie się kłaniając. – Bon vivant. Kolekcjoner anegdot. Do usług.

– Pajac! – zawyrokowała Liska i rzuciła w niego długopisem.

Tippen odpowiedział na atak, ciskając w Liskę ziarenkiem kawy w czekoladzie. Liska pisnęła, gdy kulka uderzyła ją w czoło.

Dawes była zmuszona odegrać rolę mamy.

– Tippen, czy mam ci zabrać te cukierki, zanim wybijesz komuś oko?

– Nie, psze pani.

– Czy ojciec sędziny Moore jest zdrowy? – zwróciła się do Kovaca.

– Nie. Etap schyłkowy. A Carey jest jego jedynym dzieckiem...

Liska wlepiła w niego palący wzrok i bezgłośnie zapytała: „Carey?”

– Jeśli ona wypadnie z gry, to pieniądze Greera trafią do jego jedynej wnuczki, córki sędziny, Lucy. Lucy ma pięć lat. Moore miałby całkowitą kontrolę nad spadkiem.

– To tylko zgrabna teoria – powiedziała Dawes. – Co masz na jej poparcie?

– Lata doświadczenia i wrodzoną mądrość – powiedział Kovac. – Wystarczy mi nakaz, a wszystko udowodnię. Nakaz przeszukania domu i kontroli finansów Dupka.

– A jak masz zamiar zdobyć nakaz? – spytała Dawes. – Oczarować sędziego swą nieprzeciętną urodą?

– I urokiem osobistym.

Dawes odpytywała nadal.

– Nikki, co ty dla mnie masz?

– Nie za dużo. Nie udało mi się ani potwierdzić, ani obalić alibi Bobby’ego Haasa. Zdarzyła się jedna dziwna rzecz: dzisiaj rano Bobby powiedział mi, że Marlene Haas była jego macochą, a jego matka zmarła na raka. Ale gdy rozmawiałam z opiekunką społeczną, dowiedziałam się, że Bobby został adoptowany przez Haasów, jego rodzona matka popełniła samobójstwo, a pierwsza żona Haasa zmarła wskutek upadku ze schodów, gdy szła do

piwnicy z koszem prania.

– Nikt więc nie miał raka – powiedział Elwood.

Liska potrząsnęła głową.

– No właśnie. To trochę dziwne, żeby kłamać na taki temat, nie sądzicie?

– Ile lat ma ten dzieciak? – zapytał Tippen.

– Siedemnaście.

– I spotkało go już w życiu tyle potwornych tragedii? – zdziwiła się Dawes. – Może po prostu o jednej z nich chciał zapomnieć? Jak ma się czuć z taką przeszłością? Jedyne pragnienie mojego piętnastoletniego syna, to być takim samym jak jego rówieśnicy. A ten chłopiec myśli sobie pewnie, że wszyscy uważają go za dziwoląga. Przynajmniej jeśli powie, że jego mama zmarła na raka, to inne dzieciaki to zrozumieją.

Liska spojrzała na Kovaca. Znał ją na tyle, by zauważyć subtelne znaki świadczące, że coś jej się w tym chłopaku nie podoba.

Wzruszył ramionami.

– Nie możesz go aresztować za to, że powiedział, że jego matka zmarła na raka, chociaż było inaczej. A jeśli nie znajdziesz świadka, który widział go na parkingu, to nie możesz go też oskarżyć o napaść. Ja stawiam na przyszłego byłego męża sędziny Moore.

– A to ci niespodzianka – powiedziała Liska.

Kovac spojrzał na nią spod byka.

– Ja obstawiam Dempseya – powiedział Tippen. – To wariat. Rzucił groźby. Czym jest pobicie kobiety metalowym prętem w porównaniu z torturowaniem kogoś elektrycznym nożem do mięsa?

– Nie życzę sobie robienia zakładów w mojej obecności – oznajmiła Dawes. – Wracajmy do roboty. Trzeba popchnąć sprawę do przodu.

– Mamy jakieś wieści o Dahlu? – zapytał Kovac, wstając z krzesła. Dawes pokręciła głową.

– Facet zniknął. Psy nigdy nie wpadły na jego trop. Nie widział go żaden wiarygodny świadek. Dostajemy zwykle donosy od jasnowidzów, fanatyków religijnych i ludzi, którzy dzwonią, bo czują się samotni i chcieliby z kimś pogadać. Same ślepe tropy. A moi ludzie biegają po całym mieście, szukając tygo faceta.

– To typ, który wie, jak nie zwracać na siebie uwagi – powiedział Tippen. – Mglista postać poruszająca się na obrzeżach społeczeństwa.

– Brzmi jak opis twojej osoby – rzuciła Liska, wstając.

Tippen posłał jej złośliwy uśmiech.

– Jesteś bardzo mała i bardzo pyskata.

– Pieprz się.

Gdy razem zmierzali do drzwi, Dawes kiwnęła głową na Kovaca, by zaczekał.

– Masz silne przeczucie co do tego Moore'a.

– Widzisz czubek góry lodowej mojej niechęci do tego palanta.

– Postaram się, byśmy jak najszybciej dostali kasetę z hotelu. Może uda nam się dopasować tajemniczego gościa do kogoś z naszej bazy danych. A przynajmniej będziemy mogli porównać nagranie z tym z parkingu. Może zauważymy jakieś podobieństwo między nim a napastnikiem.

– Gdybym mógł przejrzeć wydatki Moore'a, może znalazłbym dowód na to, że komuś płacił za wykonanie zlecenia.

– Nie sądzę, by jakikolwiek sędzia wydał nakaz na podstawie tego, co mamy, Sam. Czy myślisz, że Carey Moore mogłaby oskarżyć go pod przysięgą?

– O co? O to, że jest kiepskim mężem? Gdyby to było niezgodne z prawem, sam odsiadywałbym dwadzieścia pięć lat – powiedział Kovac. – Poza tym nie sądzę, by chciała to zrobić. Ma na uwadze swoją córkę i własną reputację. Jakoś nie widzę, by na podstawie moich nie do końca sprecyzowanych podejrzeń była w stanie wydać nam swojego męża.

Dawes westchnęła.

– Masz jakiś pretekst, by ściągnąć go do nas na przesłuchanie?

Kovac pomyślał o teczce zamkniętej w bagażniku jego samochodu. Póki co przerzucił tylko parę kartek, ale wiedział, że znajdzie tam mnóstwo dowodów na niewierność Moore'a. Ale gdyby wezwał go na przesłuchanie na tej podstawie, poniekąd ujawniłby udział Carey.

Choć może to nie był taki głupi pomysł.

– Mógłbym go poprosić, by zgłosił się na dobrowolne przesłuchanie – powiedział.

– Będzie chciał z nami współpracować?

– Nie – przyznał Kovac. – Od razu zawołał adwokata, a wtedy będziemy udupieni.

Odwrócił wzrok i westchnął.

– Nie wiem, co powiedzieć, szefie. Wrzuciłbym drania do węzowiska, gdybym mógł, ale jeśli wezwiemy go z tym, co mamy, to damy mu tylko wskazówkę, że powinien przegrupować siły i ostrzec wykonawcę zlecenia.

Dawes skinęła głową.

– Dobra. Ale możemy przyczepić mu ogon.

– Dostaniesz na to ludzi?

– Mam od góry przyzwolenie na wszelkie konieczne działania. Szefowie chcą dostać



głowę sprawcy na srebrnej tacy.

– Chętnie im ją podam – powiedział Kovac. – Z jabłkiem w ustach dla lepszego efektu.

## XXXI

Proces dobiegi końca. Jego wynik okazał się niepomysłny dla Kenny'ego Scotta, ale sprawiedliwość triumfowała, bezwzględna i okrutna.

Stan dygotał, był cały spocony, jednak przepełniało go uczucie euforii. Wciąż tkwiła w nim resztką dawnego Stana, przerażona wzbierającymi w nim uczuciami. Ale ta część była coraz mniejsza i słabsza. Poczucie, że racja jest po jego stronie, dodawało mu mocy.

Sprawiedliwość w jego wydaniu była czysta i nieskomplikowana. Żadnych gier, korzystania z luk w prawie i robienia uników na podstawie błędów technicznych. Było tylko dobro i zło.

Po raz pierwszy w swoim życiu Stan czuł się silny.

Każdy przeciętny przechodzień mijający dom Kenny'ego Scotta pomyślałby, że po prostu nie ma go w domu. Stan przed wyjściem wyłączył telewizor. Wsiadł w samochód Scotta i zaparkował go kilka ulic dalej, a potem wrócił do swojej ciężarówki.

Gdyby dawni koledzy Stana odkryli ciało Scotta zbyt szybko, mieliby zawężony teren poszukiwań, a intensywność ich działań byłaby piorunująca. Stan nie mógł dać się złapać przed ukończeniem misji.

Spokojnie przejechał do sąsiedniej dzielnicy i zatrzymał furgonetkę. Przeszedł na tył wozu, zjadł kanapki z szynką i plasterkami ogórka konserwowego i wypił trochę kawy z termosu.

Nie myślał o tym, co właśnie zrobił. Nie starał się przypomnieć sobie paniki w oczach prawnika, krzyków dławionych taśmą zaklejającą mu usta.

Wspomnienia z aktu zbrodni uderzały do głowy tylko kryminalistom, seryjnym mordercom, ludziom pokroju Dahla, bo oni oddawali się przemocy dla przyjemności. Wspomnienia były dla nich tak samo ważne jak sama zbrodnia, ponieważ stanowiły źródło późniejszych ekscytacji.

Stan nie myślał o sobie jako o przestępcy. On tylko wykonywał zadanie, którego nikt inny nie chciał się podjąć.

Skończył jeść i wytarł ręce nawilżaną chusteczką. Nadszedł czas, by zajął się kolejną osobą na swojej liście.

Carey Moore.

## XXXII

Godziny pozostałe do wieczora zdawały się Carey dłużyć w nieskończoność. Resztę popołudnia spędziła z Lucy w jej pokoju. Bawiły się w gabinet pielęgniarki, Carey mierzyła córeczce temperaturę plastikowym termometrem i dawała jej „lekarstwa” – drażetki M&M’s.

Później ucięły sobie drzemkę, choć Carey ani raz nie udało się zasnąć na dłużej niż kilka minut. To napięcie było nie do wytrzymania. Spędziła ten czas na rozważaniu po raz setny, czy jej decyzja jest właściwa.

Może to nie był dobry czas, by spierać się z Davidem? Może powinna poczekać, aż ten koszmar dobiegnie końca? Ale przecież nie była pewna, czy David nie jest w to wplątany. Nie chciała przebywać pod jednym dachem z człowiekiem, który mógł zorganizować zamach na jej życie. Nie chciała, by jej córka była blisko niego.

Martwiła się o Lucy, która już czuła się niepewnie i potrzebowała wsparcia rodziców. Ale czy dla dziecka kiedykolwiek był dobry czas na to, by jego rodzice się rozstali? Nie.

Zastanawiała się nad tym, czy by nie posłać Lucy na noc do domu Kate i Johna Quinnów. Lucy uwielbiała chodzić do kogoś na noc, a córka Quinnów, Haley, była jej przyjaciółką. Ale Carey nie chciała tracić córki spod kontroli ani nawet z pola widzenia. Działy się takie rzeczy. Wszystko było niepewne. Nie zamierzała też narazić Johna i Kate na niebezpieczeństwo, w razie gdyby Dempsey zdecydował się dopaść jej córkę i ukarać ją za winy Carey. Z tego, co wiedziała, mógł obserwować jej dom. Mógł za nią pojechać do Quinnów.

Poczeka z rozmową do czasu, aż córeczka zaśnie. Anka będzie pilnować, by Lucy nie zeszła na dół, gdyby się obudziła. Carey była ogromnie wdzięczna Ance, która uparła się, by zostać na weekend, choć sobota i niedziela zazwyczaj były jej dniami wolnymi. Nie chciała nawet słyszeć o wyjeżdżaniu. Miała obowiązek troszczyć się o rodzinę.

Carey zrobiło się smutno, gdy pomyślała, że może bardziej ufać swojej opiekunce do dziecka niż mężowi.

Na obiad David zamówił chińszczyznę. Lucy była wielką fanką smażonego kurczaka z grzybami i bambusem. Davidowi apetyt dopisywał jak zawsze. Carey grzebała widelcem w swoim smażonym ryżu z jajkiem, przesuwała go z jednego końca talerza na drugi, ale zjadła tylko kilka ziarenek. Oparła łokieć na stole, położyła głowę na dłoni i wpatrywała się w kolorowe kawałki marchewki i groszku, zdobiące ryż jak confetti.

– Jak tam twój kurczak, księżniczko? – zapytał David, uśmiechając się do córki.

– Teraz jestem czarodziejską księżniczką, tatusiu. Detektyw Sam tak powiedział.

– Detektyw Sam? – David spojrzał na Carey.

– Był w sądzie, tatusiu – ciągnęła Lucy. – Bawiliśmy się, że jest moim olbrzymem i niósł mnie całą drogę aż do samochodu. Fajnie, prawda?

– Tak, bardzo – powiedział David. – A co on robił w sądzie?

– Nie wiem – powiedziała Lucy, wysoko podnosząc małe ramionka, i skupiła się na jedzeniu.

– Jestem ofiarą w jego śledztwie – powiedziała Carey. – Chciał mnie mieć na oku.

– Powinnaś była zostać w szpitalu – David powiedział to samo po raz dziesiąty.

– Żeby umarła tam z głodu? – nieco zbyt ostrym tonem zapytała Carey. – Albo żeby wmuszali we mnie jakąś galaretkę?

– Ja lubię galaretkę – wtrąciła się Lucy. – A najbardziej zieloną. Mama mojej koleżanki Kelly dodaje do zielonej galaretki kawałki marchewki. To takie dziwne...

Carey uśmiechnęła się do córki.

– Ja lubię jak w galaretkce jest ananas – mówiła dalej Lucy. – Ananas jest śliczny.

– Wyglądasz, jakbyś za chwilę miała upaść, Carey – powiedział David. – A wychodzisz z domu i jeździsz po mieście, jakby wszystko było w porządku. Wykańczasz się.

Naprawdę wyglądał tak, jakby się o nią martwił, i Carey zastanowiła się, czy to możliwe, że przynajmniej w części jego troska była szczerą. Jakaś jej część – miała nadzieję, pomimo że rozum podpowiadał jej, że tak nie jest. Gdyby Davidowi na niej zależało, nie robiłby tych wszystkich rzeczy. Bardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem było to, że chciał mieć ją z głowy, żeby przez weekend mógł robić, co mu się żywnie podoba. Jak Kovac mówił, że ta lala ma na imię? Ginnie.

– Przywiozłaś papiery? – zapytał. – Nie zauważyłem, żebyś cokolwiek przyniosła z samochodu.

– Zapomniałam, że były w teczce, którą mi skradziono.

– Więc pojechałaś po nic?

– Czy mam ci zwrócić pieniądze za benzynę, którą zużyłam? – spytała Carey z lekkim

sarkazmem.

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– Nic.

Chciał chyba powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymał, podniósł ręce na znak poddania i odsunął się z krzesłem od stołu.

– Przepraszam, moje panie, ale muszę wracać do pracy. Ubiegam się o grant dla mojego filmu.

Carey nic nie powiedziała. Jeszcze wczoraj by go wsparła, spróbowała dodać mu otuchy, choć ta gra już dawno ją zmęczyła. Ale dziś czas na bycie cheerleaderką Davida definitywnie się skończył. Nadszedł czas zmian.

Wieczór znów spędziła z Lucy. Malowały paznokcie u nóg i czytały bajki. Potem ułożyła córeczkę w łóżeczku i czekała, aż ta zaśnie. Następnie wzięła prysznic, po czym ubrała się w luźne dzinsy i za dużą, czarną koszulę na guziki. Była to stara koszula jej ojca. Zakładając ją, czuła, jakby otulało ją wspomnienie jego siły.

Było dla niej ważne, by zebrać w sobie całą pewność siebie, na jaką było ją stać. Dlatego nie mogła pozwolić sobie na to, by stanąć przed Davidem w piżamie.

Lucy spała już prawie od godziny. Gdy zasnęła naprawdę mocno, rzadko budziła się przed ranem. „Sen niewinnych” – pomyślała Carey i pozazdrościła córce.

David siedział przy biurku, wpatrywał się w monitor i bawił się szklanką z drinkiem.

Carey zatrzymała się w drzwiach gabinetu i przez chwilę go obserwowała, zanim podniósł wzrok i na nią spojrział.

– Myślałem, że się położyłaś.

Wzięła głęboki oddech i weszła do pokoju.

– Musimy porozmawiać.

Dwa najbardziej złowieszcze słowa, jakimi można zacząć rozmowę.

David przez chwilę siedział nieruchomo, a potem nacisnął klawisz myszki i ekran komputera zaalała czerń. Ścisłe tajne podanie o grant. „Jak cholera” – pomyślała Carey. Pewnie uprawiał wirtualny seks z jedną ze swoich koleżanek dziwki. Nie wstał, pozwalając, by solidna masa biurka oddzielała go od niej jak tarcza.

– Chcę rozwodu – powiedziała otwarcie.

– Co? – wyglądał bardziej na zdenerwowanego niż zaskoczonego. – Dlaczego?

– Nie udawaj, że jesteś zdziwiony, David. Nie chcesz być moim mężem. Ja nie chcę

być twoją żoną. Nawet nie wiem już, kim jesteś. Ale wiem o wszystkich twoich nadgodzinach z prostytutkami.

Był na tyle głupi, by ją poprawić:

– Dziewczynami do towarzystwa.

– To kobiety, którym płacisz za seks – warknęła. – Dziwka to dziwka, David. Żaden eufemizm tego nie zmieni.

– Jak mogłeś? – zapytała po chwili milczenia. – Jak śmiałeś?

Potał dłońią twarz i wstał od biurka.

– To był tylko... interes – powiedział. – Opłata za usługę. Kiedy ostatni raz ty i ja uprawialiśmy seks, Carey?

– A kiedy ty ostatni raz byłeś równym partnerem w tym związku?

Zaśmiał się bez wesołości i potrząsnął głową.

– I ty się zastanawiasz, czemu szukałem zainteresowania poza małżeństwem?

– Tak. Biedny, zaniedbany David – powiedziała Carey gorzko. – Oczywiście jesteś ofiarą. Przez ostatnie lata nie dokładałeś nic do tego związku...

– Chodzi więc o to, że nie udało mi się zarobić pieniędzy? – zapytał, robiąc krok w jej stronę. – To o to chodzi?

– Nie próbuj robić z tego sporu o pieniądze. Od lat nie byłeś ze mną związany emocjonalnie, troszczyłeś się tylko o swoje potrzeby...

– Jestem egoistą?

– Tak!

– A ile lat to ty pracowałaś po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, nigdy nie było cię w domu, a gdy wracałaś, byłaś zbyt zmęczona...

– Mieliśmy być partnerami – powiedziała Carey. – Tak, robiłam karierę. Ty też dawno temu ją robiłeś. I nie możesz powiedzieć, że cię nie wspierałam. Byłam twoją najbardziej zagorzałą fanką. Nawet w ciągu ostatnich lat, gdy nie miałeś najmniejszej szansy na zrobienie filmu, czy choć raz próbowałam cię zniechęcić?

Odwrócił wzrok.

– Czy masz pojęcie, jakie to było męczące, David? Obnosić się z twoim kruchym ego jak ze śmierdzącym jajkiem?

David przewrócił oczami.

– Wybacz, że byłem dla ciebie takim ciężarem.

Carey popatrzyła w bok i splotła ręce na piersi.

– Nie chcę się z tobą kłócić, David. To nie ma sensu. Między nami skończone. To

wszystko.

– Ooo! Jej wysokość pani sędzia przemówiła! Wyrok zapadł! – powiedział z sarkazmem. – Nie mogę nawet próbować się bronić?

– Jak miałbyś wytłumaczyć się z tego, co zrobiłeś? – spytała Carey z niedowierzaniem.  
– Pieprzysz się z prostytutkami, gdy tylko się odwrócę. Jak chcesz się z tego wybronić? Wydajesz tysiące dolarów miesięcznie na seks, na kwiaty dla swoich panienek, na czterogwiazdkowe hotele i na apartament, który nawet nie chcę wiedzieć, komu i do czego służy. Co mógłbyś powiedzieć, by sprawić, żeby to wszystko dobrze wyglądało?

Spojrzał na nią podejrzliwie zmrużonymi oczami.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Z naszych papierów! Na miłość boską, David. Dziwię się, że nie założyłeś osobnej teczki na dokumentację ze swoich zboczonych rozrywek.

– Zaglądałaś do moich szuflad?

– Nie. Zaglądałam do naszych rachunków. Czy miałam w tym celu zdobyć nakaz sądowy? Nawet nie starałeś się niczego ukryć. Lista twoich ulubionych agencji towarzyskich była w szufladzie, w której trzymamy książeczki czekowe i znaczki. Musiałeś przewidzieć, że kiedyś tam zajrzę! Pewnie chciałeś, żeby tak się stało, chciałeś, żebym cię nakryła, bo najwyraźniej brak ci jaj, żeby samemu mi o tym powiedzieć.

Wyciągnął ręce przed siebie, jakby się przed nią bronił.

– Nie będę słuchał kazań z twoich ust. Uważasz się za taką wspaniałą? Idealna córka, idealna matka, idealny prawnik. Wszystko idealne! Co za pieprzona hipokryzja! Myślisz, że nie wiem, iż sama z kimś spałaś?

Carey zrobiła krok do tyłu, jakby David ją spoliczkował.

– Tak – powiedział ze złośliwym uśmiechem. – Jednak nie jesteś aż tak idealna. Więc nie stój tam tak i nie patrz na mnie z góry.

– Raz – powiedziała. – Raz. Bo byłam przepracowana, znerwicowana, a wszystko, co słyszałam od ciebie, to ciągle żale, że mnie nie ma, by spełniać wszystkie twoje zachcianki.

– Pewnie. Kiedy ty jesteś niewierna, to moja wina. A kiedy ja, to już nie twoja?

– Nie ma między nami porównania – powiedziała Carey. – Jeden raz zbliżyłam się do mężczyzny, którego znałam i któremu ufałam, bo potrzebowałam jego wsparcia. A ty otwierasz książkę telefoniczną i wybierasz numer. I mówisz, że to tylko transakcja. To przechodzi wszelkie normy plugastwa! Powiedz mi przynajmniej, że używałeś zabezpieczenia. Że nie naraziłbyś swego dziecka na niebezpieczeństwo, gdyby potrzebowała transfuzji lub przeszczepu nerki.



– Nie używałem – powiedział zadowolony z siebie. – Chciałem w pełni skorzystać z usługi, za którą płaciłem.

Carey uderzyła go dłonią w policzek z całej siły. Przez całe swoje życie nigdy nie podniosła na nikogo ręki.

– Ty skurwysynu – powiedziała, wpatrując się w niego z nienawiścią. – Wynoś się! Wynoś się z tego domu! Wynoś się z mojego życia! Natychmiast! – krzyczała, wskazując na drzwi.

– To również mój dom.

– Jak jasna cholera! Jeśli choć przez sekundę pomyślałeś, że coś zyskasz na tym rozwodzie, to jesteś w głębokim błędzie.

– Oczywiście – David uśmiechnął się złośliwie. – Wszystko dla ciebie.

– Dla mnie i dla Lucy.

– Nie możesz mi zabronić widywania się z córką.

– Tak sądzisz? Sędzia w sądzie rodzinnym nie będzie zachwycony twoim sposobem spędzania wolnego czasu, David.

– Byłem dla Lucy bardzo dobrym ojcem – powiedział drżącym głosem. Do oczu napłynęły mu łzy. – Cokolwiek zaszło między nami Carey, nie możesz powiedzieć, że nie kocham mojej córki albo że ona nie kocha mnie.

Carey zamknęła oczy i westchnęła.

– Nie, nie mogę tak powiedzieć.

– I nie myślisz chyba, że kiedykolwiek zrobiłbym coś, co mogłoby w jakikolwiek sposób zaszkodzić Lucy. Nie możesz tak po prostu usunąć mnie z jej życia.

– Wiem – powiedziała Carey z rezygnacją. – I nie zrobię tego.

Tak naprawdę nie miała pojęcia, co dalej zrobi. Myśl, że David zadawał się z prostytutkami, sprawiała, że miała ochotę całkowicie zabronić mu spotykania się z Lucy. A jej wątpliwości co do sumy dwudziestu pięciu tysięcy dolarów skłaniały ją do decyzji, by usunąć Davida z życia ich obu raz na zawsze. Ale teraz nie była pora, by o tym rozmawiać.

Przez wszystkie lata ich znajomości ani razu nie pomyślała, że David mógłby być zdolny do jakiegokolwiek agresji. Ale ten człowiek, który teraz przed nią stał, był kimś obcym. Nie znała go. To nie był ten sam mężczyzna, którego poślubiła. To nawet nie był mężczyzna, o którym myślała, że z nim żyje.

Pomyślała o Kovacu. Pomimo tego, co mu powiedziała, chował się teraz pewnie za krzakami w ogrodzie, gotowy wybić okno i wskoczyć do środka, gdyby w jego głowie pojawił się choćby cień niepokoju o to, co się tu dzieje.

„Mogę tam być, zanim odłożysz słuchawkę”.

Przypomniała sobie dwóch oficerów siedzących w radiowozie przed domem.

Lucy była jej kartą atutową. David nie zrobiłby jej nic tutaj i teraz, bo gdyby poszedł do więzienia, już nigdy nie zobaczyłby swojej córki. Na opiekunów prawnych Lucy – w razie, gdyby coś stało się jej lub Davidowi – wybrali Kate i Johna Quinnów. Ona była prawnikiem pomagającym ofiarom przestępstw, a on jednym z czołowych ekspertów w dziedzinie studiów nad umysłem przestępcy. Gdyby David jej coś zrobił, Quinnowie dopilnowaliby, by już nigdy nie ujrzał Lucy.

Ale ta wiedza jedynie wzmocniła jej przekonanie, że David musiał komuś zapłacić za wykonanie brudnej roboty.

– Kiedyś cię chyba kochałem – powiedział cicho. – Nie wiem, jak znaleźliśmy się tu, gdzie jesteśmy.

– Proszę, David. Idź już – powiedziała Carey, zdumiona tym, jak bardzo zabolalo ją to, co właśnie usłyszała: „Kiedyś cię chyba kochałem...”

– Mógłbym zostać na noc w pokoju gościnnym – powiedział. – Nie chcę, by Lucy obudziła się jutro i nagle zorientowała się, że mnie nie ma.

– Powiem jej, że musiałeś wyjechać w interesach. Nie mogę pozwolić, byś został, David. Nie ufam ci.

– Nie ufasz mi, że co? – zapytał, a jego gniew powrócił. – To ten Kovac ci powiedział, że komuś zapłaciłem, żeby cię zaatakował. Jak możesz w ogóle w coś takiego wierzyć, Carey? Znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że to nieprawda!

Carey wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem.

– W ogóle cię nie znam. Nie wiem, co za mężczyzna tu przede mną stoi. Człowiek, którego poślubiłam, nie zrobiłby żadnej z tych rzeczy, jakie zrobiłeś ty. Nie mam pojęcia, kim jesteś.

– Więc tak teraz o mnie myślisz? – zapytał agresywnie. – Że zapłaciłbym komuś, by cię zabił? Że może sam mógłbym cię zabić, gdy będziesz spała? Jezu Chryste, Carey.

– Musisz już iść, David – powiedziała. – Nie mogę pozwolić, żebyś tu został. I nie chcę cię tu. Nie zmuszaj mnie, bym wezwała policjantów, siedzących w samochodzie przed domem, by cię stąd wyprowadzili. A poza tym masz przecież dokąd pójść.

– Jesteś, kurwa, nie do wiary! – wrzasnął.

– Proszę, zachowuj się ciszej. Na górze śpi twoja córka.

Mieląc pod nosem przekleństwa, David chwycił zewnętrzny dysk swojego komputera, jak burza wyszedł z pokoju i ruszył schodami na górę.

Carey pośpieszyła za nim w obawie, że posunęła się za daleko i David zrobi coś głupiego. Miała serce w gardle, gdy zbliżył się do pokoju Lucy. Ogarnął ją paniczny strach, że zabierze ją ze sobą. Ale zatrzymał się tylko po to, by przez chwilę popatrzeć na ich śpiącą córkę.

Gdy się odwrócił, był czerwony na twarzy, walczył, by się nie rozplakać, i ciężko oddychał. Ruszył korytarzem do ich wspólnej sypialni. Szarpnięciem wyjął z szafy walizkę, walnął ją na łóżko i zaczął wrzucać do niej ubrania.

Dziesięć minut później już go nie było.

Carey stała przy drzwiach prowadzących z kuchni do garażu i nasłuchiwała, jak David odpala samochód i odjeżdża. Nie wiedziała, jak będzie się czuła po tej wielkiej scenie. Nie wiedziała, czy będzie płakać, czy będzie wkurzona, a może będzie jej się chciało rzygać. A nie czuła nic. Była całkiem odrętwiała. Wszystkie emocje zużyła na rozmowę z Davidem.

Wróciła do gabinetu i chodziła po nim w tę i z powrotem, dosłownie trzymając się w garści. Musiała zadzwonić do Kovaca. Powiedziała mu, żeby nie przychodził, ale niemal na pewno był gdzieś w okolicy – jeśli nie w jej ogrodzie, to we własnym aucie tuż za rogiem. Wzruszało ją, że tak się o nią martwił. I czuła się dzięki temu mniej samotna.

Kovac jako glina pozostawał niewzruszony na wszystko. Carey nie mogła sobie nawet wyobrazić, że mogłaby powiedzieć komuś innemu o tym, co zrobił David. Nie umiałaby się do tego przyznać nawet najlepszej przyjaciółce. Czuła się zażenowana. Było jej głupio. A Kovac wysłuchał jej bez mrugnięcia powieki. Miał do czynienia z rzeczami gorszymi niż niewierny mąż.

Usiadła przy biurku Davida i wzięła do ręki telefon komórkowy. Wyszukała numer Kovaca. Odebrał, zanim wybrzmiał pierwszy dzwonek.

– Kovac.

– Tu Carey. U mnie wszystko w porządku. David pojechał.

– Nie słyhać, żebyś była z tego faktu zadowolona.

– Jestem bardzo zmęczona – powiedziała, zdziwiona tym, jak słabo zabrzmiał jej głos.

– Chcesz o tym pogadać? Chcesz, żebym wszedł? Nie jestem daleko...

– Jesteś w ogrodzie przed moim domem, prawda?

– Tak. Możesz mi mówić, co mam robić, a ja i tak zrobię, co zechcę.

Uśmiechnęła się lekko – to były jej własne słowa użyte przeciwko niej.

– Masz mnie! – powiedziała. – Teraz marzę tylko o tym, żeby pójść spać. Ale dzięki za propozycję, Sam.

– Jestem tu, by służyć i chronić.

– Wiem.

Przez chwilę w słuchawce panowała krępująca cisza. Carey miała wrażenie, że Kovac chciał coś jeszcze dodać, ale się powstrzymał.

– Zadzwoń do ciebie rano – powiedział tylko.

Carey wyłączyła telefon, wsunęła go do kieszeni spodni i westchnęła, mając nadzieję, że ranek nadejdzie szybko.

## XXXIII

Kovac zdecydował się włączyć policyjne światła, by nadrobić dystans dzielący go od Davida Moore'a. Był gotów się założyć, że Moore pojedzie prosto do wynajmowanego mieszkania. I na pewno okaże się, że mieszka w nim Ginnie Bird.

Spostrzegł, że na światłach zatrzymał się duży mercedes sedan, i wyłączył koguta.

Moore przejechał przez skrzyżowanie i skręcił na zjazd na autostradę. Kovac przez chwilę jechał za nim, potem dodał gazu i wyprzedził go, jadąc dwa pasy od niego. Moore nie znał jego samochodu, poza tym i tak nie będzie się teraz za nim rozglądać. W jego głowie wciąż brzmia echa niedawnej kłótni z żoną i pewnie zastanawia się, co dalej z sobą zrobić.

Kovac zjechał z autostrady i udał się wprost do apartamentowca. Był to ładny, w miarę nowy dom, położony w dostatniej okolicy, otoczony zielenią, z podziemnym, zamykanym garażem. Nie było jednak odźwiernego ani strażnika.

Zaparkował po drugiej stronie ulicy, wysiadł i podszedł do wejścia.

Lista mieszkańców wypisana była na miedzianej tabliczce domofonu, obok drzwi prowadzących do małego przedsionka. Kovac zaczął studiować nazwiska.

Bird, V. Apartament 309.

Gdy zastanawiał się, czy nacisnąć dzwonek, na podjazd wjechał biały lexus. Brama garażowa zaczęła się podnosić, skrzypiąc i brzęcząc.

Kovac odsunął się od drzwi i wrócił na chodnik. Szedł bez pośpiechu, jak zwykły przechodzień. Lexus wtoczył się do garażu. Kovac poczekał, aż samochód skręcił w prawo w poszukiwaniu miejsca do parkowania, i wtedy wszedł do środka, schylając się pod opadającą bramą.

Tak łatwo było dostać się do budynku, którego mieszkańcy byli pewni swego bezpieczeństwa. Spojrzał na sufit w poszukiwaniu kamer, ale żadnej nie znalazł.

Nie musiał nawet zadawać sobie trudu, by się kryć. Podszedł do windy pewnym krokiem, jak gdyby był po prostu jednym z mieszkańców, i nacisnął guzik. Chwile później dołączył do niego kierowca lexusa – zmęczony facet z czerwonym, spuchniętym nosem i torebką z apteki w ręce.

– Dopadł pana ten wirus, co krąży po całym mieście? – zapytał Kovac.

Facet przewrócił oczami.

– Życ mi się odechciewa.

– Niech się pan napije whisky.

– Pomaga?

Nadjechała winda, wsiedli. Kovac nacisnął guzik trzeciego piętra i spojrzął na sufit kabiny. Tu też nie było kamery.

– Nie jestem przekonany – powiedział. – Za to po kilku szklaneczkach przestanie się pan wszystkim przejmować.

– Ano racja.

– Na które pan jedzie?

– Na czwarte. Dziękuję.

Resztę drogi przebyli w ciszy. Pożegnali się skinieniem głowy, gdy Kovac wysiadł na trzecim piętrze.

Nie poszedł od razu do mieszkania Ginnie Bird. Czekał, aż winda zjedzie na dół i wróci, wioząc Davida Moore'a. Korytarz był pusty. Koło drzwi windy ktoś przyczepił jaskrawopomarańczową kartkę z zaproszeniem na październikowe zebranie stowarzyszenia lokatorów.

## GŁOSOWANIE W SPRAWIE ŚWIĄTECZNYCH DEKORACJI NA ZEWNĄTRZ BUDYNKU

POTRZEBNA ZGODA WSZYSTKICH LOKATORÓW

UPRZEJMIE PROSIMY O PRZYBYCIE

Kovac rozważał przez chwilę, czy nie dopisać na plakacie nazwiska i telefonu swojego sąsiada, który w sprawie świątecznych dekoracji mógł służyć za eksperta.

Minęło może pięć minut, gdy winda z chrzęstem zjechała na dół, do garażu, a potem zaczęła piąć się w górę. Kovac stanął naprzeciwko drzwi tak, by David Moore, wysiadając, wpadł prosto na niego.

– Hej! – krzyknął Moore, zdenerwowany, że ktoś zagradza mu drogę, i dopiero wtedy zorientował się, że to Kovac. Wyraz jego oczu w ciągu ułamka sekundy przeszedł od zniecierpliwienia, przez dezorientację do podejrzliwości.

Kovac z całej siły uderzył go pięściami w klatkę piersiową, aż Moore wpadł z powrotem do windy i uderzył plecami o ścianę, wtedy wszedł za nim do środka.

– Co do cholery? – powiedział Moore, próbując się pozbierać.

Kovac chwycił go za koszulę i wcisnął do rogu.

– Posłuchaj, śmieciu. Wiem wszystko o tobie i twojej panience – powiedział Kovac. – I wiem o waszych spotkaniach co dwa tygodnie w Marquette.

– A ty co? Jesteś jednym z tych zбочeńców, których podnieca, że ktoś ich przyłapie, gdy publicznie brzydko się zachowują? – zapytał Moore.

– Akurat to byłbyś ty – powiedział Kovac z sarkazmem. – Brakuje ci jaj, żeby rozstać się z żoną, i czekasz, aż ktoś inny jej powie, że bujasz się po mieście z jakąś cizią, co robi loda za pięćdziesiąt baksów. Jesteś pieprzonym tchórzem.

Moore wcisnął się w róg i stanął na palcach, chcąc wydać się większym niż nędzny robak, którym był naprawdę.

– Nie możesz mnie pan w ten sposób traktować! – wybuchnął. Był cały czerwony i bardziej przestraszony niż agresywny. – To jest znęcanie i... i brutalność!

Kovac skrzywił się z obrzydzeniem.

– To dzwoń po policję, złamasie. Mam dwunastu świadków, którzy przysięgną, że o tej porze grałem w bierki w pubie „Pod Łosiem” w New Hope.

– Oszalał pan?

– Tak, ja oszalałem – powiedział Kovac ironicznie. – To nie ja spotykam się w publicznym miejscu z gościem, któremu mam zapłacić za pobicie żony.

– Nie wiem, o czym pan mówi!

– Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę – niewiele brakowało, by Kovac się odwrócił i splunął na podłogę. – Co ty sobie myślałeś, David? Że wszyscy zgodnie uznają, że twoją żonę po prostu ktoś chciał okraść, albo że jakiś czubek przyłożył jej z powodu Dahla?

– Ja jej nic nie zrobiłem!

– I pewnie pokazując się w publicznym miejscu, myślałeś, że jesteś supersprytny, bo używasz motywu jako alibi?

– Jakiego motywu?

– Tej lali, dla której wynająłeś to mieszkanie. Puszczającej się ćpunka, zbyt głupiej, by dostrzec, kim naprawdę jesteś: nieudacznikiem, który potrafi jedynie dużo gadać i cierpi na manię wielkości. Jesteś taki żałosny.

Wyraz, jaki malował się na twarzy Moore'a, stanowił niezapomniany widok. Kovac wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu. Udało mu się trafić w sam środek tej beczki gówna i naprawdę dotknąć jego czułego punktu. By potrząsnąć kimś, kto miał coś do ukrycia, trzeba było sporo charakteru, jak również trochę wiedzy. Długie lata brodzenia po pas w tym

rynsztoku, jakim był świat przestępczy, dały Kovacowi więcej niż doktorat z psychologii.

David Moore był typem faceta, który musiał czuć się ważny i chciał, by ludzie uważali go za mądrego. To, że musiał się w tym celu zniżyć do poziomu prostytutek, nie miało znaczenia.

– Myślisz sobie pewnie: „Skąd to wszystko wiesz, Kovac, ty dumny skurwielu?” – powiedział Kovac z uśmiechem. – A ja wiem o tobie bardzo dużo, bratku. Wiem na przykład o twoim upodobaniu do dziwek. O kwiatkach, prezentach i drogich kolacjach, za które płacisz z rodzinnej kiesy. Wiem o twoich wizytach w hotelu Marquette raz na dwa tygodnie, panie Greer. Chodzisz tam odstawić grubą rybę, no nie? Hollywoodzka gwiazda, wielki pan reżyser. A tak przy okazji, używać do tego panińskiego nazwiska swojej żony to poniżej wszelkiej krytyki. Freud by miał niezłe używanie w związku z twoim stosunkiem do kobiet. O co chodzi, David? Mamusia nie mogła cię nauczyć siadać na nocniku?

Moore nic nie mówił i zamarł w bezruchu, jakby drgnięcie powieki mogło sprawić, że cały jego alternatywny świat zwali mu się na głowę.

– Jedna rzecz, której nie pojmuję, to jak do tej obrzydliwej układanki pasuje Edmund Ivors. Co taki facet jak on może zyskać na tym, że da ci alibi?

– Nie potrzebuję alibi – powiedział Moore. – Nie zrobiłem nic złego.

Kovac przez moment wpatrywał się w niego zdumiony.

– Nie zrobiłeś nic złego? fezu Chryste! Zdradzasz żonę z kurwami i jej pieniędzmi oplacasz swoje schadzki. Co z tego nie jest złe?

Winda wydała zgrzyt i z szarpnięciem zaczęła zjeżdżać w dół.

Kovac nacisnął guzik z numerem dwa i wyciągnął Moore'a na korytarz, gdy winda zatrzymała się piętro niżej. Drzwi prowadzące na schody znajdowały się tuż po prawej. Kovac popchnął Moore'a w ich kierunku.

– Zapraszam do mojego biura, mistrzu.

– Pieprz się, Kovac – odwróciwszy się, powiedział Moore.

– Stawiasz opór? – zapytał Kovac z niedowierzaniem. – Stawiasz mi opór? Bo jeśli tak, to koniec gry.

– Czy jestem aresztowany?

– A chcesz odbyć tę rozmowę w komisariacie? Bo chętnie cię tam zabiorę na oficjalne przesłuchanie. Tego chcesz? – naciskał Kovac. – Podnosisz stawkę? Chcesz sprawdzić, czy nie blefuję? No to dawaj. A potem ty możesz zawołać adwokata, a ja zawołam Chrisa Logana, on postawi ci zarzuty i wsadzi do paki. A jeśli sądzisz, że jakkolwiek sędzia wypuści cię za kaucją po tym, jak próbowałeś zabić jednego z nich, to jesteś nawet głupszy, niż



wyglądasz. I co, tego chcesz?

– Nie próbowałem zabić mojej żony!

Drzwi do mieszkania numer 214 otworzyły się, zza nich wychyliła się kobieta i obrzuciła ich nienawistnym spojrzeniem.

– Idźcie się kłócić gdzie indziej albo wezwę policję.

Kovac wyjął odznakę z kieszeni płaszcza.

– Policja już zajmuje się tą sprawą. Proszę wrócić do mieszkania i zamknąć za sobą drzwi.

Kobieta momentalnie zniknęła.

Kovac odwrócił się do Moore'a.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że do waszej prywatki dołączył wczoraj ktoś jeszcze?

Moore odwrócił wzrok, zrobił zmieszana minę, wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Tylko to pierwsze się liczyło.

– Ja... Nie wiem – wybąkał. – Nie znam tego człowieka. Czemu miałbym o nim wspominać?

– Bo gdy rozmawiasz z glinami, to niczego nie pomijasz, Einsteinie. Robimy się nerwowi, gdy później sami się dowiadujemy. Kto to był?

– To znajomy Ivorsa. On... hmm... jest z branży. Jest... zdjęciowcem. Wpadł na chwilę. Rozmawialiśmy o moim projekcie.

– Jak się nazywa?

– Don jakoś tam. Nie pamiętam nazwiska.

– Przychodzi rozmawiać o twoim filmie. Może jest zainteresowany robieniem dla ciebie tego czegoś, czym się zajmuje, a ty nie pamiętasz, jak ma na nazwisko? Nie zostawił ci wizytówki?

– To była bardzo swobodna rozmowa. Ivors chciał mnie z nim poznać. To wszystko.

– Czemu więc ani Ivors, ani ta twoja Bird też ani słowem mi o nim nie wspomnieli?

– Nie wiem. Pewnie uznali, że to bez znaczenia. W końcu facet był tam tylko przez parę minut.

– Czy naprawdę oczekujesz, że przełknę taką ilość gówna?

– Nie obchodzi mnie, w co pan wierzy.

– W takim razie kiepskie masz podejście. Powinno cię to bardzo obchodzić. Bo jestem w stanie rozwalić twoje gówniane życie na kawałki i wyciągnąć na wierzch wszystkie obślizgłe tajemnice, jakie starasz się przykryć kłamstwami. A teraz pójdę na górę porozmawiać z twoją sikorką i nie chcę cię tam widzieć. Zdażyliście już ustalić wspólną

wersję wydarzeń? Bo zamierzam być obrzydliwym kłamcą i powiedzieć jej, że wiem wszystko o twoim planie, więc równie dobrze może być ze mną szczerą. I tym razem nie będzie przy niej Ivorsa, żeby jej podpowiadać.

Z kieszeni Moore'a odezwała się komórka.

– Odbierz, Dave – zaproponował Kovac. – To pewnie ona z pytaniem, gdzie się do cholery podziewasz.

Moore stał bez ruchu.

Kovac wyminął go, wrócił schodami na trzecie piętro i zapukał do drzwi mieszkania numer 309.

Ginnie Bird natychmiast otworzyła drzwi; niemiła niespodzianka w postaci Kovaca sprawiła, że tak samo szybko zmieniła się na twarzy.

– Mogę? – zapytał już po wejściu do mieszkania, przechodząc koło niej.

Moore wszedł tuż za nim.

– Nie musisz z nim rozmawiać, Ginnie. Nie bez adwokata.

Kovac uniósł brew.

– Pani Bird nie jest aresztowana. Do czego jej adwokat?

Ginnie Bird wyglądała jak sarna w światłach nadjeżdżającego samochodu. Dziewczyna była głupia jak but, trzeba jej to było przyznać. Ale miała inne atuty i to bardzo dobrze widoczne. Jej nienaturalnie krągłe piersi i szczupłą talię opinał purpurowy gorset, melanż jedwabiu i koronki. Prócz niego miała na sobie tylko skąpe majteczki, na wierzch zaś – dając zadość wrodzonemu poczuciu przyzwoitości – narzuciła szlafrok, który sięgał jej ledwie do ud. Z trudem utrzymywała równowagę na wysokich, srebrnych szpilkach. A wszystko to, by ulżyć w biedzie nękanemu kłopotami Davidowi, racząc go gorącym seksem.

Kovac rozejrzał się po tej części mieszkania, która znajdowała się w zasięgu jego wzroku. Podłoga w korytarzu zrobiona była z twardego drewna, przez pokój biegł biały dywan, aż do małego, gazowego kominka, obudowanego granitem. Meble i wykończenia miały nowoczesny styl – chrom, szkło i skóra.

– Niezła chata – powiedział Kovac. – Tylko że jesteśmy daleko od Hudson i Wisconsin. Musi być pani dobra w tym, co robi, skoro stać panią na mieszkanie i po tej, i po tamtej stronie rzeki.

– Ginnie jest kierownikiem... – zaczął Moore.

Kovac odwrócił się do niego gwałtownie.

– Przeszkadzasz w dochodzeniu policyjnym, dupku. Albo grzecznie siądziesz i się zamkniesz, albo położę cię na dywanie w korytarzu twarzą w dół, związanego jak wieprzka.

– Nie odważyłbyś się, Kovac – powiedział Moore.

– Sam mówiłeś, że ze mnie wariat. Nie wiem, do czego mogę się posunąć. A ty chyba nie chciałbyś się o tym przekonać na własnej skórze, co?

Moore uniósł ręce do góry i zrobił kilka kroków w tył, wycofując się do pokoju, gdzie zaczął chodzić w tę i z powrotem.

Kovac zwrócił się do Ginnie Bird.

– Pani Bird, wczorajszej nocy była pani w hotelu Marquette, pijąc drinki z obecnym tu pani chłopakiem, Edmundem Ivorsem i trzecim mężczyzną, który pojawił się tylko na chwilę. Kim był ten ostatni mężczyzna?

Przeniosła spojrzenie na Moore'a. Kovac stanął na linii jej wzroku, uniemożliwiając im kontakt.

– Don... Nie pamiętam – powiedziała. – W barze było głośno. Nie dosłyszałam, jak miał na nazwisko.

– Co tam robił?

– Nie wiem, nie zwróciłam uwagi.

Przesunęła się w lewo, znów próbując spojrzeć na Moore'a.

– O co chodzi, pani Bird? – zapytał Kovac. – Nie pamięta pani swojej kwestii?

– Nie mam nic do pamiętania – odparła. – Nie wiem nic, co mogłoby mieć dla pana znaczenie.

– Nie wie pani o zapłacie? O dwudziestu pięciu tysiącach dolarów?

Choć Kovac odgrażał się Moore'owi, że blefując, wydobędzie zeznania z Ginnie Bird, to wiedział, że musi być ostrożny. Nie trzeba było superbrońcy, by odrzucić zeznania klienta, któremu najpierw nie odczytano praw. A dobry prawnik mógł unieważnić nawet zeznania złożone po ich odczytaniu, dowodząc, że dobro jego klienta zostało naruszone przez policję, która zadawała pytania pod nieobecność adwokata, choć gwarantuje to jedno z pierwszych praw Mirandy. Mógł też dowodzić, że jego klient chwilowo stracił jasność umysłu, lub stosować inne tego typu prawnicze zagrywki.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała Ginnie.

Jej oczy były nieco szkliste, koniuszek nosa – czerwony. Kovac rozejrzał się po pokoju, żywiąc płonną nadzieję, że gdzieś na widoku znajdzie narkotykowe akcesoria. Wtedy mógłby ją zwinąć, przesłuchać na posterunku i trochę postraszyć. Ale nie widział nic takiego.

– Więc nie wie pani nic na temat swojego chłopaka płacącego komuś za zabicie żony?

– David nigdy by tego nie zrobił – stwierdziła stanowczo. – Nigdy! Czemu nie zostawi nas pan w spokoju? My tylko chcemy być szczęśliwi!

– Oczywiście – powiedział Kovac. – Mały problem stanowi tylko pani Moore. A wczoraj w nocy ktoś starał się ten problem wyeliminować. Jeśli wie pani, kim ten ktoś był, i mi nie powie, to stanie się pani współwinną po fakcie. A jeśli wiedziała pani o tym, jeszcze zanim do tego doszło, to będzie pani oskarżona o współudział. W obu wypadkach grozi pani więzienie.

– Nic panu nie mogę powiedzieć, bo nic nie mam do powiedzenia. David się z nią rozwodzi. Powiedział jej o tym dzisiaj.

– O, doprawdy? – powiedział Kovac, patrząc na Moore'a. – A to ciekawy zwrot wydarzeń.

– Proszę już wyjść – powiedziała Ginnie. – Znam swoje prawa.

„Zapewne dzięki prawnikowi, którego agencja towarzyska posyłała do więzienia, by płacił za nią kaucję jeszcze w czasach, gdy zarabiała jako prostytutka” – pomyślał Kovac. – Jakim idiotą był David Moore, zostawiając dla tej cizi taką kobietę jak Carey i porzucając własną córkę.

Odwrócił się do Moore'a.

– Człowieku, musisz być jednym z największych durniów wszechczasów.

Moore nic nie odpowiedział.

– Na razie – rzucił Kovac w drodze do drzwi. – Następnym razem przyjdę tu z nakazem. I niech pan pozwoli, że pana ostrzegę, panie Moore. Jeśli znajdę strzęp dowodu na to, że maczał pan palce w napadzie na żonę, to przysięgam, że rozpętam piekło.

Na ulicy Kovac podszedł do nieoznakowanego wozu wyznaczonego do pilnowania Moore'a i poinstruował siedzących w nim funkcjonariuszy, by dali mu znać, gdy tylko mąż sędziny opuści mieszkanie, nawet gdyby wyszedł na ulicę jedynie po to, by pierdnąć.

Gdy znalazł się już w swoim wozie, przez chwilę siedział nieruchomo i czekał, aż spadnie mu ciśnienie. Miał ochotę rozerwać Moore'a na strzępy. Chciał, żeby facet okazał się winny. Chciał, żeby ktoś w końcu wykrztusił nazwisko Dona Jak-mu-tam, domniemanego szefa zdjęć, by w końcu mógł go dopaść i wydusić z niego, co łączy go z Moore'em.

Właśnie tego chciał. Problem w tym, że on w zasadzie nie powinien niczego chcieć. Dobry detektyw nie wyciągał wniosków, zanim nie poznał wszystkich faktów. Zbytne utożsamienie się ze sprawą – lub zbliżenie do ofiary zbrodni – było krokiem w kierunku szaleństwa. Albo do komisji rewizyjnej. Gdyby ktokolwiek widział, jak wepchnął Davida Moora z powrotem do tej windy, a ten miałby świadka, to mógłby go oskarżyć o brutalne

traktowanie.

Ale co tam... Dało mu to cholerną satysfakcję.

W trakcie gdy napawał się wspomnieniem, zadzwonił telefon.

– Kovac.

– Cześć, tu Liska.

– O...

– Nie przesadzaj z tym entuzjazmem. Jeszcze sobie coś pomyślę – powiedziała Liska z sarkazmem. – Kogo się spodziewałeś? Królowej Saby? Catheriny Zety-Jones?

– Czy dzwonisz do mnie w jakimś konkretnym celu? – zapytał Kovac zgryźliwie, zły, bo tak naprawdę miał nadzieję, że dzwoni Carey. A gdyby Liska to odkryła, nie dałaby mu spokoju. Ale był głupi!

– Tak. Powinieneś pojechać do Centrum Medycznego.

– Czemu?

– Bo Kenny’ego Scotta odwiedził dziś twój kumpel, Stan Dempsey.

## XXXIV

Karl wiedział, że nie może zostać w parku przez całą noc. I tak długo już tam siedział, choć nikt nie zwracał na niego uwagi. Ale miasto nie zezwalało na pozostawianie samochodu na terenie parku przez noc.

Całe popołudnie spędził, przesiadając się z ławki na ławkę. Dzień był tak piękny, że ludzie zostawali na dworze, by grillować, obejrzeć zachód słońca i do końca cieszyć się piękną pogodą. Unoszący się w powietrzu zapach pieczonego mięsa sprawiał, że Karlowi burczało w brzuchu. A teraz ciepły dzień ustępował wieczorowi, którego chłód przenikał przez kaszmirowe ponczo i włożył Karlowi pod spódnicę. Nadszedł czas, by przenieść się w cieplejsze miejsce.

Popatrzył przez ulicę na dom Carey Moore. Światła paliły się w jednym pokoju na górze i jednym na dole.

Po południu Karl widział ją przez chwilę w czarnym mercedesie, który wyjechał z garażu. Siedziała na miejscu pasażera. Prowadził policjant. Na tylnym siedzeniu podskakiwała dziecięca główka pokryta szopą niesfornych, ciemnych loków. Dziecko Carey Moore.

Karl zamknął oczy i wyobraził sobie Carey Moore w ciąży. Cudowny widok. Madonna. Jego anioł. Zastanowił się, co mogła robić w tym momencie.

Nieco wcześniej z samochodu stojącego za radiowozem wysiadł mężczyzna, podszedł do policjantów i coś im powiedział, a potem wszedł do ogrodu i stanął pod oświetlonymi oknami na parterze. Kolejny policjant, tylko w cywilu.

Od tej pory nic się nie działo i czas się dłużył.

Gdy Karl rozmyślał nad zagadkowym zachowaniem policjanta w cywilu, nagle drzwi garażu Moore'ów zaczęły się otwierać. W chwilę później ze środka wyjechał ten sam czarny sedan co wcześniej, tym razem wioząc jedynie kierowcę. Sądząc po rozmiarach, był to mężczyzna, zapewne mąż pani Moore. Odjechał bardzo szybko, jakby był na coś zły. Od krawężnika oderwał się inny samochód i pojechał za nim. Policjant w cywilu ruszył za tymi dwoma chwilę później.

Dla Karla ważne było to, że zniknął mąż.

Wkrótce nadejdzie pora, by on porozmawiał z Carey Moore. By podziękował jej za to, że okazała mu tyle dobroci. By powiedział jej o swych uczuciach do niej, o tym, jak wiele dla niego znaczyła. Przez całe życie mało kto brał jego stronę. A ona ryzykowała życie, by w tym procesie udzielić mu swego poparcia.

Wyobraził sobie jak klęka u jej stóp i otwiera przed nią swoje serce. A sędzina go rozumie. Jej postać od tyłu oblewa światło, otaczając ją świetlistą aurą, ona stoi z rozpostartymi ramionami i wygląda jak figurka Matki Boskiej, którą jego mama trzymała na toalecie. To była piękna wizja.

Karl spojrział na gwiazdy na bezchmurnym niebie – choć niewiele można ich było zobaczyć, będąc w środku miasta – i pomyślał, że ta noc może się okazać najpiękniejsza w jego życiu.

Po kilku minutach wstał, wygładził spódnicę i wrócił na parking, do samochodu Christine Neal.

Stan Dempsey znalazł się w dzielnicy, w której mieszkała Carey Moore, ale nie chciał za bardzo zbliżać się do jej willi. Wiedział, że policjanci czuwający w radiowozie przed jej domem spisują tablice wszystkich samochodów, które przejeżdżają obok, i natychmiast sprawdzają je w bazie danych, szukając potencjalnego sprawcy wczorajszego napadu.

Pojechał więc sąsiednią ulicą, na końcu skręcił w przecznicę prowadzącą do ulicy Moore'ów i zatrzymał się na jakimś podjeździe, z którego miał doskonały widok na ich dom. Siedział, przyglądał się i czekał.

Ciemny, duży samochód opuścił garaż i z dużą szybkością przejechał koło niego. Kilka sekund później w ślad za nim ruszył nioznakowany samochód policyjny, a potem kolejny. Gdy drugi wóz znalazł się w świetle latarni, Stanowi wydawało się, że za kierownicą widzi Sama Kovaca.

Kovac był dobrym gliną, działał sprawnie i szybko. Wydział nie miał pewnie lepszego detektywa. Stanowi trudno byłoby cokolwiek zdziałać pod jego nosem. Ale teraz Kovac odjechał spod domu Carey Moore, opuścił jej dzielnicę i Stan widział, jak otwierają się przed nim nowe możliwości.

Stan nie chciał, żeby cokolwiek uszło mu na sucho. Pragnął tylko dokończyć robotę. A gdy już wykona zadanie, z chęcią odda się w ręce Sama Kovaca.

Gdy już wykona swoje zadanie...

## XXXV

Przez długi czas Carey siedziała na sofie w gabinecie i nie robiła nic, o niczym nie myślała i patrzyła w pustkę. Dom był pogrążony w absolutnej ciszy. Napięcie, które wcześniej wisiało w powietrzu, zniknęło. Carey czuła się całkowicie wyzuta z energii.

Około dziesiątej trzydzieści na dół zeszła Anka i zatrzymała się tuż przed drzwiami pokoju.

– Dobrze się pani czuje, pani Moore?

Carey machnęła ręką.

– Nie, ale nic na to nie poradzę. Wychodzisz?

– Jadę tylko do wypożyczalni po jakiś film i popcorn. Przywieźć coś pani?

– Nie, Anka. Dziękuję.

Dziewczyna jeszcze chwilę stała przy drzwiach, jakby chciała coś dodać, ale jeśli tak było, to zmieniła zdanie.

Carey wróciła do patrzenia w pustkę i myślenia o niczym. Ciekawe, co poczuje jutro, pojutrze... Ulgę? Niepokój? A jak Lucy zareaguje na nagłą nieobecność taty?

Przy Lucy David znów stawał się tym mężczyzną, którego Carey poślubiła, był czuły, zabawny i emanował optymizmem. Jego związek z Lucy opierał się na czystej miłości, nieskażonej tym wszystkim, czemu David ostatnio poświęcał czas. U Lucy miał czyste konto, liczyło się tylko to, że był jej tatą. Jej oczekiwania były proste. Rozczaruje się nim dopiero w przyszłości.

Carey nie chciała się zastanawiać, co David mógł teraz myśleć lub robić. Wmawiała sobie, że jej to nie obchodzi. Bo tak naprawdę ją to nie interesowało. Jak to o niej świadczyło? I co mówiło o ich małżeństwie?

Zdenerwowana wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Wciąż wszystko ją bolało, a w głowie czuła nieustanne pulsowanie. Vicodin i łóżko wydawały się najlepszym pomysłem na wieczór.

Gdy przechodziła koło biurka, jej wzrok przyciągnął monitor komputera, na którym zobaczyła Lucy. David zrobił sobie wygaszacz ekranu ze zmieniających się zdjęć ich córki w różnych przebraniach – królowny, wróżki, baletnicy.



Carey usiadła na krześle i przyglądała się płynącym przez ekran obrazom. Lucy była wierną kopią jej samej z lat dzieciństwa – szelmowski uśmiech od ucha do ucha, jasnoniebieskie oczy, niesforna szopa ciemnych włosów, które za jakiś czas przestaną się kręcić.

Jak dobrze byłoby znów pozostawać tak niewinną.

Myszka komputera leżała na zielonej podkładce obok klawiatury. Powodowana jedynie umiarkowaną ciekawością, Carey wzięła ją do ręki, wyłączając wygaszacz ekranu, i powiększyła okno wyszukiwarki AOL, z której David najwidoczniej korzystał, gdy weszła do pokoju, a potem nie zdążył jej zamknąć.

Obraz, który wypełnił ekran, był tak daleki od niewinnych zdjęć ich dziecka, jak tylko można sobie wyobrazić.

Scena, jaka ukazała się oczom Carey, była na tyle nieprzyzwoita, że zrobiło jej się słabo, jakby ktoś po raz kolejny uderzył ją w głowę.

Naga kobieta, związana i zakneblowana, wisiała rozciągnięta na łańcuchach, przypiętych do jej nadgarstków i kostek, a po jej ramionach spływała krew. Była gwałcona przez dwóch mężczyzn w skórzanych kapturach nasuniętych na twarze, jeden robił to od przodu, drugi od tyłu. W oczach kobiety widać było przerażenie.

To na to patrzył jej mąż, gdy przyszła mu powiedzieć, że chce rozwodu. Carey zaczęła się trząść. Przesunęła kursor na okienko adresowe wyszukiwarki i rozwinęła listę miejsc sieciowych, jakie odwiedzał David od nie wiadomo jak dawna. Jedna strona pornograficzna za drugą.

Wybrała jeden z adresów i na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie, równie brutalne jak poprzednie.

Początkowo nie mogła otrząsnąć się z szoku i dopiero po chwili zauważyła pozostałe elementy strony, tytuł i napisy. Była to reklama filmu dostępnego na kasetach wideo i na DVD, obiecująca bezlitosny sadyzm, i brutalne sceny tortur i gwałtów.

Reżyserem filmu był David M. Greer.

## XXXVI

– Kto do cholery tak spieprzył sprawę? – spytał Kovac, wparowując na pogotowie i ruszając prosto na Liskę. Przed chwilą został napadnięty przez dziennikarzy, czatujących na podjeździe dla karettek. Czterech wielkich policjantów powstrzymało ich od wtargnięcia do budynku.

– Media urządziły rzeź, myślałem, że pożrą mnie żywcem – warknął.

– Całe to zajście biorę na siebie, detektywie Kovac – powiedziała Dawes, idąc od maszyny z kawą znajdującą się po drugiej stronie korytarza.

Kovac natychmiast się opanował. Poczł się głupio.

– Jak ty coś czasem palniesz, Kojak – powiedziała Liska, mrugając porozumiewawczo oczami.

Dawes nie zareagowała.

– Osobiście dzwoniłam dziś rano do pana Scotta, by go powiadomić, że Stan Dempsey jest na wolności, ale połączyłam się tylko z jego pocztą głosową – powiedziała. – Wtedy posłałam do niego dwóch oficerów. Mieli go powiadomić osobiście, a w razie gdyby go nie zastali, czekać na jego powrót.

– No i gdzie nastąpił bład? – zapytał Kovac.

– Ktoś zadzwonił na policję z informacją, że widział Dahla. Wiadomość wysłano do wszystkich jednostek, a oni byli najbliżej.

– Odpowiedzieli więc na priorytetowe zgłoszenie – dokończył Kovac.

– Które okazało się fałszywym alarmem. Ale w całym tym zamieszaniu, w trakcie pościgu ich wóz zderzył się z samochodem dostawczym...

– I obaj potem składają zeznania i wypełniają papiery – zgadywał Kovac.

– Nie. Jeden z nich zginął – powiedziała Dawes poważnie.

– O Chryste... – wyszeptał Kovac. „Powinno się to dopisać do aktu oskarżenia Dahla” – pomyślał. – Przez niego kolejny człowiek był martwy”.

– I wszyscy jakoś zapomnieli o Kennym Scotcie – ciągnęła Dawes. – Gdy w końcu sama sobie o nim przypomniałam, było już ciemno. Pojechałam do niego i zobaczyłam, że w piwnicy pali się światło. Gdyby nie ten bład Dempseya, Scott dalej by tam siedział,

przywiązany do krzesła.

– On żyje?

– Tak – odparła Dawes i poprowadziła Kovaca korytarzem. – Dempsey nie miał zamiaru zabijać. Okazuje się, że chciał po prostu złożyć pewne oświadczenie.

Weszli do sali, w której umieszczono Kenny'ego Scotta, i Kovac od progu poczuł ohydny smród spalonego ciała.

Scott leżał w szpitalnym łóżku oparty na poduszkach. Do jego przedramienia podłączono kroplówkę. Jego dłonie i stopy były groteskowo opuchnięte. Pasy, którymi musiał być związany dość długo, pozostawiły głębokie bruzdy na jego nadgarstkach i kostkach u nóg. Ale najbardziej szokująca rana, jaką Stan Dempsey zadał obrońcy Karla Dahla, była dosłownie wypalona na jego czole.

Jedno słowo: „WINNY”.

## XXXVII

Carey spała niespokojnie. Przewracała się z boku na bok i budziła raz po raz, choć tabletką vicodinu, którą zażyła, powinna była nie tylko uśmierzyć ból, ale i na dobre ją uśpić. Ale lek najwidoczniej nie docierał do podświadomości i nie był w stanie wymazać niepokojących obrazów i odegnać mrocznych snów, które przetaczały się po jej głowie niczym szalejące burze. Ciągłe ktoś ją gonił, dopadał, a ona była całkiem bezbronna.

Ale lek nie pozwalał jej także w pełni się obudzić i wydobyć ze snu, który zdawał się taki prawdziwy. Jej serce biło tak szybko, jakby w jej piersi ktoś uwięził małego, przerażonego ptaka, walczącego, by się wydostać.

Śniło jej się, że w ciemnościach goni za nią człowiek. Biegła najszybciej, jak mogła, ale jej nogi stawały się coraz słabsze. Zwalniała, a on zbliżał się do niej z każdym krokiem. Słyszała za plecami jego ciężki oddech.

Krzyknęła, gdy chwycił ją za ramię. Walczyła, by uwolnić się z uścisku, ale nie dała rady. Gdy ciągnął ją do siebie, czuła, jakby porywał ją do innego wymiaru.

I wtedy zrozumiała, że to dzieje się naprawdę.

Ktoś wyrывał ją ze snu do strasznej rzeczywistości.

Kopiąc i szarpiąc, Carey starała się uwolnić i wydostać z łóżka, ale jej nogi zaplątały się w pościeli. Krzyczała, ale nie wiedziała nawet, czy z jej ust wydobywa się jakikolwiek dźwięk.

Czyjeś ręce złapały ją i pociągnęły do tyłu. Nie umiała się im przeciwstawić.

Rozpłakała się z przerażenia. Z jej gardła wydobywał się urywany szloch.

Ktoś przycisnął jej gardło ramieniem i dusił z całej siły. Kopała na oślep. Wbijała w ramię paznokcie, ale było osłonięte rękawem. Wszystko, co robiła, było bez znaczenia.

W panice zaczęła się krztusić, spróbowała złapać powietrze, ale jej się nie udało. Powoli przestawała widzieć. Pomyślała o Lucy. I wtedy ogarnęła ją ciemność.

## XXXVIII

Kovaca zbudził łomot, rozlegający się – jak sądził – w jego własnej głowie.

Miał niejasne wrażenie, że już kiedyś budził się z taką myślą. Przespał pięć, może sześć godzin, ale jego ciało mówiło mu, że potrzebuje więcej.

Łomot nie ustawał.

„Tylenol” – wymamrotał sam do siebie, próbując się obudzić.

By usiąść na łóżku i spuścić nogi na podłogę, musiał zmobilizować całą swoją wolę. Z trudem otworzył oczy, by spojrzeć na zegarek. Kwadrans po ósmej.

Łomot trwał nadal.

Kovac podszedł do krzesła stojącego przed łóżkiem, założył na siebie wymięte spodnie oraz koszulę z wczoraj i zszedł na dół. Założył buty, które zostawił koło drzwi, i wyszedł na dwór.

Powitał go kolejny pogodny, jesienny ranek, zbyt radosny i kolorowy. Poczłapał do ogrodu sąsiada, wciąż patrząc spod na wpół przymkniętych powiek. Sąsiad z młotkiem w dłoni obserwował go podejrzliwie ze swojego stanowiska na dachu.

Starszy mężczyzna zawołał do niego z góry:

– Ej, co robisz?!

Kovac nie odpowiedział. Podszedł do aluminiowej drabiny opartej o dach i pociągnął, pozwalając jej z hukiem upaść na ziemię. Wiewiórki w popłochu zwiewały we wszystkich kierunkach.

Potem odwrócił się i poszedł do domu.

Sąsiad darł się wniebogłosy.

– Wracaj tu! Wracaj tu i natychmiast postaw moją drabinę na miejscu!

Ignorując go, Kovac wszedł do domu, przygotował sobie dzbanek kawy, nalał kubek i zabrał ze sobą na górę. Poszedł do łazienki, zrobił siku, wziął długi, gorący prysznic, ogolił się, umył zęby i założył świeży plaster nikotynowy.

Gdy po jakimś czasie znów znalazł się w sypialni, sąsiad wciąż siedział na dachu i na niego pomstował. Czerwień jego twarzy świetnie pasowała do czerwonej, flanelowej koszuli.

Kovac otworzył okno.

– Chcesz, żebym ci postawił tę cholerną drabinę z powrotem?

– Wracaj i natychmiast to zrób!

– To nie najlepsza pora, żeby się na mnie wkurzać – powiedział Kovac. – Dostaniesz zawału i szcześnieś na tym dachu. Ale mnie to nie rusza.

Rozsierdzony staruszek wypluł kolejną serię wyzwisk.

Kovac poczekał, aż skończy.

– Przyjdę tam i postawię drabinę na miejscu – powiedział. – Ale jeśli jutro rano znów wyleziesz na dach i mnie obudzisz, to przyjdę, zabiorę ci ją i zostawię na łasce przechodniów. Jesteś bezwzględny skurczybykiem i sądzisz, że tylko dlatego, że jesteś zbyt podły, żeby umrzeć, masz prawo czynić życie innych tak samo żałosnym jak twoje.

Staruszek popatrzył na niego wściekle.

Kovac podszedł do szafy i włożył świeże ubranie. Zebranie grupy dochodzeniowej zaczynało się o dziewiątej. Przed pracą chciał jeszcze wpaść do Carey i sprawdzić, jak się miewa.

Po wyjściu z domu poszedł do sąsiada i przez chwilę mocował się z nieporęczną drabiną, zanim udało mu się oprzeć ją o ścianę. Mężczyzna zszedł po niej sprawnie jak małpa i stanął twarzą twarz z Kovacem.

– Złożę na ciebie skargę!

Kovac po prostu odszedł. Na dziś zapowiadano burze. Może w starego pierdołę uderzy piorun, gdy będzie mocował światełka do swojej anteny.

„Łudzę się nadzieją” – pomyślał Kovac.

Dom Moore’ów wyglądał dokładnie tak samo jak wczoraj. Wozy telewizyjne odjechały w sobotę, gdy dziennikarze doszli do wniosku, że nic ciekawego się tu nie wydarzy. Dziś pewnie rozpełzli się po ulicy, na której mieszkał Kenny Scott. Następna ofiara, proszę.

Kovac podszedł do stojącego przed domem radiowozu.

– Jest coś, o czym muszę wiedzieć? Gliniarz za kierownicą pokręcił głową.

– Cisza i spokój. Chłopaki, które stały tu wczoraj w nocy, mówiły, że jedyna ciekawa rzecz, jaka zdarzyła się po tym, gdy ruszyłeś za mężem, to wyjazd opiekunki do wypożyczalni wideo i z powrotem. Przed chwilą znowu wyjechała. Pomachała nam. Pojechała do Starbucksa.

Kovac ziewnął, odsunął się od samochodu i podszedł do drzwi frontowych Carey Moore. Zadzwoił i czekał. Było wciąż wcześniej jak na niedzielny ranek. Pewnie nadal

odsypiała wczorajszą noc.

Zadzwonił ponownie i nadal czekał.

Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Nie grało radio ani telewizor. Nie słyhać było rozmów.

Zadzwonił trzeci raz. I czwarty.

Teraz już włączył się jego policyjny instynkt. Spiał się wewnętrznie. Nie podobało mu się to. Coś było nie tak.

Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił na domowy numer Moore'ów. Telefon dzwonił tak długo, aż włączyła się automatyczna sekretarka.

Zadzwonił na komórkę Carey. Od razu połączył się z pocztą głosową.

Kovac obszedł dom wokoło i zaglądał do okien, szukając jakiegokolwiek znaku życia lub śmierci. Sprawdził drzwi. Wszystkie były zamknięte.

Serce biło mu szybciej.

Wrócił przed dom i gestem wezwał do siebie policjantów z radiowozu.

Boczne drzwi garażu wydawały się najłatwiejsze do sforsowania. Policjanci wyszli z za rogu. Kovac spojrzął na większego z dwójki, solidnie zbudowanego dwudziestoparolatka.

– Otwórz je kopniakiem.

– Nie powinniśmy mieć nakazu? – zapytał chłopak.

– Musimy działać natychmiast – powiedział Kovac. – No dalej, kop!

Młody oficer kopnął raz, drugi, a za trzecim framuga pękła i drzwi wpadły do środka wraz zamkiem.

Włączył się alarm.

Drzwi do pralni były otwarte. Kovac minął pomieszczenie, wszedł do kuchni i zaczął nawoływać.

– Carey? Pani Moore? Jest tu kto?

Cisza.

Wyciągnął broń i obszedł cały dół domu, cały czas wołając bez odpowiedzi.

Gdy wchodził na górę, w brzuchu narastało mu nieprzyjemne uczucie.

– Carey?

Zapukał do drzwi pokoju opiekunki. Żadnej odpowiedzi. Wszedł do środka. Nikogo. Łóżko było nieposłane. Zajrzał do garderoby. Pusta.

– Carey! Anka!

Policjanci stali na szczycie schodów. Kovac minął ich w biegu i ruszył do drzwi sypialni Carey. Drzwi były otwarte. Łóżko było rozebrane do gołego materaca. Po Carey nie

było ani śladu.

– Sprawdźcie piwnicę – krzyknął do policjantów.

Pomyślał o Kennym Scotcie przywiązany do krzesła, o słowie „WINNY” wypalonym na jego czole. Pomyślał o rodzinie Haasów, o dwójce dzieci powieszonych w piwnicy.

Lucy.

„O, Jezu”.

Ogarnęło go uczucie tak dla niego rzadkie, że przez chwilę nie wiedział, co to jest.

Panika.

Wróżka namalowana na drzwiach pokoju Lucy uśmiechała się do niego. W jego głowie rozbrzmiewały słowa, jakie Stan Dempsey nagrał na kasecie.

„Ciekaw jestem, jakby się czuła, gdyby to jej dziecko ktoś zgwałcił i powiesił pod sufitem jak zarżnięte jagnię...”

Kovac poczuł, że zaraz zwymiotuje. Przygotował się na najgorsze i pchnął drzwi.

Łóżko Lucy było puste, pościel zmięta. Nie było krwi. Na to od razu zwrócił uwagę. Nie było krwi. Nie było ciała.

– Lucy! – zawołał Kovac. – Lucy, jesteś tu? To ja, detektyw Sam!

Podszedł do szafy i otworzył ją. Nic.

Uklęknął przy łóżku, oparł się na jednej ręce, drugą podniósł róg narzuty i zajrzał pod spód. Na widok małej istotki niemal nie pękło mu serce. Trzęsła się i płakała, ze wszystkich sił starając się być całkiem cicho.

– Chodź, kochanie – powiedział Kovac łagodnie. – Możesz już stamtąd wyjść. Ze mną jesteś bezpieczna. Nie pozwolę, by stał ci się coś złego.

Powoli przesunęła się do niego, pozwalając sobie teraz na głośnie łkanie. Zachłystywała się płaczem. Miała usmarkany nosek. Kovac wyciągnął rękę, by jej pomóc, i dłoń dziewczynki zacisnęła się na jego palcach, jakby od tego zależało jej życie.

Gdy wyszła spod łóżka, wtuliła się w niego całym swoim drżącym, dziecięcym ciałem, objęła go za szyję i zapytała:

– Gdzie jest moja mamusia?

Kovac trzymał ją mocno w ramionach i myślał: „Gdybym tylko wiedział”.



## XXXIX

Carey nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna. Powoli odzyskiwała świadomość – najpierw poczuła, że oddycha, poruszyła ręką, potem nogami. Ale wciąż nie była do końca przekonana, że żyje. Leżała zwinięta w pozycji embrionalnej, była zdezorientowana i kręciło jej się w głowie. Gdy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła tylko absolutną ciemność.

Natychmiast ogarnęła ją panika.

Czy oślepla?

Podniosła ręce do twarzy i sprawdziła, czy nie ma przepaski na oczach, choć wiedziała, że nie.

Serce waliło jej jak szalone. Oddychała za szybko i za płytko. Wydawało jej się, że w ogóle nie nabiera powietrza.

Ogarnął ją zwierzęcy strach.

Instynktownie się rozprostowała, wysunęła ręce przed siebie i uderzyła o coś twardego. Próbowwała wyciągnąć nogi, ale nie było na to miejsca.

Najpierw przyszło jej na myśl to, że jest w trumnie.

Przypomniały jej się dawno zasłyszane opowieści o ludziach pogrzebanych żywcem.

Jako prokurator prowadziła kiedyś sprawę kobiety, którą żywcem pogrzebano w płytkim grobie. Najpierw wielokrotnie dźgnięto ją nożem, ale koroner stwierdził, że bezpośrednią przyczyną zgonu było uduszenie. Usta i nos kobiety były pełne świeżo rozkopanej ziemi, którą wciągnęła, próbując oddychać.

Carey rozpaczliwie starała się podważyć wieko trumny, ale nie chciało nawet drgnąć.

Wołała o pomoc, ale zamiast wydostać się na zewnątrz, jej głos powracał do niej. Pomimo to krzyczała, dopóki całkiem nie ochrypla.

Nikt nie przyszedł.

Z kącików jej oczu potoczyły się łzy i spłynęły między jej włosy. Leżała na plecach, myśląc i czekając. Czas stracił znaczenie.

Raz na jakiś czas kopała w wieko. Gdy zorientowała się, że jej usta stają coraz suchsze, zrezygnowała z dalszego krzyczenia.

Strach, jaki ją ogarnął, szalał w jej wnętrzu, jak zwierzę próbujące wydostać się z klatki.

Nie mogła oddychać.

Była na granicy omdlenia.

Jeśli jeszcze nie umarła, to na pewno wkrótce tak się stanie.

Lucy.

Musi się skupić i myśleć o Lucy.

Czy była gdzieś blisko? Czy porywacz zabrał również jej córkę?

Carey pomyślała o tym, co powiedział jej Kovac – o kasce Dempseya, o tym, co mówił na nagraniu.

„Ciekaw jestem, jak by się czuła, gdyby to jej dziecko ktoś zgwałcił i powiesił pod sufitem jak zarżnięte jagnię...”

Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Myśl o tym, że ktoś mógłby skrzywdzić Lucy, torturować ją i powiesić, sprawiła, że Carey poczuła ukłucie w żołądku, a serce zabiło ją tak, jakby ktoś je wyrwał.

Widziała zdjęcia z domu Haasów. Była nimi tak przerażona jak wszyscy, a nawet bardziej, zważywszy na to, że sama miała małe dziecko, i że los człowieka oskarżonego o dokonanie tych zbrodni miał się ważyć na jej sali sądowej.

A jaki los czekał ją i jej dziecko? Taka sama śmierć, jaka spotkała Marlene Haas i jej dzieci? A może Lucy już nie żyła? Może leżała w domu, w swoim łóżeczku z poderżniętym gardłem – zabita, by nie mogła rozpoznać sprawcy...?

I co stało się z Anką? Była niewinną osobą, zmuszoną dzielić jej problemy. Carey godziła się z tym, że miała wrogów. Ale nie mogłaby sobie wybaczyć, gdyby Anka, jedna z niewielu godnych zaufania osób z jej otoczenia, padła ofiarą któregoś z nich i poniosła karę za jej wymagowane grzechy.

Głos w słuchawce, który usłyszała piątkowej nocy, odbijał się echem po jej głowie: „Jadę po ciebie, suko”.

Głos mężczyzny.

Głos Stana Dempseya. Głos Wayne’a Haasa. Głos jednego z tysięcy ludzi, którzy darzyli ją nienawiścią po tym, gdy podjęła decyzję o niedopuszczeniu kryminalnej przeszłości Dahla do materiału dowodowego.

A może był to głos mężczyzny, który dzięki jej mężowi wzbogacił się o dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

Z rozmyślań wyrwał ją odgłos zamykanych drzwi. Czy to ktoś, kto ją uratuje? Czy jej

porywacz?

– Pomocy! – krzyknęła. – Pomocy!

Trzasnęły kolejne drzwi, tym razem bliżej. Potem pojemnik, w którym się znajdowała, odrobinę się obniżył i ktoś odpalił silnik.

Była w bagażniku samochodu, który właśnie jechał do tyłu.

Ktokolwiek siedział za kierownicą, z pewnością chciał ją zabić. Musiała zrobić wszystko co w jej mocy, by temu zapobiec.

Musiała mieć plan.

Musiała się skupić.

Musiała żyć.

## XL

– Jak, do kurwy nędzy, mogło się to stać? – wrzeszczał Kovac na mundurowych. Udali się do gabinetu Moore’ów, schodząc z drogi ekipie techników badających miejsce zbrodni.

Kovac wodził wzrokiem od jednego policjanta do drugiego.

– Nie wiem – powiedział starszy z nich, MacGowan. – Nie widzieliśmy, by ktokolwiek wchodził do domu. Chłopaki przed nami też nie. Co pół godziny obchodziliśmy teren. Wszystko wydawało się w porządku.

Trzymając się za głowę, jakby zaraz miała rozpaść się na pół, Kovac odszedł kilka kroków od policjantów, zawrócił i znów stanął przed nimi.

– Mówiliście, że widzieliście, jak wyjeżdżała opiekunka.

– Pomachała nam z okna samochodu i krzyknęła: „Jadę na kawę!” – powiedział młodszy oficer, Bloom. – Przecież to niania. Co mieliśmy zrobić?

– Jesteście pewni, że to była ona?

– Ja wiem... Blondynka w saabie..

– Ale jej nie zatrzymaliście – powiedział Kovac.

– A po co? – zapytał MacGowan z irytacją w głosie, robiąc krok w stronę Kovaca. – Miała pozwolenie, przecież to domownik. Nikt nie mówił, żeby legitymować rodzinę. Więc się odpiardol, Kovac. Nosisz garnitur, to ci się wydaje, że jesteś tu jakąś pieprzoną gwiazdą.

– Sam się piardol, MacGowan! – wydzierał się Kovac. – Straciłeś sędzinę. Pozwoliłeś jakiemuś gnojowi wywieźć stąd osobę, której miałeś pilnować jak pies. Jak to wszystko się skończy, będziesz, kurwa, pilnował przejścia dla pieszych.

– Panowie? – Do pokoju weszła porucznik Dawes. Jej spokojny głos zabrzmiał tak dobitnie na tle wrzasków Kovaca, że od razu zapadła cisza. – Panowie oficerowie raczą zaczekać w korytarzu. Później z panami porozmawiam.

Bloomowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy, czmychnął, aż się kurzyło. Za to MacGowan się ociągał, grając Kovacowi na nerwach.

Kovac pokręcił głową.

– Idź temperować ołówki, baranie. Będziesz spisywał pieszych na czerwonym świetle, aż ci zęby nie wypadną.

MacGowan wykonał w jego stronę brzydki gest i wyszedł.

– Detektywie Kovac? – odezwała się Dawes.

Kovac nie przestał sapać i chodzić w tę i z powrotem.

– Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć!

– Sam, weź się w garść – Dawes stanęła mu na drodze, więc musiał się zatrzymać.

Gdy się odezwał, mówił ton ciszej od krzyku.

– Jak, do cholery, to się mogło stać? Gliniarze przez całą dobę. Miejsce zabezpieczone jak forteca. A ktoś jakby nigdy nic wyjeżdża i zabiera Carey Moore ze sobą? Czy to jakiś żart?

– Nie sędzę, by ktokolwiek się śmiał – powiedziała Dawes. – I wszyscy powinniśmy teraz rozłożyć parasole, bo na nasze głowy poleci deszcz gówna. Już do mnie dzwonił zastępca komendanta, Harding. Na zewnątrz stoi tłum dziennikarzy. Musimy usiąść i porządnie się zastanowić, co naprawdę tu się stało.

Kovac potarł twarz dłońmi i westchnął głęboko, próbując się uspokoić.

– Byłem tu wczoraj mniej więcej do dziewiątej wieczorem.

– Co tu robiłeś?

Odwrócił wzrok, znów spojrzął na Dawes, ale czuł się zmieszany.

– Carey Moore powiedziała mi, że ma zamiar poprosić męża o rozwód. Chciałem być w pobliżu, w razie jakby mu odbiło.

Dawes uniosła brwi.

– Aleś ty szarmancki.

– Ten facet to świr, który prowadzi jakieś chore, podwójne życie – powiedział Kovac ze złością. – Nie chciałem ryzykować.

– Dokąd udałeś się później?

– Śledziłem męża.

– Przecież zleciliśmy jego śledzenie komu innemu.

– Chciałem go dorwać i trochę przycisnąć – powiedział Kovac. – Utrzymuje w „Edinie” apartament dla swojej kochanki.

– Rozmawiałam już z policjantami, którzy pilnowali domu wczoraj w nocy – powiedziała Dawes. – Mówią, że około dziesiątej trzydzięci opiekunka wyjechała do wypożyczalni wideo.

– Rozmawiali z nią osobiście? Dokładnie to im powiedziała?

– Tak. Wyjechała z garażu, zwolniła, gdy znalazła się na wysokości ich samochodu, opuściła szybę i powiedziała im, dokąd jedzie.

– A rozmawiali z nią po powrocie?

– Nie. Robili wtedy obchód terenu.

– Głupi i Głupszy, którzy czekają na ciebie w korytarzu, mówili, że dziś rano koło siódmej opiekunka znów opuściła dom, krzyknęła: „ładę po kawę!” i odjechała.

– Jak blisko niej się znajdowali?

– Nie wiem.

– Zatrzymała się koło nich, czy przejechała?

– Nie wiem.

– Czy sądzisz, że mogła to zrobić opiekunka? – spytała Dawes.

Kovac przez moment się zastanawiał.

– Powiedziałbym, że nie. Wydawała się oddana rodzinie. Ale stanęła w obronie Davida Moore’a, gdy sugerowałem, że to on jest odpowiedzialny za napad na swoją żonę. Poza tym wydawali mi się nieco zbyt poufali, gdy wczoraj rano wrócili ze śniadania. Spytałem ją wprost, czy coś ich łączy.

– I co?

– I zaprzeczyła, ale unikała mojego wzroku.

– Myślisz, że mogła to zrobić? – powtórzyła pytanie Dawes.

Kovac spróbował sobie wyobrazić scenę, w której Anka obezwładnia Carey.

– Czy fizycznie byłyby w stanie to zrobić? Pewnie tak. Jest młoda, wygląda na wysportowaną. Jest wyższa od Carey. A Carey była w takim stanie, że nie dałaby rady się bronić – powiedział. – A jeśli ta dziewczyna miała broń...

– Lub jeśli nie musiała walczyć z ofiarą... – dodała Dawes.

Kovac wiedział, co miała na myśli. Jeśli Carey była już martwa, Anka musiałaby jedynie uporać się z jej ciałem. I nie musiałaby być szczególnie ostrożna. Mogła zrzucić ciało ze schodów, a następnie przeciągnąć je przez korytarz i kuchnię do garażu.

Kovac odnalazł szefa ekipy techników i poprosił, by jego ludzie zwrócili szczególną uwagę na obecność krwi, włosów lub innych tkanek na schodach.

– Nie widziałem śladów krwi – powiedział po powrocie do Dawes. – Ale mogła po sobie posprzątać.

– Nie wiemy, czy ktoś jej nie pomagał – powiedziała Dawes. – Gdy wyjechała wczoraj w nocy, mogła razem z filmem i popcornem przywieźć pomocnika.

Kovac oparł się tyłem o biurko Moore’a, skrzyżował ramiona na piersi i myślał.

– Jeśli miała pomocnika, to po co opuściła dom dziś rano? – zapytał po chwili. – Większy sens miałyby, gdyby została i grała rolę ofiary.

– Nie każdy ma taki chory i krętacki umysł jak ty.

– To szczególny dar.

– Mamy jakiś innych podejrzanych oprócz niani? – zapytała Dawes.

– Dom był zamknięty – powiedział Kovac. – Alarm włączony. Oczywiście Moore mógł komuś podać kod odbezpieczający, jeśli to on zlecił robotę.

Przez moment się nad tym zastanawiał.

– Ale do tego, by porwać własną żonę, gdy policja już siedzi ci na głowie, potrzeba twardych jaj, a Moore takowych nie posiada, to pewne. Gdy trochę nim wczoraj potrzęsnałem, omal nie złał się w majtki.

– Ale do tego, by kogoś nając do takiej roboty, już nie trzeba jaj ze stali – powiedziała Dawes. – Na dodatek Moore ma gotowe alibi. Nie mógłby wczoraj tu wrócić bez naszej wiedzy. Nasi ludzie, którzy go pilnują, przyjechaliby tu za nim.

– Musimy złapać tego tajemniczego gościa z baru – powiedział Kovac. – Gdybym mógł pogadać z Ginnie Bird sam na sam, postraszyłbym ją lekko i w trzy sekundy miałbym jego nazwisko.

– No i wciąż mamy Stana Dempseya.

Kovac wzruszył ramionami.

– A po co Stan miałby zabierać opiekunkę? Czemu jej po prostu nie związał, nie zakleił ust i nie zostawił? Do niej przecież nic nie ma. I nie obchodzi go to, że go widziała. Nie zależy mu, by być anonimowym.

– Gdzie moja córka? – pytanie dobiegło z korytarza. David Moore. Kovac spojrzał na Dawes.

– Zadzwoń do niego?

– On jest ojcem dziewczynki, Sam.

– Ale jest też podejrzany!

– Nie mamy nic, co łączyłoby go z porwaniem, ani z wypadkiem na parkingu.

– Ale jest tu Kate Quinn. Ona zajmie się Lucy – spierał się Kovac. – Kate ma doświadczenie zarówno z dziećmi, jak i z ofiarami przestępstw. A na dodatek okazuje się, że jest przyjacielem rodziny.

– Nie taki jest protokół postępowania, Sam – powiedziała Dawes spokojnie.

– Pieprzyć protokół!

W korytarzu Moore zaczął się denerwować.

– Chyba mogę wejść do własnego domu!

– Przepraszam pana, ale to jest miejsce zbrodni.

Dawes poszła załagodzić sytuację.

– W porządku, oficerze Potts. Panie Moore, czy mogę pana na chwilę prosić do pańskiego gabinetu?

Moore minął policjanta i przeniósł złość na Dawes.

– Co tu się do cholery dzieje? Gdzie jest moja córka? Czy coś jej się stało?

– Panie Moore, jestem porucznik Dawes. Pańska córka nie odniosła żadnych fizycznych obrażeń. Proszę się uspokoić. Chcę panu wytłumaczyć, co się stało, zanim się pan z nią zobaczy.

– Nie obchodzi mnie, co pani chce, pani porucznik – wściekał się Moore. Był czerwony na twarzy. – Chcę zobaczyć moje dziecko!

– Pieprzony tatuś roku – Kovac musiał wtrącić swoje trzy grosze. – Wylazł z łóżka od swojej kurewki i przyszedł przytulić córeczkę.

Dawes rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Detektywie Kovac...

Moore z czerwonego zrobił się fioletowy.

– Żądam, by tego pana odsunięto od sprawy! – wrzasnął, wskazując palcem na Kovaca. – Oskarżę go o brutalne traktowanie i znęcanie się! On wczoraj mnie pobił...

Kovac zrobił zdziwioną minę.

– Nawet go nie dotknąłem.

Dawes stanęła między nimi i zwróciła się do Moore'a.

– Proszę ze mną, panie Moore. Pańska córka chętnie się z panem zobaczy. Przeżyła ciężkie chwile.

– Na pewno nie jest ranna?

– Nie jest ranna, ale jest mocno przestraszona. Nie wiemy, co tak naprawdę widziała lub słyszała.

– Mój Boże – sapał Moore, idąc za Dawes w kierunku pokoju dziennego.

Kovac został kilka kroków w tyle.

David Moore nie zadał ani jednego pytania na temat tego, co się stało. Nie wyraził najmniejszego zainteresowania losem żony.

Lucy siedziała zwinięta w kłębek na kolanach Kate Quinn. Kate trzymała ją mocno i kołysała łagodnie w przód i w tył.

Zanim przyjechała Kate, Lucy trzymała się Kovaca jak rzep i odmawiała zejścia z jego ramion, nawet gdy chciał ją zbadać lekarz. Wtuliła główkę w jego szyję i cały czas cichutko płakała. Kovac zdziwił się, jak trudno mu było wypuścić ją z ramion. Czuł wewnętrzny



nakaz, by ją chronić i zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa.

Moore wszedł do pokoju i ruszył w kierunku córki.

– Lucy!

Padł na kolana, gdy dziewczynka oderwała się od Kate Quinn i rzuciła w jego objęcia, ponownie wybuchając histerycznym płaczem.

Kate wstała z kanapy, demonstrując cudownie długie, zgrabne nogi i burzę rudych włosów. Kovac znał ją od lat i przez większość tego czasu za nią szalał, ale Kate pozwoliła mu jedynie na to, by zwracał się do niej po imieniu. Teraz patrzyła na Moore'a, jakby był leżącym na dywanie psim gównem.

– Ona właśnie się uspokoiła – powiedziała oschle.

– Mówiła coś o tym, co się stało? – zapytał Kovac.

Kate pokręciła głową i podeszła do niego z założonymi rękami. Kovac od razu rozpoznał tę minę. Była wkurzona. Ciekawe, jak dużo zdradziła jej Carey na temat swych problemów małżeńskich.

– Ani słowa – powiedziała Kate miękko. – I nie liczyłabym na to, że prędko zaczniesz o tym rozmawiać.

– Myślisz, że widziała porwanie?

– Przynajmniej jakąś jego część. Jest przerażona. Na pewno nie chodzi o to, że obudziła się sama w domu.

– Musimy poznać, co ona wie – powiedział Kovac. – I nie chcę, żeby Moore był gdziekolwiek w pobliżu, gdy będziemy ją o to pytać. Nie chcę, żeby Moore w ogóle był gdzieś w pobliżu.

– Ja też nie – powiedziała Kate. – Ale jest ojcem. Cokolwiek ma na sumieniu, w tym jednym jest akurat dobry. Jestem przekonana, że Lucy będzie chciała z nim zostać.

Kovac spojrzał na Dawes.

– Jak, do cholery, mamy cokolwiek od niej wyciągnąć przy Moore? On jest na samej górze listy podejrzanych, na miłość boską!

– Nie możemy przesłuchiwać dziecka pod nieobecność rodzica lub opiekuna – Dawes była nieugięta.

– A czy przypadkiem David nie musi tu zostać na wypadek telefonu z żądaniem okupu? – zapytała Kate.

– Oczywiście, że tak – powiedział Kovac.

Kate kiwnęła głową i podeszła do Moore'a, który kołysał w ramionach swoją płaczącą córkę. Kucnęła i zwróciła się do niego cichym głosem.

– David, to zamieszanie trochę jeszcze potrwa. Wiem, że policja będzie cię tu potrzebować, w razie gdyby odezwali się porywacze. Może mogłabym zabrać Lucy do siebie? Będzie w bezpiecznym, dobrze jej znanym miejscu. Może uda jej się trochę odpocząć.

Kovac odwrócił się do Dawes.

– Może to i jest jakiś sposób, żeby to załatwić.

– W odróżnieniu od jakiego?

– Skopania mu tyłka.

## XLI

– Ani razu nie zapytał o żonę – powiedział Kovac. – Przecież nie wie, czy nie znaleźliśmy jej w piwnicy, pociętej jak dynia na Halloween. Gdyby był niewinny, to chyba wykazałby odrobinę zainteresowania.

– Niewinny? – zapytała Liska. – Wystarczyłaby zwyczajna przyzwoitość.

– Facetowi brak normalnych, ludzkich odruchów!

Grupa dochodzeniowa zebrała się w jadalni państwa Moore'ów. Zmianę miejsca spotkania wymusiły poranne wypadki: Dawes i Kovac byli zmuszeni siedzieć tu i pilnować porządku, reszta drużyny dołączyła więc do nich.

Eleganckie pomieszczenie w niczym nie przypominało ich sali narad wojennych. Zamiast burej wykładziny, gołych ścian i długich stołów uginających się pod toną dokumentów, otaczały ich piękne przedmioty. Wnętrze jak z magazynu dekoratorskiego. Antyki, mahoń, porcelana i kryształ. Sądząc po panującym tu nienagannym ładzie, rodzina rzadko korzystała z tego pokoju.

David Moore siedział w drugiej części domu – w swoim gabinecie, w towarzystwie specjalisty od urządzeń podsłuchowych, przysłanego przez stanowe Biuro do Ścigania Przestępstw, i czekał na telefon od porywacza, którego tak naprawdę nikt się nie spodziewał.

Porucznik Dawes posłała Kovacowi ostrzegawcze spojrzenie.

– Weź się w garść, Sam. I się opanuj.

– Co takiego? – warknął Kovac nerwowo chodząc wzdłuż stołu. – Moore jest podejrzanym, nawet jeśli znamy jego miejsce pobytu wczorajszej nocy. Może się skarżyć na nękanie przez policję, ile chce. Śledztwo w sprawie porwania zawsze idzie dwutorowo – szuka się podejrzanych poza rodziną i w rodzinie. I teraz będzie tak samo.

– Wiem, jak prowadzić śledztwo – powiedziała Dawes. – A ty nie będziesz go przesłuchiwał.

– Czemu nie? – zaprotestował Kovac. – To ja go męczyłem od samego początku. Facet jest na mnie mocno wkurzony. Wystarczy mi chwila, by całkiem wyprowadzić go z równowagi. A jak straci nad sobą kontrolę, to na pewno palnie coś, czego nie powinien. Nie jest na tyle bystry, by utrzymać nerwy na wodzy.

– Ty też nie – powiedziała Liska, wywołując śmiech zebranych wokół stołu.

– Jest wystarczająco bystry, by prowadzić potajemne życie pod nosem jednego ze zdolniejszych prokuratorów, jakich znam – powiedział Chris Logan.

Logan dołączył do zespołu. Miał im ułatwić zdobywanie nakazów sądowych i ogólnie pomóc w prowadzeniu śledztwa. Wyglądał na równie zdenerwowanego jak Kovac. Poluzował krawat i rozpiął guzik przy kołnierzyku. On też przechadzał się po pokoju.

– Moore jeszcze mnie nie widział – powiedział Logan. – Pomyśli, że skoro do śledztwa włączyło się biuro prokuratora, to sprawa nabiera powagi i może się przestraszy. Pozwólcie mi i Kovacowi razem go przesłuchać.

Dawes westchnęła.

– On nie jest aresztowany. Uważajcie, o co go pytacie. I jak to robicie.

Logan uniósł brwi.

– To zwykle moja kwestia.

– Możemy dostać nakaz przejrzenia jego finansów? Chciałbym też przeszukać jego gabinet i mieszkanie kochanki – wyliczał Kovac.

– Nie przeciągaj struny – pohamował go Logan.

– Czy całkiem już zapomnieliśmy o naszym koleźce z wydziału, który biega po mieście i wystawia własną wersję Szkarłatnej litery? – zapytał Tippen. – Stan Dempsey poinformował nas o swoich zamiarach na taśmie wideo.

– Ale jak Dempsey miałby się dostać do domu? – dociekał Elwood. – Jak ominąłby system alarmowy?

– I kiedy stał się kobietą o blond włosach? – spytała Liska. – Przecież to właśnie blondynka wyjechała stąd dziś rano samochodem.

– Nawet w peruce i z daleka nikt nie wzięłby Dempseya za kobietę – powiedziała Dawes.

– Wracamy więc do wersji z opiekunką? – zastanawiał się głośno Kovac.

– Z blondynką w saabie – poprawiła go Liska.

Kovac zatrzymał się i zmarszczył czoło.

– Ten facet, który spotkał się z Moore'em, jego babką i Ivorsesem. On podobno jest szczupłym blondynem o delikatnych rysach.

Odwrócił się do Dawes.

– Zdobyłaś kasetę z baru w Marquette?

– Jest na posterunku.

– Ale jeśli to był wynajęty porywacz, to gdzie jest opiekunka? – zapytała Liska. –

Policjanci sprzed domu widzieli w samochodzie tylko jedną kobietę.

– Więc musiałyby zabrać ze sobą również nianię – powiedział Tippe. – Tylko po co?

– Nadal twierdzę, że jeśli opiekunka była w to wmieszana, to zostałyby w domu – powiedział Kovac. – Po co miałyby ściągać na siebie podejrzenia?

– Ale jeśli działała w pojedynkę, to nie miała wyboru – powiedziała Dawes.

– I co potem? – pytała Liska. – Jeśli wyjechała z ciałem sędziny i gdzieś je wyrzuciła, to nie bardzo może tu wrócić i powiedzieć nam, że cały czas była w Starbucksie. Jak miałyby się dostać z powrotem do domu?

– Wcale nie musi tu wracać – powiedział Elwood. – Jest Szwedką, ma paszport bez ograniczeń. Wskakuje do byle jakiego samolotu i gdzieś się ukrywa. David Moore dołącza do niej, gdy całe zamieszanie przycichnie, a pieniądze sędziny będą już w jego rękach.

– No dobra. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, jak jest naprawdę – powiedział Logan, patrząc na Kovaca, i skinieniem głowy wskazał na zamknięte drzwi jadalni.

– W porządku – powiedziała Dawes. – Wy dwaj idźcie tym tropem. Tippen, Elwood, pojedziecie na posterunek i obdzwonicie linie lotnicze. Dowiedźcie się, czy dziewczyna ma zarezerwowany bilet.

– Nikki, wciąż uważasz, że młody Haas i jego kumpel mogą w to być wmieszani?

Liska wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Napaść na sędzinę na parkingu to jedna rzecz. Ale czy Bobby Haas mógłby zaplanować i przeprowadzić takie porwanie? Nie sądzę.

Dawes kiwnęła głową.

– A jaki mógłby być jego motyw, by zrobić coś tak ryzykownego?

– Mógłby chcieć, by proces Dahla przekazano w ręce innego sędziego – zasugerowała Liska. – Kogoś z mottem życiowym: „Powiesić ich wszystkich”. Ale to mało prawdopodobne.

– A mamy jeszcze takich sędziów? – zapytał zdumiony Elwood, zdumiony.

– Są jakieś wieści o biologicznym ojcu zamordowanych dzieci? – dociekała Dawes.

Liska potaknęła.

– Powód, dla którego nie mogliśmy znaleźć Ethana Pratta, jest taki, że właśnie korzysta z gościnności naszych kolegów z St. Paul. Wdał się w kolejną bójkę w barze.

– Znow natrafił na fana Dallas Cowboys?

– Tym razem New York Yankees.

– Zgadza się z Liską – powiedział Kovac, zniecierpliwiony. – Bobby Haas nie

pakowałyby się w coś takiego, choćby nie wiem jak zależało mu, by Dahl poszedł siedzieć.

– A co z Karlem Dahlem? – zapytał Elwood. – Bierzemy go pod uwagę jako porywacza?

– Nie zależałoby mu na skrzywdzeniu Carey... sędziny Moore – poprawił się Logan. – Podjęła decyzję na jego korzyść. Poza tym, skąd miałby wiedzieć, jak dostać się do domu? I po co miałby ryzykować włamanie pod nosem policjantów, skoro wie, że poluje na niego każdy funkcjonariusz w obrębie metropolii?

– Dahl nie jest do końca normalny – przypomniał mu Tippen. – Kto wie, co dzieje się w otchłani jego psychiki? Równie dobrze można by pytać, po co zabił kobietę i dwójkę dzieci. Takich zachowań nie da się logicznie wytłumaczyć.

– Ja dalej stawiam na męża – powiedział Kovac, zmierzając do drzwi. – Chodźmy. Rozbijemy go jak śmierdzące jajko.

Kovac i Logan ruszyli w dół korytarza, pogrążeni we własnych myślach. Obaj układali sobie w głowie plan przesłuchania.

Gdy weszli do pokoju, Moore podniósł na nich wzrok. Siedział w fotelu i sączył drinka. Nie wybiło jeszcze południe.

– Nie gadam z tobą, Kovac.

Kovac uniósł brew.

– Czy to dlatego, że powiedziałem coś nie tak?

Moore popatrzył na Logana i powtórzył.

– Nie gadam z nim.

– Masz do tego prawo, David – powiedział Logan rzeczowo i usiadł na oparciu skórzanej sofy.

Kovac oparł się o biurko Moore'a i skrzyżował ręce na piersi.

– Czy powinienem wezwać adwokata? – zapytał Moore.

– Nie wiem, do czego mógłbyś go potrzebować – powiedział Logan. – Nie jesteś o nic oskarżony.

Moore spoglądał to na Kovaca, to na Logana, jak mysz, która znalazłszy się między dwoma kocurami, waży swoje szanse przeżycia.

– Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Carey – oświadczył.

Logan go zignorował.

– Od jak dawna pracowała u was Anka, wasza opiekunka?

– Hmm... Od trzech lat.

– Miała dobre referencje?

– Oczywiście.

– Sprawdziliście je? Dzwoniliście do jej poprzednich pracodawców?

– Carey się tym zajmowała. Ale czemu o to pytacie? Nie sądzicie chyba, że Anka miała z tym cokolwiek wspólnego?

Kovac spojrział na Moore'a spod uniesionych brwi, dając mu do zrozumienia, że właśnie powiedział coś bardzo głupiego.

– Cóż. Przyjrzyjmy się faktom. Nie ma niani. Nie ma jej samochodu. Nie ma pańskiej żony.

– To śmieszne – zaprotestował Moore. – Anka nigdy by...

– A właściwie jak blisko żyła Anka z rodziną? – zapytał Logan.

– Kochała Lucy. Była dla niej wspianała.

– A z panem?

– Co ze mną? – Na twarzy Moore'a pojawił się wyraz dezorientacji, a po chwili skrzywił się z niesmakiem. – Anka jest opiekunką mojej córki. To wszystko, co nas łączy.

– To piękna dziewczyna – wtrącił Kovac. – Młoda, seksowna. Wydawała się bardzo... oddana pańskiej osobie.

Moore wstał z fotela.

– To niedorzeczne!

– Czyżby? – spytał Logan. – Jeśli więc pójdę na górę i przejrzę jej rzeczy, to nie znajdę tam, na przykład, waszych wspólnych zdjęć?

– Skąd mam to wiedzieć? Nigdy nie byłem w jej pokoju.

– Daj spokój, David – powiedział Kovac. – Prowadzisz podwójne życie. Płacisz za mieszkanie swojej kochanki. Łatwo się domyślić, że miałeś ochotę również na ten szwedzki cukiereczek?

– To obrzydliwe.

– Czemu? Wydajesz się mieć kręgosłup moralny pijawki – powiedział Logan. – Czemu miałbyś powstrzymać się od bzykania niani?

– Tego już za wiele! – wydzierał się Moore. – Wynoście się! Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, możecie się z nimi zwrócić do mojego adwokata.

– Jak wolisz, David – powiedział Logan, znów grzeczny i opanowany. – Ale jeśli wybierzesz tę drogę, nie będę już dla ciebie taki miły.

– Miły?! – zapytał Moore z niedowierzaniem.

– Logan? Skoro on chowa się za prawnikiem, to dostanę te moje nakazy?

– Czego ci trzeba?

– Chcę przeszukać to mieszkanie, począwszy od pokoju, w którym siedzimy; potem chciałbym się przyjrzeć finansom pana Moore’a...

– ... Pieniądz prawdę ci powie – zgodził się Logan.

– Dlaczego zamiast mnie napastować, nie szukacie mojej żony? – przerwał im Moore.

Kovac jeszcze nie widział go tak wkurzonego i przestraszonego. Miał panikę w oczach. Kręcił się nerwowo, jak zwierzę w klatce.

– Jak obaj wiemy, ona już wkrótce nie będzie twoją żoną – powiedział Kovac. – Właśnie szykowała się do tego, by odsunąć cię od źródła z forszą.

Czerwony na twarzy, Moore obszedł biurko i podniósł słuchawkę telefonu. Facet z Biura do Ścigania Przepstw popatrzył na Logana i Kovaca z niemym pytaniem w oczach – Moore, jak gdyby nigdy nic, dokądś dzwonił, kiedy powinien siedzieć jak na szpilkach i czekać na telefon z żądaniem okupu.

– Tu David Moore – powiedział do słuchawki. – Potrzebuję adwokata. Natychmiast.



## XLII

Kovac wyszedł z gabinetu i udał się na górę, pozwalając, by Logan nadal sam użerał się z Moore'em. Od momentu, w którym ten powołał się na swoje prawo do adwokata, zabawa była skończona. Według Kovaca było już po przesłuchaniu. Jeśli Moore powiedziałby coś niekorzystnego dla siebie – gdyby był na tyle głupi – jego prawnik od razu żądałby wykreślenia tego z protokołu. I gdyby wskutek takiego zeznania znaleźliby obciążający go dowód, to on także musiałby zostać pominięty.

Pomimo opinii Liski na jego temat, Kovac nie był na tyle głupi, by przeciągać strunę. I choć bardzo chciałby własnymi rękami wyciągnąć z Moore'a przyznanie się do winy, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Technicy zakończyli pracę w pokoju opiekunki. Kovac stanął w otwartych drzwiach, zjrzał do środka i próbował sobie wyobrazić, co mogło się tu zdarzyć.

Łóżko, które wyglądało tak, jakby nikt w nim nigdy nie spał, było gołe. Pościel zabrano do laboratorium, by zbadać ją na obecność płynów ustrojowych i włókien ubrań. Dywan został niedawno odkurzony.

Tyle mogło się tu stać od jego ostatniej rozmowy z Carey... Kovac wciąż wyobrażał sobie możliwe scenariusze. Nie mógł przestać. Widział w życiu zbyt wiele brutalnych przestępstw i zbyt wielu brutalnych przestępców.

Na łóżkach Anki i Carey nie było wyraźnych śladów krwi ani spermy. Ale morderstwo można było popełnić bez rozlewu krwi. A gwałt można było ukryć przy użyciu kondomu.

Jeśli to David Moore zlecił porwanie, to zwrócenie ofiary z pewnością nie było elementem umowy. Celem Moore'a byłoby pozbycie się żony, usunięcie jej z drogi i przywłaszczenie sobie jej pieniędzy. W chwili wydania zlecenia traciłby on wpływ na dalszy przebieg wydarzeń. Carey i opiekunka – zakładając, że ta druga nie była wmieszana w spisek – znalazłyby się na łasce bezwzględnego mordercy.

Kovac wszedł do pokoju, założył lateksowe rękawiczki i zaczął szukać jakiegokolwiek dowodu na to, że młodą Szwedkę i jej pracodawcę łączyło coś niestosownego.

Na toaletce panował porządek. Żadnych zbędnych przedmiotów. Małe lampki po obu stronach. Pudełko na biżuterię. Kovac uniósł wieczko. Dwa łańcuszki z wisiorkami. Kilka par

kolczyków. Nic drogiego.

Na szafce koło łóżka stały trzy fotografie oprawione w ramki, teraz pokryte proszkiem do ściągania odcisków palców. Anka z przyjaciółmi na wycieczce w górach. Anka w otoczeniu rodziny: pół tuzina identycznych, szwedzkich blondynów w wieku od kilkunastu do kilkudziesięciu lat. Anka i Lucy w zimowych kurtkach, uśmiechnięte od ucha do ucha kucają przy bałwanie. Za nimi David Moore opierający dłoń na ramieniu Anki. Szczęśliwa rodzinka. Nie było zdjęcia opiekunki z Carey.

W szufladzie szafki znajdowały się rzeczy, które w takim miejscu trzymały kobiety na całym świecie – pilnik do paznokci, balsam do rąk, krem do ust, kilka długopisów, notes z adresami i pamiętnik.

Kovac wziął do ręki pamiętnik i otworzył go na pierwszej stronie, na wpół przekonany, że przeczyta tam słowa: „Drogi pamiętniczku, chyba się zakochałam w Davidzie Moorze”, a zobaczył stronę gęsto zapisaną po szwedzku. Jeśli pamiętnik krył jakąś wielką tajemnicę, to będzie musiała poczekać do czasu, aż znajdą tłumacza. Na szczęście w stanie zaludnionym przez potomków skandynawskich emigrantów nie powinno to długo trwać.

„Marne pocieszenie – pomyślał – zważywszy, że nie wiemy, ile czasu nam zostało. Może już być za późno”.

Podszedł do szafy, otworzył ją i patrzył. Próbował znaleźć dowód na to, że opiekunka przed wyjazdem się spakowała. Ale nie zobaczył rzędu pustych wieszaków. W środku panował idealny porządek. Walizka na kółkach i sportowa torba stały w rogu.

Zamknął drzwi szafy, obrócił się i jeszcze raz rozejrzał po pokoju. Nikt nie opuścił go w pośpiechu. Nikt nie został do tego zmuszony. Nie doszło tu do żadnej walki.

Lata temu, gdy dopiero zaczynał pracę w wydziale zabójstw, brał udział w śledztwie, w którym poszukiwana kobieta została znaleziona dopiero wtedy, gdy jej ciało zaczęło się rozkładać. Chłopak zaciukał ją młotkiem i schował ciało pod łóżkiem jej własnej matki.

Kovac delikatnie uniósł róg narzuty i zajrzał pod łóżko. Żadnego ciała, tylko dwa plastikowe pojemniki pełne ubrań i butów.

Po drugiej stronie korytarza zespół techników badał sypialnię Carey centymetr po centymetrze. Ale tak samo jak w wypadku pokoju niani dywan był świeżo odkurzony. Pościel została zdjeta z łóżka. Jeśli będą mieć szczęście, znajdą ją w koszu na pranie. A jeśli nie, to okaże się, że przestępca zabrał je ze sobą, by się jej pozbyć i nie dać policji szansy na znalezienie jego odcisków palców, włosów czy fragmentów naskórka. I uda mu się pozostać anonimowym.

Kovac stanął w drzwiach przytulnej, eleganckiej sypialni, do której zaledwie

przedwczoraj odprowadził Carey Moore. Teraz pokój miał całkowicie inny nastrój.

Choć nigdy by się do tego nie przyznał, miał czasem wrażenie, że jest w stanie poczuć echo emocji, jakie w trakcie popełniania przestępstwa wypełniły miejsce zbrodni. Tu czuł przerażenie, złość, panikę i złe zamiary.

Popatrzył na łóżko i wyobraził sobie scenę, jaka się tu rozegrała. Pokój jest pogrążony w ciemności, Carey śpi odwrócona plecami do drzwi. Zawsze wyobrażał sobie zbrodnię z punktu widzenia sprawcy, nigdy ofiary. Widział, jak Carey rzuca się i kopie, gdy ktoś wyciąga ją z łóżka. W czasie szamotaniny alabastrowa lampa spada na podłogę. Przewracają się zdjęcia stojące na szafce nocnej.

Ale gdy spojrział na szafkę, zobaczył, że lampa stoi na swoim miejscu, a zdjęć w ogóle nie ma, ani szafce, ani na podłodze.

Kovac zwrócił się do kobiety w laboratoryjnym fartuchu, która właśnie wyjmowała coś z dywanu przy pomocy pesety.

– Gdzie podziały się zdjęcia?

Kobieta umieściła włókno w plastikowej rurce, zakorkowała ją i postawiła na podłodze tabliczkę z numerem.

– Jakie zdjęcia?

– Nie zależliście zdjęć oprawionych w ramki? Na szafce albo na podłodze?

Potrząsnęła głową.

– Nie było tu czarnobiałego zdjęcia z rozdania dyplomów, osiem na dziesięć cali? Ani zdjęcia dziecka w srebrnej ramce?

– Nie.

– Patrzyła pani pod łóżko?

– Nic tam nie ma.

Kovac rzucił okiem na stojącą po drugiej stronie pokoju nienagannie czystą i schludną toaletkę Carey.

– Mogę wejść? – zapytał.

– Tak. Ale musi pan włożyć obuwie ochronne – odpowiedziała kobieta.

Kovac założył na buty błękitne, papierowe ochraniacze, by nie wnieść na miejsce zbrodni niczego z zewnątrz. Laboratorium będzie miało wystarczająco dużo roboty z prawdziwymi dowodami.

Omijając tabliczki z numerami, porozstawiane po całej podłodze, Kovac podszedł do toaletki i otworzył wszystkie jej szuflady po kolei. W każdej panował idealny porządek.

Przeszedł do garderoby, w której znajdowała się reszta ubrań Carem, i rozejrzał się

wokoło. Na wieszakach wisały jej garnitury, bluzki, sukienki. Wszystko na swoim miejscu.

Na końcu pomieszczenia w równym rzędzie stał komplet walizek, ale wyglądało na to, że jednej z nich brakowało – zostało po niej puste miejsce.

To go zastanowiło. Oczywiście brakująca walizka mogła się zgubić albo zostać oddana do naprawy.

Jeszcze raz rozejrzał się wokoło, tym razem uważniej, powoli przesuując wzrok po półkach i wieszakach. Tu mały ubytek, tam przerwa. Może czegoś brakowało, a może nie.

Ale ta nieobecna walizka...

Jeśli ktoś ją zabrał, to na pewno nie Carey. Niemożliwe, by dobrowolnie opuściła dom, zostawiając córkę.

Jaki porywacz zabierał dla swej ofiary ubranie na zmianę?

Kovac miał nadzieję, że jeśli brakująca walizka naprawę była w posiadaniu porywacza, to oznaczało, że zamierzał on trzymać Carey przy życiu.

Starł się nie myśleć, dlaczego.

## XLIII

Carey kręciło się w głowie i było jej niedobrze. Nie mogła już wytrzymać oleistego smrodu spalin.

Miała nadzieję, że nieznany cel tej podróży był już bliski, bo inaczej umrze otruta dwutlenkiem węgla. Ale z drugiej strony, u kresu drogi nie mogła się spodziewać niczego dobrego. Będzie pewnie żałować, że nie udusiła się w bagażniku.

Po omacku przeszukała niewielką przestrzeń w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Klucz francuski, podnośnik, cokolwiek. Nie znalazła nic.

Gdy przewróciła się na prawy bok, poczuła, że coś ugniata ją w prawe biodro. Dotknęła przedmiotu ręką i przeżyła nagłą eksplozję nadziei.

Jej komórka!

Przypomniała sobie, że włożyła ją do kieszeni dżinsów, gdy w nocy skończyła rozmawiać z Kovacem. David dopiero co wybiegł z domu, a ona zadzwoniła do detektywa, by mu o tym powiedzieć. Stał tuż pod jej domem, gotowy w każdej chwili przyjść jej na ratunek.

Gdy w końcu poszła się położyć, była zbyt zmęczona, by się rozebrać. A może czuła się już i tak zbyt obnażona i bezbronna...

Drżącymi rękami wyjęła telefon z kieszeni i odblokowała klawiaturę.

911.

Jej palce niezgrabnie wciskały guziki. Pomyliła się. Spróbowała jeszcze raz.

Serce łomotało jej w piersi jak dobijająca się pięść.

Z telefonu popłynęła jedynie seria krótkich dźwięków: bip-bip-bip. A potem nic. Podświetlony ekranik pokazywał wiadomość: „Brak zasięgu”.

Brak zasięgu.

Brak sygnału.

Brak pomocy.

## XLIV

Kovac zadzwonił na posterunek policji w Edynie i kazał im posiąć radiowóz pod dom, w którym mieszkała Ginnie Bird. Mieli pilnować, by nie związała, choć Kovac się obawiał, że mogło być już za późno. Od momentu, gdy David Moore wszedł do swojego domu, ani przez chwilę nie był sam, więc nie miał szansy zatelefonować do kochanki. Ale ten, do kogo zadzwonił po adwokata – czyli pewnie Edmund Ivors – mógł dać Bird cynk, by pakowała manatki.

Kovac wiedział, że musi odsunąć Ginnie Bird od reszty towarzystwa. Jeśli uda mu się znaleźć z nią sam na sam, zmusi ją do mówienia. Bez Moore'a i Ivorsa nie będzie wiedziała, co zrobić. Nie była na tyle silna, by sama sobie poradzić.

Gdy zajechał pod dom Ginnie, ona stała na chodniku i wyglądała na bardzo niezadowoloną z faktu, że dwóch policjantów w mundurach coś od niej chce.

Kovac zbliżył się.

– Pani Bird! Czy ci oficerowie się pani naprzykrzają?

– Nie chcą mi pozwolić odjechać – powiedziała zdenerwowana. – Nie mają prawa tego robić... Prawda?

– Cóż. To moja wina – powiedziała Kovac. – Prosiłem, by zatrzymali panią do mojego przybycia.

Ginnie Bird spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nie mam panu nic do powiedzenia. Nie wiem nic na temat tego, co się stało żonie Davida.

– Wiedziałaś, że miał żonę, Ginnie – zmienił ton Kovac. – A to mi mówi, że dokonujesz złych wyborów. Nie powinnaś spotykać się z takim palantem jak Moore, nawet gdyby był kawalerem. A co dopiero wdawać się z nim w pozamałżeński romans? Toż to fałszywy, pozbawiony zasad kłamca, na dodatek nadęty jak...

– Ja go kocham! – przerwała mu Ginnie z uczuciem. – A pan nic o nim nie wie!

Kovac pokręcił głową.

– Kochana, wiem wszystko o Davidach Moore'ach tego świata. Lepiej wejdźmy do środka – powiedział, gestem dłoni wskazując na dom. – Jestem pewien, że wolałabyś, by

sąsiedzi nie słyszeli naszej rozmowy.

– Czy jestem aresztowana? – zapytała.

– Nie. A powinnaś być? – Kovac spojrział na nią spod uniesionych brwi. – Masz coś do ukrycia?

– Nie! – zaprzeczyła i ukradkiem spojrzała na dom, sprawdzając, czy ktoś nie zerka na nich zza firanki. – Ale dobrze, wejdźmy do środka.

Widać ceniła iluzję praworządności. Było dla niej ważne, by ludzie z jej otoczenia wierzyli, że jest jedną z nich – pełnoprawną mieszkanką bogatej, stylowej dzielnicy.

– Nie – powiedział Kovac.

Ginnie zaczęła już iść w stronę budynku. Obróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie – powtórzył. – Wiesz co? Nie mam czasu na te bzdury.

– Ale...

– Zaginęła kobieta. Myślę, że coś o tym wiesz – powiedział Kovac agresywnie, podchodząc trochę za blisko niej i podnosząc głos. – I lepiej to z siebie wypłuj, bo inaczej porozmawiamy sobie na komisariacie, w przytulnym pokoju dwa metry na dwa!

– Ja nic nie wiem – upierała się, ale nadal starała się mówić cicho.

– Wiesz, kim był ten facet, który dołączył do was w piątkową noc – powiedział Kovac.

– Chcę znać jego nazwisko.

– Ja go nie znam!

– A może nie znasz też własnego nazwiska, pani Bird? Gdybym wrzucił do komputera twoje odciski palców, to kim byś się okazała?

Oczy Ginnie wypełniły się łzami, a jej twarz skrzywiła się w mało atrakcyjnym grymasie. Obróciła się w jedną stronę, potem w drugą, nie bardzo wiedząc, co począć.

– Chcę nazwisko – powtórzył Kovac.

Ginnie zakryła twarz rękoma i zaczęła płakać.

– Nikomu cię nie żal – powiedział Kovac oschle. – Jesteś zaćpaną dziwką, która pieprzy się z mężem porwanej kobiety. Wiesz jak to wygląda? Jak motyw. Nie mogłaś mieć tego, co chciałaś, dopóki Carey Moore stała ci na drodze. Na pewno znasz wielu mętów, którzy mogli za ciebie wykonać brudną robotę.

Ginnie Bird zawyła jak syrena strażacka, przyciskając ręce do twarzy. Kovac uniósł ręce do góry.

– Wystarczy. Mam już dość twoich fochów.

Odwrócił się do policjantów.

– Zabieramy ją, chłopaki.

– Donny – wyłkała Ginnie Bird. – Donny Bergen.

– Skąd go znasz? – zapytał Kovac.

Łkała nadal, ale nie odpowiedziała na jego pytanie.

Kovac podszedł bliżej i wrzasnął jej prosto w twarz:

– Skąd go znasz?!

– To mój brat.



## XLV

Z komputerowej bazy danych wydziału zabójstw Lisce udało się wygrzebać raport z wypadku, w którym zginęła Rebecca Rose Haas. Krótki i rzeczowy. Dochodzenie prowadził detektyw Rothenberg. Sześć miesięcy później odszedł na emeryturę i przeprowadził się do Idaho. Liska pamiętała jego pożegnalne przyjęcie w lokalu „U Patryka” – policyjnym barze, strategicznie ulokowanym w połowie drogi między biurem szeryfa a departamentem policji stanu Minneapolis.

Sprawa była jasna. Rebecca Haas nie miała wrogów. Nikt nie życzył jej śmierci. Była po prostu jedną z wielu osób, które co roku przypadkowo ginęły we własnym domu.

Według raportu Rottenberga owego dnia około drugiej po południu Rebecca Haas rozmawiała z sąsiadką. Sąsiadka zeznała, że Rebecca mówiła jej o swojej radości z powodu adopcji kolejnego dziecka. Kilka dni wcześniej dom Haasów odwiedziła Marcella Otis z ośrodka adopcyjnego, by sfinalizować sprawę.

Między drugą piętnaście a czwartą trzydzieści Rebecca Haas spadła ze schodów prowadzących do piwnicy. Znalaziono ją na dole pośród prania, które wypadło z niesionego przez nią kosza.

Liska zatrzymała wóz przed domem Haasów i znów zaparkowała na ulicy. Weszła na werandę, zapukała. Nikt nie otwierał.

Samochodu Wayne’a Haasa nie było na podjeździe.

Zaczęła iść wokół domu. Pamiętała o jego wysokim ciśnieniu i wyobraziła sobie, jak leży wewnątrz na podłodze i umiera na zawał.

A może zdecydował się rzucić to wszystko w cholerę i wsiąść do autobusu do San Diego? Kto by go winił?

Skręciła za róg i znalazła się na tyłach domu. Wayne Haas siedział przy stole ogrodowym podparty łokciami, z głową ukrytą w dłoniach.

– Panie Haas?

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Przykro mi, że muszę panu przeszkadzać w niedzielny ranek.

– Naprawdę?

Wydawał się jakby mniejszy niż ostatnio. W pełnym słońcu widać było również, jaki jest blady.

– Raczej nie przysłała mi pani powiedzieć, że złapaliście Dahla... – zgadywał.

– Żałuję, ale nie.

– W takim razie pewnie chce mnie pani o coś oskarżyć. O co teraz? Nie oglądałem telewizji. Podają same złe wiadomości.

Liska usiadła naprzeciw niego i również oparła łokcie o stół. Postanowiła, że nie powie mu o porwaniu sędziny Moore, chyba że sam o to zapyta. Będzie mniej podejrzliwy, jeśli skieruje rozmowę na temat jego syna.

– Też tak uważam – powiedziała. – Jak się pan czuje?

Spróbował się zaśmiać, ale nie starczyło mu oddechu i energii.

– A czemu panią to interesuje?

Liska westchnęła.

– Wie pan, w tej pracy na początku musimy się nauczyć, by nie stawiać się na miejscu ofiary ani jej bliskich. To byłoby zbyt trudne i bolesne, nie pozwalałoby obiektywnie spojrzeć na sprawę. Ale to nie znaczy, że jesteśmy pozbawieni uczuć, panie Haas.

Mężczyzna milczał.

– Jest mi bardzo przykro, że musiał pan przez to wszystko przejść – powiedziała po chwili. – Mam dwóch synów. Każdego dnia widzę, co się dzieje, do czego ludzie są zdolni... I myślę o nich. A co by było, jeśli to im by się coś stało? Jak bym się zachowała? Chyba nie umiałabym dłużej żyć.

Haas siedział pogrążony w ciszy i spoglądał na las rosnący na tyłach ogrodu.

– Ale by pani żyła – powiedział w końcu. – Nie wiedziałyby pani, jak ani po co, ale by pani żyła.

– Czekając, aż sprawiedliwości stanie się zadość?

– Nie wiem. A co to jest sprawiedliwość? Na pewno nie to, co spotkało Karla Dahla.

– Ale go spotka – powiedziała Liska z przekonaniem, choć sama nie była pewna, że tak właśnie się stanie. Winnych nie zawsze spotykała kara za życia. Dlatego Liska wciąż wierzyła w Boga – i w to, że w przyszłym życiu Bóg skopie im tyłki.

– Czasem przy życiu trzyma cię tylko złość – wyznał Haas. – I myślisz sobie, że jeśli pozwolisz jej odejść, to już wszystko straci sens.

– Ma pan kogoś, z kim mógłby pan o tym porozmawiać? – zapytała Liska. – Przyjaciela? Księdza?

Znów spróbował się zaśmiać.

– Nie mam nikogo. Nikt nie chce mnie znać. Wszyscy chyba myślą, że to zaraźliwe. Że jak się do mnie zbliżą, to do ich domu też ktoś przyjdzie i zabije im całą rodzinę.

– Został panu syn.

– I powinienem być dla niego silny. A to on opiekuje się mną jak inwalidą.

– On bardzo pana kocha – powiedziała Liska. – Dziwię się, że teraz go przy panu nie ma.

– Został na noc u swojego kolegi, dzieciaka pani Walden. Za dużo siedzi w domu. Czasem muszę go dosłownie wyrzucać z domu, żeby trochę pobawił się jak chłopcy w jego wieku. Nie miał do tego w życiu wiele okazji.

– Ile lat miał Bobby, gdy wzięliście go państwo do siebie?

– Dziesięć.

– To dla was wszystkich musiała być duża zmiana.

Wayne Haas nic nie powiedział, wyjął papierosa z paczki winstonów i włożył go do ust. Spojrzał na Liskę niewidzącym wzrokiem, jakby jej tam w ogóle nie było.

– Dowiedziałam się, że jego rodzona matka popełniła samobójstwo.

– Powiesiła się – powiedział, odpalając papierosa. – Na jego oczach.

– O, mój Boże!

Liska mogła się tylko domyślać, jak coś takiego wpływało na dziecko. Dziesięcioletni chłopiec był zmuszony patrzeć, jak jego matka się zabija. Co sobie myślał? Jak musiał się czuć? Bezradny. Bezsilny. Przestraszony. Zły, że matka go zostawia. Winny, bo dzieci często czują się odpowiedzialne, gdy zdarza się coś złego. Wydaje im się, że świat kręci się wokół nich, i dlatego sądzą, że mogły temu zaradzić. Gdyby tylko nie wybił szyby tą piłką. Gdyby tylko nie narozrabiał w szkole. Gdyby tylko więcej dla niej znaczył...

– A potem stracił swoją drugą mamę – pana pierwszą żonę. To musiał być dla niego cios.

– Ona go kochała – powiedział Haas. – Nie miało dla niej znaczenia, że był trudnym dzieckiem. Kochała go.

– Bobby powiedział mi, że Marlene również bardzo lubił. Wspominał, że zawsze piekła ciasteczka.

Haas uśmiechnął się przelotnie, zanim ogarnął go smutek jeszcze silniejszy niż poprzednio.

– Bobby mówił też, że kiedyś robił z panem wiele ciekawych rzeczy – powiedziała Liska. – Podobno łowiliście razem ryby, bawiliście się. Brakuje mu tego. Brakuje mu pana.

Oczy Wayne'a Haasa zwilgotniały. Odwrócił wzrok, zażenowany na samą myśl, że

mógłby się przed nią rozplakać.

– Potrzebujecie siebie nawzajem – powiedziała Liska. – Tylko wspólnie dacie radę wyleczyć swoje rany.

Wstała od stołu i położyła wizytówkę obok dłoni Wayne'a Haasa. A potem odeszła, czując wstyd, że wykorzystwała uczucia załamane go człowieka po to, by dowiedzieć się czegoś o jego synu.

Ale przynajmniej fizycznie nie zrobiła mu żadnej krzywdy. Znała policjantów, którzy potrafili siłą zmusić świadka do współpracy lub zastraszyć podejrzanego. Liska była kobietą drobną i słabą, wołała więc uciekać się do innych, delikatniejszych i bardziej wyrafinowanych metod zdobywania informacji. Brak penisa miał czasem swoje dobre strony.

Następnym celem jej podróży był dom Jerome'a Waldena. Drzwi otworzyła urocza pani Walden, na kacu, ubrana w przezroczystą podomkę w lamparcie cętki, spod której prześwitywały biustonosz i majtki w zebry pasy. Powinno się ją aresztować za wykroczenie przeciw dobremu smakowi.

Liska pokazała jej odznakę przez siatkowe drzwi.

– Co znowu? – zapytała kobieta z pretensją w głosie. – Chodzi o Raya Malone'a? Nie wiem, gdzie jest. Wiem tylko, że to skurwiel i jest mi winien forszę.

– To on ci zafundował takie limo? – Policjantka spojrzała na jej świeżo podbite oko, które dopiero zaczynało puchnąć.

– Wpadłam na coś.

„Coś w rodzaju pięści” – pomyślała Liska, ale nie pociągnęła tematu.

– Czy pani syn jest w domu?

Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie.

– A czemu?

– Bo pytam.

– To żadna odpowiedź.

– Innej pani nie udzielię – powiedziała Liska, wkurzona. To, że takim kobietom w ogóle pozwalano rodzić dzieci, przechodziło ludzkie pojęcie. – A to i tak za dużo. W ogóle nie powinnam z panią rozmawiać. Widząc, jakim stanie znajduje się ten dom, powinnam od razu wezwać odpowiednie służby.

– Pieprz się, paniusiu w marynareczce.

– Albo odpowie pani na moje jedno pytanie, albo wezwę izbę dziecka – powiedziała Liska stanowczo. – Odbiorą pani syna, a wraz z nim comiesięczny czek z pomocy społecznej.

Matka Jerome Waldena spojrzała na nią wściekle, rozważając, czy Liska blefuje, i

szacując, czy utrata czeku z pomocy rodzinnej wpłynęłaby na zmianę jej stylu życia.

– Nie ma go w domu – powiedziała.

– A gdzie jest?

– A niby czemu mam to wiedzieć? Jest prawie dorosły.

Z głębi domu dobiegł tubalny, męski głos.

– Hej, malutka! Gdzie jesteś? Choć zrób mi laskę!

Liska uniosła brew.

– Obowiązki wzywają.

Kobieta pokazała Lisce palec i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

Ale czego można się spodziewać po kimś, kto miesza cętki z paskami?

Aż dziwne, że mając taką matkę, Jerome Walden nie trafił jeszcze na listę najbardziej poszukiwanych przestępców.

Gdy Liska wsiadła do samochodu i ruszyła do miasta, jej głowę zaprzątęła jednak inna, ważniejsza kwestia – gdzie byli teraz Jerome Walden oraz Bobby Haas i w co, do cholery, się pakowali.

## XLVI

Carey jeszcze raz spróbowała zadzwonić. Ciagle nic. Naciskała guziki, by ekran telefonu pozostawał zapalony, i używała go jako latarki. Dalej jednak nie udało jej się znaleźć niczego, czym mogłaby obronić się przed porywaczem, gdy już się zatrzymają.

Przesunęła telefon w prawo i światło od czegoś się odbiło. Plastikowa osłona lampki w bagażniku. Przejechała palcami wokół osłony, szukając sposobu, by ją podważyć i ściągnąć. Wbijając pod nią palce, szarpała, ale udało jej się jedynie złamać dwa paznokcie.

Zamknęła oczy, chwyciła telefon oburącz i użyła jego końca jako młotka, uderzając nim w plastik, dopóki nie pękł.

Zdjąwszy z lampki pokruszoną obudowę, sięgnęła do środka i zahaczyła o coś czubkami palców.

Kable.

Może do tylnych świateł? Może do migaczy? Niejeden przestępca zakończył karierę z powodu złamania przepisów drogowych.

Zerwała kable i pomodliła się, by na ich drodze stanął policjant, który lubi wlepić mandaty.

## XLVII

Liska weszła do sali narad wojennych niespokojna i zmartwiona. Zawiadomiła wszystkie jednostki, by rozglądały się za Bobbym Haasem, Jerome Waldenem oraz chryslerem Wayne'a Haasa. Nie mogła zrobić nic więcej. Wątpiła, by to chłopcy napadli na sędzinę – atak był robotą profesjonalisty. Jednak gdy próbowała poskładać fragmenty życia Bobby'ego w jakąś całość, wciąż coś jej nie pasowało.

Kobiety w życiu Bobby'ego nie miały szczęścia. Matka zabiła się na jego oczach. Pierwsza pani Haas niefortunnie spadła ze schodów. Druga pani Haas została zamordowana. Sędzinę Moore ktoś zaatakował i pewnie by zginęła, gdyby alarm, który udało jej się włączyć, nie przestraszył napastnika. A teraz zniknęła i nie wiadomo, gdzie się znajduje.

Na myśl o tym, że chłopiec mógł mieć związek z którymkolwiek z tych zdarzeń, Liska dostawała gęsiej skórki. Wyglądał tak słodko i niewinnie, był taki bezbronny. To, że spotkało go w życiu tyle nieszczęść, budziło w niej instynkt matki, która chce objąć i pocieszyć cierpiące dziecko. Nie był wiele starszy od Kyle'a, jej pierworodnego. Trudno jej było patrzeć na Bobby'ego i nie widzieć w nim własnego syna. Chciała go chronić.

Powiedział jej, że Rebecca Haas zmarła na raka.

To kłamstwo nie dawało jej spokoju, męczyło ją jak kamień w bucie – mały, ale irytujący.

Dlaczego skłamał?

Bo sądził, że jeśli powie coś takiego policjantce, to wzbudzi jej podejrzenia?

A może było tak, jak powiedziała Marcella Otis – że Bobby nie chciał pamiętać o tragicznej śmierci swojej pierwszej macochy? Porucznik Dawes sugerowała, że mówiąc, iż jego mama zmarła na raka, chłopak nie czuł się jak dziwoląg, w którego rodzinie wszyscy ginęli tragiczną śmiercią.

– Zjawiasz się w samą porę na film – powiedział Tippen.

Liska usiadła przy nim, Elwood włożył kasetę do odtwarzacza i włączył telewizor.

– Czemu masz taką ponurą minę? – zapytał Tippen.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może ma to związek z faktem, że w każdym dniu mojego życia spotykam

się ze śmiercią lub demoralizacją i widzę upadek niegdyś wspaniałej cywilizacji.

– Och, przestań się nad sobą rozczulać – powiedział Tippen. – Mogłoby być gorzej. Wyobraź sobie, że to ty jesteś tym palantem z biura szeryfa, który nie przypiął Dahla do noszy.

– Jakież wieści o Dahlu?

– Null. Zero. Pewnie znajdzie się za kilkanaście lat gdzieś w Milwaukee jako dyrektor schroniska dla samotnych matek bez dachu nad głową, darzony powszechnym uznaniem za zmniejszenie liczby bezdomnych na ulicach.

– Cóż, to naprawdę mnie pocieszyło – powiedziała Liska. – Panowie wybaczą. Udam się na stronę, podciąć sobie żyły.

Elwood puścił nagranie. Ekran telewizora zaśmieżył, a potem oczom oglądających ukazał się obraz z kamery w barze hotelu Marquette. Ujęcie z góry. W rogu ekranu godzina i data. Kasetą była w dobrym stanie, obraz klarowny, twarze ludzi wyraźne. Elwood przewinął kasetę do interesującej ich sceny.

– Oto David Moore i jego ukochana – powiedział Tippen, wodząc po ekranie laserowym wskaźnikiem.

– Yyyyy... – skrzywiła się Liska na widok naćpanej cizi, klejącej się do Moore'a. – Dajcie sobie pokój.

Elwood przewinął kasetę do momentu, gdy w barze pojawił się Edmund Ivors, a potem jeszcze trochę.

– Oto on – powiedziała Liska.

Szczupły, niewysoki mężczyzna ubrany na czarno, cienkie włosy blond sięgające niemal do ramion. Z pewnej odległości na pewno można by go wziąć za kobietę.

Podszedł do stołu, nachylił się do Moore'a i podał mu rękę, ukazując swój profil.

Tippen wyprostował się na krześle.

– Ja znam tego gościa! To Długi Donny. Długi Donny Bregen.

– Kim jest Długi Donny Bregen i czemu ma takie przezwisko? – zapytała Liska.

– To gwiazda porno.

– Fuuuuj...! Ohyda! – Liska odskoczyła od stołu i spojrzała na Tippena z obrzydzeniem.

– Nie mów, że jesteś jego fanem! Nie chcę słyszeć takich rzeczy!

– O co ci chodzi? – Tippen wzruszył ramionami. – Gość ma prawdziwy talent.

– Ble! A ja myślałam, że już i tak za dużo o tobie wiem.

– Wiemy, dlaczego ty go znasz, Tip – powiedział Elwood. – Pytanie, dlaczego zna go David Moore.





## XLVIII

Brat Ginnie Bird.

„Pewnie! Czemu nie zachować wszystkiego w rodzinie?” – myślał Kovac, gnając z powrotem do domu Moore’ów. David chciał się pozbyć Carey, Ginnie Bird również, a tak się złożyło, że miała brata, gotowego rozwiązać ich problem za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Pięknie! Banda oprychów: David Moore, jego dziwka narkomanka i jej brat, płatny rębajło.

Donny Bregen był smukły i miał sięgające do ramion blond włosy. Gliniarze pilnujący domu Carey w sobotnią noc widzieli, jak z garażu wyjeżdża samochód opiekunki, prowadzony przez szczupłą blondynkę. Rano ten sam samochód ponownie opuścił garaż, i znów prowadziła go szczupła blondynka, ale tym razem nie zatrzymała się koło patrolu. A policjanci zbytnio się tym nie przejęli.

Moore mógł mu podać kod wyłączający alarm, co tłumaczyłoby, jak dostał się do domu, nie zwracając niczyjej uwagi.

Teraz pytanie, co stało się z nianią, nabierało złowieszczonego tonu. Jeśli Donny Bregen miał zamiar zabić Carey, to Anka Jorgenson mogła być jego pierwszym celem – zabił ją, by zabrać jej samochód i, nie budząc podejrzeń, dostać się do domu Moore’ów przez garaż.

Z jedną ręką na kierownicy, drugą wyjął telefon z kieszeni i połączył się z Liską. Odebrała po drugim dzwonku.

– Co jest?

– Jesteś na komisariacie?

– Tak, a co?

– Musisz dla mnie sprawdzić dwie osoby. Virginia Bregen i Donny lub Donald Bregen.

– Donny Bregen to nasz gość z kasety z baru w Marquette – powiedziała Liska.

– Wiem. A ty skąd to wiesz?

– Tippen go rozpoznał. Ma zastraszająco rozległą wiedzę na temat przemysłu pornograficznego.

– Pornograficznego? – zapytał zdezorientowany Kovac. – O czym ty mówisz?

– Długi Donny, wybitna gwiazda filmów erotycznych. A ty co myślałeś?

– To brat Ginnie Bird!

– Ich matka musi być taka dumna. I co teraz?

– Poślij kogoś do jego mieszkania. Jeśli tam będzie – w co wątpię – niech go zabiorą na przesłuchanie.

Podał jej adres, który wydusił z Ginnie Bird.

– Poślę Tippena – powiedziała Liska. – Przy okazji będzie mógł wziąć od niego autograf.

Kovac czuł, jak znów wzrasta mu ciśnienie.

„Davidzie Moorze, ty pieprzony skurwysynu”.

David, jego dziwka narkomanka i jej brat, gwiazdor porno, płatny rębajło. Czy Moore mógł jeszcze głębiej zanurzyć się w gównie?

W tej chwili nie chciał wnikać w jego powiązania z przemysłem pornograficznym. Jego marzeniem było wciągnąć Moore’a do jakiegoś małego pomieszczenia i wytłuc z niego odpowiedzi na wszystkie męczące go pytania, a potem jeszcze trochę mu dołożyć, tak dla zasady.

Ta fantazja całkiem zaprzątnęła mu głowę. Jadąc w kierunku domu Moore’ów, robił się coraz bardziej wściekły. Gdy zatrzymał się na podjeździe rezydencji, szyja pulsowała mu z gorąca i ciężko dyszał.

Po tym, jak informacja o uprowadzeniu sędziny Moore przeciekła do mediów, w okolicy znów pojawiły się wozy transmisyjne. Otoczył go tłum drących się naraz ludzi z kamerami. Przypominali chmarę szarańczy. Kovac zignorował ich i wszedł do domu, mijając dwóch policjantów pilnujących drzwi.

Po wejściu skierował się prosto do gabinetu. Już z daleka widział Moore’a, stojącego przed kominkiem. Logan był odwrócony plecami do drzwi i z kimś rozmawiał. Gdy Moore zobaczył, jak Kovac wpada do pokoju i zmierza prosto na niego, wybałuszył oczy z przerażenia.

– Ty parszywy gnoju! – wrzasnął Kovac, oskarżycielsko wskazując palcem na Moore’a. – Ty pozbawiony zasad skurwielu! Ty, twoja dziwka i jej utalentowany brat zgnijecie w więzieniu!

Moore odskoczył do tyłu, przewrócił stojak z narzędziami do kominka, potknął się o nie i wpadł plecami na ścianę.

Logan wrzasnął, rzucił się w ich kierunku i złapał Kovaca od tyłu, oplatając go ramionami.

Mężczyzna, z którym rozmawiał Logan, odskoczy!, usuwając się z drogi.

Kovac nie przestawał krzyczeć, próbował się wyrwać z uchwytu Logana i nieustannie parł do przodu.

– Przygwoźdź twój tyłek do ściany, a potem cię zabiję! Jesteś skończony! Już po tobie, słyszysz!?

– Kovac! – wrzasnął Logan prosto do jego ucha.

– Nie wiem, o czym on mówi! – krzyczał Moore.

– Kovac! – Porucznik Dawes wtargnęła do pokoju, za nią szło dwóch policjantów w mundurach.

Policjanci starali się wspomóc Logana w wysiłku okiełznania Kovaca i próbie wyciągnięcia go na korytarz.

Dawes krzyczała mu coś prosto w twarz, ale Kovac był tak zaślepiiony furją, że nie mógł zrozumieć jej słów.

Gdy w końcu wyprowadzili go na korytarz, Logan przyparł go do ściany.

– Co się, do cholery, z tobą dzieje?!

Kovac odepchnął go.

– To wszystko przez niego! – darł się, wskazując na zamknięte teraz drzwi gabinetu. – Ona umrze, bo on nie miał jaj, by spakować manatki i po prostu się wynieść...

– Wystarczy! – krzyknęła Dawes. – Ani słowa więcej!

Kovac uniósł ręce do góry. Próbował zdusić w sobie wściekłość. Oddychał ciężko i był zlany potem. Logan zrobił krok do tyłu i również starał się uspokoić.

Dawes wpatrywała się w Kovaca.

– O co w tym wszystkim chodzi, Sam?

– To brat jego kochanki – odpowiedział Kovac. – Trzeci facet w barze to brat kochanki Moore'a, aktor filmów porno.

– Niech to będzie sam diabeł wcielony! – powiedziała Dawes. – Ale czemu ty wpadasz i odstawiasz taką scenę? Co miałeś zamiar zrobić? Zabić Moore'a na oczach jego adwokata? Straciłeś nad sobą panowanie.

Kovac chodził w kółko, pocierając twarz dłońmi. Nagły spadek adrenaliny w jego organizmie spowodował, że cały się trząsł.

– Idź do domu – powiedziała Dawes.

Kovac spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Idź do domu – powtórzyła.

– To moja sprawa.

– Musisz stąd odejść, Sam. Natychmiast.

Uniósł dłoń, nie przestając chodzić.

– Nic mi nie jest. Trochę mnie tylko poniosło.

– Bardzo cię poniosło. Nie mogę pozwolić, żebyś groził ludziom. Będziesz miał szczęście, jeśli adwokat Moore’a nie zażąda, byś stanął przed sądem dyscyplinarnym.

– Pieprzona gnida – wymamrotał. – Z jakiej dziury wyłażą takie robale?

– To Anthony Costello – powiedział Logan. – Ten akurat wylazł z bardzo luksusowej dziury.

Kovac potrząsnął głową.

– Wspaniale. David Moore może zlecić porwanie i zabójstwo żony. Tony Costello może doić pieniądze Carey, by bronić tego dupka. A to ja mam kłopoty! System działa!

– Robisz z tego sprawę osobistą – powiedziała Dawes. – Myślałam, że jesteś mądrzejszy.

Kovac usiadł na schodach, wsparł głowę na rękach i westchnął.

– Już w porządku.

– Musisz zrobić sobie przerwę.

– Nie.

– Sam...

– Nie posyłaj mnie do domu, szefie – powiedział, podnosząc na nią wzrok. – I tak nie pójdę. To moja sprawa. To ja ponoszę odpowiedzialność za Carey Moore. Nie mogę tak po prostu tego zostawić. Nie próbuj mnie do tego zmusić.

Spojrzał na Logana, który stał koło drzwi wejściowych i świdrował go wzrokiem.

Zadzwoił telefon komórkowy Dawes. Odebrała go i odeszła na bok.

– Dwadzieścia pięć tysięcy dla płatnego zabójcy – powiedział Kovac. – To powinno mu kupić dwadzieścia pięć lat albo nawet dożywocie, no nie?

– Możesz udowodnić, że Moore najął tego zbira? – zapytał Logan. – Oczywiście zakładając, że tak było.

– Nie wiem – odpowiedział Kovac. – Musielibyśmy najpierw zbadać jego finanse.

– Myślisz, że siedzi w porno biznesie?

– Na to wygląda. Pewnie stąd zna tych ludzi: Ginnie Bird i jej brata. Ivors też ma związki z przemysłem filmowym, a Moore jest u niego na garnuszku. Niby robi jakiś dokument. Już to widzę! Podrzędna kreatura...

Wbił wzrok w podłogę i głęboko wciągnął powietrze. Serce wciąż mu biło jak młot pneumatyczny. Resztką woli zmuszał się, by siedzieć na tych schodach.

– Prowadziłeś gorsze sprawy niż ta – zagadnął Logan.

– Więc...?

– Więc skąd te nerwy? Znasz Carey aż tak dobrze?

– Jest moją ofiarą – powiedział Kovac obronnym tonem. – Ponoszę odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo. I jestem prawie pewien, że ten dupek w pokoju obok stoi za jej zniknięciem. Trzeba czegoś więcej? Mam mniej się przejmować, bo Carey Moore nie została zgwałcona, pocięta na kawałki i podpalona?

Logan uniósł ręce do góry.

– Nie, ja tylko... Nieważne – powiedział i odwrócił się w kierunku porucznik Dawes, która właśnie skończyła rozmawiać przez telefon.

Spojrzała na Kovaca i Logana z powagą i smutkiem.

– Znaleźliśmy opiekunkę.

## XLIX

Jej ciało zostało wciśnięte do bagażnika staromodnego, ciemnoniebieskiego volvo. Wyglądała jak połamana lalka – nogi zgięte i podkurczone w kolanach, otwarte, niewidzące oczy, głowa wykręcona w dziwny sposób.

Miała na sobie miękki, brązowy dres i różowe, sportowe buty firmy Puma. Strój na sobotni wieczór w domu, w sam raz, by położyć się wygodnie na łóżku i obejrzeć film, jedząc popcorn.

– Ja... Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Kovac rzucił facetowi wściekle spojrzenie. Gość nazywał się Bruce Green i miał dwadzieścia siedem lat. Był blady i pulchny, a jego głowę zdobiła czupryna jasnych loczków, które wyglądały, jakby zdjął je wprost z Harpo Marksa. Do tego dzwony i koszula w czarno-żółte pasy. Pod nosem trzymał zakrwawioną chustkę. Na jego czole rósł guz wielkości gęsiego jaja.

– Ja... ja tylko na chwilę popatrzyłem w dół – ciągnął Green, cały się trzęsąc. – Wypadł mi palmtop... Chciałem go podnieść, a wtedy... Wtedy przewróciłem swoją kawę, kawa się rozlała...

– Zamknij się – przerwał mu Kovac. Odwrócił się do policjantki, która pierwsza zjawiła się na miejscu wypadku. Hovney była kobietą o gabarytach budki telefonicznej, z twarzą jak płaska strona kowadła.

– Volvo stało przy krawężniku – powiedziała. – Wjechał mu w tył, a wtedy otworzył się bagażnik. Resztę już wiecie.

Samochód Greena – paskudna honda w kolorze zielonego groszku – miała skasowany przód. Plastikowe elementy karoserii popękały i ich kawałki walały się teraz po ziemi.

Ulicę z obu stron zamykał kordon policji. Miejsce wypadku otoczył tuzin radiowozów.

Kovac założył gumowe rękawiczki i spróbował przekreślić głowę martwej dziewczyny. Jej ciało było już całkiem sztywne. Policjanci z nocnego patrolu przed domem Carey Moore zgłosili, że opiekunka opuściła dom około dziesiątej trzydzieści. Musiała zginąć niedługo potem. Steżenie pośmiertne zaczęło się dwie do czterech godzin od momentu zgonu. Całkowite steżenie nastąpiło zaś po ośmiu, dwunastu godzinach.

Samochód stał w bocznej ulicy. Tuż za rogiem znajdowała się wypożyczalnia, do której Anka miała zamiar udać się po film i popcorn. Niedaleko od samochodu biegła ciemna, wąska alejka, prowadząca na tył wypożyczalni. Prawdopodobnie kierowca tam właśnie początkowo zostawił samochód, by nikt go nie zobaczył. Złapał dziewczynę, zaciągnął do ciemnej alejki, zabił, wsadził ciało do bagażnika, wyjechał i zaparkował w bocznej ulicy. Potem przesiadł się do saaba opiekunki i spokojnie ruszył w kierunku domu Moore'ów.

Przy kluczykach z pewnością znajdował się pilot otwierający bramę garażową, a także klucze do domu. Morderca mógł przed śmiercią zmusić dziewczynę, by podała mu kod wyłączający alarm w mieszkaniu. Albo – jak podejrzewał Kovac – dostał go już wcześniej od Davida Moore'a wraz z dwudziestoma pięcioma tysiącami dolarów.

– Możemy chyba skreślić opiekunkę z listy podejrzanych – powiedziała Liska.

– Tablice rejestracyjne należą do saaba... – ciągnęła Hoveny.

– Zamienił tablice – powiedział Kovac. Co oznaczało, że list gończy, który posłali za samochodem opiekunki, zawierał błędne namiary. – A czyj jest ten samochód?

– Numer identyfikacyjny wozu wskazuje na Christine Neal – powiedziała Dawes.

– Ktoś się z nią kontaktował? – zapytał Kovac.

– Bez rezultatu – odpowiedziała Dawes. – Posłałam do niej patrol.

Kovac pokręcił głową, zły na niepotrzebną śmierć. Jeśli Anka nie należała do spisku przeciwko Carey – a najwyraźniej nie należała – to była tylko przypadkową ofiarą, kolejną osobą, której przestępcy musieli się pozbyć, by porwanie sędziny przebiegło zgodnie z planem.

Jeśli porywaczem był Donny Bregen, to Christine Neal jeszcze żyła. Nie miałby potrzeby jej mordować. Za duże ryzyko. Z wiadomych przyczyn nie użyłby własnego wozu, ale było wiele sposobów, by ukraść samochód, nikogo przy tym nie zabijając.

– Czy zgłoszono kradzież tego wozu? – spytał Kovac.

– Nie.

Kiwnął głową.

– Cóż. Miejmy zatem nadzieję, że Christine Neal jest na wakacjach.



# L

Samochód zwolnił i skręcił z głównej drogi. Pod oponami zachrząścił żwir. Carey poczuła, jak serce skacze jej do gardła. Nikogo nie wywożono w odległe miejsce wbrew jego woli w dobrym celu.

Jeszcze raz spróbowała zadzwonić, ale wciąż była poza zasięgiem sieci, a jej bateria była prawie na wyczerpaniu. Obudowa telefonu pękła, gdy rozbijała nią osłonę lampki. Trzęsącymi się rękami wyłączyła telefon i schowała do kieszeni. Długa koszula zasłoni jego zarys... dopóki będzie ją miała na sobie.

Samochód się zatrzymał.

Nie miała bronii. Jej siła, nawet napędzana adrenaliną, nie wystarczy, by pokonać mężczyznę zdecydowanego ją skrzywdzić. Samochód zakołysał się. Kierowca wysiadł.

Wstrzymała oddech, czekając, aż kłapa bagażnika się podniesie, oślepi ją nagły blask słońca, a potem zobaczy twarz swojego oprawcy.

Ale bagażnik wciąż był zamknięty.

Znów otworzyły się drzwi samochodu, ale nikt nie wszedł do środka.

Carey zastanawiała się, gdzie, do cholery, się znajduje. Nie dobiegał do niej szum autostrady ani gwar ludzkich głosów. Jedyne, co słyszała, to odległy skrzek gęsi lecących na południe. Wiele by dała za wolność, jaką miały one.

Ale i tak dziękowała Bogu, że nie słyszy szczęku łopaty, kopiącej dla niej płytki grób.

# LI

Domek Christine Neal wyglądałby równie na miejscu, gdyby stał gdzieś na Nantucket Island. Niewielki garaż był pusty, drzwi wejściowe zamknięte, ale mała, ręcznie malowana tabliczka przy wejściu zapraszała gości do środka i informowała, że: „Tu mieszka Babcia”.

Policjanci kilka razy dzwonili do drzwi, zaglądali do okien, ale po Christine Neal nie było ani śladu.

Dawes dała sygnał.

– Wyważcie drzwi.

Dom był cichy i pachniał świeżością, jakby dopiero co ktoś w nim sprzątał.

– Ale tu dziwnie – powiedziała Liska.

– Czemu? – zapytał Kovac.

– Spójrz na to miejsce – powiedziała. – Jest takie schludne.

Liska dołączyła do nich na prośbę Kovaca. Oboje świetnie radzili sobie w pojedynkę, ale Kovac lubił współpracować z nią na miejscu zbrodni. Uzupełniali się, zwracali uwagę na inne rzeczy, wyczuwali różne wibracje, odmiennie interpretowali to, co widzieli.

– Nie każdy dzieli twój nowoczesny pogląd na kwestię porządku – powiedział Kovac, gdy przechadzali się po salonie, szukając jakichkolwiek oznak przestępstwa.

Posłał jednego z oficerów do ogrodu za domem i jednego do piwnicy. Dawes została przed drzwiami i pograżyła się w rozmowie telefonicznej z szefem wydziału dochodzeniowego, któremu starała się wytłumaczyć, jak doszło do kompletnego fiaska w domu Moore’ów.

– Nie każdy ma w domu dwóch dorastających chłopaków, a sam jest gliną z wydziału zabójstw – odparła Liska. – Popatrz, jaki ten dywan ma ciekawy wzór. I jaki jest czysty! Ja mam szczęście, gdy w ogóle widzę, że mam dywan.

– Hmm... Mogłabyś powiedzieć Szybkiemu, żeby odpracował część alimentów, sprząając ci raz na tydzień.

– Pewnie. Dwóch chłopaków, gliniarz z wydziału zabójstw i dupek. Dom wyglądałby tak samo, tylko śmierdziałby skarpetami, dymem z papierosów i tanim, meksykańskim żarciem.

Weszli do kuchni, która również była nieskazitelnie czysta.

– Chłopcy są u niego w ten weekend? – zapytał Kovac.

– Mhm. Ciekawe, czego pożytecznego nauczy ich tym razem. Ostatnio dowiedzieli się, jak skuć narkomana, nie dając się dźgnąć brudną igłą.

Kovac wyjrzał przez okno nad zlewem na ogród otoczony drewnianym płotem. Pośrodku grządki z pomarańczowymi dyniami stał uśmiechnięty strach na wróble.

– Cały Szybki. Model dobrego ojca – powiedział.

– To jedyny ojciec, jakiego mają – powiedziała Liska. – Ej, patrz na to. To amazonka. Miała raka piersi.

Liska stanęła naprzeciw lodówki i przyglądała się kolekcji kolorowych zdjęć. Życie i czasy Christine Neal.

– Mam ogromną nadzieję, że odwiedza te wnuki – powiedział Kovac.

Policjant, który sprawdzał piwnicę, wrócił na górę.

– Nie ma tam nic ciekawego oprócz mokrych ubrań w pralce – zakomunikował.

Kovac wyszedł z kuchni i ruszył dalej. Zajrzał do łazienki – idealnie czystej – i skierował się do pokoju, który jak się spodziewał, był sypialnią pani Neal.

Również tutaj niedawno odkurzano. Dywan biegnący od drzwi aż do białej, siatkowej kapy, spływającej z podwójnego łóżka, lśnił czystością.

Kovac rozejrzał się po pokoju. Nic nie było przewrócone, wszystko stało na swoim miejscu.

Uklęknął przy łóżku i uniół brzeg kapy.

Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem martwych oczu Christine Neal.

## LII

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Kovac. – Po co zabijać tę kobietę? Tylko po to, by zabrać jej samochód?

– Może ją znał? – zasugerowała Liska. – Może bał się, że go zidentyfikuje.

– Myślisz, że Christine Neal też siedziała w porno biznesie? Może istnieje cały porno świat dla ludzi po pięćdziesiątce, a ja nic o nim nie wiem?

– Nie chcę nawet o tym myśleć. Wciąż się nie mogę pozbierać po tym, czego dowiedziałam się o Tippenie.

Kovac prychnął.

– Proszę cię. Nie mów, że dopiero co odkryłaś, że Tippen ogląda pornosy.

– Nie, ale usłyszeć o tym prosto od niego... to było dla mnie trochę za dużo.

Stali w ogródku przed domem Christine Neal i czekali, aż ludzie koronera zabiorą ofiarę, zapakowaną w czarny, anonimowy worek. To będzie jej ostatnia chwila prywatności.

Do wieczora policja i media wywloką na światło dzienne wszystkie szczegóły jej życia, jak wnętrzności z martwego ciała. A jutro każdy, kto czyta gazety lub ogląda telewizję, będzie mógł się dowiedzieć, ile miała lat, co robią członkowie jej rodziny, co sądzili o niej sąsiedzi i jak zapamiętali ją współpracownicy.

Kovac zapalił papierosa i posłał Lisce ostrzegawcze spojrzenie. Uniosła ręce do góry w geście kapitulacji.

– A może sprawcą wcale nie jest Donny Bergen? – zasugerowała Dawes.

– Jest – odpowiedział Kovac.

– Czemu? Bo tak ci zależy, żeby zwalić całą winę na Moore'a?

– Wszystko się zgadza – upierał się Kovac. – Napad w piątkowy wieczór, wizyta Bergena w hotelowym barze w dokładnie takim stroju, jaki miał gość na nagraniu z parkingu. Moore chciał zakończyć małżeństwo, ale nie zamierzał niczego stracić. Carey zostaje porwana i zamordowana, Moore jest pogrążonym w żalu mężem i oddanym, samotnym ojcem, który dziedziczy wszystko przez Lucy.

Rozległ się dzwonek komórki porucznik Dawes. Westchnęła, odebrała telefon i odeszła na bok.

Liska przeniosła ciężar ciała na prawą nogę, zbliżając się w ten sposób do partnera. Stali do siebie ukosem, zwrócenii twarzami w stronę domu, za sobą mając rosnący tłum dziennikarzy i gapiów.

Kovac patrzył na dom, podniósł papierosa do ust i zdawał sobie sprawę, że Liska widzi drżenie jego dłoni. Morderca dwa razy zabił bez potrzeby. Nie mogli wykluczyć, że zrobi to ponownie. Zwłaszcza jeżeli ktoś mu za to płacił.

Christine Neal i Anka zginęły dla jego kaprysu. Oba samochody mógł ukraść, nie robiąc nikomu krzywdy. Mógł się zamaskować, związać te kobiety, zakleić im usta. Nie musiały go widzieć.

– Sam, są inne rozwiązania tej zagadki – powiedziała Liska.

– Może i tak – zgodził się Kovac. – Ale czy któreś z nich jest dobre, Dzwoneczku? Czy myślisz, że ta sprawa może mieć szczęśliwe zakończenie? Wiesz równie dobrze jak ja, że większość ofiar porwania ginie w ciągu kilku godzin – i to ofiar uprowadzonych dla okupu. A tutaj nie chodzi przecież o żaden okup. Nikt nie zadzwonił z żądaniem. I nie zadzwoni.

– Powiedzmy, że to nie Donny Bergen – ciągnął Kovac. – To kogo mamy w kolejce? Stana Dempseya? Tego twojego chłopaka, Bobby’ego? Czy scenariusz z ich udziałem lepiej się kończy? W ciągu godziny widzieliśmy dwa martwe ciała.

– Musisz zebrać się do kupy, Kojaku – powiedziała Liska twardo, ale z uczuciem. Ludzie koronera właśnie pchali nosze z ciałem przez drzwi. – Jeśli Carey Moore ciągle żyje, to na pewno nie chciałaby, żebyś spisywał ją na straty.

Kovac zacisnął oczy i pomasaował czoło palcami. Dobrego glinę cechowała umiejętność zachowania obiektywizmu, a także nieustępliwość. Dzięki tym przymiotom udało mu się zrobić karierę.

Skończył papierosa, zgasił na progu, a niedopałek wyrzucił do wydrążonej, halloweenowej dyni.

Liska położyła mu dłoń na ramieniu, przywołując jego uwagę. Wzruszyła go troska w jej wzroku.

– Dasz sobie radę?

Kovac zmusił się do uśmiechu.

– To się dopiero okaże. Wolę dziesięć morderstw niż jedno porwanie.

– Tylko się nie obwiniaj – ostrzegła go Liska. – Za rozczulanie się nad sobą musiałabym skopać ci tyłek.

Jakoś udało mu się zaśmiać – nie dlatego, że poczuł się lepiej, ale ponieważ takiej reakcji oczekiwała od niego Liska.

– Wracajmy do roboty, Dzwoneczku – powiedział. – Musimy rozwikłać kilka przestępstw.

## LIII

Cisza trwała tak długo, że Carey zaczęła się obawiać, iż została porzucona. Może samochód stał na torach kolejowych, a ona czekała właśnie na nadjeżdżającą śmierć? Może porywacz zostawił ją na jakimś zapomnianym wysypisku śmieci i umrze tu z odwodnienia po dniach strasznej męki? A może spotka ją coś jeszcze gorszego...?

Znalazła po omacku kawałki plastiku z pokruszonej lampki. Starła się wybrać ostrzejszy fragment, którego mogłaby użyć przeciwko porywaczowi w razie, gdyby jednak po nią przyszedł.

Zastanawiała się, kto to jest. Stan Dempsey? Czy naprawdę aż tak dalece zblądził? Był policjantem, na miłość boską! Jak godził krzywdzenie ludzi, może nawet ich zabijanie, z ponaddwudziestoletnią służbą w obronie prawa?

Kovac mówił, że Dempsey pragnął sprawiedliwości – w jego własnym rozumieniu. Ale czy jego pojęcie sprawiedliwości było aż tak skrzywione, by mógł posunąć się do zbrodni?

Żałowała, że nie widziała kasety, którą nagrał i zostawił kolegom do obejrzenia. Chciałaby wiedzieć, jak się zachowywał, jaki był ton jego głosu, jak wyglądał...

A co będzie, jeśli to nie był Dempsey? Co z notatką, którą zrobił David: \$25 000? Co, jeśli Kovac od początku miał rację i jej mąż tak bardzo chciał się jej pozbyć, że był gotów komuś zapłacić, by to zrobił?

Ciekawe, czy Kovac już jej szuka. Pewnie tak. Rano do niej dzwonił albo nawet przyszedł, by napić się z nią kawy. Ale skąd miał wiedzieć, gdzie jej szukać? Była igłą w stogu siana.

Pomyślała o Lucy. Gdzie teraz jest? Czy się boi? Czy jest z Davidem? Czy jest żywa?

Usłyszała chrzęst kroków na żwirze. Ktoś wsunął klucz do zamka bagażnika i go przekręcił.

Gdy kłapa bagażnika uniosła się, słońce zaświeciło Carey prosto w oczy i całkiem ją oślepiło. Widziała nad sobą ludzką sylwetkę, ale nie umiała rozpoznać osoby. Miała włosy do ramion. „To kobieca fryzura” – pomyślała Carey.

– Możesz już wyjść, Carey. Wszystko dla ciebie przygotowałem – powiedział męski

głos.

Schylił się nad nią, by ją wyciągnąć.

Przerażona Carey zamachnęła się i ugodziła go kawałkiem złamanego plastiku, wbijając ostry koniec w jakąś część jego twarzy. Mężczyzna krzyknął i zatoczył się do tyłu.

„Wyjdź z bagażnika! Wyjdź z bagażnika!”

Jej umysł pracował szybciej niż ciało. Spędziła w ciasnym wnętrzu tyle czasu, że jej mięśnie zdążyły zeszywnieć, a wciąż jeszcze cierpiała po ataku na parkingu. Wstrząs mózgu sprawił, że gdy zaczęła wygrzebywać się z bagażnika, zawiroowało jej w głowie.

Postawiła stopy na ziemi, ale nogi ugięły się pod nią i upadła na stłuczone kolana. Jej ciało przeszył piorunujący ból. Niezgrabnie się podniosła i spróbowała ruszyć do przodu, zanim jeszcze całkiem się wyprostowała.

Świat zakotył się najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Zrobiła krok, potknęła się, wróciła do pionu, potknęła się znowu i tym razem jak długa poleciała do przodu. Ziemia nagle uniosła się do góry. Twardy, ubity grunt i wyschłe źdźbła traw groźnie zbliżały się do jej twarzy. Wysunęła ręce, by złagodzić siłę upadku. W jej dłonie wbiły się dziesiątki małych kamyków.

To był koszmar, a najgorsze w nim było to, że wcale nie spała.

Gdy spróbowała wstać, czyjeś ręce złapały ją od tyłu, podciągnęły do góry i trzymały w żelaznym uścisku. Carey starała się kopać, ale brakowało jej sił do walki. Nie była w stanie się wyrwać. A nawet jeśli udało by się jej uwolnić, nie dałaby rady uciec. A jeśli nawet udałoby się jej i to, nie miała dokąd uciekać. Wokół niej było szczere pole, kępy nagich drzew i wyschnięte kukurydziane łodygi.

Strach potrząsnął nią jak szmacianą lalką. Z całych sił powstrzymywała się, by nie wybuchnąć głośnym, histerycznym płaczem, bo wiedziała, że jej krzyk tylko podnieciłby jej oprawcę. Ale z jej oczu popłynęły łzy, potoczyły się po policzkach i nie mogła nic na to poradzić.

– Nie musisz uciekać – powiedział głos łagodnie. – Nigdy bym cię nie skrzywdził, Carey. Jesteś moim aniołem.

Obrócił ją do siebie i trzymał na odległość wyciągniętych ramion.

– O mój Boże – wyszeptała Carey, a strach sięgnął do jej gardła i zdławił jej oddech.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę, była głęboka rana w jego policzku, tam, gdzie trafiła go kawałkiem złamanego plastiku. Leciąca z niej krew, spływała po brodzie oraz gardle i wsiąkała w brązowy sweter, który miał na sobie.

A potem uderzył ją jego makijaż – domalowane usta, nadmiar cienia na powiekach,



rozmazany tusz do rzęs, róż na policzkach. Spod warstwy wyschniętego, spękanego podkładu przebijał cień świeżego zarostu.

Uniósł rękę i ściągnął z głowy jasną perukę.

– To ja – powiedział z uśmiechem, jakby był jej starym, dobrym znajomym. – Karl.  
Karl Dahl.

## LIV

Carey wpatrywała się w Karla Dahla: łysa czaszka pokryta sińcami, z jednej strony wielki strup – ktoś musiał go mocno uderzyć. Krzykliwy makijaż. Poszarpana dziura w policzku, jej brzezi falujące do środka i na zewnątrz, gdy oddychał przez usta. Przekrwione białka oczu.

Był przebrany za kobietę. Miał na sobie brązową spódnicę do pół łydki i buty na niskim obcasie.

Jakieś dwadzieścia metrów za nim, po prawej stronie, znajdował się stary, spalony budynek z cegły. Dwa piętra poczerniałe od sadzy. Wyglądało na to, że od dawna nikogo tu nie było. Wybite okna ziały pustką. Przez dziury w dachu, tam gdzie jego fragmenty zapadły się lub spaliły, do środka wpadało słońce.

Karl Dahl miał zamiar zaciągnąć ją do tego budynku. Carey zapała się, ale on trzymał jej ramiona w mocnym uścisku.

– Nie musisz się mnie bać, Carey – powiedział spokojnym głosem.

Sposób, w jaki wymówił jej imię, przypominał pieszczotę kochanka i wprawiło ją to w niepokój.

– Powinieneś się do mnie zwracać „pani sędzino”, Karl – odezwała się głosem, którego prawie nie rozpoznała: suchym, szorstkim skrzekiem wydobywającym się z bolącego gardła. Jej krtań spuchła do rozmiarów pięści. Starła się mówić spokojnie i zdecydowanie, by wzbudzić w nim szacunek.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie. To już za nami. Ty jedyna byłaś dla mnie dobra. Tylko ty zrozumiałaś, że te rzeczy, które wcześniej robiłem, nie były takie naprawdę złe.

Karl miał na swoim koncie kilka aresztowań i odsiadek za różnorakie przewinienia – wtargnięcie na cudzy teren, zaglądnienie do okien, publiczne obnażanie, kilka włamań. Ale nic brutalnego. Żadnego porwania, użycia przemocy, gwałtu...

Ale miał stanąć przed sądem oskarżony o okrutne zamordowanie kobiety i jej dwójki dzieci – kobiety, która okazała mu swą życzliwość.

Wróciły do niej słowa, które w piątkowy wieczór usłyszała od Chrisa Logana:

„Tacy są wszyscy zbrodniecy. Zaczynają od małych rzeczy, a potem robią coraz gorsze”.

Logan miał rację. Carey całkowicie się z nim zgadzała. Dusiciel z Bostonu też zaczynał jako podglądacz.

Gdy jako prokurator przygotowywała się do procesu, starała się powiązać wcześniejsze wykroczenia oskarżonego w taki sposób, by wykazać, że wskazują na eskalację przestępczych zachowań. I zawsze z uporem forsowała swoją wersję, robiąc wszystko, by przekonać do niej sędziego.

Ale teraz sama była sędzią i musiała przestrzegać innych standardów.

– Niewiele o tobie wiem, Karl – powiedziała zdławionym głosem.

Spojrzała nad jego lewym ramieniem i zobaczyła samochód. Samochód Anki. Ogarnęła ją panika. Rozmawiała z nią wczoraj wieczorem, gdy Anka wybierała się po film do wypożyczalni. Po jej powrocie była tak zagubiona we własnych myślach, że nie zwróciła na nią uwagi. Jak przez mgłę pamiętała, że słyszała otwieranie kuchennych drzwi. Kątem oka uchwyciła postać jasnowłosej kobiety idącej korytarzem, potem słyszała, jak wchodzi po schodach na górę.

Myśl, że tą blondynką mógł być Karl Dahl, przyprawiła ją o dreszcze. Jak długo był w jej domu? Co robił, gdy ona siedziała w gabinecie, odkrywając, do jakiego dna deprawacji zniżył się jej mąż? Czy był na górze, gdy weszła do sypialni i zmęczona upadła na łóżko, nie mając siły się rozebrać? Czy był wtedy w jej pokoju? Czy był w pokoju Lucy?

Przez ułamek sekundy przed oczyma stanęło jej zdjęcie zamordowanych dzieci Haasów.

– Co tam... – powiedział Karl nieśmiało – nie ma wiele do opowiadania.

– Na pewno jest – powiedziała Carey drżącym głosem. – Każdy ma jakąś historię.

– Ja to na pewno chętnie posłucham twojej – powiedział. – Chodźmy, wejdźmy do środka. Wszystko dla ciebie przygotowałem.

– O czym ty mówisz, Karl?

Posiał jej zagadkowy uśmiech, wyglądający raczej jak upiorny grymas przez ten błazeński makijaż i wciąż krwawiącą ranę, której zdawał się w ogóle nie zauważać.

– Wkrótce sama zobaczysz.

Ruszył do budynku, ciągnąc Carey ze sobą. Wszystko mówiło jej, żeby nie wchodziła z nim do środka. Jak długo pozostawali na zewnątrz, była szansa, że ktoś przejedzie w pobliżu i ją uratuje. Z każdym krokiem w kierunku domu ta szansa malała.

– Cz-czy nie m-moglibyśmy zostać t-tu chwilę dłużej, Karl? – zapytała. – Nie czuję się

z-za dobrze. Mogłabym trochę pooddychać świeżym p-powietrzem?

Nie kłamała. Mówiąc te słowa, poczuła, jak ścisną ją w żołądku. Upadła na kolana i zwymiotowała w kępę chwastów. Karl trzymał ją za dłoń jak czuły kochanek, który stara się pocieszyć cierpiącą towarzyszkę.

– Powinnaś się położyć. Tak właśnie powinnaś zrobić – powiedział łagodnie, kucając koło niej. – Za dużo emocji. Tyle nerwów. I po co?

– N-nie. Czy moglibyśmy, p-proszę, posiedzieć tu jeszcze chwilę. Bardzo kręci mi się w głowie.

– To przez tego, co pobił cię na parkingu, prawda? – zapytał. – Za mnie cię pobił. Widziałem wszystko w telewizji dzisiaj rano. I czytałem w „Star Tribune”. Lubię dobre gazety. Piszą takie długie historie. Można więcej poczytać. Przykro mi, że zrobił ci coś takiego. Jak to zobaczyłem w telewizji, od razu wiedziałem, że jesteś moim aniołem.

Carey usiadła na pietach. Trzęsła się.

– Nie jestem aniołem, Karl. Jestem zwykłą osobą. Mam rodzinę. Mam... m-mam małą córeczkę. Jestem sędzią. Po prostu wykonywałam swoją pracę.

– Zimno ci – powiedział. – Wejdzmy do środka. Rozpaliłem ogień.

Włożył jej rękę pod ramię i, wstając, podniósł ją.

– Co to w ogóle za miejsce? – zapytała. – Gdzie jesteście?

– To moje potajemne schronienie. Wiele razy tu się zatrzymywałem. Nikt mi tu nigdy nie przeszkadzał.

– Mam na myśli ten budynek – powiedziała, starając się nie zastanawiać nad tym, co właśnie powiedział Dahl. – Co to za miejsce? Do czego służyło?

– Był tu kiedyś skład amunicji, jeszcze za II wojny światowej. Wszędzie wkoło walają się pociski, a znaleźć można i inne rzeczy. Ale nikt się tym nie przejmuje, chociaż przy tych wszystkich terrorystach powinni to chyba pozabierać, no nie? Wiesz, że jeden pilot z dziewiątego września uczył się latać odrzutowcem właśnie tu, w Minneapolis?

Carey zabrakło słów. Absurdalność tej sceny ją przerosła. Człowiek, który ją porwał, a wcześniej zamordował troje ludzi, najspokojniej w świecie rozwodził się nad kwestią bezpieczeństwa narodowego.

Gdy patrzyła na niego w osłupieniu, do jej nozdrzy doleciał ohydny smród siarki. Rafineria. Nie widziała jej, ale musiała być w pobliżu.

– Ostrożnie – powiedział Karl, prowadząc ją w górę po spękanych, betonowych stopniach.

Budynek był ruiną. Nie miał sufitu, tylko gdzieś tam ostały się resztki ścian. Karl

wiódł ją czymś, co kiedyś mogło stanowić korytarz. Skręcili raz, potem drugi, coraz bardziej oddalając się od wejścia.

Podłoga była brudna, usłana gruzem i śmieciami – szkłem z potłuczonych butelek, puszkami po piwie, papierami po jedzeniu. Kawałki żwiru i pokruszonych cegieł wbijały się w jej gołe stopy.

– Dokąd idziemy, Karl? – zapytała.

– Zobaczysz – odparł. W jego głosie słyhać było niepokojącą, chłopięcą ekscytację. – Jestem z tego naprawdę dumny.

Powiódł ją za róg ceglanej ściany, do miejsca, w którym nikt mu nigdy nie przeszkadzał.

Nad tą częścią budynku zachował się większy fragment dachu. Nie było okien, więc do środka nie docierało słońce. Karl rozjaśnił ciemność, rozstawiając wokoło zapalone świece.

W migoczącym, złotym świetle Carey ujrzała, z czego Dahl był tak dumny i zmroził ją nagły strach.

Karl uwił tu małe gniazdko z poduszek i koców. Na stojącym w rogu grillu tlił się ogień. Przewrócone do góry nogami skrzynki po warzywach służyły za szafki i stoliki. W kubku z lodem chłodził się szampan, obok czekały dwa kieliszki. Przyniósł tu nawet czyjeś rodzinne zdjęcia.

Wzrok Carey zatrzymał się na nich i powoli dotarła do niej prawda. Czarnobiałe zdjęcie z rozdania dyplomów. Oprawiona w srebrną ramkę fotografia dziecka.

Czyjeś rodzinne zdjęcia.

Jej zdjęcia.

## LV

– Gdzie on jest? – zapytał gniewnie Kovac, wparowując do sali narad wojennych.

– Pokój przesłuchań numer trzy – odpowiedziała Sawes. – Możesz popatrzeć przez szybę.

– Pieprzę coś takiego. To mój podejrzany.

– Radzę ci zmienić ton, detektywie sierżancie Samie Kovac – odpowiedziała mu Dawes prosto w twarz. – Chyba że naprawdę zależy ci na tym, by znów wskoczyć w policyjny mundur. Twoja ranga ograniczy się do samego sierżanta, jeśli jeszcze raz odstawisz taki numer jak z Davidem Moore'em.

– Nie zrobię nic głupiego.

Dawes rzuciła mu pełne wątpliwości spojrzenie.

– To naprawdę duża sprawa, Sam. Każdy dziennikarz i polityk w mieście patrzy nam na ręce. Szef wydziału zabójstw, jego zastępca i komendant policji siedzą mi na karku. Nie mogę ryzykować, że spieprzysz to przesłuchanie, zastraszając podejrzanego.

– On porwał sędzinę! – wrzasnął Kovac. – Co, do cholery, mamy zrobić? Podać mu herbatę i ciasteczka?

– Możesz albo się przyglądać, albo sobie pójść.

– Czy nie to samo powiedziała mu druga żona w czasie miesiąca miodowego? – wtrącił Tippen, chcąc rozładować napięcie.

Kovac nie odrywał wzroku od Dawes i starał się zdusić w sobie buzujące w nim emocje. Musiał znaleźć się w pokoju przesłuchań z Donnym Bergenem, który nieco wcześniej został zatrzymany w swoim mieszkaniu przez Tippena i kilku policjantów. Pakował torby z zamiarem udania się na samolot do St. Kitts.

– Szefie, słuchaj – powiedział Kovac, zniżając głos o kilka decybeli. – To ja rozmawiałem z jego siostrą. Na pewno go przede mną ostrzegęła. To ja załatwiłem za skórę Moore'owi i wkurzyłem Ivorsa setką telefonów. On jest z tej samej bandy, której ostatnio konsekwentnie uprzykrzałem życie. Jeśli teraz pošlecie kogoś innego, to dla nich wszystko zacznie się od początku.

Dawes wpatrywała się w niego, ważąc wszystkie za i przeciw. Nie wyglądała na

zadowolona. Kovac miał nadzieję, że to dobry znak. Nie znał jej jeszcze na tyle dobrze, by przewidzieć, jak się zachowa. To była ich pierwsza wspólna sprawa tego kalibru.

Pewnie właśnie przypominała sobie to wszystko, co usłyszała o nim od przełożonych, gdy obejmowała stanowisko. Ktoś z pewnością powiedział jej o Amandzie Savard, która zabiła się na jego oczach, i o długich miesiącach, jakie zajęło mu dojście do siebie. A teraz widziała, jak traci głowę z powodu Carey Moore.

Kovac rozłożył ręce w geście kapitulacji.

– Pozwól mi wejść razem z tobą. Zabierz spluwę. Jak zacznę posuwać się za daleko, to mnie zastrzelisz.

– Czemu mnie nigdy nie złożył takiej propozycji? – spytała Liska.

– Bo ty byś z niej skorzystała – odpowiedział Elwood.

– Tak. To możliwe.

Dawes ciężko westchnęła.

– A w razie czego masz inny pomysł na życie zawodowe? – zapytała Dawes z wyraźną irytacją w głosie.

– Jeśli Donny Bergen wypadnie z obiegu, w pornograficznym światku powstanie próżnia.

Liska uderzyła go w ramię.

– Fuj!

– Podobno nawet nieźle się bzykam – powiedział Kovac.

Porucznik Dawes uniosła wzrok do sufitu i potrząsnęła głową.

– Boże, zlituj się nade mną! Dobrze, detektywie Kovac. Wejdziemy razem. Ale jeśli przegniesz choćby na milimetr, to szykuj sobie siatkę do włosów i fartuszek, bo od poniedziałku będziesz pracować w McDonalddie!

Długi Donny Bergen siedział rozwalony na krześle, z rękami założonymi na piersi i wyciągniętymi nogami. Ta wystudiowana poza miała zapewne sugerować nonszalancję i jednocześnie pozwalała Bergenowi eksponować jego słynny atut, rysujący się wyraźną wypukłością pod dzinsowymi spodniami.

Poza tym jednym miejscem nie był dużym mężczyzną. Szczupły i żyłasty, mógłby spokojnie ująć za kobietę, gdyby założył sukienkę. Przypominał swoją siostrę – ta sama wąska twarz, bladość skóry, czerwony czubek nosa.

Kovac miał ochotę zapytać, czy dealer dawał im zniżkę rodzinną. Chciał też zająć go

od tyłu i wyrwać mu krzesło spod tyłka. Ale powstrzymał się od obu tych rzeczy.

– Panie Bergen. Jestem porucznik Dawes, a to detektyw Kovac. Dziękuję, że zechciał się pan z nami spotkać.

Dawes zajęła krzesło obok Bergena, siadając pod kątem do stołu. Swobodna pozycja, noga założona na nogę, łokieć oparty na blacie. Kovac usiadł naprzeciw Bergena, po drugiej stronie stołu. Nie uśmiechnął się. Nic nie powiedział. Po prostu na niego patrzył.

Bergen zaśmiał się.

– Nie miałem dużego wyboru, no nie? Banda waszych osiłeków zapukała do moich drzwi. Nie mogłem odmówić.

Dawes udała zaskoczoną.

– Och. Ale przecież pan nie jest aresztowany, panie Bergen. Bardzo mi przykro, jeśli odniósł pan takie wrażenie.

Zawadiacka mina wyluzowanego dupka powoli ustąpiła zdziwieniu. Usiadł prosto i nachylił się do Dawes.

– To nie jestem aresztowany?

– Nie. Chcieliśmy jedynie porozmawiać z panem na temat interesów, jakie prowadzi pan z Davidem Moore'em. Zdaje się, że całkiem dobrze go pan zna. Mieliśmy nadzieję, że wie pan o czymś, co mogłoby nam ułatwić znalezienie jego żony.

Bergen patrzył na nich podejrzliwie.

– Nie jestem aresztowany?

– Odpowiada pan z wolnej stopy.

– Więc nie muszę nic mówić. I nie potrzebuję adwokata.

– Nie potrzebuje pan adwokata.

– Mogę więc sobie pójść? – zapytał Bergen. Wstał, podciągnął spodnie i ruszył do drzwi, pomachawszy im na pożegnanie. – Fajnie było.

Kovac spiął się i czekał, aż Dawes zareaguje. Facet, który prawdopodobnie porwał Carey – jeśli nic gorszego – właśnie sięgał ręką do klamki.

– Nie – powiedziała Dawes spokojnie. – To, niestety, nie tak się odbywa. Proszę, niech pan wróci i sobie usiądzie.

– A po co? – postawił się Bergen.

– Żeby się dowiedzieć, że jako ważnego świadka zatrzymam pana w areszcie, a tam pozna pan nowych, interesujących kolegów.

– Czy pani mi grozi?

– Ależ skąd – powiedziała Dawes, wstając. – Mówię tylko panu, jak jest, Donny.



Podeszła do drzwi.

– Władze tego miasta są bardzo zaniepokojone utratą jednego ze swych wiodących jurystów.

– Myślałem, że ona jest sędzią – powiedział Bergen. – A zresztą i tak nic na ten temat nie wiem.

– Może i nie – zgodziła się Dawes. A potem, nieznacznie zmieniając postawę i wyraz twarzy, w jednym momencie przestała być serdeczną gospodynią. Jej głos zabrzmiał ostrzej. – Ale wrócisz do stołu, posadzisz swój chudy tyłek na krześle i powiesz nam wszystko, co wiesz, albo będziesz potrzebował tego prawnika, i to w dużo poważniejszej sprawie.

Kovac zasłonił usta dłonią i uśmiechnął się do siebie. Dobra była.

– Lepiej posłuchaj tej pani, gówniarzu – powiedział. – Myślisz, że jesteś taką grubą rybą? Ludzie, o których ona mówi, dźbią sobie w zębach takimi jak ty.

Bergen przeniósł wzrok z Kovaca na Dawes.

– Czy on musi tu być?

– To jego śledztwo. O co chodzi, Donny? Boisz się, że detektyw Kovac za dużo wie o twoich sprawach rodzinnych?

Bergen wytknął Kovaca palcem.

– Siostra mi mówiła, że ją napastował. Ma zamiar pozwać miasto.

– To urocze – powiedział Kovac. – Narkotyzująca się dziwka ma zamiar pozwać władze miasta. Nie mogę się doczekać, co włoży na konferencję prasową.

Bergen nachylił się w jego kierunku, bezpieczny za dzielącym ich stołem.

– Ginnie ma przyjaciół, dupku.

– Oczywiście, na pewno wielu – powiedział Kovac. – Kolega dealer, stali klienci, kilku alfonsów...

– Ona nie jest prostytutką!

– Już nie – zgodził się Kovac. – Po co pieprzyć się z setką facetów po kilka dolców za numerki, kiedy można się przyczepić do takiego tłustego kleszcza jak David Moore? Wystarczy jeszcze tylko pozbyć się jego żony i życie jak w Madrycie. Ładny dom nad Lake of Isles, bogaty mąż. Szkoda tylko, że pieniądze nie mogą kupić akceptacji środowiska. Dla ludzi z tej dzielnicy dalej byłaby jedynie dziwką ze skłonnością do używek.

Bergen zrobił się czerwony na twarzy.

– Przestań ją tak nazywać!

– Proszę usiąść, panie Bergen – powiedziała Dawes, wracając do roli uprzejmej gospodyni. – Niech nam pan tylko wyjaśni kilka kwestii. Jeśli nie zrobił pan nic złego, nie

powinien pan mieć z tym problemu.

Bergen usiadł, opierając obcas kowbojskiego buta o szczebel krzesła. Łokieć położył na kolanie i zaczął gryźć paznokcie. Wyglądał jak szczur, który czyści sobie łapę.

– Czy może nam pan powiedzieć, gdzie pan był w piątkowy wieczór? – zapytała Dawes.

– Myślałem, że nie jestem podejrzany.

– Staramy się potwierdzić zeznania osób trzecich.

– Wyszedłem – powiedział. – Byłem w mieście. Jak zawsze, gdy tu przyjeżdżam.

– Nie mieszka pan tu na stałe?

– Nie. Kurewsko tu zimno.

– Gdzie pan więc mieszka?

– W Los Angeles, Encino.

Dolina San Fernando. Amerykańska stolica wyuzdania. Kovac gdzieś o tym czytał. W wynajętych domach tej skądinąd szacownej dzielnicy kręcono najostrzejsze filmy pornograficzne.

To, że mieszkał tam Donny Bergen, nadawało całkiem nowy sens słowom „chłopak z sąsiedztwa”.

– Dobra, posłuchaj – powiedział Kovac. – Miło się rozmawia i w ogóle jestem pewien, że fajnie by było uciąć sobie z tobą dłuższą pogawędkę, gdybym akurat nie uważał, że jesteś parszywym wrzodem na tyłku tego świata. Więc przejdźmy do sedna. Wiemy, że w piątkowy wieczór pojawiłeś się w barze hotelu Marquette, by spotkać się z siostrzyczką i resztą bandy. O co chodziło?

– O nic nie chodziło – warknął Bergen agresywnie. – Wpadłem, żeby wypić drinka z siostrą. I co w tym złego?

– Gdzie byłeś wcześniej?

– W domu, przygotowywałem się do wyjścia.

– Ktoś był z tobą?

Bergen znów zwrócił się do porucznik Dawes.

– Nie rozumiem, jak to ma potwierdzić czyjeś zeznania. Wygląda na to, że chcecie mnie w coś wrobić.

– Informacja na temat tego, czy była z panem pewna osoba, jest dla nas i, ma się rozumieć, dla tej osoby bardzo istotna – tłumaczyła Dawes. Kłamała, ale to nie miało znaczenia. Przesłuchujący nie mieli obowiązku mówić prawdy. Tylko przesłuchiwni kłamiąc, ryzykowali, że trafią za kratki.

Bergen zmrużył oczy.

– Jaka osoba?

„Ten dzieciak jest głupi jak but – pomyślał Kovac. – Dobrze, że ma inne talenty”.

– Tego nie możemy ci powiedzieć, Donny – oświadczył Kovac. – Mógłbyś wtedy wybrać, jaką historyjkę nam opowiesz, w zależności od tego, czy tę osobę lubisz, czy nie.

Bergen gimnastykował się z tą zagadką i widać było, że bardzo się męczy.

– To oznacza, że musisz powiedzieć nam prawdę – wytłumaczyła mu Dawes.

Skrzywił się, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że tak czy siak ma przerąbane.

– O co chodzi, Donny? – zapytał Kovac. – Była tam z tobą jakaś nieletnia panna?

– Nie! Nie potrzebuję do tego nieletnich.

Kovac wyszczerzył się w drapieżnym uśmiechu.

– Ale przecież nie chodzi o to, czego potrzebujesz, tylko czego chcesz, prawda?

– Byłem sam.

– Między szóstą a siódmą – sprecyzowała Dawes – był pan w domu i w dodatku sam?

– To właśnie powiedziałem.

– Czy ktoś widział, jak opuszczał pan mieszkanie?

– Nie wiem. Ale nie sędzę.

– Mieszkasz w Kalifornii – powiedział Kovac – ale masz tu mieszkanie. Musisz często bywać w Minneapolis.

– Mój menadżer mówi, że to dobra inwestycja.

– Co robisz z mieszkaniem, gdy cię tu nie ma? Wynajmujesz?

– A co za różnica.

– Po prostu jestem ciekawy – Kovac wzruszył ramionami.

– Czy w piątkowe popołudnie rozmawiał pan z siostrą przez telefon? – zapytała Dawes.

– Tak. Koło trzeciej, trzeciej trzydzieści. Dzwoniła, żeby mnie zapytać, czy nie chcę wpaść do hotelu, aby się z nią spotkać.

– Nie wie pan, czy podczas tej rozmowy był z nią David Moore?

– Chyba był.

– Jak dobrze go znasz? – zapytał Kovac.

– Nie chodzimy razem na piwo, jeśli o to pytasz. Nie podzielam gustu mojej siostry w kwestii facetów, chociaż ten przynajmniej jest przy forsie.

– Jak go poznałeś?

– Przez Eddiego. Jakiś rok albo półtora temu.

– Eddiego? – dopytywała Dawes.

– Tak. Eddiego Ivorsa. Jego znam przez filmy. To on mnie przedstawił Dave'owi.

– Chodzi o filmy erotyczne?

– Wiadomo – powiedział Donny ze złośliwym uśmiechem. – Wszyscy myślą, że Eddie się dorobił na tych multipleksach. A prawda jest taka, że dorobił się na pornolach i dzięki temu mógł kupić te kina. Szacowny pan biznesmen, niech mnie szczyści.

– A David Moore? Co go wiąże z Ivorse? – zapytał Kovac, czując, jak skacze mu tętno. David Moore, uznany dokumentalista. Kovac wiedział, jaka będzie odpowiedź Bergena, zanim ten otworzył usta.

– To samo. Wyreżyserował dla niego kilka filmów. Mocno hardcorowych.

Kovac odsunął się z krzesłem od stołu tak szybko, że gdy wstał, krzesło upadło. Donny Bergen skulił się ze strachu. Dawes podniosła się, odwróciła i całą uwagę skupiła na Kovacu, który przestał sobie zdawać sprawę z ich obecności.

„Ten gówniany szcurzy pomiot”.

Miał przed oczyma zdjęcie Moore'a z jego strony internetowej – patrząca z wyższością twarz zadufanego w siebie artysty. A nie był lepszy od zwykłego alfonsa. Nie, on był nawet gorszy! Zarabiał pewnie krocie, pławiąc się w moralnym rynsztoku, a jednocześnie wciąż wyciągał pieniądze żony. To oznaczało, że miał konta bankowe, o których nikt nie wiedział, pazerny skurwiel! A wciąż płacił za mieszkanie kochanki z rodzinnej kasy. Nie do wiary, kurwa!

Kovac potarł skronie i zaczął nerwowo przechadzać się przed drzwiami.

Dawes patrzyła na niego z niepokojem.

– Wszystko w porządku, detektywie? Może lepiej wyjdzie pan na zewnątrz?

Zanim zdążył odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi, a po sekundzie wyjrzała zza nich głowa Elwooda.

Elwood zwrócił się ścisłym głosem wprost do Kovaca.

– Chyba znalazłem kryjówkę Dempseya.

## LVI

Carey poczuła, jak jej żołądek gwałtownie się kurczy, a cała krew odpływa z głowy do stóp.

Fotografia malej Lucy w srebrnej ramce. Czarnobiałe zdjęcie jej samej z uroczystości wręczenia dyplomów, obok niej ojciec, który patrzy na nią z wyraźną dumą. To były fotografie, które trzymała na nocnej szafce koło łóżka.

Jeszcze raz, powoli rozejrzała się po wnętrzu i omal nie zwymiotowała, gdy dotarło do niej, że otaczają ją znajome przedmioty. To było jej wiaderko na szampana, jej kieliszki, jej poduszki i pościel. Karl Dahl obrabował jej dom z rzeczy, które – jak sądził – chciałyby mieć przy sobie.

„Boże, ratuj”.

– Przywiozłem ci nawet trochę ubrań – powiedział, wskazując na rzeczy wiszące na starym, zardzewiałym haku, wystającym ze ściany. Sukienki. Bielizna.

Miał zamiar ją tu trzymać. I wydawał się myśleć, że powinna być zadowolona i wdzięczna za zaszczyt bycia jego gościem.

– Zimno ci – powiedział. – Powinnaś się okryć.

Idealny gospodarz. Cała scena była tak przerażająco surrealistyczna, że aż trudno było jej uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Karl Dahl stał naprzeciw niej, jego policzek i lewą stronę szyi pokrywała krew. Był łysy, na twarzy miał makijaż i był ubrany w damski strój. Nie powiedział ani słowa na temat tego, że go zraniła, jakby w ogóle tego nie zauważył.

Złota narzuta pochodziła z sofy w gabinecie. W piątkową noc spał pod nią David. Pachniała dymem z cygara, dżinem i duszącymi perfumami jakiejś kobiety. Carey miała ochotę rzucić ją z siebie jak jadowitego węża, ale Karl szczelnie owinał ją wokół jej ramion.

– Usiądź, proszę – powiedział, prowadząc ją w kierunku jedynej mebli w pomieszczeniu – taniego fotela ogrodowego, który czas świetności przeżywał dziesięć lat temu. Był zardzewiały, brudny i trudno było stwierdzić, jakiego mógł być kiedyś koloru. Pamiętała tego typu fotele z młodości. Ona, tak jak wszystkie dziewczyny, miała podobny, ale w wersji wypoczynkowej. Dało się go rozłożyć całkiem na płasko, co czyniło go idealnym do opalania.

Na krótki moment wróciło do niej wspomnienie, jak ona i Sanda Butler leżały na brzuchach w jej ogrodzie na takich właśnie rozkładanych fotelach i słuchały radia na pełen regulator. To był takie niewinne czasy.

– Naprawdę powinnam już iść, Karl – powiedziała. – Doceniam wszystko to, co dla mnie zrobiłeś, ale muszę wrócić do domu, do mojej córki. Będzie się martwiła, nie wiedząc, gdzie jestem.

Karl zmarszczył czoło, ale nic nie powiedział. Grzebał w jednej z papierowych toreb na zakupy, wyjmując z niej jedzenie, które na pewno zabrał z jej kuchni.

– A ona... Nic jej nie jest, prawda? Karl...? – zapytała, bojąc się usłyszeć prawdę niemal tak samo, jak bała się nie wiedzieć.

Wciąż milczał. I nadal marszczył brwi, otwierając paczkę krakersów.

– Proszę, Karl. Powiedz, że nic jej nie jest.

Nie patrząc na nią, wyjął z torby napoczętą kielbasę i nóż, który zabrał ze stojaka w jej kuchni, stojącego na blacie tuż koło piekarnika.

Strach przygniatał pierś Carey takim ciężarem, że z trudem oddychała.

– Proszę... Karl – powiedziała, nie będąc w stanie ukryć przerażenia w swoim głosie.

Karl wstał nagle i wycelował w nią ostrzem noża.

– Już jej nie masz – powiedział ze złością. – Teraz jesteś ze mną.

Carey poczuła, że wszystko w niej się rozpada. Zakryła twarz rękami i zaczęła płakać tak cicho, jak mogła. Zabił jej córkę. Jej słodkie, niewinne dziecko, które nie byłoby go w stanie rozpoznać, nawet gdyby go widziało.

Co on zrobił jej dziecku!?

Znów przez głowę przemknął jej obraz z piwnicy Haasów.

Nie mogła tego wytrzymać. Oparła łokcie o uda i kołysała się w przód i w tył. Łkała głośno.

Jej córka nie żyła przez nią, bo ten szaleniec wierzył, że ona stanęła w jego obronie. Chciała umrzeć. Chciała, żeby Karl Dahl podszedł do niej i podciął jej tym nożem gardło, i żeby było już po wszystkim. Zakołysała się mocniej, żalobnie zawodząc.

– Nie to miałem na myśli – powiedział Dahl z irytacją. – Nie chodziło mi o to, że ona nie żyje.

Podszedł i uklęknął przy krześle. Położył dłoń na jej ramieniu.

– Proszę, nie płacz tak bardzo, Carey – powiedział miękko. – Nie chciałem, żebyś płakała. Jesteś moim aniołem.

– O, mój Boże – zaszlochała Carey, wciąż kryjąc twarz w dłoniach.

– Tylko że teraz jesteś już ze mną – wyjaśnił. – Jesteś ze mną, mój aniołku.

– Proszę, przestań to powtarzać – powiedziała drżącym głosem. – Policja będzie mnie szukać. Wiesz o tym, prawda?

– To nieważne – powiedział Dahl rzeczowym tonem. – Nie mają pojęcia, gdzie jesteś.

– Jeśli mnie skrzywdzisz, resztę życia spędzisz w więzieniu. A jeśli mnie puścisz...

– Najpierw muszą mnie złapać – przerwał jej Dahl ostro. – A jeśli mnie złapią, to i tak, i tak pójdę siedzieć na zawsze. A teraz nie chcę już o tym więcej słuchać.

Podszedł do toreb z jedzeniem i z jednej z nich wyjął butelkę piwa. Było to zagraniczne piwo Davida. Na poprzednie Boże Narodzenie Carey zapisała go do korespondencyjnego klubu „Piwo Miesiąca”. Był to jeden z niewielu prezentów, jakie mu w życiu dała, na który David nie kręcił nosem.

Wydobyła z pamięci wspomnienie lepszych świąt, dwa lata po ich ślubie. Urządzili przyjęcie. Po pokoju krążyła wiązanka jemioly, którą przyniósł jeden z ich przyjaciół. Otaczały ich całujące się pary. Zobaczyła Davida śmiejącego się, szczupłego, w dobrej formie, przystojnego; ona sama też się śmiała, przytulając się do niego i kładąc rękę na jego brzuchu. Trzymał nad głową gałązkę gwiazdy betlejemskiej i mówił, że jako że jest to kwiat dużo bardziej efektowny niż jemiola, powinni pójść na górę i postarać się o dziecko. I gdy tylko goście sobie poszli, tak właśnie zrobili. Byli tacy szczęśliwi.

– Chcesz coś do picia? – spytał Karl.

Carey spojrzała na niego w milczeniu.

Podał jej butelkę wody mineralnej i dwa krakersy z suchą kiełbasą. Wykwintna przystawka. Pociągnęła łyk wody. Jego przełknięcie było tak bolesne, jakby łykała kamień. Odmówiła jedzenia.

Pewnie powinna była coś zjeść. Od trzech dni nie miała w ustach porządnego posiłku. Potrzebowała nabrać sił, jeśli miała zamiar wydostać się z tego potrzasku. Ale na samą myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze.

Otuliła się szelinową narzutą. Przeszyły ją dreszcze. Zakaszłała.

– Powinnaś się położyć – powiedział Karl. – Wiem, że nie było ci wygodnie w tym bagażniku. Przepraszam. I przykro mi, że musiałem cię tak przydusić. Ale nie chciałem, żebyś narobiła hałasu.

Siedział na skrzynce i jadł lunch, jakby dla niego to była całkiem normalna sytuacja. A może była.

– Skąd pochodzisz, Karl? – zapytała Carey.

– Z Kansas. Ale dawno już tam nie byłem.

– Tak? A czemu?

Udał, że jej nie słyszy – jego sposób na ominięcie niewygodnego tematu.

– A co cię sprowadziło do Minneapolis?

– Pociąg – odpowiedział i zaczął się śmiać.

– Lubisz podróżować z miasta do miasta?

– To mi pasuje – pokiwał głową. – Nie mogę siedzieć za długo w jednym miejscu.

Jego twarz pociemniała. Popatrzył na nóż, którym kroił kiełbasę – długi na dwadzieścia centymetrów nóż do mięsa. Carey wiedziała, że był na tyle ostry, by ciąć papier.

– Najlepiej zawsze jechać dalej.

By w następnym mieście zabić kolejne niewinne ofiary? Kartoteka policyjna zawierała dane na temat wykroczeń Dahla, ale nie wiadomo było, ile tak naprawdę przestępstw mógł popełnić. Był jednym z tych ludzi, którzy dryfowali na obrzeżach społeczeństwa, poza zasięgiem prawa.

Większość wolała nie zwracać uwagi na wyrzutek jego pokroju – dziwnych, skrytych, nieprzystosowanych. Zwykli obywatele, posiadający pracę, dzieci i hipotekę, chcieli tylko, by wszyscy Dahlowie jak najszybciej zniknęli im z oczu.

Przemierzając się po cichu z miejsca na miejsce, Karl Dahl równie dobrze mógł zostawić za sobą szlak znaczony wieloma zabójstwami. Potrafił być niewidzialny, wtapiać się w tło, wiedział, jak nie zwracać na siebie uwagi.

Gdyby nie sąsiad, który całkiem głupio wyszedł przed dom z kamerą, by filmować nadciągające nad miasto tornado, Karl Dahl mógłby niepostrzeżenie opuścić posiadłość Haasów i rozwiać się we mgle. Wskoczyłby do kolejnego pociągu, pojechał do innego stanu i sprawa morderstwa Haasów pozostałaby nierozwiązana.

– Chodź – powiedział.

Odstawił napoczęty lunch i podszedł do niej.

Carey siedziała nieruchomo, jak małe zwierzątko, które boi się drgnąć w obliczu zbliżającego się drapieżcy. Chwycił ją za nadgarstek i podniósł z fotela. Nie brutalnie, ale zdecydowanie.

– Przygotowałem dla ciebie to miłe posłanie – powiedział. – Chcę, żebyś się na nim położyła.

Choć wydawało jej się to niemożliwe, uczucie przerażenia stało się jeszcze mocniejsze, bardziej dojmujące. Za dobrze wiedziała, co stało się Marlene Haas.

Czy wtedy również tak to się zaczęło? Karl Dahl rozwinął obsesję na punkcie kobiety, którą uznał za swojego anioła, ponieważ okazała mu życzliwość. Potem zapragnął pojąć ją



fizycznie i seksualnie, i wpadł w szal, gdy ona próbowała się mu oprzeć. Wściekłość obudziła drzemiące w nim demony. I rozpętało się piekło.

– Połóż się teraz – nakazał jej Karl, gdy podeszła do legowiska, które jej urządził. Myśl o tym, że będzie ją dotykał, że zmusi ją do współżycia, budziła w niej ostateczną odrazę.

Bojąc się go rozjuszyć, położyła się, obróciła na bok i zwinęła w kłębek. Karl usiadł przy niej, położył sobie jej głowę na kolanach i zaczął głaskać ją po włosach.

– Śpij teraz, aniołku. Mamy dla siebie dużo czasu.

Czasu na co? Czy spodziewał się, że zgodzi się zostać towarzyszką jego podróży? Czy wierzył, że przez śmierć jej dusza stanie się jego na zawsze?

– Teraz jesteś ze mną. Nie miałem swojego anioła od bardzo, bardzo dawna.

– Miałeś kiedyś innego anioła? – zapytała Carey cicho. – Jak miała na imię?

Nie odpowiedział na jej pytanie. Po chwili odezwał się łagodnym głosem.

– Miałem kiedyś anioła.

– Co się z nią stało?

Karl spojrział w dół, prosto w jej oczy. Jego twarz była całkiem bez wyrazu.

– Poszła do nieba... jak wszystkie anioły.

## LVII

Carey napięła wszystkie mięśnie i bardzo starała się powstrzymać od gwałtownego drżenia, które raz po raz wstrząsało jej ciałem. Zamknęła oczy i udawała, że śpi, podczas gdy Karl wciąż gładził jej włosy i nieustannie powtarzał: „Jesteś moim cudownym aniołem... Jesteś moim cudownym aniołem...”

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Godzina, która zdawała się trwać kilka minut? Minuty, które ciągnęły się jak godzina?

Wciąż zadawała sobie pytanie, kim był jego anioł, i nie przychodziła jej do głowy żadna optymistyczna odpowiedź. Tacy ludzie jak Karl nie wyrastali w kochających rodzinach, pod okiem troskliwych rodziców. Mieli smutne dzieciństwo. Ojca, którego albo w ogóle nie znali, albo się nad nimi znęcał. Matkę, która winiła ich za własne niepowodzenia lub trzymała się kurczowo dzieci, chroniąc się w ich objęciach przed bijącym ją mężem. Dziecko uczyło się, że przemoc daje władzę, a jego jedynym wzorcem związku kobiety i mężczyzny była potworna, zdeformowana relacja jego własnych rodziców, pełna nienawiści i pogardy do samego siebie.

Niektórzy darzyli Karla Dahla i jemu podobnych współczuciem. Ona też współczuła, ale tylko Karlowi z czasów dzieciństwa. Nie znajdowała w jego przeszłości usprawiedliwienia dla zbrodni. Znała wielu ludzi z podobną historią – policjantów, prawników, pracowników społecznych. Tak jak Dahl mieli trudne dzieciństwo, ale wzniesli się ponad nie, zamiast ugiąć się pod jego ciężarem.

Ale Carey z natury była wszak prokuratorem i jak każdy przedstawiciel miała tendencję do widzenia świata jedynie w czarno-białych kolorach. Coś było dobre albo złe. Ktoś winny albo niewinny. Żadnych stanów pośrednich.

A teraz była sędzią i powinna wyzbyć się tej tendencji i z opaską na oczach szukać prawdy.

Myśl o aniele Dahla nie dawała jej spokoju. Co się z nią stało? Czy za anioła uważał swoją matkę, która umarła ze starości, choroby lub z powodu brutalności własnego męża? Czy aniołem była dla niego jego pierwsza, nastoletnia miłość? Czy jego pierwsza ofiara? A może ostatnia?

Marlene Haas okazała mu dobroć, zaproponowała pracę, nakarmiła. Za jej dobroć odplacił okrucieństwem. Karl Dahl nie był człowiekiem, któremu pisane były szczęśliwe zakończenia.

Opierając się na faktach, które знаła aż za dobrze, Carey wyobraziła sobie, co ją czeka, jeśli nie zdoła uciec. Karl przez jakiś czas będzie zaspokajał swoją potrzebę kochania jej i hołubienia, a potem go to zmęczy i poczuje ochotę, by ruszyć dalej. A może ona wcześniej czymś go zdenerwuje, obudzi w nim wściekłość i on zabije ją w szale.

Nie będzie mógł zabrać jej ze sobą. Spowalniała by go i niepotrzebnie przyciągała ludzką uwagę. Będzie tylko jedno praktyczne rozwiązanie tej sytuacji.

Carey na milimetr uniosła powieki. Jakies dwa metry od niej na prowizorycznym stoliku leżał nóż, który Karl ukradł z jej domu.

W kieszeni czuła prostokątny kształt – jej telefon komórkowy.

Karl odsunął się od niej, przenosząc jej głowę ze swoich kolan na jedną z poduszek. Odezwał się do niej najcichszym z szeptów, tak jakby wierzył, że jego głos dotrze do jej podświadomości.

– Teraz muszę na chwilę wyjść na dwór i sobie ulżyć, mój aniołku. Przepraszam, ale muszę być pewien, że mnie nie opuścisz.

Carey leżała nieruchomo, gdy Dahl zbliżył się do jej stóp. Obwiązał plastikowym kablem najpierw jedną jej kostkę, potem drugą, łącząc oba kawałki w pęta. Następnie, używając jeszcze więcej kabla, przymocował do tych pęt betonowy blok. Teraz pewnie nie da rady wstać, a co dopiero uciec.

Nasłuchiwała, jak poruszał się po niewielkim pomieszczeniu. Po kilku chwilach nie słyszała już żadnych odgłosów. Policzyła do dwudziestu, bojąc się, że jeśli za wcześnie otworzy oczy, to zobaczy go, jak stoi w drzwiach i jej się przygląda. Ale gdy w końcu odważyła się podnieść wzrok, Karla nie było.

Trzęsąc się jak ofiara febry, Carey usiadła, wyjęła telefon z kieszeni i nacisnęła guzik, by go uruchomić. Przycisnęła aparat do piersi, by stłumić dźwięk melodyjki włączającej się na powitanie, a potem z oczekiwaniem wpatrywała się w ekran, podczas gdy telefon informował ją, że szuka sieci.

– No, dalej! – wyszeptała. Trzęsła się tak mocno, że bała się, iż wypuści aparat z rąk.

Na pasku zasięgu pojawiła się jedna kreska, potem druga. Ikonka w prawym dolnym rogu wskazywała, że bateria jest już na wyczerpaniu.

– No dalej! Jeszcze trochę!

Pojawiła się trzecia kreska i na środku ekranu ukazał się firmowy znak sieci. Miała

zasięg!

Wybrała numer Kovaca i wsłuchała się w sygnał, który po drugiej stronie słuchawki powinien odezwać się dzwonieniem.

– No dalej, Sam... Odbierz!

## LVIII

– Nad jednym z małych jezior niedaleko jeziora Minnetoka stoi chata, która należy do niejakiego Walta Dempseya – powiedział Elwood. – Znalazłem o nim wzmiankę w aktach Stana sprzed kilku lat.

– Powiadomiłeś lokalny posterunek? – zapytał Kovac.

– Już posłali trzy jednostki. Mają otoczyć miejsce i zaarrestować Stana, jeśli tam będzie.

– Pojedź tam z Dzwoneczkiem. Obadajcie teren. Kto wie? Może nam się poszczęści? Może Stan pojechał uciąć sobie drzemkę po ukończeniu rękodzieła na czole Scotta?

– Jeśli go tam nie będzie, to się wycofamy – powiedział Elwood. – Zostawimy lokalnych chłopaków w okolicy, niech obserwują teren. Mogą wejść do akcji i go zgarnąć, gdy tylko się pojawi.

– Może mieć w tej chacie cały arsenał – przypomniał mu Kovac.

– Wiem, już ich uprzedziłem. – Elwood kiwnął głową w kierunku drzwi. – A jak wam idzie?

Kovac skrzywił się wściekle.

– Ci ludzie sprawiają, że mam ochotę natychmiast wskoczyć pod gorący prysznic. Banda popieprzonych zбочeńców.

– W dosłownym znaczeniu.

– I Tippen rozpoznał tego gościa?

– Człowiek zaczyna się zastanawiać...

– Ja wcale nie mam ochoty się nad tym zastanawiać – powiedział Kovac z obrzydzeniem. – Jezu Chryste. Przypomnij mi, żebym nigdy nie siadał po nim na krześle.

– Tippen studiował film – powiedział Elwood z pełną powagą. – Filmy klasy X, czy to ci się podoba, czy nie, stanowią jeden z podgatunków i chroni je pierwsza poprawka do konstytucji, gwarantująca wolność wypowiedzi.

– Jakoś mi się nie wydaje, by pisząc konstytucję, ojcowie założyciele mieli na myśli dzieła typu „Debbie idzie na lody” – powiedział Kovac oschle. – Powiedz Tippenowi, że oślepnie od tego szajsu.

Zadzwoiła komórka, którą Kovac trzymał w kieszonce na pasku. Wyjął ją i spojrział na ekran.

– O, mój Boże! – wyszeptał, a serce zaczęło mu walić jak młot.

„Carey”.

## LVIX

– No dalej, Sam... Odbierz! – dyszała do telefonu, wbijając wzrok w dziurę w ścianie, która kiedyś stanowiła drzwi do pokoju.

– Carey! Mój Boże! Dobrze się czujesz?

– Nie – wymruczała, bojąc się podnieść głos.

– Carey, możesz mówić głośniej? Ledwie cię słyszę.

– Nie, nie mogę. On zaraz tu wróci.

– Jaki on? Kto cię porwał?

– Karl Dahl.

Kovac na sekundę zamilkł ze zdziwienia, co nie było w jego stylu.

– Gdzie jesteś? – zapytał po chwili.

– W starym składzie amunicji. To ruina. Budynek jest spalony. Czuję, że w pobliżu jest rafineria. Nie widzę jej, ale czuję zapach. Pośpiesz się, Sam, proszę.

– Będę tam najszybciej, jak się da. A ty się trzymaj. Jadę prosto do ciebie.

W odległej części budynku rozległ się jakiś dźwięk.

Carey skończyła rozmowę, wyłączyła telefon, upuściła go, podniosła i niezgrabnie schowała do kieszeni.

Ponownie spojrzała na dziurę w ścianie.

„Nie patrz na drzwi. Weź nóż”.

Nie mogąc wstać z powodu krępujących ją kabli, Carey uklękła i na kolanach przesunęła się w kierunku skrzynki służącej za stół.

Wyciągnęła ramię na całą długość, pochyliła się, i nawet jej palce zdawały się rozciągać, ale wciąż nie mogła sięgnąć noża.

Spróbowała drugi raz, jeszcze bardziej się pochylając.

Nadal brakowało jej cala, może dwóch.

Spróbowała przesunąć betonową bryłę, nie dała rady. Do jej uszu znów dobiegł jakiś odgłos. Carey nie umiała powiedzieć, z której strony dochodził. To miejsce pewnie roiło się od myszy, szczurów i Bóg wie, czego jeszcze.

Karl i tak był już nieobecny dłużej, niż się spodziewała.

Ostatni raz skupiła się na nożu, nachyliła do przodu i wyciągnęła, aż jej ramię zaczęło drżeć z napięcia. I znów spojrzała na drzwi.

„Nie patrz na te cholerne drzwi! Weź nóż!”

Ale nóż wciąż pozostawał te kilka milimetrów poza jej zasięgiem.

Cofnęła się do pionu na tyle, by złapać równowagę, i rzuciła się ciałem do przodu.

Ostatecznie naciągnęła wiążące ją pęta w momencie, gdy nasada jej dłoni uderzyła w skrzynkę.

Pudło odskoczyło, ale ona czubkami palców zdołała zahaczyć o rączkę noża i ściągnąć go na ziemię.

Jeszcze raz sięgnęła po nóż i przysunęła go kawałek bliżej.

Chwyciła nóż za rączkę.

Przez kilka sekund leżała wyciągnięta, oddychając z wysiłkiem, a potem odepchnęła się do tyłu i zmusiła do klęknienia.

Miała nóż.

Czarna koszula była ubrudzona, twarz pewnie nie wyglądała lepiej. Otrzeptała się, najlepiej jak mogła, i wytarła twarz rogiem narzuty.

Przestraszyło ją nagłe uderzenie metalu o metal. Czy dźwięk dobiegi z wnętrza budynku? Czy może z zewnątrz?

Jak by nie było i tak już za długo się grzebała.

Nakrywszy się kapą, położyła się z powrotem na boku, chowając nóż pod udem.

Kolejny dźwięk. Jakiś chrzęst. I kolejny. Kroki. Karl.

„Pośpiesz się, Sam...”

Carey zamknęła oczy i modliła się, by Karl nie przyszedł jej obudzić, by nie doszedł do wniosku, że nadszedł czas na seks z jego aniołkiem.

Nie chciała użyć tego noża. Bardziej prawdopodobne było to, że gdy go wyciągnie, Karl jej go wyrwie i sam ją nim zabije, niż to, że jej uda się zabić jego. A musiała go zabić – nie zranić – jeśli chciała stąd uciec.

Kroki były coraz bliżej.

„No dalej, Sam... Pośpiesz się, proszę...”



# LX

Kovac dobiegł do sali narad i złapał się framugi drzwi, by wyhamować. Gdy wpadł do pokoju, wszystkie oczy zwróciły się na niego. Na jego widok twarze zebranych momentalnie spoważniały.

– Stara, spalona fabryka albo skład amunicji, niedaleko rafinerii – wyrzucił z siebie.

Tippen zdjął płaszcz z oparcia krzesła.

– Znam to miejsce. Chodźmy.

Wybiegli z budynku i szybko zeszli po kamiennych schodach. Kovac kątem oka zarejestrował dziennikarzy stojących na schodach i chodniku. Niewyraźna plama pulsująca kolorami i dźwiękiem. Biały szum.

Zostawił samochód na parkingu, obok samochodów porucznik Dawes, Liski i reszty oddziału specjalnego. Ale teraz nie ruszył w stronę swojego samochodu. Podszedł do policjanta w mundurze opartego o maskę radiowozu i przyglądającego się widowisku.

– Dawaj kluczyki.

Oficer podniósł się.

– Co? Czego pan do cholery...

– Daj te pieprzone kluczyki! – wrzasnął Kovac.

– Detektywi Kovac i Tippen. Wydział zabójstw – powiedział Tippen, pokazując odznakę. – Daj mu te pieprzone kluczyki!

Kovac wyrwał kluczyki z ręki policjanta, obszedł samochód i wsiadł do środka. Odpalił silnik i ruszył na wstecznym, gdy tylko Tippen opadł na siedzenie obok. Jadące za nimi samochody zaczęły trąbić, kiedy radiowóz zajechał im drogę. Kovac wrzucił jedynekę i ruszył do przodu, zostawiając na chodniku smugi dymiącej gumy.

Od lat nie jeździł radiowozem, ale wciąż pamiętał, gdzie znaleźć przycisk włączający syrenę i światła na dachu.

– Gdzie jedziemy? – krzyknął do Tippena.

– Trasą W 35 na południe. Resztę powiem ci w drodze.

Gdy wjechali na autostradę prędkościomierz podskoczył do dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Tippen zapiął pas i zaparł się nogami, przygotowując się na ostrą jazdę.

– Co to za korek, do cholery!?! – denerwował się Kovac, manewrując między samochodami i starając się nie zwalniać.

Przed sobą na wszystkich pasach widział gęsto upchany sznur tylnych świateł. Samochody próbowały zjeżdżać mu z drogi, ale nie miały dokąd się usunąć. Nacisnął hamulec i przytrzymał kierownicę, by nie wpaść w poślizg. Radiowóz stanął w miejscu.

– Wikingowie grali dziś z Packersami – wyjaśnił Tippen.

Kovac spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Nawet mi nie mów, że to zgraja serogłowych wraca do Wisconsin<sup>4</sup>!

Nie czekał na odpowiedź.

Tippen włączył mikrofon i z głośnika na dachu popłynął jego grzmiący głos:

– Proszę zjechać na bok. Tu policja. Mamy nagły wypadek. Proszę zjechać na bok!

Ze wszystkich stron padały na nich przestraszone spojrzenia kierowców.

Kovac wyrwał Tippenowi mikrofon i wrzasnął:

– Z drogi, do cholery! Ruszać się!

Samochody zaczęły się przesuwac centymetr tu, kilka centymetrów tam, a on powoli przepychał się w prawo, kierując się na pobocze. Zahaczył zderzakiem o przód SUV, czemu towarzyszył nieprzyjemny zgrzyt. Potem stuknął tył jeszcze jednego samochodu, ale w końcu udało mu się zjechać z drogi. Wtedy dodał gazu i ciężki radiowóz ruszył z kopyta, mijając stojące w korku samochody z niepokojącą prędkością.

– Tu skręcamy! – krzyknął Tippen, wskazując palcem drogę odbijającą w prawo. – Przejedź na drugą stronę, na pięćdziesiątkę piątkę.

Kovac raz i drugi nacisnął hamulec, wjechał w zakręt ze zbyt dużą prędkością i omal nie wpaść na samochody przy wyjeździe z autostrady.

Jeśli Bóg się zlituje, po drodze uda mu się nikogo nie zabić.

I nie dotrze za późno.

---

<sup>4</sup> Fani drużyny futbolowej Green Bay Packers z Wisconsin tradycyjnie ubierają na mecze.

# LXI

Carey leżała tak nieruchomo, jak tylko potrafiła, i nasłuchiwała poruszającego się po pokoju Karla.

„No dalej, Sam...”

Karl nic nie mówił. Może nie budził jej z uprzejmości, jakkolwiek szaleńczo by to brzmiało. Chciał, żeby wypoczęła.

Kroki ucichły. Zatrzymał się blisko niej. Czowała na sobie jego spojrzenie. Wstrzymała oddech i zacisnęła palce na uchwycie noża.

Dotknął jej lewej dłoni, leżącej na kocu. Musiała użyć całej siły woli, by nie wyszarpnąć ręki spod jego palców.

– Proszę się obudzić, pani sędzino.

To nie był głos Karla. Ten był niższy, chropawy, jednostajny i dziwnie powolny.

Carey otworzyła oczy i spojrzała do góry. Zobaczyła nad sobą pobrużdżoną, pospolitą twarz pokrytą jednodniowym zarostem, której wydatne usta miały niezdrową, czerwoną barwę.

Stan Dempsey.

– Pani dobry przyjaciel, Karl Dahl już nie wróci.

– To nie jest mój przyjaciel – powiedziała Carey.

– Już nie. Teraz nie może mu już pani pomóc.

– Nigdy nie miałam takiego zamiaru.

– Nic pani nie rozumie. Pani obowiązkiem jest wymierzać sprawiedliwość. Winni muszą zapłacić. Muszą ponieść konsekwencje swoich czynów.

Carey była na tyle mądra, by nie wchodzić z nim w spór ani nie próbować niczego tłumaczyć.

– Czy on nie żyje? – zapytała.

– Mam co do niego inne plany – powiedział Dempsey zagadkowo.

– Jak pan znalazł to miejsce?

– Prosta, policyjna robota: śledziłem samochód.

– Obserwował pan mój dom.

– Robiłem to już od jakiegoś czasu. Przez ostatni rok nie miałem za dużo innych zajęć – powiedział. – Wiem dużo o pani życiu, sędzino Moore: gdzie pani mieszka, jak wygląda pani rozkład dnia, gdzie pani mała córka chodzi do szkoły. Wiem, kto w pani domu jeździ jakim samochodem. Kiedy dzisiaj rano minęło mnie auto opiekunki, wiedziałem, że to nie ona siedzi za kierownicą.

– A wiedział pan, że to Dahl? – zapytała Carey.

– Dość już tych pytań. Proszę wstać – powiedział, ciągnąc ją za ramię. – Sędzino Moore, jest pani aresztowana za zbrodnie przeciw ludzkości. Ma pani prawo zachować milczenie. Wszystko, co pani powie, może być użyte przeciwko pani...

## LXII

– Chyba nie dam rady wstać – powiedziała Carey. – Jestem przywiązana do czegoś ciężkiego.

Dempsey sapnął niecierpliwie, szarpnął za złotą, szelinową kape, która przykrywała jej nogi, i przerzucił materiał wyżej. Trzymał pistolet w prawej ręce, lewą ze skórzanej pochwy przy pasku wyciągnął myśliwski nóż z szerokim, groźnie wyglądającym, ząbkowanym ostrzem. Dwa razy szybko poruszył nadgarstkiem i wiążące Carey kable opadły na ziemię, a wtedy schował nóż z powrotem do pochwy.

– Teraz już może się pani podnieść. No już.

Carey usiadła na posłaniu i narzuta zsunęła się w dół, jednak palcami prawej dłoni udało się jej przytrzymać jej brzeg tak, by wciąż zakrywała nóż.

– Co chce mi pan zrobić? – zapytała, klękając.

– Czekam panią proces. Potem ogłoszę werdykt i zadecyduję, jaką wymierzyć pani karę. To samo zrobiłem w przypadku adwokata.

Mówił te słowa całkowicie normalnie. Musiał dojść do wniosku, że na tym polega jego zadanie, i teraz po prostu chciał je dobrze wykonać – i tyle.

– Kenny’ego Scotta?

– Tak. Dostał to, na co zasłużył. Panią czeka dokładnie to samo.

Carey nie miała pojęcia, co Dempsey zrobił adwokatowi Karla Dahla, ale wolała nie pytać. Wkrótce sama się dowie, jeśli Dempseyowi uda się postawić na swoim.

– Jest pan policjantem. Dobrym policjantem. Całe życie poświęcił pan temu, by chronić innych. Jak pan może tak postępować?

Popatrzył na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć, że ona nie rozumie tak prostej rzeczy.

– Ktoś musi. „Pospiesz się, Sam...”

– Ale przecież łamię pan prawo – nalegała Carey. – Jak może pan robić to i mówić o sprawiedliwości?

– Ja to widzę inaczej – odpowiedział Dempsey, wciąż mierząc do niej z pistoletu, swobodnie, jakby od niechcienia.

– Pójdzie pan do więzienia, detektywie – powiedziała Carey w nadziei, że

wymienienie stopnia służbowego Dempseya, wstrząśnie jego sumieniem.

– Nie pójdę.

Carey rozważała, czy powiedzieć mu o tym, że Kovac jest już w drodze. Ale nie sądziła, by ta informacja mogła wpłynąć na Dempseya – a nawet jeśli, to wtedy postanowi zabić ją raczej prędzej niż później.

– Jak długo był pan policjantem? – pytała. – Dwadzieścia lat? Dłużej? Wszystko to straci znaczenie, jeśli teraz zrobi pan to, co planuje. Takim pana zapamiętają. Będą pana oceniać tylko przez pryzmat tej jednej zbrodni.

Szerokie usta Dempseya wykrzywił złośliwy uśmiech.

– Nic pani nie rozumie. Siedzi pani w tej swojej todze za stołem – mówił z pogardą – i wydaje się pani, że to jakaś gra, w której biorą udział prawnicy, a pani im sędziuje. A ofiary ani dla pani, ani dla nich nic nie znaczą.

– To nieprawda.

– A jak potraktowała pani Marlene Haas? Była porządną kobietą, która dbała o swoją rodzinę. Czy chce pani posłuchać o tym, jakie piekło urządził jej Karl Dahl?

– Wiem, co zrobił.

– Ale dała mu pani szansę wyjścia na wolność! Chyba nie potrafi pani zrozumieć, co to znaczy być ofiarą, dopóki sama się nią pani nie stanie. Proszę wstać.

Carey nie mogła dłużej czekać na ratunek. Gdy wstanie, Dempsey zmusi ją, by zostawiła narzutę. Albo wraz z nią wypuści z ręki nóż, albo Dempsey sam go jej odbierze.

– Proszę wstać – powtórzył, tym razem ze złością.

Nad budynkiem przetoczył się grzmot. Dempsey uniósł głowę i spojrzał ku górze. Korzystając z sytuacji, Carey przesunęła palce w dół noża, a gdy dotarła do ostrza, zaczęła centymetr po centymetrze wsuwać nóż pod długi rękaw czarnej koszuli. Kiedy Dempsey znów skierował na nią wzrok, wstała.

– Nadciąga burza – oznajmił, jakby mogło to dla niej mieć jakieś znaczenie.

Lufą pistoletu nakazał jej ruszyć w kierunku wyjścia.

W jej gołe stopy wbijał się gruz i odłamki szkła, ale starała się milczeć. Tylko by go zdenerwowała, narzekając na tę drobną niedogodność, podczas gdy Marlene Haas musiała znosić niewyobrażalne tortury.

Stan Dempsey nie okaże jej współczucia. Sprawiedliwość, szybka i pewna – tylko to miał dla niej w zanadrzu. Carey obawiała się, że będzie to sprawiedliwość w swej najokrutniejszej odmianie.

Wkrótce będzie musiała zadziałać. Gdyby tylko udało jej się to zrobić, zanim jeszcze

wyjdą z budynku...

Nawet myśl o tym, że wbija nóż w inną ludzką istotę, wydawało jej się czymś potwornym. Całą swą karierę poświęciła walce z przemocą. W prywatnym życiu nigdy nie zachowała się agresywnie wobec drugiego człowieka ani żadnego innego stworzenia.

Nie była pewna, czy da radę to zrobić. Przedmiot trzymany przez nią w ręce nie był kawałkiem plastiku, którym ledwie można było kogoś zranić, ale nożem do mięsa, ostrym jak brzytwa. Próbowwała wyobrazić sobie, jak będzie przebijać nim ludzką skórę, mięśnie, narządy. Sama myśl o tym sprawiła, że zrobiło się jej niedobrze. Nie mogła opanować drżenia całego ciała.

„No dalej, Sam... Pospiesz się!”

Nie miała pojęcia, czy pomoc znajduje się daleko czy blisko. A jeśli Dempsey wpakuje ją do samochodu i odjedzie...

Carey prowadziła w życiu wystarczająco wiele procesów w sprawie gwałtu i zabójstwa, by wiedzieć, że wsiadając do samochodu z mężczyzną, który ma zamiar ją skrzywdzić, kobieta wydaje na siebie wyrok śmierci.

Kiedy zbliżyli się do drzwi, którymi Karl wcześniej wprowadził ją do budynku, zauważyła, że słońce, które oślepiło ją po tym, jak Dahl otworzył bagażnik, już zaszło. Niebo zasłaniały teraz ciężkie, sine chmury, wiszące nisko nad ziemią, a światło, które z trudem się przez nie przeciskało, nadawało powietrzu dziwną barwę.

Nad ich głowami znów przetoczył się grzmot.

Carey pozwoliła nożowi powoli, centymetr po centymetrze wysunąć się z rękawa.

Gdy wyszli z budynku, Dempsey obrócił ją w lewo. To, co zobaczyła, wprawiło ją w przerażenie.

Karl Dahl, przypięty do starej barierki przy schodach zwiślał bezwładnie na kajdankach. Był nieprzytomny – lub martwy – a z jego rozbitej głowy sączyła się krew.

– Właśnie na to sobie zasłużył – powiedział Dempsey. – Ale to dopiero początek.

– O mój Boże... – wyszeptała Carey.

Oczy Dahla były lekko przymknięte, dolna szczęka opadła luźno. Nie ruszał się. Carey nie umiała stwierdzić, czy oddycha. Krwi było tak dużo, jakby ktoś wylał mu na głowę wiadro czerwonej farby.

– O Boże... – powtórzyła Carey.

Tak więc wyglądała sprawiedliwość w wykonaniu Dempseya. Poczwała, jak skręca ją w żołądku. Zgięła się wóół, targana torsjami, ale nie była w stanie zwymiotować – jej ciało chciało jedynie pozbyć się obrazu, jaki przed chwilą zobaczyła.

– To jest sprawiedliwość! – wrzasnął Dempsey, pochylając się nad nią. – To właśnie jest sprawiedliwość!

„Teraz albo nigdy...”

Carey szybko się podniosła, uderzając czubkiem głowy o żuchwę Dempsey’a, który wyprostował się i cofnął o krok. Wtedy wzięła zamach prawą ręką i z całej siły wbiła nóż w jego ciało. Ostrze zagłębiło się w brzuch z zadziwiającą łatwością.

Dempsey pochylił się i zatoczył do tyłu, zsuwając się z noża, który Carey wciąż trzymała w dłoni. Wyglądał na zdziwionego. Nie taki był jego plan.

Lewą rękę przyłożył do rany. Przez jego palce przeciekała krew. W prawej wciąż trzymał pistolet, ale tak niemrawo, jakby o nim zapomniał.

– Zabiłaś mnie – powiedział oskarżycielskim tonem. – Ja bym cię nie zabił.

Carey stała i wpatrywała się w niego, przerażona, niezdolna się ruszyć.

Ni stąd, ni zowąd Dempsey rzucił się na nią.

Carey zareagowała z opóźnieniem, zbyt wolno zaczęła się cofać, straciła równowagę i spadła ze schodów. Dempsey poleciał za nią, przygniótł ją swym ciężarem i pozbawił oddechu. Próbowwała się wydostać, ale nie dała rady.

Dempsey rzeził i usiłował się podnieść. Carey czuła, jak jego krew, ciepła i wilgotna, wsiąka w jej koszulę.

W hysterii zaczęła odpychać się do tyłu i jak krab wyczołgiwać spod ciała Dempseya. Detektyw podparł się rękoma i uklęknął. Z trudem łapiąc oddech, Carey przewróciła się na brzuch. Udało jej się podciągnąć nogi pod siebie i wstać. Ruszyła biegiem, napędzana adrenaliną jak wysokooktanowym paliwem.

Biegła w stronę drogi, świadoma tego, że nie panuje nad własnym ciałem, które gna do przodu, a nogi i umysł ledwie za nim nadążają – jakby biegła w dół stromego wzgórza.

Za jej plecami rozległ się wystrzał.

Poleciała do przodu, jak gdyby ktoś od tyłu złapał ją za kostki i mocno szarpnął. Upadła na ziemię i dwa razy się od niej odbiła. Żwir wgryzł się w jej dłonie, łokcie i brodę.

Leżała bez ruchu, jak porzucona szmaciana lalka.

W jej głowie pojawiła się słaba i niewyraźna myśl, że zaczęło padać.



## LXIII

Gdy zbliżyli się do drogi, która zdaniem Tippena miała ich zaprowadzić do starego składu amunicji, wyłączyli syrenę i światła na dachu. Kovac zmniejszył prędkość, choć bardzo kłóciło się to z jego potrzebą pośpiechu. Od telefonu Carey minęło już pół godziny. Przez pół godziny mogło się wydarzyć wiele złego.

– Karl Dahl przejdzie do historii psychologii karnej – zauważył Tippen, gdy jechali rzadko używaną, boczną drogą. – Zabija dwie niewinne kobiety tylko po to, by dopaść tę jedną, która wyświadczyła mu przysługę po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna. Zagłębianie się w ciemny labirynt jego umysłu w poszukiwaniu motywu będzie przypominać wyprawę do piekła.

Kovac nie odpowiedział. Nie miało dla niego znaczenia, z jakiego powodu Karl Dahl postąpił tak, a nie inaczej. Liczyło się tylko to, co zrobił. Zabił Ankę Jorgenson. Zabił Christine Neal. Zabił Marlene Haas i jej dwójkę adoptowanych dzieci. A teraz porwał Carey.

– To tam, po lewej – powiedział Tippen. – Jaki masz plan?

– Nie mam żadnego.

– Świetnie. To co mam powiedzieć posiłkom i karetce? – zapytał Tippen. – Pamiętaj, że nie możemy wziąć tego miejsca szturmem, prażąc ze wszystkich luf.

Kovac miał ochotę załatwić to właśnie w taki sposób. Chciał wpaść tam z grupą komandosów i urządzić jatkę. Ale nie mogli ryzykować. Jeśli zaczną demonstrować siłę i Dahl poczuje się zagrożony, nie wiadomo, jak zareaguje. Carey może stać się zakładniczką. A jeśli wejdą po cichu, zbadają grunt i trzeźwo rozważą wszelkie możliwości, będą mieć duże szanse zaskoczyć Dahla i odciągnąć go od Carey.

– To tu – powiedział Tippen, wskazując na lewo.

Kovac zwolnił. Choć policyjny radiowóz był najlepszym wyborem, gdy chodziło o szybkie dotarcie do celu, to jednak nie powinni nim zajeżdżać pod same drzwi. Kovac wjechał w kępę niskich, pozbawionych liści drzew, które oferowały jako taką kryjówkę, zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

Budynek wyglądał jak ruina z czasów wojny. Stał jakieś pięćdziesiąt metrów od drogi, na polanie porośniętej chwastami. Żadnej osłony. Nie było sposobu, by niepostrzeżenie

dostali się do budynku.

– Cholera – powiedział Kovac. Potarł twarz rękoma i starając się coś wymyślić, wziął głęboki oddech. – Musimy się tam dostać pieszo. Nie ma innej możliwości.

Jeszcze raz przyjrzał się budynkowi, starając się nie zastanawiać nad tym, co mogło dzieć się w środku, gdy oni stali tu i obmyślali plan.

– Sam – powiedział Tippen. – Popatrz. Nie jesteśmy sami.

Stara furgonetka, której przykryty plandeką tył przerobiono na część kempingową, stała z boku drogi, na podjeździe prowadzącym na polanę, częściowo zasłonięta przez kolejną kępę drzew. Komuś innemu również zależało na tym, by nie zostać zauważonym z budynku, w którym Dahl przetrzymywał Carey.

– Widzisz jego tablice?

Tippen spojrzał na niego z niemym pytaniem w oczach.

– A ty widzisz?

– Chryste, ale jesteśmy starzy – powiedział Kovac. – Weź broń. Idziemy.

Wysiedli z radiowozu, uważając, by nie narobić hałasu. Zostawili otwarte drzwi i zaczęli zbliżać się do furgonetki.

– Może takich wozów używają do tajnych operacji w biurze szeryfa – powiedział Kovac z sarkazmem, gdy stanęli przed maską samochodu.

Furgonetka musiała mieć jakieś dwadzieścia lat. Ford F-150. Farba – niegdyś granatowa – wyblakła przez ten czas od słońca i deszczu.

Podczas gdy Tippen przez telefon podawał operatorowi jej numer rejestracyjny, Kovac zajrzał przez okno do kabiny kierowcy. W środku nie było nic, nawet papierka po gumie. Zaglądnął do części mieszkalnej: dwie torby podróżne, mała, przenośna lodówka.

Podszedł na tył wozu, by dokładniej przyjrzeć się wnętrzu. Uniósł plandekę. Jedna z toreb była wystarczająco długa, by zmieścić karabin. Do rączki przypięta była kartka z imieniem i nazwiskiem.

Kovacowi zrobiło się zimno, gdy przeczytał to, co było na niej napisane.

– Wóz należy do Waltera Dempseya – powiedział Tippen. – Możemy chyba założyć, że to jakiś krewny naszego Stana.

Kovac wcisnął zatrask w tylnej klapie, która opadła w dół. Sięgnął po bliższą z toreb. Była rozpięta. W środku znajdowały się przeróżne narzędzia – ręczne piły, śrubokręty, szczypce... i wypalarka do drewna.

– Wspaniale – powiedział Tippen. – Dwóch świrów, dwa razy więcej zabawy.

Kovac oparł ręce na biodrach i zaczął chodzić w kółko. Nie mieli pojęcia, co mogło się

dziać w tym budynku. Brakowało im czasu na to, by zrobić rekonesans, przegrupować siły, wymyślić strategię. W środku znajdowała się Carey, a wraz z nią dwóch ludzi o bardzo złych zamiarach.

– Pieprzyć to – powiedział. – Wchodzimy.

Gdy minęli przód furgonetki, Kovacowi wydało się, że w oddali słyszy jakieś głosy. Przyspieszył kroku, a gdy wydostał się z kępy drzew, ruszył biegiem.

Wtedy zauważył, że od strony budynku również ktoś biegnie, zмирzając w kierunku drogi.

W powietrzu rozległ się strzał.

Tym kimś była Carey.

Potknęła się i runęła na ziemię.

Nie ruszała się.

Myśli Kovaca pędziły jak szalone. Czy została postrzelona? Czy Dempsey trafił ją ze swojej strzelby myśliwskiej?

Nie spojrzał na to, co działo się w tyle, tylko rzucił się do Carey zarośniętą drogą, która niegdyś musiała stanowić podjazd. Jeśli znajdował się w zasięgu strzału snajpera, to było już po nim, ale nie przestawał biec.

– Carey!

Leżała twarzą do ziemi, płacząc cicho. Kovac przyłożył dwa palce do jej szyi i wyczuł przyspieszony puls.

Pochylił się nad nią i odgarnął jej włosy do tyłu.

– Carey, to ja. Sam. Słyszysz mnie? Leż spokojnie.

Ostrożnie przesunął dłoń po jej plecach, spodziewając się, że za chwilę natrafi na wilgotną od krwi ranę postrzałową. Nie znalazł jednak śladu po kuli.

Zalało ich światło reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Obok nich przejechał Tippen. Minął ich i zaparkował radiowóz, osłaniając ich w ten sposób od budynku.

– Carey? – odezwał się Kovac. – Jesteś ranna? Czy on cię postrzelił?

W odpowiedzi Carey zadrżała tylko i wybuchła głośniejszym płaczem.

– Zabiłam go! – załkała. – Mój Boże, ja go zabiłam!

Kovac pomógł jej obrócić się na bok i znów delikatnie odgarnął jej włosy. Jego dłoń trzęsła się jak dłoń starca.

– Ćśś... Już dobrze, wszystko będzie dobrze... – powiedział łagodnie.

Zdjął marynarkę i okrył nią Carey.

„Gdzie do cholery są posiłki? Gdzie karetka?”

Podniosła się na jednym ramieniu i spróbowała otrzeć twarz dłonią umaczaną we krwi.

– Jezu Chryste – wyszeptał Kovac, po czym zwrócił się do Carey. – Połóż się, Carey. Połóż się, proszę.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Chcę do domu.

– Musisz się położyć – powiedział Kovac z naciskiem. – Krwawisz. Spojrzała na swoją dłoń, zdezorientowana.

– To nie moja krew – odpowiedziała zdziwiona, najwyraźniej majacząc.

– Na miłość boską, kładź się, albo przygniotę cię do ziemi kolanem!

Wciąż ze zdziwieniem patrząc na swą rękę, Carey ułożyła się z powrotem na ziemi. Kovac złapał za dół męskiej koszuli, którą miała na sobie i rozerwał ją jednym pociągnięciem. Jego dłonie były brudne od krwi, którą przesiąkł materiał, ale na brzuchu Carey nie znalazł żadnej rany.

– To nie moja krew – powtórzyła Carey, znów się podnosząc. – To on... Ja go zabiłam.

Kurczowo łapiąc się ramion Kovaca, wtuliła się w niego i zapłakała. Kovac objął ją i trzymał mocno, powtarzając raz za razem:

– Już dobrze. Już po wszystkim. Wszystko będzie dobrze.

Wiedział, że to nieprawda. Nie było po wszystkim. Carey Moore nie będzie mogła tak po prostu wrócić do domu i znów normalnie żyć, jak gdyby nic się nie stało. Będzie przesłuchiwana, zostanie zmuszona opowiedzieć o wszystkim i jeszcze raz przeżyć każdą chwilę swojej męczarni. Lekarze będą oglądać jej rany. Jeśli została zgwałcona, czeka ją seria dodatkowych, przykrych badań.

Modlił się, by to nie było konieczne. I bez gwałtu przeżyła niewyobrażalną traumę...

Zza samochodu wychylił się Tippen.

– Jak ona się ma? W porządku?

Kovac nie wiedział, co odpowiedzieć, więc nie powiedział nic.

– Co się tam dzieje? Gdzie jest Dahl? Gdzie Dempsey?

– Martwi. Jeden i drugi. Dahl dostał kulkę w twarz. Wygląda na to, że Dempsey ma jedną ranę kłutą.

– To ja go zabiłam – powiedziała Carey, wciąż płacząc na ramieniu Kovaca. – Zabiłam go. Zabiłam człowieka.

Kovac pogładził ją po mokrych włosach. Rozpadało się na dobre. Nad ich głowami przetoczył się grzmot. Gdzieś w pobliżu rozległy się sygnały nadciągających wozów policyjnych.

– Cóż... Już po wszystkim – powiedział. – Już po wszystkim. Jesteś teraz bezpieczna.  
Tylko to się liczy.

## LXIV

Chaos, jaki zapanował wokół niej po tym, gdy na miejscu zjawił się Kovac, zlał się w głowie Carey w bezładną mieszaninę głosów, kolorów i ludzkiej krzątaniny. Pamiętała wozy ludzi szeryfa i samochody detektywów. Głosy mężczyzn kłócących się o to, kto ma prowadzić dochodzenie. Karnawałowe błyski świateł karetki i radiowozów. Sanitariusz podał jej jakiś środek uspokajający. Ogarnęło ją odrętwienie. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie było to takie złe.

Zamiast pozwolić wszystkiemu wirować wokół, starała się skupić na doznaniu ulgi i poczuciu bezpieczeństwa, jakie dawało jej to, że Sam Kovac siedział obok niej w strugach deszczu i trzymał ją za rękę. Właśnie tego teraz pragnęła – czuć się bezpiecznie, wiedzieć, że tuż koło niej jest ktoś, kto ją obejmie, jeśli będzie tego potrzebowała.

Ale ta myśl przyprawiła ją także o smutek: Carey uprzytomniła sobie, że od dawna nie doświadczyła takiego wsparcia. Gdy jej ojciec był zdrowy, stanowił dla niej niezawodną podporę. Davidowi nigdy nie udało się zająć jego miejsca. Co prawda na początku ich małżeństwa jeszcze się starał, ale stopniowo dał za wygraną, a ona przestała chcieć, by dalej próbował.

Czerwonowłosa pielęgniarka, którą Carey zapamiętała z piątkowej nocy, wpadła do sali, by sprawdzić jej kroplówkę i zanotować coś w karcie.

– Wie pani co – powiedziała, patrząc na Carey z udawaną surowością, której całkiem przeczył ciepły wyraz jej oczu. – Mamy powyżej uszu pani wizyt w naszym szpitalu.

– Obiecuję, że to już ostatni raz – odpowiedziała Carey.

– Jak się pani czuje?

– Jestem otepiała.

– I ma pani szczęście! Nie ma to jak mała pastylka na złagodzenie nerwów. Mam zamiar zgłosić do kierownictwa pomysł, by w dyżurce pielęgniarskiej zamontowali automat, taki jak z gumą do żucia, tyle że wypełniony valium. Wszystkim dużo lepiej by się pracowało.

Do pokoju wsadził głowę Kovac.

– Casey daje ci popalić? – zapytał, bez pozwolenia ładując się do pokoju.

Pielegniarka spojrzała na niego z niewinną miną.

– Kto? Ja?

– Kiedy ostatni raz byłem na pogotowiu – powiedział, stając za plecami Casey – zszyla mi ranę na czole, używając prawdziwego zszywacza biurowego.

– Wcale nie! – zaprotestowała Casey, po czym uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

– A jeśli nawet, to musiałeś sobie na to zasłużyć.

– Wciąż widzę, jak pochyla się nade mną z tym zszywaczem w ręce i mówi: „Nie ma co się oszukiwać. To będzie bolało.” Wciąż wraca to do mnie w koszmarach.

Carey prychnęła.

– Powinieneś się cieszyć, że goszczę w twoich snach.

Zwróciła się do Carey.

– Doktor zajrzy do pani później. Pewnie zaraz po tym, jak uda się pani zasnąć.

Gdy pielegniarka znalazła się już koło drzwi, odezwał się Kovac.

– Cała Casey. Nazywam ją Żelaznym Krasnałem.

– Ale tylko wtedy, gdy jestem na tyle daleko, by nie móc go uderzyć – powiedziała Casey i wyszła z sali.

Kovac zbliżył się do brzegu łóżka. Był cały mokry, a włosy sterczały mu na wszystkie strony. Przemoczoną koszulę zamienił na górę od lekarskiego mundurka.

– Jak się czujesz?

– Doktorze Kovac... – Carey spróbowała uśmiechnąć, ale kiepsko jej to wyszło. – Nie wiem, choć to pewnie głupio brzmi.

Kovac pokręcił głową.

– Masz za sobą straszne przeżycia, Carey. Minie trochę czasu, zanim to wszystko przetrawisz. I nie powinnaś radzić sobie z tym sama. Rozmawiałem już z Kate. Gdyby nie opiekowała się Lucy, zjawiłaby się tu w mgnieniu oka.

Carey westchnęła, drżąc.

– Lucy. Jak ona się czuje? Radzi sobie?

– Chce zobaczyć swoją mamusię. I jest przestraszona.

– Też się bałam – przyznała Carey. – Bałam się, że on zrobił jej coś złego, że jest ranna lub...

Kovac położył dłoń na jej ramieniu.

– Nic jej nie jest. Nie zadrećzaj się myślami o tym, co mogło się stać. Masz wystarczająco dużo prawdziwych zmartwień.

– Umie pan nazwać rzecz po imieniu, detektywie – powiedziała, znów siłąc się na

uśmiech, który po sekundzie znikł z jej ust. – On zabił Ankę, prawda?

Kovac przytaknął.

– Przykro mi.

Poczuła, jak przygniata ją ciężar wielkiego smutku.

– Będę musiała zadzwonić do jej rodziców w Szwecji. Jak mam im powiedzieć, że przeze mnie ich córka nie żyje?

– Nic takiego nie musisz im mówić. Anka nie zginęła przez ciebie. Nie żyje, bo zabił ją Karl Dahl.

Carey nie odpowiedziała. Nie potrafi tak łatwo sobie wybaczyć.

– A co przez ten czas porabiał David? – zapytała.

Kovac zmarszczył brwi.

– Kiedy widziałem go po raz ostatni, był w domu. W towarzystwie swojego adwokata.

– Adwokata?

– To długa historia.

– Ale nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

– Nie miał nic wspólnego z tym, że Dahl cię porwał – sprecyzował Kovac. – Wciąż badamy okoliczności napadu na parking.

Carey przyjrzała mu się z uwagą. Wodził wzrokiem po pokoju, byle tylko nie patrzeć jej w oczy.

– Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

– Możliwe, że udało nam się znaleźć faceta od dwudziestu pięciu tysięcy – powiedział.

– Ale nie musimy rozmawiać o tym teraz.

– Właśnie mi powiedziałaś, że wiesz, kogo mój mąż najął, by mnie zabić, a ja miałabym nie chcieć o tym rozmawiać? Kto to jest? Możesz go połączyć z pieniędzmi?

– To brat jego kochanki. Aktor filmów erotycznych, Donny Bergen – Kovac zawahał się, nabrał powietrza i wypuścił je powoli. – Carey, twój mąż siedzi po szyję w prawdziwym gównie.

– Wiem – odpowiedziała miękko. – Wczoraj wieczorem znalazłam na to sporo dowodów, przeglądając zawartość jego komputera. Zrobiło mi się niedobrze. Nie wiem, kim jest ten człowiek – powiedziała, kręcąc głową. – Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić – powiedział Kovac. – Nie powinienem był o tym wspominać. Masz na dziś dość zmartwień. Powinnaś odpocząć. Wpadłem tylko na chwilę, sprawdzić, jak się czujesz.

– Już wychodzisz? – spytała Carey, czując, jak ogarnia ją panika. Nie chciała zostać



sama ze wspomnieniami tego, co się wydarzyło.

Kovac spojrział na nią, lekko przechylając głowę.

– Chcesz, żebym został? – zapytał, wyraźnie zaskoczony. – To zostanę. Tak długo, jak będziesz chciała.

Usiadł na brzegu łóżka, przygotowując się na dłuższą rozmowę. Carey odwróciła wzrok, zawstydzona, że cokolwiek powiedziała.

– Wiem, że to zabrzmiało głupio – powiedziała. – To znaczy... Wiem, że już jestem bezpieczna, i że z Lucy wszystko w porządku, ale...

Kovac przyłożył jej palec do ust.

– To nic takiego. Wiem. Obawiasz się, że stanie się coś złego, i jesteś gotowa wyskoczyć ze skóry. To normalne.

– Ostrzegałam, że kiepska ze mnie ofiara – powiedziała. – Nie wiem, co robić.

– Nie ma do tego podręcznika – powiedział Kovac. – Musisz wszystko poczuć i przeżyć do końca. I nie wiadomo, jak długo to potrwa.

– To dość przerażająca perspektywa – powiedziała, a potem, kierowana instynktem samozachowawczym, zmieniła temat. – Co się stało z Dahlem? Nie żyje?

– Nie żyje. To była ostatnia rzecz, jaką zrobił Dempsey – zabił Dahla. Kiedy usłyszałem wystrzał, pomyślałem, że Dempsey mierzy do ciebie, ale celował w niego. Upewnił się, że Dahl już nigdy nie wymknie się z rąk sprawiedliwości.

– A Kenny Scott? Dempsey mówił, że zrobi mi to samo co jemu. Co się stało z Kennym? Też zginął?

– Nie. Scott żyje – odparł Kovac. – Dempsey trochę go poturbował, przywiązał do krzesła i wypisał mu na czole „WINNY” wypalarką do drewna.

Kovac wyrzucił z siebie te informacje rzeczowym tonem, jakby z podobnymi sprawami spotykał się każdego dnia. Oczywiście widział rzeczy dużo gorsze. Ona zresztą też.

– Powiedział, że by mnie nie zabił – wyszeptwała Carey. – Dempsey... Po tym jak ja... Powiedział: „Zabiłaś mnie. Ja bym cię nie zabił”.

Kovac położył swoją dużą dłoń na jej dłoni.

– Nie mogłaś tego wiedzieć, Carey. Bałaś się o własne życie. Zrobiłaś to, co musiałaś, by się ratować. Dempsey mógł równie dobrze zabrać cię do swojej kryjówki i poddać takim torturom, jakie musiała znieść Marlene Haas. Sądzę, że taki właśnie los Dempsey planował dla Dahla. Miał w samochodzie torbę przeróżnych narzędzi – piłkę do metalu, nóż elektryczny, młotki, widelec do mięsa, kolekcję noży. A przecież zabrał to ze sobą w jakimś celu.

Carey spojrzała w dół, na dłoń Kovaca przykrywającą jej rękę. Już taki kontakt fizyczny wystarczył, by stała się spokojniejsza.

– Czy kiedykolwiek musiałeś kogoś zabić? – zapytała.

– Raz – odpowiedział. – Nie chciałem, ale nie miałem wyboru. Tak samo jak ty.

Wcale nie czuła się przez to lepiej.

– Czy on ma jakąś rodzinę? – dociekała, bojąc się usłyszeć odpowiedź. Nie chciała się dowiedzieć, że Dempsey był czyimś ojcem, dziadkiem, ukochanym mężem.

Kovac potrząsnął głową.

– Nikogo bliskiego – w jakimkolwiek sensie tego słowa. Dorosła córka w Portland, w stanie Oregon, która nawet nie raczyła odpowiedzieć na żaden z telefonów porucznik Dawes. I stary, schorowany wuj w domu opieki. Wuj posiada chatę nad jednym z mniejszych jezior. Wygląda na to, że właśnie tam Stan urządził sobie bazę po tym, jak wyjechał z miasta. Zarówno posiadłość, jak i furgonetka są zarejestrowane na Waltera Dempseya.

Jakim smutnym i dziwacznym człowiekiem był Stan Dempsey. Sam jak palec. Niewidoczny dla większości ludzi, nawet tych, którym powinien być bliski.

– Praca to jedyne, co miał, prawda? – zapytała Carey.

– Moja droga, dla mnie też praca to wszystko, co mam, ale nie jeżdżę po mieście, szpecąc ludzi – powiedział Kovac. – Czy ktoś mógł przez te wszystkie lata próbować się do niego zbliżyć i wyciągnąć go z jego skorupy? Przypuszczam, że tak. Ja, do cholery, mogłem to zrobić, ale nie zrobiłem. Ale Stan był dorosłym mężczyzną. Miał takie życie, jakie wybrał. Aż do samego końca.

– Nie włożył mi noża do ręki – powiedziała Carey słabym głosem.

Kovac podniósł jej brodę palcem i zmusił, by na niego spojrzała.

– Nie. Ale postawił cię w takiej sytuacji, że musiałaś go użyć – powiedział Kovac cicho.

Patrzył jej prosto w oczy. Jego twarz stanowiła żywy portret dobra i szlachetności.

– Carey. Zrobiłbym wszystko, by cofnąć czas. Gdybym tylko mógł dotrzeć tam pięć minut wcześniej i zaoszczędzić ci zmagania z wyrzutami sumienia... Powiem ci, co bym zrobił: jeśli zobaczyłbym, że on ci grozi, dałbym mu tak popalić, że zniknąłby z powierzchni ziemi. I nie spędzałoby mi to snu z powiek.

Carey zaśmiała się z trudem.

– Nie wiem, jak to o mnie świadczy, ale od bardzo dawna nie słyszałam nic równie miłego.

On również się do niej uśmiechnął, dotknął jej policzka i powiedział:

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zostawię cię teraz samą i pozwolę ci trochę odpocząć. I nawet się ze mną nie kłóć – zostajesz na noc w szpitalu.

– Tak jest!

Wciąż jednak ociągał się ze wstaniem z łóżka. I nie spuszczał z niej wzroku. Lekko pokręcił głową.

– Jestem ci winny przeprosiny.

– Za co?

– Za to, jak zachowałem się na początku. Byłem okropny. Osądzałem cię, nie znając wszystkich faktów i opierając się na błędnych założeniach. Przepraszam.

– Nie łatwo być sędzią, prawda?

– Nie. Wyszło na to, że bardzo się co do ciebie myliłem – powiedział. – Jesteś naprawdę odważną kobietą, Carey.

– Wcale nie – zaprzeczyła Carey. – Byłam przerażona.

– Mam nadzieję. Gdybyś nie była, ja bałbym się ciebie – odparł. – Ale na tym właśnie polega odwaga: czuć strach, a jednak postąpić, jak należy. Nie ma odwagi bez lęku.

Doktor pchnął drzwi i wszedł do sali. Kovac odsunął się od łóżka.

– Zobaczymy się rano – powiedział. – Ale jeśli będziesz mnie potrzebowała wcześniej, zadzwoń. Zjawię się przy tobie, zanim zdążysz odłożyć słuchawkę.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Sam – powiedziała Carey.

Dobrym, silnym, dotrzymującym słowa. Światu przydałoby się więcej Samów Kovaców.

Zarumienił się lekko na ten komplement, uśmiechnął kącikiem ust i zniknął za drzwiami.

## LXV

– Detektywie Kovac. Detektywie Tippen. Nie będę się wygłupiać i stwarzać pozorów, że udzielam wam nagany za to, że zachowaliście się jak para kowbojów.

Porucznik Dawes stała u szczytu stołu w pokoju wojennym. Było już po dziewiątej, ale Dawes zwołała całą ekipę, by zrekapitulować wydarzenia dnia i postanowić, co robić dalej.

– I tak zdaję sobie sprawę, że obaj jesteście wybiórczo głusi.

Tippen przyłożył zwiniętą dłoń do ucha.

– Czy ktoś coś mówił?

– Zamiast tego – ciągnęła Dawes – poproszę więc wszystkich zebranych, by wzniesli kubki z kawą i wypili za dobrze wykonaną robotę.

Rozległo się głośnie: „Hip, hip, hurra”.

– A gdzie piwo? – marudził Kovac.

– Dojdziemy do tego – powiedziała Dawes. – Ale najpierw praca, potem zabawa.

Omówili szczegółowo wydarzenia dnia. Dwa morderstwa odkryte i rozwiązane. Porwanie zakończone w pomyślny sposób – dla wszystkich prócz Stana Dempseya.

– Czy jego córka w ogóle obdzwoniła? – zapytała Liska.

Dawes pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Wydział policji w Portland wczoraj się z nią kontaktował. Ja zostawiłam jej kilka wiadomości na automatycznej sekretarce. Spróbuję jeszcze raz dziś wieczorem. Najwyraźniej ona i jej ojciec nie żyli ze sobą blisko.

– To dużo więcej, niż „nie żyli ze sobą blisko” – zauważyła Liska. – To prawdziwa oziębłość.

– Smutne – powiedział Elwood. – „O niewdzięczności... tyś ohydniejsza od morskiej potwory, kiedy się jawnisz w dziecku!”<sup>5</sup>

– Dziękujemy, panie Szekspir – powiedział oschle Tippen. – Mnie mało w tej chwili obchodzą relacje rodzinne Stana Dempseya. Idźmy dalej. Jestem głodny.

– Musimy założyć, że miał dom Moore’ów pod obserwacją – ciągnął Tippen. – Ale co

---

<sup>5</sup> William Shakespeare, *Król Lear*, przełożył Józef Paszkowski.

sprawiło, że pojechał za samochodem opiekunki? Dahl był przecież przebrany za kobietę.

– Chyba nigdy się tego nie dowiemy – powiedziała Dawes. – Może udało mu się dostrzec coś z tego, co działo się w garażu. Może zaglądał przez okno od strony sąsiedniej posiadłości.

– Sugerujesz, że mógłby patrzeć, jak Dahl wkłada sędzinę do bagażnika, i nic nie zrobić? – zapytała Liska.

– Czemu nie? – odpowiedział Tippen. – Daje mu to dwie kolejne ofiary w jednym opakowaniu, dostarczone do odległego miejsca – w sam raz dla jego planów.

– Wciąż nie wiemy, kto zaatakował sędzinę na parkingu – przypomniała Liska. – Czy to też przypiszemy Dempseyowi?

– To nawet ma sens – powiedział Elwood. – Gdy ukazała się informacja o orzeczeniu sędziny w sprawie dawnych zbrodni Dahla, Stan był w pobliżu rady okręgu. Pracował w piątek.

– I co? – zapytała Liska. – Wskoczył w swój czarny, bandycki kostium, który na wszelki wypadek zabrał ze sobą do pracy?

– A co miał na swą obronę nasz gwiazdor porno? – zapytał Kovac.

– Nic – odparła Dawes. – Zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział o napadzie. Ale nie ma świadka na potwierdzenie swojej wersji wydarzeń i jestem pewna, że kłamie na temat swego miejsca pobytu tej nocy, kiedy doszło do ataku.

– Więc dalej bierzemy go pod uwagę – powiedział Kovac.

– Ale po co miałby coś takiego ryzykować? – pytał Tippen. – Ten facet to mistrz w swoim fachu.

Liska podniosła oczy ku górze.

– Nie wracajmy do tego tematu. Jeszcze się nie otrząsnęłam z szoku.

– Istoto o zamkniętym umyśle! – rzucił Tippen. – Poza tym nie wierzę, że sama nie oddajesz się tej przyjemności.

– Nie o to chodzi. To obraz ciebie oddającego się tej przyjemności, sprawia, że mam ochotę poddać się terapii.

– Wyświadczam więc poniekąd przysługę ludzkości.

Liska sięgnęła po jedno z jego kawowych ziarenek i trafiła nim prosto w czoło Elwooda.

– Ginnie Bird jest siostrą Bergena – zauważył Kovac. – Może on jest jej szczerze oddany. Mała płacze mu w kołnierzu, że jej chłopak nie chce dla niej opuścić swojej żony. „Buu... nie mógłbyś czegoś wymyślić, braciszku?” A wtedy genialny Donny wymyśla

cudowny plan. On mi do tego pasuje. Gdy do jego drzwi zapukali mundurowi, Donny właśnie się pakował, a w kieszeni miał bilet do St. Kitts.

– I myślisz, że jest na tyle bystry, by wiedzieć, że Stany nie mają umowy ekstradycyjnej z St. Kitts? – zapytał Elwood.

Kovac wzruszył ramionami.

– Nawet najgłupszy bandzior, taki co to wyleciał już z przedszkola, wydaje się doskonale wiedzieć, jak obejść prawo, by wykręcić się od odpowiedzialności. Poznałem kiedyś debila, który nie umiał znaleźć własnego fiuta przy zgaszonym świetle. Ale doskonale radził sobie ze stworzeniem fałszywej tożsamości i wodził gliny za nos, jak chciał.

– Możemy zmusić Bergena do pozostania w mieście? – spytał Elwood.

– Chris Logan stara nam się w tym pomóc – odparła Dawes.

– Czy ktoś powiadomił Wayne’a Haasa o śmierci Dahla? – przypomniała sobie Liska.

– Masz z nim dobry kontakt Nikki – powiedziała Dawes. – Dobrze by było, gdybyś się tym zajęła.

Liska kiwnęła głową i coś sobie zanotowała.

– Dobrze, moi drodzy – powiedziała Dawes. – Na dziś koniec. Umieram z głodu. Zapraszam na piwo i hamburgery do Patryka. Ja stawiam.

Rozległa się fala radosnych okrzyków i wszystkie krzesła opustoszały w ciągu sekundy. Gdy reszta ekipy ruszyła do drzwi, Kovac i Liska zostali z tyłu.

– Jak mogłeś, Kojaku – wydeła usteczka, robiąc obrażoną minę. – Złapałeś go beze mnie. Czuję się dotknięta. Zdradziłeś mnie z Tippenem.

Kovac uśmiechnął się i objął ją ramieniem.

– Wybacz, Dzwoneczku. Ale tobie z pewnością zrobiłoby się niedobrze od tej jazdy samochodem.

– Ty prowadziłeś?

– Mhm.

– No to ci wybaczam.

– Chodźmy do Patryka – powiedział Kovac. – Pozwolę ci podkraść moje frytki.

– Nie – powiedziała klepiąc go po brzuchu. – To ty możesz zjeść mojego hamburgera.

W końcu jesteś pracowitym, aktywnym facetem. Ja jadę do domu. Szybki odwozi dziś chłopców. Chcę spędzić z nimi trochę czasu, jak normalna mama.

– No dobra – powiedział Kovac. – Przekaż ode mnie Szybkiemu solidnego kopa.

– Z przyjemnością.

– Gdzie zaparkowałaś? Przed budynkiem?

– Mhm.

– To chodź, odprowadzę cię do samochodu.

Liska przytuliła go.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Samie Kovac.

Uśmiechnął się kąciem ust.

– Tak, słyszałem.

## LXVI

Liska zaparkowała przed domem Haasów. Musiała nadłożyć zaledwie kilka kilometrów, by zajechać tam po drodze do swego domu w St. Paul. Była im winna tę wizytę. Chciała osobiście oznajmić im, że Dahl nie żyje i nigdy już nikogo nie skrzywdzi. Choć raz miała im do zakomunikowania dobrą wieść, a nie kolejne złe nowiny, wymówki i zarzuty. I czuła, że dla czegoś takiego warto było poświęcić dziesięć minut.

W oknach na parterze domu i w wolno stojącym garażu paliły się światła. Samochód Wayne'a Haasa stał na podjeździe. Najpierw poszła do garażu, mając nadzieję, że zastanie tam ojca wraz z synem, pracujących wspólnie nad jakimś projektem – im obu dobrze by to zrobiło.

Radio grało jakiś hip-hopowy utwór. Słyszała dość tego typu muzyki we własnym domu, by całkowicie ją znienawidzić. Najlepszy znak, że się starzeje.

– Panie Haas? Bobby? – zawołała, zbliżając się do bocznego wejścia.

Deszcz przestał padać, ale trawa wciąż była mokra i Liska czuła, jak woda przesiąka przez skórę jej butów. „Żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary” – pomyślała.

Zapukała, zaglądając do garażu przez szybę starych drzwi. W środku widać było zbieraninę typowych gratów – kosiarki, rowery, narzędzia ogrodnicze i puszki z farbą.

Bobby Haas siedział na wysokim stołku przy blacie warsztatu, który biegł wzdłuż całej tylnej ściany pomieszczenia. Podniósł głowę znad książki, zsunął się ze stołka i podszedł do drzwi.

– Detektyw Liska? Co pani tutaj robi?

– Mogę wejść? Na dworze zrobiło się naprawdę zimno.

Zrobił krok w tył i wpuścił ją do środka. Liska jednym spojrzeniem ogarnęła wnętrze garażu: narzędzia porozwieszane na ścianach, pod nimi wędki, od dawna nieużywane. Bobby podszedł do stołu.

– Dla odmiany przynoszę dobre wieści – powiedziała. – Czy twój tata jest w domu?

Bobby zmarszczył czoło.

– Wcześniej poszedł spać. Nie czuł się za dobrze.

– Czy wszystko z nim w porządku? Czy nie powinien zobaczyć go lekarz?



– Nie. Myślę, że to głównie z wyczerpania – powiedział chłopiec ze smutną miną. – On jest ciągle zmęczony.

– A ty chciałbyś, żeby wszystko było jak dawniej...

– Jemu nawet nie chce się próbować. Ja w ogóle go nie obchodzę.

– Jestem przekonana, że wcale tak nie jest, Bobby. Twój tato znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Na pewno czuje się zawstydzony, że to ty stanowisz podporę waszej rodziny, podczas kiedy to on powinien spełniać rolę silniejszego.

Żaden z tych argumentów nie trafił do Bobby'ego. Nie miał już cierpliwości. Jak każdy chłopiec pragnął być dla swego taty centrum wszechświata. Dla syna nie było większego zawodu, niż dowiedzieć się, że tak nie jest.

– Cóż. No tak – powiedział Bobby, a w jego oczach zalśniły łzy. – Ale chciałbym, żeby on już o tym zapomniał. Minał już ponad rok, a on wciąż budzi się przygnieciony ciężarem tego, co się stało, i każdego dnia wraca z pracy załamany. A co ze mną? Co z moimi potrzebami? To przecież mój tata, a zachowuje się tak, jakby mnie w ogóle nie było.

Liska położyła mu rękę na ramieniu i poklepała go delikatnie, oferując tę samą milczącą pociechę, jaką dawała swojemu starszemu synowi za każdym razem, gdy jego ojciec sprawiał mu zawód. Bobby Haas trząsł się pod wpływem emocji, targających jego wnętrzem. W tym wieku uczucia nagle stawały się tak silne, że młody człowiek nie zawsze wiedział, jak sobie z nimi poradzić.

Odszedł od niej i zaczął chodzić w kółko, z dłońmi wspartymi na biodrach.

– On powinien kochać mnie, a nie zgrać martwych ludzi, którym w żaden sposób nie może pomóc!

Walcząc z całych sił, by powstrzymać łzy i gwałtowny napór emocji, Bobby kręcił się nerwowo i ciężko oddychał.

Liska zastanawiała się, jaka mogła być przyczyna tego nagłego wybuchu. Kłótnia z ojcem? A może jego brak woli, by w kłótnię się zaangażować? Prawda była taka, że Wayne Haas był wrakiem człowieka i Liska nie sądziła, by kiedykolwiek udało mu się wyjść z depresji. Wyglądało na to, że Bobby doszedł do podobnego wniosku.

Chłopak otarł oczy, zawstydzony, że stracił panowanie nad sobą w jej obecności.

– Więc... Co tutaj robisz? – zapytała Nikki, starając się przybrać weselszy ton. Zbliżyła się do stołu i spojrzała na rozłożone na nim książki, oświetlone światłem jarzeniówki.

– Uczę się – odpowiedział Bobby. – Tu mogę mieć włączone radio i tacie to nie przeszkadza.

– Musze podsunąć ten pomysł moim chłopcom – powiedziała, przyglądając się

książkom. Poważne pozycje z zakresu biologii, chemii i psychologii. – Wygląda na to, że myślisz o karierze lekarza.

– Chciałbym studiować medycynę sądową.

– Mądry wybór – powiedziała Liska, choć tak naprawdę wydawało się to jej dość upiorne, biorąc pod uwagę okoliczności. Ale to i tak lepiej, niż gdyby miał zamiar zostać grabarzem. Zważywszy na tragedie, jakie spotkały go w tak młodym wieku, miało to może nawet jakiś sens. – Pacjenci nie zarzucą ci błędu w sztuce lekarskiej, bo wszyscy będą już martwi.

– Racja – powiedział, nieznacznie się uśmiechając.

– Urządziłeś tu sobie całkiem ładny gabinet.

Kilka półek na narzędzia zajmowały teraz książki. Na blacie Bobby umieścił marmurowe kafle, na których rozkładał swoje papiery. Ołówki i długopisy były powkładane starannie w rozmaite kubki i szklanki nie od kompletu. Zeszyty i teczki leżały na biurowych tackach na korespondencję. Ten poziom organizacji przerażał Liskę, której system sortowania dokumentów polegał na układaniu ich w sterty na stole w jadalni.

Bobby minął ją i stanął między nią a stołem, jak gdyby się bał, że spróbuje ukraść jego notatki z chemii.

Liska uznawała, że odniosła sukces, gdy udało jej się czasem nakłonić Kyle'a i R. J'a, by wśród gratów na podłodze wykopali wąski przesmyk prowadzący do drzwi – na wypadek pożaru. Ten dzieciak sortował spinacze według rozmiaru.

– Powinnam cię zatrudnić, byś zrobił mi porządek w kuchni – powiedziała. – Ale wtedy moje dzieci mogłyby zażądać, bym w końcu zaczęła gotować.

Na blacie stał pojemnik z dwoma oznaczonymi przegródkami na zapłacone i niezapłacone rachunki.

– Ty płacisz domowe rachunki?

– Jeśli zostawię to tacie, to nigdy nie zrobi tego na czas.

Choć Liska rozumiała, że Wayne Haas był w bardzo kiepskim stanie, zdziwiło ją, że powierza tak odpowiedzialne zadanie siedemnastoletniemu chłopcu.

– Nie za często masz okazję być zwykłym dzieciakiem, co?

Bobby wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– Nieważne. Zawsze musiałem wszystkim zajmować się sam.

W jego słowach zabrzmiała gorzka, ironiczna nuta.

– Co to za dobra wiadomość? – zapytał. – Powiedziała pani, że ma nam pani coś do zakomunikowania?

– Karl Dahl został zastrzelony dziś wieczorem – powiedziała. – Nie żyje. Nikogo więcej już nie skrzywdzi.

– To dobrze. Jest już więc po wszystkim?

Liska usiadła na starej kosiarce.

– Jeśli chodzi o Dahla. Wciąż badamy sprawę pobicia sędziny Moore.

– A zatem to, że wzięła stronę Dahla, ujdzie jej teraz na sucho tylko dlatego, że on nie żyje? – spytał Bobby. – I będzie mogła tak po prostu wrócić do swojego dawnego życia, jakby nic się nie stało, i za jakiś czas zrobić dokładnie to samo...?

– Tak się składa, że sędzina Moore jest w szpitalu – powiedziała Liska. – Dahl porwał ją wczorajszej nocy. Ma szczęście, że żyje.

Bobby najwyraźniej nie umiał zdobyć się na współczucie.

– Gdyby wcześniej zrobiła, co do niej należało, w ogóle by do tego nie doszło.

– Sędzina Moore nie wypuściła Dahla z więzienia.

– Ale pozwoliłaby mu wyjść na wolność – powiedział chłopiec. – Dahl powinien był trafić za kratki już dawno temu. Może wtedy mój tato dalby radę zapomnieć o przeszłości i ruszyć dalej ze swoim życiem.

– Życie nie zawsze przebiega zgodnie z planem, Bobby. Najczęściej toczy się, jak chce, a my musimy poradzić sobie z nim, jak najlepiej umiemy.

Oczywiście jemu takie podejście do sprawy nie przypadło do gustu. Ten dzieciak pewnie na zakupy do warzywniaka chodził ze szczegółową listą. Chciał, żeby wszystko było schludne, poukładane i pod kontrolą. I nie można mu było mieć tego za złe. W jego młodym życiu tak wiele rzeczy wymknęło mu się już spod kontroli, że pragnął mieć nad wszystkim władzę wtedy, gdy tylko mógł.

Do ściany nad odległym krańcem stołu przykręcił wieszak, na którym zgromadził różne części garderoby, jakie zapewne wkładał na siebie w miarę, jak ogarniał go chłód – od lżejszych po coraz grubsze. Wisiały tam podkoszulki z krótkim rękawem i długim rękawem, bluza z logo Uniwersytetu Minnesoty i czarna kurtka, którą miał na sobie podczas ich poprzednich spotkań.

Przynajmniej jego ubrania nie wisiały starannie odprasowane, każde na osobnym wieszaku. Koszulki zwisały krzywo. Kurtka była wywrócona na lewą stronę. Dobrze wiedzieć, że nie był całkowicie perfekcyjny.

Liska zapatrzyła się na kurtkę, na białą metkę przyszytą na odwrocie kołnierza. Kwadrat wielkości dwa i pół na dwa i pół centymetra. Nie podobało jej się to, ale przeniosła wzrok z powrotem na chłopca.

– Może twój tato będzie mógł w końcu zapomnieć o przeszłości – powiedziała. – Teraz, gdy Karl Dahl nie żyje, jego gniew pewnie częściowo ustąpi, a rany zaczną się goić. Może razem uda wam się ruszyć dalej.

Bobby spojrział w kierunku domu, jak gdyby umiał patrzeć przez ściany i właśnie dotarł wzrokiem do sypialni swego ojca. Gdyby potrafił siłą woli zmieniać rzeczywistość, z pewnością by to zrobił.

Wzrok Liski znów powędrował w kierunku wieszaka z ubraniami. Nieopodal niego stała ogrodowa ławka, na której można było usiąść i zmienić obuwie. Pod nią widać było kilka par tenisówek, oficerki i coś, co przypominało walizkę, częściowo ukrytą pod brudnym od smaru ręcznikiem.

Nie, to nie była walizka.

Liska podeszła do ławki i ściągnęła ręcznik, odsłaniając starą, brązową aktówkę, wystarczająco dużą, by zmieścić kulę do gry w kręgle lub akta, notatki i sprawozdania, jakie po dniu pracy sędzia mógłby chcieć zabrać ze sobą do domu.

– Piękna stara teczka – powiedziała Liska. – Gdy byłem dzieckiem, mój wujek William nosił taką samą. Był prawnikiem, doradcą do spraw nieruchomości.

Bobby nic nie odpowiedział. Wodził wzrokiem między Liską a aktówką.

– Prawnicy zawsze mają tyle papierów – ciągnęła. – Myślę, że dzięki temu czują się ważniejsi. Wuj William miał jedną rękę dłuższą od drugiej przez to, że zawsze ciągał ze sobą tę teczkę.

Poniżej ciężkiego, mosiężnego zatrzasku widniał złoty napis, którego litery w ciągu lat zdążyły się już nieco wytrzeć, ale Liska bez problemu go odczytała: A.H. Greer, Esq.

– Skąd to masz, Bobby? – zapytała, prostując się i patrząc twardo na chłopaka.

– Nie pamiętam. Chyba ze sklepu Armii Zabawienia.

– Serio? Niesłychane, jakie rzeczy można tam dostać. Ta teczka jest naprawdę ładna. Teraz już takich nie robią. Czy wiesz, że sędzina Moore miała dokładnie taką samą?

– Nie. Skąd niby miałbym to wiedzieć?

– Nie wiem, ty mi powiedz. Teczka skradziono, gdy sędzina została napadnięta na parking w piątkową noc.

– Chce pani powiedzieć, że to ja ją ukradłem? – zapytał, robiąc się nerwowy. – To nieprawda. Przecież to nawet nie jest jej nazwisko.

– Nie. Ale mogę ci powiedzieć czyje. Alec Greer jest ojcem sędziny Moore.

Chłopak zrobił się cały czerwony.

– Nieważne. To nie jest jej teczka. Mam ją od dawna.

– Nie będzie ci więc przeszkadzało, jeśli do niej zajrzę?

Jego spojrzenie znów powędrowało w kierunku teczki i z powrotem na Lisę. Oddychał szybko.

– Nie potrzebuje pani nakazu albo czegoś takiego?

– Mogę dostać nakaz. Mogę w tej chwili zadzwonić do mojego partnera, a potem możemy stać tu i czekać, aż przyjedzie i go przywiezie. A potem możemy spędzić całą noc, przeszukując ten garaż kawałek po kawałku, ale to nic nie zmieni. To, co znajduje się w tej walizce, nie zniknie, chyba że jesteś w posiadaniu jakiś czarodziejskich mocy, o których nic mi nie wiadomo.

Chłopiec zaczął się pocić. Nie miał gotowej odpowiedzi. Liska nieomalże widziała, jak tryby w jego głowie pracują na przyspieszonych obrotach, gdy rozważał i odrzucał kolejne możliwości.

– Bobby, jest tylko jedno wytłumaczenie dla faktu, że ta walizka znalazła się w twoim posiadaniu – powiedziała. – Odwróć się, rozstaw nogi, wysuń ręce do przodu i połóż na blacie.

Zrobił tak, jak mu kazała.

– Bobby Haas – powiedziała, podchodząc do niego z kajdankami. – Jesteś aresztowany pod zarzutem napadu na Carey Moore.

Gdy stanęła za jego plecami, chłopak nagle zamachnął się i z całej siły uderzył ją łokciem w mostek.

Liska zatoczyła się do tyłu. Straciła oddech i zobaczyła wszystkie gwiazdy.

Bobby odwrócił się od stołu, trzymając w dłoni narzędzie, które musiał zdjąć ze ściany.

Młotek.

Jego piękną twarz wykrzywił gniew. Szedł w jej kierunku, z całej siły wymachując młotkiem.

Liska potknęła się o kosiarkę, upadła na plecy i uderzyła głową o podłogę. Przetoczyła się na bok i w tym momencie młotek uderzył o beton w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jej głowa.

Podniosła się na czworaka i na kolanach wczołgała pod uchwyt taczki, skąd, zdolawszy stanąć na nogi, rzuciła się do przodu.

Młotek uderzył w taczkę, pomieszczenie wypełnił dźwięk przypominający odgłos chińskiego gongu.

– Ty pieprzona suko – mówił, nie podnosząc głosu.

Jego spokojny ton przeraził ją niemal tak samo, jak jego zachowanie. Planował ją zabić, jednak pozostawał na tyle opanowany, by mówić cicho, żeby nie zostać usłyszanym przez sąsiadów lub ojca w domu.

Zbliżał się z uniesionym młotkiem.

Liska obeszała rower i rzuciła mu go pod nogi.

Jego oczy były całkowicie czarne. Dwa ciemne doły bez dna, nieruchome i pozbawione emocji. Jak u węża lub rekina. Jak u zabójcy.

Sięgnęła po broń, ale chłopak był tak blisko, że rzucił się na nią, zanim zdążyła wyciągnąć pistolet z kabury.

Schyliła się nisko. Młotek uderzył w ścianę, posyłając w powietrze drzazgi ze strzaskanych desek.

Liska wbiła łokieć w jego splot słoneczny i chłopak zatoczył się kilka kroków do tyłu. Gdy podniosła broń, znów zamachnęła się młotkiem, tym razem trafiając w wierzch jej dłoni. Pistolet poszybował w powietrze.

– Ty pieprzona cipo! – bluznął słowami niczym jadem.

Liska zrobiła unik i umknęła w bok. Wsadziła rękę do kieszeni i wyjęła składaną pałkę.

Szybkim, wytrenowanym ruchem nadgarstka rozwinęła ją na całą długość i machnęła nią jak kijem do baseballa, z całej siły uderzając Bobby'ego Haasa w żebra w chwili, gdy brał kolejny zamach.

Poczuła, jak kilka jego żeber pęka. Bobby zgiął się wpół, wypuszczając młotek.

Drugie uderzenie spadło na niego z góry, miażdżąc obojczyk.

Krzycząc z bólu, chłopak upadł na kolana i łokcie, przewrócił się na bok i skulił w pozycji embrionalnej, płacząc jak dziecko, którym powinien być.

– Połóż się płasko na twarz, gówniarzu! – wrzasnęła Liska, nabuzowana adrenaliną.

– To boli!

– I dobrze, ty zaszary gnoju! Na twarz, no już! Albo dam ci prawdziwy powód do płaczu.

Łkając, chłopak z powrotem podniósł się na kolana. Przestraszona i wściekła, Liska oparła stopę na plecach chłopaka i przycisnęła go do podłogi. Wygłaszając mu jego prawa, sięgnęła do kieszeni po komórkę, by wezwać posiłki.

## LXVII

– Nawet na minutę nie mogę cię zostawić samej – zrzędził Kovac, idąc przez trawnik w kierunku garażu Haasów. – Jesteś mi winna kolację.

– Co?! Przed chwilą sam syn szatana próbował mnie zabić młotkiem!

– I jak to się ma do rzeczy...?

Liska spojrzała na niego wściekle.

– Nie rób sobie ze mnie żartów, Sam. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

Kovac objął ją ramieniem i mocno przytulił.

– Widzę, Dzwoneczku. Dlatego pomyślałem, że odrobina nieznośnego braku powagi będzie na miejscu.

– Więc postanowiłeś, że zachowasz się jak zawsze.

– Mądrała.

Aby Liska przyznała się do tego, że się boi, trzeba było nie lada wydarzenia. Teraz będzie się wkurzać, że pozwoliła komuś zobaczyć, iż nie jest tak twarda, jak starała się wszystkim pokazać.

– Powinieneś go być widzieć, Sam. Kiedy się odwrócił i zaczął na mnie iść z tym młotkiem... – Zadrżała i potarła ramiona rękami, udając, że jest jej zimno. – To, co ujrzałam w oczach tego dzieciaka... Po raz pierwszy zobaczyłam coś takiego. I już nigdy więcej nie chcę tego widzieć.

Bobby Haas został już wyniesiony z garażu na noszach i wsadzony do karetki, która odjechała, a Liska wciąż była bardziej wstrząśnięta. Kovac nigdy nie widział jej w takim stanie. Wbiła wzrok w ziemię, czując się nieswojo na myśl, że tłum policjantów i techników, badających miejsce przestępstwa, mógłby zauważyć malujące się na jej twarzy emocje.

Kovac zdjął palto i otulił nim Lisę. Była tak drobna, że całkiem w nim utonęła. Obejmując ją ramieniem, poprowadził ją do werandy domu Haasów. Przysiedli na skraju. Liska oparła się o Kovaca.

– Musisz zwolnić tempo, mała – powiedział. – Spokojnie.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

– Poprosiłam chłopaków, żeby poszli po Wayne'a Haasa – powiedziała Liska. – Ja mu

o tym nie powiem. Nie mogę. Ty musisz to zrobić.

– Wszystkie te światła i syreny nie skłoniły go do tego, by wyszedł z domu?

– Bobby powiedział mi, że jego tato wcześniej położył się do łóżka, bo źle się czuł.

– Chciałbym mieć taki twardy sen – powiedział Kovac. – Jeśli mój sąsiad nie przestanie walić w dach o świcie, to też udam się do niego z młotkiem.

Liska go nie słuchała. Spojrzała w górę i pokręciła głową.

– Mój Boże...

– To dlatego, że to jeszcze dzieciak – powiedział Kovac cicho. – Za bardzo przypomina ci to dom.

– Wiesz... Tak bardzo chciałam okazać mu współczucie. I naprawdę było mi go żal. Biedne, pozbawione matki dziecko.

– Nie jestem pewien, czy Bobby Haas kiedykolwiek był dzieckiem.

– I może w tym właśnie tkwi problem.

– A może z tyłu głowy miał wytatuowane trzy szóstki – powiedział Kovac. – Nie staraj się go zrozumieć, Dzwoneczku, fest jakiś powód, dla którego nie należy to do naszych obowiązków.

Nie mogli sobie pozwolić na to, by zagłębiać się w motywy, jakimi kierowali się przestępcy. Ceną za zrozumienie ich postępowania byłaby utrata obiektywizmu, a ten jest detektywowi absolutnie niezbędny.

„Jestem hipokrytą” – pomyślał.

Jeden z kryminologów wyjrzał z garażu.

– Powinniście to zobaczyć – powiedział do nich.

Gdy weszli do środka, Kovac przyjrzał się rzeczom rozłożonym na blacie warsztatu: akta sprawy „Państwo przeciwko Karlowi Dahlowi”, należące do Carey i inne dokumenty, które zabrała ze sobą w piątkowy wieczór, by przejrzeć je w domu. Wszystkie były mokre i cuchnące.

– Jezu! On na nie naszczał – powiedział Kovac z obrzydzeniem.

Liska podeszła bliżej, by popatrzeć na przedmioty leżące dalej.

– O, mój Boże... – wyszeptwała. – Sam...

Wszystko było starannie popakowane w plastikowe, zamykane torebki. Pamiętnik. Zdjęcia Bobby’ego Haasa i jego ojca bawiących się w chowanego, łowiących ryby, szczęśliwych. Kilka torebek zawierało wycinki prasowe, poukładane wedle dat. „Masakra w Minneapolis”. „Okrutne zabójstwa wstrząsają cichą dzielnicą”. „Miejsce zbrodni wyglądało jak jatka, mówią policjanci”. „Bezdomny aresztowany pod zarzutem okrutnych morderstw”.



Dla Kovaca te wycinki były jedynie odrobinę upiorne i przerażające. Rodziny, których bliscy stali się ofiarami brutalnego przestępstwa, często uważnie śledziły losy śledztwa i gromadziły artykuły z gazet na jego temat.

W końcu zobaczył ostatnią, małą torebkę.

Żołądek mu się skurczył, a czoło zrosił zimny pot.

– Boże święty...

Liska popatrzyła na niego.

– Co jest?

W sprawach takiej wagi jak morderstwo Haasów detektywi często nie podawali do opinii publicznej pewnych szczegółów zbrodni – takich, jakie mógł znać jedynie morderca. To pomagało policji pozbyć się wariatów, którzy fałszywie przyznawali się do winy, by w ten dziwny sposób zdobyć dla siebie pięć minut sławy.

Właśnie taki szczegół Kovac podnosił teraz do światła.

– O Boże!

Kovac trzymał próżniową torebkę, w której znajdowały się spakowane starannie, zachowane w idealnym stanie, ułożone od największego do najmniejszego ludzkie palce – prawe kciuki Marlene Haas, Brittany i Ashtona Pratta.

– Jezu Chryste – wyszeptał Kovac. – Karl Dahl tego nie zrobił.

Ironia była gorzka. Stan Dempsey zrujnował swoją karierę i stracił rozum, próbując dopilnować, by Dahl został skazany za morderstwa Haasów. Był tak przekonany o winie Dahla. Wszyscy byli. Dziwny włóczęga, który popełnił w przeszłości kilka przestępstw na tle seksualnym – drobnych przestępstw, ale zawsze... Znał ofiary. Widziano go, jak wchodzi do ich domu w dniu morderstwa. Nie miał alibi. Po aresztowaniu znaleziono przy nim naszyjnik, który należał do Marlene Haas.

To musiał być Dahl. Nikt nie próbował pomyśleć, że jego sąsiad, listonosz lub parkingowy byłiby w stanie dopuścić się tych wszystkich potworności, jakich doświadczyła Marlene Haas i jej adoptowane dzieci. Nikt nigdy nie podejrzewałby chłopca mieszkającego z nimi w jednym domu.

Mordercą musiał być Karl Dahl. Został aresztowany, oskarżony i najpewniej usłyszałby wyrok. Sprawa byłaby zamknięta.

Zamiast tego aresztowanie Dahla wywołało lawinę okrutnych zdarzeń. Dahl uciekł z więzienia, zamordował dwie kobiety i porwał trzecią. Carey Moore została zmuszona do zabicia Stana Dempseya ze strachu o własne życie.

Jak się okazało, Karl Dahl w końcu okazał się mordercą, ale nie popełnił tych zbrodni,

o jakie został oskarżony.

Kovac odłożył próżniową torebkę z powrotem na stół. Nikt nie odezwał się ani słowem. Było tyle do powiedzenia – a jednocześnie nic.

– Pani detektyw? – jeden z oficerów, których Liska posłała do domu, stanął w drzwiach.

Liska nie odwróciła się od przedmiotów rozłożonych przed nimi na blacie warsztatu.

– Ten facet w domu... – ciągnął policjant. – On nie żyje. Wygląda na to, że miał zawał.

– Na pewno właśnie tak to wygląda – mruknęła Liska pod nosem. – Na pewno...

## LXVIII

Dziennik Bobby'ego Haasa czytało się jak powieść Stephen Kinga. Pierwszy wpis pochodził z kilku tygodni przed morderstwami. Chłopiec dzielił się w nim swoją złością z powodu planów, jakie mieli jego rodzice: rozważali adoptowanie „dwóch małych robaków”, jak ich określił.

Rozwodził się nad przepelniającymi go uczuciami zdrady i odrzucenia. Wszystko było dobrze, gdy byli tylko we troje. Czuł się ważny. Cieszył się niepodzielną uwagą swych rodziców, zwłaszcza taty. A potem, jak uważał, Marlene odwróciła się od niego, odrzuciła go. Chciała czegoś więcej – więcej dzieci, innych dzieci. Nie był dla niej wystarczająco dobry.

„Tak jak poprzednio” – pisał Bobby.

Kobiety go nie kochały. Według niego, wszystkie kobiety w jego życiu go odepchnęły – jego matka, pierwsza pani Haas, w końcu Marlene. Ze stron dziennika wylewał się jad, z jakim Bobby wypowiadał się na temat tej ostatniej. Kobiety nazywał samolubnymi sukami – i jeszcze gorzej – które zawsze w końcu się nim nudzą. Jak dziewczynka, która porzuca swą ulubioną zabawkę, Marlene zostawiła go dla nowych zabawek.

Nienawidził jej. Kochał swojego tatę. A Marlene starała się odciągnąć uwagę Wayne'a, zrujnować łączącą ich więź, która najwyraźniej była najważniejszą relacją w życiu Bobby'ego.

Szczegóły planowanej przez chłopca zbrodni mroziły krew w żyłach. Relacja z jej wykonania była przerażająca. Bobby opowiadał, że czuł się silny i niepokonany, gdy obserwował, jak na twarzy Marlene zaczęło malować się zrozumienie i powoli zdała sobie sprawę, co czekają i jej dzieci.

W późniejszych notatkach Bobby wspominał o planach, by zabić Carey Moore i o swojej rosnącej frustracji, spowodowanej tym, że tato poświęca Marlene i dzieciom jeszcze więcej uwagi teraz niż przed ich śmiercią, a coraz mniej troszczy się o niego. Nie taki był jego plan...

„On nie chce żyć. Wyświadczę nam obu przysługę...”

Zapisał całe strony uwagami na temat zatrucia selenem, którego objawy do złudzenia przypominały zawał serca, a substancja była niemożliwa do wykrycia w standardowym teście

toksykologicznym.

Jak na ironię, Bobby zrobił dokładnie to, o co oskarżał Marlene: zmęczył się obecnością jej, dzieci, a w końcu nawet ojca, którego przez całe życie tak bardzo pragnął mieć. Stracili dla niego swą użyteczność, więc połamał ich i wyrzucił na śmietnik.

Pamiętnik początkującego seryjnego mordercy.

Kovac wiedział, że dziennik posłuży jako wartościowy materiał twórcom profili przestępców i psychologom, którzy zawsze poszukiwali nowych sposobów dotarcia do umysłu mordercy. Ale gdyby nie oni, z chęcią wrzuciłby ten zeszyt do pieca. Zapiski przesycane były złem, które żyło w Bobbym Haasie, i Kovac pragnął posłać je w takie miejsce, skąd zło nie mogłoby się wydostać.

Badanie miejsca zbrodni przeciągnęło się aż do następnego dnia. O piątej rano informacje przeciekły do lokalnych mediów, potem do serwisów informacyjnych. O ósmej rozpętało się prawdziwe medialne szaleństwo.

Szef policji wraz z porucznik Dawes i Chrisem Loganem poprowadzili konferencję prasową. Kovac i Liska udali się do swych domów na kilka godzin tak potrzebnego snu. Kovaca nie obudził nawet sąsiad, walący młotkiem w dach.

Nigdy w życiu nie czuł się tak wyczerpany. Jego praca czasem, choć nieczęsto, bywała fizycznie wyczerpująca. Ale to wysiłek psychiczny pozostawiał go wyczerpanym z sił.

Dlaczego wydawało mu się, że poświęcał czas na zastanowienie się nad swoimi emocjami jedynie w chwilach kryzysu?

Dlatego, że gdy ten kryzysowy moment miał już za sobą, na ogół nie chciał już nic czuć. Tak wydawało się najbezpieczniej. I najłatwiej. Jeśli nie miał ochoty zbytnio się angażować w relacje międzyludzkie, mógł po prostu się wycofać. Samotne życie niosło ze sobą wiele korzyści w porównaniu z byciem żonatym – przynajmniej jeśli miało się za żony takie kobiety jak on.

Miłość jakoś nigdy mu nie wychodziła. Jego ostatnia żona nie tylko go porzuciła – wyjechała z miasta, ze stanu, opuściła środkowy zachód. W owym czasie właśnie przyszło na świat ich dziecko, córka. Ale ich małżeństwo było skończone na długo przedtem. Ze złamanym sercem Kovac zrzekł się praw do córeczki i już nigdy więcej jej nie zobaczył.

Nieczęsto o tym myślał i nigdy o tym nie mówił. Bo i po co?

Tylko wtedy, gdy za bardzo zbliżył się do innych i widział, jak są szczęśliwi, zdawał sobie sprawę z pustki własnego życia.

Jego myśli poszybowały w stronę Carey i Lucy. Zastanowił się nad tym, jak by to było, tworzyć z nimi rodzinę – mieć coś, co David Moore tak bezmyślnie odrzucił. Ale

odepchnął od siebie te obrazy. To nie była jego rzeczywistość.

Około dziewiątej wieczorem Kovac zwłókł się z łóżka, wziął prysznic, założył stary dres i zszedł na dół w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Usiadł w salonie z resztkami pizzy odgrzanyymi w kuchence mikrofalowej i włączył Travel Channel, by w ten sposób udać się na wakacje, nie opuszczając kanapy.

Meksykańskie miasto Cabo San Lucas wydawało się całkiem przyjemne. Oczywiście materiał nakręcono w cudownym, pięciogwiazdkowym kurorcie. Kovac wyobraził sobie, jak wyleguje się na leżaku na plaży pod wielkim parasolem i słucha szumu morza, a śliczne Latynoski w bikini przez cały dzień donoszą mu egzotyczne drinki.

Wyłączył swój telefon komórkowy, gdy tylko wszedł do domu wczoraj po południu. Nie chciał, by ktokolwiek mu przeszkadzał. Teraz kobiecy głos w telefonie poinformował go, że w jego skrzynce pozostawiono dwanaście nowych wiadomości. Zaczął odtwarzać je po kolei, kasując większość z nich, zanim dobiegły końca. Reporter, reporter, reporter. Nie miał pojęcia, w jaki sposób udawało im się zdobyć jego numer. Po każdej głośniejszej sprawie zmieniał go, a jednak dziennikarzom zawsze udawało się go namierzyć.

Osoba zajmująca się PR-em w biurze szefa policji informowała go, że powinien ubrać się stosownie do okazji, gdyż cały świat ustawił kamery na ich wydział.

„Zapamiętać: sprzedać samochód, kupić garnitur od Armatniego”.

„Jezu”.

– Sam, tu Carey.

Ostatnia wiadomość. Kovac wyprostował się na kanapie. Cabo odplynęło na dalszy plan.

– Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie.

Głos miała zmęczony i smutny.

– Widziałam wiadomości... Już myślałam, że ta sprawa nie może potoczyć się gorzej, i dokładnie tak się dzieje. W każdym razie... jestem w domu. I nie wiem, co ze sobą zrobić. Jesteś pewien, że nie wydali czegoś w stylu: „Jak być ofiarą. Poradnik dla idiotów”?

Spróbowała się zaśmiać, ale efekt był mizerny.

Odtworzył tę wiadomość trzy razy.

Tylko po to, by usłyszeć jej głos.

## LXIX

Dziwnie było być z powrotem w domu. David zniknął. Nie było Anki. Carey odczuwała ich brak, wsłuchiwała się w ciszę, która zastąpiła ich głosy. Będąc w domu tylko z Lucy, czuła się tak, jakby były ostatnimi ludźmi na ziemi.

Carey nie była w stanie położyć się w swoim łóżku – łóżku, z którego w środku nocy porwał ją Karl Dahl, i które przez lata dzieliła z całkiem obcym mężczyzną, jakim okazał się jej mąż. Lucy także nie chciała słyszeć o pójściu do swojej sypialni. Od chwili, gdy Kate przywiozła ją do domu, Lucy przyłgnęła do Carey jak rzep.

Carey zniosła mnóstwo poduszek i koców do pokoju dziennego. Lucy lubiła bawić się w spanie pod namiotem. Zabawa w udawanie wydawała się dobrym pomysłem także dla jej matki.

Córeczka jeszcze nie chciała mówić o tym, co zobaczyła tamtej nocy. Na ogół trajkotała jak nakręcona, dziś ledwie otwierała buzię. Kate poradziła Carey, by się tym nie martwiła, ale ona i tak była zaniepokojona.

Carey umiała sobie wyobrazić, w jaki sposób ostatnie wydarzenia wpłyną na jej życie, wiedziała, że zacznie na pewne rzeczy patrzeć z innej perspektywy i mniej ufnie podchodzić do świata. Jej poczucie bezpieczeństwa zupełnie wyparowało – wiele spraw, w które tak mocno wierzyła, przestało istnieć.

Jeśli ona czuła się tak zagubiona, nie sobie mogła wyobrazić bezradności, jaką odczuwać musiało jej dziecko.

A na dodatek Lucy musiała pogodzić się z nagłą nieobecnością swojego taty, której nie umiała zrozumieć.

Carey zastanawiała się, jak sobie poradzi z pytaniami Lucy. „Tatuś już z nami nie mieszka, bo odwiedza prostytutki. Tatuś się wyprowadził, bo potajemnie kręci filmy pornograficzne”.

Co miała jej powiedzieć? I jaki sens będą miały jej wytłumaczenia dla małej dziewczynki, która chce tylko mieć mamusię, tatusia i czuć się bezpiecznie?

Lucy spała zwinięta w kłębek na sofie, otulona kocem. Włożyła kciuk do buzi, choć wyrosła z tego już dwa lata temu.

Carey dotknęła ciemnych włosów córeczki w nadziei, że śnią jej się same dobre rzeczy.

Niespokojna podeszła do okna wychodzącego na ogród przed domem i usiadła na poduszkach, podwinąwszy nogi pod siebie niczym kot. Na chodniku za bramą wciąż stał policyjny radiowóz.

Policjanci nie będą mogli traktować jej w ten uprzywilejowany sposób dużo dłużej. Choć wiedziała, że trzech ludzi, których miała powód się bać – Karl Dahl, Stan Dempsey i Bobby Haas – już jej nie zaszkodzą, wciąż nie zaznawała spokoju. Czuła się obnażona. Cały świat wiedział, gdzie mieszka. Całkowicie utraciła swą prywatność.

Może sprzeda ten dom. Zdarzyło się tu zbyt wiele nieszczęść. Dobre wspomnienia zostały wyparte przez te złe. Rozpoczęcie wszystkiego od nowa wydawało się dobrym pomysłem. Chciała się poczuć anonimowo. Nie miała ochoty za każdym razem, gdy włączy telewizor, widzieć na ekranie swojej willi.

Chciała stać się nikim i marzyła o tym, by nikt od niej niczego nie żądał. I bardzo pragnęła, by ktoś zrozumiał te jej potrzeby.

Zobaczyła, jak przed jej dom zajeżdża samochód i parkuje przed wozem patrolowym. Ze środka wysiadł kierowca. Kovac.

Carey otworzyła mu drzwi, zanim doszedł do połowy ścieżki.

– To dopiero niespodzianka – powiedziała. – Myślałam, że będziesz nadrabiał zaległości w spaniu.

Wzruszył ramionami i wszedł do środka.

– Nie... Sen jest stanowczo przeceniany. A ja myślałem, że będziesz wołała zatrzymać się gdzie indziej.

– Kate i John proponowali mi, bym pojechała do nich, ale nie miałam ochoty na niczyje towarzystwo – odpowiedziała. – Wychodzi na to, że nie mam również ochoty być sama, ale wołałam nie ciągnąć Lucy do hotelu.

Kovac przyjrzał jej się uważnie od stóp do głów. Potargane włosy, zmęczona twarz, stara podkoszulka i czerwone spodnie od piżamy. Czuła się jak porzucone dziecko z umazaną buzią.

– Z pewnością widział mnie pan w moich najlepszych momentach, detektywie – powiedziała z nutką szyderstwa.

– Jadłaś coś? – Zapytał Kovac, po czym sam sobie odpowiedział. – Nie. Oczywiście, że nie. Po co miałabyś jeść? Wtedy trzeba by wichury, by zwiać cię z nóg, a tak wystarczy byle podmuch. Przyniosłem coś do jedzenia.

Uniósł papierową torebkę z nazwą piekarni i postawił ją na stoliku w korytarzu, by zdjąć płaszcz.

– Co to?

– Pączki – powiedział, uśmiechając się tym swoim krzywym półuśmiechem. – Co innego miałby ci przynieść gliniarz?

– Utrwalasz stereotyp – zauważyła Carem, również zdobywając się na uśmiech, a nawet lekko chichocząc.

– Ktoś musi podtrzymywać tradycję. Masz kawę? – zapytał, zmierzając prosto do kuchni.

– Wiesz, gdzie jest.

Carey podążyła za nim w dół korytarza, niosąc torebkę z pączkami. Przyglądała się, jak Kovac przygotowuje wszystko, co potrzebne do zrobienia kawy. Gdy ekspres zaczął bulgotać, odwrócił się i spojrzał na nią.

Wyglądał inaczej w dzinsach i swetrze. „Młodziej – pomyślała Carey. – I nie tak bardzo zafrasowany, jakby cały ciężar tego świata spoczywał na jego barkach.

– Więc Bobby Haas, tak? – zapytała.

– Tak. Bobby Haas.

Carey potrząsnęła głową.

– Czy ktoś patrząc na tego chłopca, uwierzyłby, że mógł zrobić coś takiego? To jak z horroru. Sam fakt, że ten dzieciak w ogóle miał w głowie takie myśli, przyprawia mnie o mdłości.

– Cóż można powiedzieć? – Kovac wzruszył ramionami. – Niektóre z nich po prostu takie się rodzą.

– Wierzysz w to? Że zło rodzi się, a nie powstaje pod wpływem okoliczności?

– Moja droga. Widziałem najgorsze rzeczy, jakie jeden człowiek potrafi wyrządzić drugiemu. Bobby Haas nie zgwałcił, nie okaleczył i nie zamęczył na śmierć swoich ofiar tylko dlatego, że w dzieciństwie moczył się w portki. Te myśli zrodziły się w jego głowie już dawno. Doprowadził swój plan do perfekcji na długo przed tym, jak wprowadził go w życie.

– I prawie uszło mu to na sucho – szepnęła Carey. – Zdajesz sobie sprawę, że jeśli Dahl stanąłby przed sądem, to zostałby skazany.

– Myślałaś, że on to zrobił? – zapytał Kovac. – Myślałaś, że to Dahl?

– Powinnam odmówić odpowiedzi na to pytanie, ale ci powiem. Tak. Tak myślałam. Wszyscy tak myśleli.

– A jednak skłaniałaś się w przeciwnym kierunku. Wydawało się, że chcesz ułatwić



sprawę obronie. Czemu?

– Bo co by się stało, gdyby był niewinny? I w końcu okazało się, że tak było.

– Nie mógłbym wykonywać twojej roboty – powiedział Kovac. – Nie umiałbym. Nie potrafiłbym zachować bezstronności.

– I dlatego ty jesteś gliną, a ja nie.

Kovac nalał kawę do dwóch kubków. Carey sięgnęła do kredensu, wyciągnęła talerz i zaczęła na nim układać pączki. Codziennosc tego, co robili, niosła ze sobą pewne ukojenie. Zwykle, domowe zajęcie.

– Gdzie jest Lucy? – zapytał Kovac.

– Śpi w pokoju dziennym. Chodźmy tam. Nie chciałabym, by obudziła się i nie zastała mnie obok.

– Jak ona sobie z tym wszystkim radzi? – Kovac zniżył głos, gdy weszli do pokoju.

Lucy nie ruszyła się, nie zmienił pozycji również jej kciuk.

– Cały jej świat stanął na głowie... A ja nie mogę na to nic poradzić.

Carey zamknęła oczy i zakryła usta dłonią, starając się zatamować napór łez napływających do oczu. Dała radę twardo się trzymać, gdy Lucy nie spała. Ale teraz jej mechanizm obronny wysiadał. Była wyczerpana i przytłoczona cierpieniem.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, odwróciła się do Kovaca i wtuliła twarz w jego ramię.

A on nie namyślając się nawet przez chwilę objął ją mocnym uściskiem. Gładził po włosach i mówił, że wszystko będzie dobrze. I nie miało znaczenia, czy będzie tak naprawdę, czy nie. Liczyło się to, że był obok niej ktoś silny, gotowy wziąć na siebie jej troski – przynajmniej na chwilę.

Pociągając nosem i ocierając łzy z policzków, Carey zrobiła krok do tyłu.

– Ciągle tylko przy tobie płaczę – powiedziała.

Kovac podał jej chusteczkę, leżącą obok talerza z pączkami.

– Nie szkodzi. Przynajmniej masz powód, nie tak jak moja pierwsza żona, która wybuchała płaczem na sam mój widok.

Carey uśmiechnęła się i skuliła na kanapie tuż obok Lucy.

– Nieprawda!

Kovac usiadł naprzeciw niej, na rozłożystym, skórzanym podnóżku, który służył również jako stolik do kawy, i oparł łokcie na kolanach.

– Miałaś jakieś wieści od Davida? – spytał.

– Nie.

Kovac potrząsnął głową. Carey uniosła rękę.

– Nie. Nawet nie zaczynajmy.

Człowiek, z którym spędziła dziesięć lat swojego życia, który dzielił z nią najbardziej intymne chwile i był ojcem ich dziecka, nie potrafił zdobyć się na to, by zadzwonić do niej i zapytać, jak się czuje. Co w tej sytuacji było do powiedzenia?

– Przykro mi, że okazał się kimś takim – powiedział Kovac.

– Mnie też.

Lucy zaczęła się kręcić i po chwili usiadła, pocierając swe wielkie, błękitne oczy. Spojrzała na Kovaca władczo, jak gdyby była urażona jego obecnością.

– Witaj, księżniczko Lucy – odezwał się Kovac.

– Już nie jestem księżniczką – oznajmiła dziewczynka, najwyraźniej zasmucona utratą statusu.

– Jak to nie jesteś księżniczką? – zapytał Kovac. – Dla mnie wyglądasz na księżniczkę. Pokręciła główką i przytuliła się do mamy. Carey pogłaskała ją po włosach.

– Przywitaj się z detektywem Kovacem, kochanie. Bądź miła.

Lucy spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Dzień dobry, detektywie Sam.

– Dzień dobry. – Kovac znów miał taką minę, jakby obawiał się, że dziecko może nagle rzucić się na niego i ugryźć. – Jak to się stało, że przestałaś być księżniczką?

– Po prostu – Lucy uciekła wzrokiem.

– Czy stało się coś takiego, że postanowiłaś już nią nie być?

Lucy przytaknęła i mocniej przytuliła się do mamy.

– Przestraszyłam się – powiedziała cichutko.

– Aha. Przestraszyłaś się – powtórzył Kovac tak poważnym tonem, jakby przesłuchiwał świadka koronnego. – Nie ma w tym nic złego. Twoja mama czasem się boi. Ja się boję.

– Ty się boisz? – zapytała Lucy z niedowierzaniem. Chwilę się zastanawiała, po czym ogłosiła: – W takim razie też nie jesteś księżniczką.

– Cóż. No tak, nie jestem.

– Bawimy się z mamą w namiot – powiedziała Lucy. – Jak chcesz, to możesz zostać z nami.

Kovac zasłonił usta dłonią, kryjąc uśmiech.

– Nie mogę – powiedział. – Ale dziękuję za zaproszenie. Naprawdę muszę już lecieć. Wpadłem tylko sprawdzić, jak czujecie się – ty i twoja mama. I przyniosłem wam pączki.

Lucy zauważyła talerz i jej twarz się rozpromieniła.

– Pączki!

– Możesz zjeść tylko jednego – ostrzegła Carey. Wstała z kanapy, by odprowadzić Kovaca do drzwi.

– Dziękuję, Sam – powiedziała cicho. – Za to, że przyszedłeś. Za pączki. Za wszystko.

Kovac włożył płaszcz.

– To moja praca...

– Nie. To znacznie, znacznie więcej.

– Znasz moje numery – powiedział. – Jeśli będziesz mnie potrzebować, dzwoń. Będę tu, zanim zdążysz odłożyć słuchawkę.

Carey kiwnęła głową.

Kovac odwrócił się do drzwi i zaczął je otwierać.

– A co, jeśli nie będę cię potrzebować? – spytała Carey. – Czy mogę i wtedy do ciebie zadzwonić?

Kovac zarumienił się nieznacznie, omijał ją wzrokiem i walczył z uśmiechem.

– Tak – odpowiedział w końcu. – Jak już powiedziałem, zjawię się, zanim odłożysz słuchawkę.

## LXX

Zespół pod dowództwem porucznik Dawes zebrał się następnego dnia tuż przed rozpoczęciem zmiany, by pomówić o śledztwie, które rozrosło się w kilka równoległych spraw. Zło rozpleniło się jak rak, obejmując przerzutami kolejne miejsca i niszcząc zbyt wiele ludzkich istnień.

– Zamknęliśmy sprawę śmierci Dempseya – oznajmiła porucznik Dawes. – Nie będzie więcej działań w tej kwestii.

– Co stanie się z jego ciałem? – zapytał Kovac. – Czy jego córka przyjedzie zorganizować pogrzeb?

– Nie. Poprosiła, byśmy to my wybrali pieniądze z konta Stana i, jak to nazwała, zajęli się sprawą.

Tippen gwizdnął przeciągle.

– „O niewdzięczności... tyś ohydniejsza od morskiej potwory, kiedy się jawisz w dziecku!”

– Hej! To moja kwestia! – sprzeciwił się Elwood.

– Słowa wieszczą są dobrem wspólnym, mój przyjacielu. Należą do wszystkich i do nikogo.

– To nie w porządku – powiedział Kovac, ignorując ich sprzeczkę. – Dempsey był jednym z nas. Powinniśmy się o niego zatroszczyć. Byliśmy jego rodziną.

Dawes przytaknęła.

– Zgadzam się. Zobaczę, co możemy zrobić. Ale od razu wam mówię, że ze względu na ostatnie wydarzenia szefostwo pod niczym się nie podpisze. Można by się postarać o pomoc związków zawodowych.

– Puścimy kapelusz – powiedział Kovac. – Nie mieszajmy w to związków. Sami zrobimy dla Stana to, co powinni zrobić przyjaciele, którymi nie umieliśmy być dla niego.

Wokół stołu rozległy się pomruki aprobaty. Kovac był pewien, że każdy, kto kiedykolwiek pracował ze Stanem Dempseyem, ignorował go lub stroił sobie z niego żarty, teraz, nękany wyrzutami sumienia, w duchu czczył jego pamięć minutą ciszy.

Dawes odezwała się znowu.

– Nikki, wiesz coś na temat oficjalnej przyczyny zgonu Wayne’a Haasa?

– Nie mamy jeszcze wyników testów toksykologicznych – odparła Liska. – Wstępna ocena wskazuje na zawał, ale Bobby Haas dość szczegółowo opisał w swym pamiętniku plan otrucia ojca selenem. I wyobraźcie sobie, że on miałby zostać lekarzem. Eh...!

– A wyobraźcie sobie dopiero, że niejeden taki Bobby Haas już ukończył akademię medyczną – powiedział Tippen. – A także prawo lub ekonomię. Badania wykazały, że wielu szefów firm, które znajdują się na liście pięciuset magazynu „Fortune<sup>6</sup>”, powinno poddać się leczeniu psychiatrycznemu.

– Temu dzieciakowi niemalże udało się popełnić zbrodnię idealną – powiedział Kovac.  
– Karl Dahl poszedłby do więzienia za morderstwa, których tak naprawdę nie popełnił. A chłopak nadal mógłby wesoło dokazywać.

– Nikki, czy dotarłaś w aktach morderstwa Haasów do tego, jakie było zdanie Dempseya na temat Bobby’ego? – spytała Dawes.

– Bobby Haas został przesłuchany. Podał alibi. Wygląda na to, że nikt nie starał się go sprawdzić – odpowiedziała Liska. – Stanowi zależało na skazaniu Dahla. Bobby miał zaledwie szesnaście lat, był dobrym uczniem, grzecznym dzieciakiem, który nigdy nie sprawiał kłopotów i wydawał się załamany tymi wypadkami.

– Prześlizgnął się przez sito – dodała Dawes.

– Właśnie.

– A na czym stoimy w sprawie Davida Moore’a? – zapytał Kovac.

Dawes wzruszyła ramionami.

– Nic na niego nie mamy. Został oczyszczony z podejrzeń o napad na swoją żonę. Nie miał nic wspólnego z jej porwaniem. Jestem pewna, że śledczy księgowy będzie miał używanie, przeglądając jego finanse dla celów postępowania rozwodowego, ale jeśli chodzi o nas, to facet jest bez zarzutu. Nie mamy nic, za co moglibyśmy go zatrzymać lub o co dalibyśmy radę go oskarżyć.

Kovac się zasepił.

– Nic z tego nie rozumiem. Skoro jest taki niewinny, to dlaczego tak szybko zastronił się adwokatem?

– Cóż... Mogło to mieć coś wspólnego ze sposobem, w jaki ty i Logan próbowaliście

---

<sup>6</sup> Sporządzany raz do roku ranking pięciuset najbogatszych przedsiębiorstw w Stanach Zjednoczonych (biorąc pod uwagę dochód brutto).

za wszelką cenę wsadzić go do więzienia – zauważyła oschle porucznik.

Kovacowi wciąż jednak coś się nie podobało.

– Chcę wiedzieć, o co chodziło z tymi tajemniczymi dwudziestoma pięcioma tysiącami i dlaczego tak oczywiste wydawało się to, że Moore knuje coś z bratem Ginnie Bird.

– Może naprawdę coś kombinowali – powiedział Elwood. – Może mieli plan, by usunąć sędzinę z drogi, ale Bobby Haas ich w tym ubiegł.

– Ale nawet jeśli taka jest prawda, teorie spiskowe kiepsko się sprzedają – powiedziała Dawes. – Bez zarzutu popełnienia ciężkiego przestępstwa ta sprawa nigdy nie trafi do sądu. A fakty świadczą o tym, że David Moore nie zrobił nic nielegalnego – przynajmniej z tego, co nam wiadomo.

Liska posłała Kovacowi kuksańca w bok.

– Nie możemy wrzucić go do paki tylko dlatego, że ty uważasz go za dupka, Kojaku.

– A szkoda. Świat stałby się lepszy – burknął niezadowolony Kovac.

Czy Moore popełnił przestępstwo, czy nie, Kovac miał zamiar zejść do samego dna tego szamba, choćby tylko po to, by dla własnej satysfakcji uczynić życie Moore'a nieznośnym. Podejrzał, że miał on gdzieś ukrytą pokaźną fortunę, pochodzącą z jego dokonań w świecie porno biznesu. Może tam uda mu się znaleźć na niego haka. Jak mówił Logan: idź za pieniędzmi.

– Co wiesz o jego filmach, Tip? – zapytał.

Liska zakryła uszy rękami i zaczęła sobie nucić jakąś melodię.

– Dla mnie są zbyt hardcorowe – powiedział Tippen. – Brutalne. Sadosochistyczne. Jeśli miałbym na ich podstawie powiedzieć, kim jest David Moore vel David M. Greer, to musiałbym stwierdzić, że to całkowity zboczeniec – zboczeniec chroniony pierwszą poprawką do konstytucji. Możemy uznać jego dokonania za społecznie i moralnie naganne, ale musimy się zgodzić, że nie łamie żadnych praw.

Kovac nie potrafił ukryć, że jest wściekły.

– Dobra, ludzie – powiedziała Dawes, wydając długie westchnienie, w którym słychać było zmęczenie wielu dni. – Zakończmy to i idźmy dalej. Jeśli nikt nie ma już nic do dodania...

Wszyscy na wpół wstali już z krzeseł, gdy odezwała się Liska.

– Czekać! – zawołała, szeroko otwierając oczy i przyciągając ogólną uwagę. – Spójrzcie na Kovaca! Czy to jest nowy, brązowy garnitur?

Wszystkie „och!” i „ach!”, jakie rozległy się w pokoju, przyprawiły go o rumieniec.

Zrobił zdziwioną minę.

– Na miłość boską! Nie róbcie z tego wielkiej sprawy. Kupuję garnitur raz na dziesięć lat, bez względu na to, czy jest mi potrzebny, czy nie.

Kovac stał przed lustrem w męskiej ubikacji, zastanawiając się, czy powinien jeszcze raz się ogolić. Lepiej nie. Na pewno by się zaciał i przyszedł na kolację z papierem toaletowym przyklejonym do brody.

Liska wparowała do środka w chwili, gdy zakładał świeżą koszulę. Posiał jej w lustrze niezadowolone spojrzenie.

– Musisz przestać tu przychodzić, Dzwoneczku.

– Nie psuj mi zabawy. To jedyna przyjemność, jaka mi jeszcze została.

– Jezu!

– Gdzie twój plaster nikotynowy? – zapytała. – Chyba nie dałeś za wygraną?

– Rzuciłem to.

– Zwariuję przez ciebie, Sam! Jeśli dostaniesz raka płuc i umrzesz...

– Nie. Mam na myśli to, że rzuciłem palenie.

Wyraz bezmiernego zdumienia, jaki wymalował się na jej twarzy, rozbawiłby Kovaca do łez, gdyby nie był tak cholernie zdenerwowany.

– O rany! Tak po prostu?

– Tak po prostu. Czas, żebym zaczął zwracać uwagę na takie rzeczy, zanim skończę jak Stan Dempsey, żyjąc samotnie z prywatnym arsenałem w piwnicy i jednym krzesłem w ogrodzie.

Liska wciągnęła powietrze.

– Czyżbym czuła zapach kryzysu wieku średniego?

– Jesteś w męskiej toalecie. Bardziej prawdopodobne, że czujesz co innego – powiedział, mozolnie wiążąc nowy, bursztynowy krawat, o którym zniewieściały sprzedawca w sklepie z garniturami powiedział, że wydobywa z jego oczu ciepłe tony w kolorze whisky.

„Boże”.

Liska odsunęła jego niezdarne dłonie na bok i sama mu go zawiązała.

– Ładny krawat – powiedziała. – Podkreśla kolor twoich oczu.

Kovac znów się zmarszczył.

– Dokąd to tak się spieszysz? Masz randkę?

– Kolację – wymamrotał, uciekając wzrokiem przed jej badawczym spojrzeniem.

– Randkę na kolacji?

– Kolację.

– Z kimś, kogo znam?

– Nie twoja sprawa, Dzwoneczku – powiedział poirytowanym tonem, poluzowując węzeł pod szyją, by nie czuć się tak, jak gdyby za chwilę miał się udusić.

– To w takim razie jest to jak najbardziej moja sprawa – powiedziała Liska, a w jej oczach rozbłyły psotne ogniki.

– Idę na kolację z sędzią Moore – wyznał.

Brwi Liski powędrowały do góry.

– Z sędzią Moore?

– Tak.

– Z Carey.

Kovac sapnął.

– Tak. Z Carey.

Liska klasnęła w ręce i się zaśmiała.

– Och, ty kłamco! Idziesz na randkę! Ty draniu! Tyłek mężusia dopiero znalazł się za drzwiami...!

– To wcale nie tak – burknął Kovac. – To po prostu mała kolacja na podziękowanie. Na dodatek w towarzystwie jej pięcioletniej córki. Nic poza tym.

– Daj sobie spokój, Kojaku. I tak przejrzałam cię już dawno temu. Nie kupuje się nowego garnituru, żeby zjeść kolację z pięcioletnim dzieckiem.

Kovac nic nie powiedział. Nie wiedział, co w zasadzie mógłby wymyślić. Nie chciał robić sobie za dużo obietnic z faktu, że Carey zaprosiła go do siebie. Zbyt mało czasu minęło od ostatnich wydarzeń. Ona wciąż była w szoku. To pewnie jedyny powód, dla którego się z nim umówiła – po prostu nie była przy zdrowych zmysłach.

Liska wyciągnęła ręce, by ponownie poprawić mu węzeł krawata. Podniosła głowę i uważnie na niego spojrzała, po czym poklepała go po ramieniu.

– Uważaj na siebie, dobrze?

– Trochę na to za późno – przyznał. Na miłość boską, czemu tak strasznie się pocił?  
Znów szarpnął za krawat.

– Weź pod uwagę jedną rzecz, Sam – powiedziała Liska na serio.

– No, co takiego?

– Że ona... Że ona jest...

– Że jest dla mnie za dobra?



– Że jest prawnikiem.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Liska objęła go i przytuliła.

– W drogę, młody człowieku – powiedziała, jeszcze raz poprawiając mu krawat. –  
Bądź grzeczny, nie jedz palcami, nie mów z pełnymi ustami i wróć do domu przed północą.

– Dobrze, mamó – powiedział, wkładając nową marynarkę i idąc do drzwi.

– I jeszcze jedno, Sam.

Kovac obejrzał się przez ramię. Twarz Liski znów była śmiertelnie poważna.

– Tak?

– Zostaw ten cholerny krawat w spokoju, bo połamię ci palce.

Zawsze umiała znaleźć dla niego ciepłe słowo. Taka już była ta jego partnerka.

Kovac zasalutował i wyszedł za drzwi, wiedząc, że tam, dokąd zmierza, czeka go coś  
dobrego.